

Antoni Marczyński
Lot nad oceanem

Tom

Całość w tomach

Zakład Nagrań i Wydawnictw

Związku Niewidomych

Warszawa 1996

Tłoczono pismem punktowym dla
niewidomych w Drukarni Zn,

3 3 64 0 0 108 1 ff 1 74 1
Warszawa, ul. Konwiktorska 9

Przedruk z wydawnictwa

Oficyna Filmowa "Galicja",

Kraków 1990

Pisała K. Kruk

Korekty dokonała

U. Maksimowicz

i I. Stankiewicz

`ty

I

Minęło kilka miesięcy...

Wrażenia z podróży poślubnej
zacierały się powoli, stawały
się odległymi wspomnieniami,
odległymi chociażby z tej
prostej przyczyny, iż nie było
czasu ich odświeżyć w pamięci.
Jeszcze w pierwszych tygodniach
po powrocie do Nowego Jorku
zdarzało się niekiedy, że Dolly,
oparłszy główkę na moim
ramieniu, mawiała z
westchnieniem...

- Pamiętasz, darling, cudne,
koralowe ogrody w zatoce
Waialua? A plażę Waikiki? A tę
niezapomnianą noc u stóp
potężnego Mauna Loa?

Potakiwałem ochoczo i myśli
moje biegły hen, ku malowniczym
wyspom hawajskim, gdzie
wymierający szybko potomkowie
mężnych Kanaków, brązowi
młodzieńcy, zbudowani jeden w
drugiego jak Apollo, pędzą na
desce wraz z spienioną falą
poprzez niespokojną toń oceanu,
gdzie na tle dymiących w oddali
olbrzymich wulkanów, na tle
bujnych lasów podzwrotnikowych
smukłe, zgrabne, nierzadko
piękne dziewczęta w spódniczkach
z rafii i w girlandach wonnych
kwiatów tańczą swoje
oszałamiające "hulahula" w takt
smętnych dźwięków "ukulele"...

Ale takie nastrojowo
marzycielskie momenty
przytrafiały się mej małżonce
coraz rzadziej, w miarę jak
pochłaniał ją wir towarzyskich
obowiązków i wielkomiejskich
rozrywek. Bo Dolly, poza
godzinami poświęconymi sportom
oraz wyszukanej kulturze ciała,
które to godziny ciągnęły się od
rana do lunchu, a nawet dłużej,
potrafiła sobie wypełnić
"pracowicie" resztę dnia i co
najmniej połowę nocy do tego
stopnia, że chcąc się z nią
razem gdzieś wieczorem wybrać,
musiałem ten zamiar objawić
dzień lub dwa naprzód, aby nie
otrzymać stereotypowej
odpowiedzi...

- Dzisiaj? - Niemożliwe! Dziś
muszę wpaść do mamy, potem do
krawca, potem mam do odrobienia
dwie wizyty, dalej koncert,
wreszcie dancing. Czemu mi
wcześniej nie powiedziałaś, że
przyszła ci ochota poświęcić
choćby jeden wieczór żonie?

Dolly bywała w domach dawnych

znajomych swoich rodziców,
robiła nowe znajomości i
przyjmowała u siebie co najmniej
dwa razy tygodniowo. Nasz dom -
nawiasem mówiąc Dick Campbell
spisał się dobrze, a zakupienie
willi z dużym ogrodem w
zachodniej części Brooklynu było
moim zdaniem szczęśliwszym
pomysłem, niż pierwotny zamiar
wynajęcia dla nas mieszkania
gdzieś w pobliżu city - otóż
nasz dom był dzięki Dolly domem
otwartym w całym tego słowa
znaczeniu, co mnie bynajmniej
nie cieszyło. Nie jestem
odludkiem, lubię towarzystwo,
przepadam za gośćmi, ale
wszystko ma swoją miarę... Toteż
coraz chętniej przesiadywałem
wieczorami w klubie lub w gmachu
"N. Y. Morning News", gdzie
zresztą przybyło mi pracy,
bowiem Dick przerzucił na moje
barki cały ciężar kierownictwa
administracyjnego naszego
pisma...

Omawiając tryb życia z
pierwszych miesięcy naszego
małżeństwa, nie mogę nie
wspomnieć o Halinie, jakkolwiek
w tym okresie nie spotkałem jej
ani razu...

Podróż poślubna, wspólne
przeżywanie niezatartych wrażeń,
wspólne podróże, wycieczki,
zachwyty, zacieśniły więzy
pomiędzy mną a Dolly.
Wiedziałem, że ona mnie kocha
niemal tak silnie, jak siebie
sama, jak swą urodę, młodość,
świeżość, wdzięk, słowem
wszystko, co jej osoby dotyczy,
że zatem zdobyła się na
najwyższą miłość, na jaką ja
było stać. A ja? Mój afekt
rozdwajał się właściwie pomiędzy
dwa przedmioty kochania,
pomiędzy Dolly i Halinę, lecz
nieobecna, daleka, zagniewana,
musiała z natury rzeczy ustąpić
miejsca obecnej, bliskiej,
czulej. Przyzwyczajałem się do
Dolly, zżywałem się z nią z
każdym dniem lepiej, wzruszałem

się jej przywiązaniem oraz
dziecięcą ufnością, z jaką
odnosiła się do mnie i było mi z
tym dobrze, niekiedy bardzo
dobrze, idealnie. Obraz Haliny
zacierał się z wolna, napady
szalonej tęsknoty traciły na
sile szybko, bywały coraz
rzadsze, aż w końcu historia
mego stosunku do pięknej Polki
stała się wspomnieniem z rzędu
studenckich miłości. Analizując
pewnego razu swój ówczesny stan
uczuć wobec Haliny Horskiej
zauważyłem smętnie, lecz nie bez
westchnienia... ulgi:

- Zwykły koniec tak zwanych
wulkanicznych miłości. Gasną
równie szybko, jak wybuchają...

Już to samo, że mogłem się
zdobyć na tego rodzaju uwagę,
świadczy najwymowniej o
gwałtownym decrescendo mego
afektu względem "demona z twarzą
Madonny", jak, najniesłuszniej
zresztą w świecie,
Ralph_gentleman, anioł
opiekuńczy mego ogniska
domowego, uroczą Halinę
nazwał...

A pomimo to, pomimo
rozwijającego się u mnie szybko
poczucia lojalności małżeńskiej,
zadzwońnięm jednego wieczora do
mieszkania Haliny Horskiej i nie
mogę powiedzieć z ręką na sercu,
że powodowała mną li tylko
ciekawość...

Spotkała mnie niespodzianka,
którą odczułem jak przykry zawód
w pierwszej chwili. W słuchawce
telefonicznej zarechotał
ochrypły bas jakiegoś jegomościa
i oświadczył mi nie bez
irytacji, że Miss Horska
wyprowadziła się przed
kwartałem, a jej dawne
mieszkanie zajmuje obecnie on,
Mr. Hopkins we własnej osobie...

- Dokąd się wyprowadziła? A
cóż mnie to może obchodzić -
wrzasnął, kiedy o to zapytałem

Nieśmiało i przerwał połączenie.

Byłem tak zaskoczony niespodzianą wiadomością, że zapomniałem położyć słuchawkę i trzymając ją w ręku, siedziałem długą chwilę bez ruchu, zasłuchany bezmyślnie w jednostajne tykanie ściennego zegara, wiszącego naprzeciw biurka w moim dyrektorskim gabinecie.

Zadumę moją przerwał wreszcie dyżurny chłopiec redakcyjny, który zameldował, że w sąsiedniej poczekalni: "jest telefon do pana, Mr. Bronson"...

- W poczekalni? Do mnie? - rzekłem i wpadając nie wiedząc czemu w jak najgorszy humor, zadzwoniłem energicznie do naszej centrali telefonicznej. Telefonistka odezwała się natychmiast, na swoje szczęście... - Co to znaczy, Miss Burns? - wsiadłem na nią. - Czy pani zapomniała, jaki jest mój wewnętrzny numer telefonu? Dlaczego nie łączy pani interesanta z moją pracownią, tylko z poczekalnią? Może na drugi raz każe mi pani w drukarni rozmawiać, co?

- Ach, Mr. Bronson, bardzo pana przepraszam, ale nie mogłam inaczej postąpić - tłumaczyła się zalęknionym głosem - odłożył pan u siebie słuchawkę, a Mrs. Bronson nie chciała czekać i kazała się natychmiast połączyć. Co miałam zrobić? Myślałam...

- Więc to moja żona dzwoniła? Proszę mnie z nią połączyć... Pani jest w porządku, Miss Burns - powiedziałem jej na pocieszenie, bo rzeczywiście nie mogła inaczej postąpić...

Ćwierć minuty później rozmawiałem z Dolly...

- Można się wyczekać za wszystkie czasy, zanim się

uzyska połączenie z panem
dyrektorem - zaczęła z wyrzutem
- z kim ty tak długo flirtowałeś
przez telefon?

- Z nikim nie flirtowałem,
tylko po prostu odłożyłem
słuchawkę, aby móc pracować w
spokoju. Nie masz pojęcia, ile
mam roboty. Ręce opadają -
łgałem z nerwowym pośpiechem,
zbity z tropu dziwnym zbiegiem
okoliczności: oto żona
zatelefonowała do mnie do
redakcji, co czyniła nader
rzadko, nie chcąc mi
przeszkadzać w pracy -
zatelefonowała właśnie w tym
momencie, kiedy usiłowałem
połączyć się z Haliną. Prosty
przypadek, czy jawne ostrzeżenie
losu?

Poczciwa Dolly wzruszyła się
od razu wiadomością, że mam tak
wiele pracy i nie omieszkała mi
wyrazić swego współczucia...

- Kochany biedaku!... Papa cię
teraz zamęcza. Już ja mu jutro
natrę uszu. Dawniej o szóstej,
siódmej byłeś wolny, obecnie
zaś, nawet wieczorami musisz
ślęczyć w redakcji i z
konieczności zaniedbujesz swą
żoneczkę, która cię bardzo, a
bardzo kocha. Czy gniewasz się,
darling, że ci przeszkodziłam?

- Jakże mógłbym się gniewać na
ciebie, kochanie. Przeciwnie
jestem ci wdzięczny, iż
zadzwoiłaś i mogę się oderwać
choć na krótko od pracy -
odparłem z czułością, której
genezy można by szukać zarówno w
chęci odwzięczenia się Dolly za
jej dobroć, jak i też tkliwości,
właściwej każdemu małżonkowi po
najmniejszym odskoku na bok, po
najlżejszym przewinieniu
przeciwko lojalności
małżeńskiej; mam tu na myśli
skrupuły, jakie mnie teraz
opadły na wspomnienie nieudanej,
a tak bardzo świeżej próby
nawiązania kontaktu z Haliną...

- To ładnie z twojej strony, że się nie gniewasz - ciągnęła dalej - jakiś ty dobry, Ralph! Twoja dobroć mnie naprawdę rozczula, a zarazem ośmiela do powiedzenia ci rzeczy, z powodu której mam dużo tremy...

- Cóż tam przeszkrobała, psotnico?

- Będę dziś miała u siebie kilka osób.

- No, to niestraszne przewinienie... Baw się, kochanie i przyjmuj choćby codziennie, jeśli ci to przyjemność sprawia. Ja, niestety, będę się mógł pokazać dopiero po jedenastej, jeśli nie później, co cię ostatecznie dziwić nie powinno...

- Ach tak - westchnęła... - Ale to jeszcze nie jest to, co spowodowało moją tremę.

- Tylko?

- Najlepiej, że ci od razu powiem, nie owijając w bawełnę... Wśród osób, których się dzisiaj spodziewam, będzie także... Bob.

- Bob? Co za Bob?

- Bob Kennedy.

- Kennedy - powtórzyłem machinalnie, myśląc o czymś innym... - Ach, ten elegancki bałwan z twarzą Antinousa, ten wytworny półgłówek. Więc jego oczekujesz? - dodałem, przypomniawszy sobie nagle scysję z okresu ostatnich dni swego narzeczeństwa, kiedy to zastrzegłem się jak najenergiczniej, że głupiemu Bobowi oraz jemu podobnym, będzie w przyszłości przestąpienie progu naszego domu stanowczo wzbronione.

Dolly usprawiedliwiała się
niepewnym głosem:

- Ralph drogi. Nie chciej mnie
źle zrozumieć. Pamiętam
doskonale o twym zakazie i nie
myśl, że ja Boba zapraszałam.
Ale sam powiedz, co miałam
zrobić, kiedy Mrs. Kennedy,
która, jak wiesz, jest serdeczną
przyjaciółką mamy, zapowiedziała
na dziś swą wizytę i wtrąciła
mimochodem: "Przyjdę z synem"...
Czy mogłam jej odpowiedzieć...
"Owszem, pani przybycie sprawi
mi prawdziwą przyjemność, lecz
Mr. Bob musi zostać w domu,
ponieważ mój Ralph zabrania mi
przyjmować takich durniów"? Nie
mogłam, prawda? Byłoby to grubym
nietaktem, a co gorsza
ośmieszyłoby przede wszystkim
ciebie, bo znaczyłoby to mniej
więcej tyle, że obawiasz się,
aby mi ten wymuskany maminsynek
nie zawrócił w głowie... Nie,
darling. Nawet cień podobnej
obawy nie powinien istnieć w
tym sercu, jeśli masz do mnie
choć szczyptę zaufania... Do
mnie i do mego gustu. Głupiutki
Bob Kennedy rywalem mojego
Ralpha! Ha, ha, ha, ha, ha -
śmiała się sztucznie, nie
wiedząc, jak przyjmę tę nowinę.
Trajkotała jeszcze w ten sposób
przez dłuższą chwilę, aż rzekłam
z akcentem zniecierpliwienia...

- Nie ma o czym mówić,
darling... Zastrzegając się
swego czasu, by Bob nie
przestąpił progu naszego domu,
miałam na myśli to, że nie życzę
sobie, ażeby on ci stale
asystował, skoro zostaniesz moja
żoną. Ale jedna wizyta, druga
wizyta nic nie znaczą. Nie można
się ośmieszać.

- A widzisz - wtrąciła
uradowana... - Wiedziałam zaraz,
że mój Ralph jest rozsądnym
człowiekiem i nie będzie z
takiego głupstwa robił tragedii.

- Skoro więc wiedziałaś, to

czemu mi głowę od kwadransa
zawracasz takim drobiazgiem,
kiedy ja tu siedzę w robocie po
uszy?

- Bo... bo myślałam, że
zrobisz złą minę, kiedy
wróciwszy do domu zastaniesz
między innymi także Boba... Ale
teraz jestem spokojna i raz
jeszcze przepraszam, że ci
przeszkodziłam w pracy. Do
widzenia, kochanie, a przyjedź
jak najprędzej do domu. Chcę się
popisać przed gośćmi swoim
mężulkiem. Niech zazdrosna Mrs.
Kennedy zobaczy na własne oczy
jaka różnica jest pomiędzy jej
Bobem, co języka w buzi
zapomina, kiedy rozmowa zejdzie
na jakiś poważniejszy temat,
a... moim genialnym Ralphem...
No, pa, darling...

Rzuciłem na zakończenie
rozmowy kilka czułych słówek,
rewanżując się Dolly za ostatni
komplement, po czym zabrałem się
do pracy z takim zapałem, że o
trzy na dziewiątą byłem gotów ze
wszystkim. Jakiś nieodparty
przymus wewnętrzny zmuszał mnie
do pośpiechu, a że lubię
analizować w każdej okoliczności
swój stan psychiczny, przeto
zapaliłem cygaro (nikotyna
pomaga palaczowi w precyzyjnym
ujmowaniu myśli) i zacząłem się
zastanawiać nad przyczynami tego
zjawiska...

Śpieszyłem się z robotą, nie
miałem żadnych planów na ten
wieczór, a więc zależało mi
widocznie na tym, aby się
znaleźć w domu jak najrychlej.
Dlaczego? Czy kierowała mną
jakaś obawa o Dolly lub
zazdrość? Nonsens. Po pierwsze,
czegoż mógł dokazać ten
osławiony zdobywca serc
niewieścich w tak krótkim
czasie, w dodatku w obecności
tylu osób? Mógł co najmniej
posłać mej żonie kilkanaście
"zabójczych" spojrzeń lub
szepnąć kilka "mądrych" zdań,

jakie szeptał każdej bardziej
ponętnej kobiecie. Jedno i
drugie całkiem nieszkodliwe,
nawet gdyby nie wchodziła w grę
druga okoliczność, o której
zaraz powiem. Tą drugą
okolicznością było to, że byłem
najzupełniej pewny miłości
Dolly, że miałem do niej
całkowite zaufanie i wiedziałem,
iż wszelkie zaczepki ze strony
tego czy owego lowelasa skończą
się sromotnym zawodem. Bo mimo
swych słabostek moja małżonka
nie była już tą dawną Dolly z
czasów panięskich, ową
rozflirtowaną, rozpieszczoną,
kapryśną jedynaczką, którą
upajało powodzenie wśród złotej
młodzieży i cieszył długi
korowód, zakochanej w niej (czy
w portfelu papy), ofiar. Dziś
miała inną pasję, wynikającą
zresztą z nowej pozycji
towarzyskiej, a jej obecna żądza
imponowania znajomym swym
majątkiem, stosunkami,
toaletami, biżuterią, autami,
rozległymi planami przyszłych
podróży oraz lepszego gatunku,
acz niemniej mieszczański,
snobizm, były z mego punktu
widzenia, jako męża, mniejszym
złem, niż dawne upodobania,
które mi dużo krwi napsuły w
czasach narzeczeńskich...

Więc nie zazdrość ani jakieś
obawy kazały mi się tak szybko
uwinąć z robotą, ale gnała mnie
do domu chęć zmierzenia się z
Bobem Kennedym i przekonania
obecnych, że on traci w
porównaniu ze mną.

Co zatem? Co było ową
tajemniczą siłą, zmuszającą mnie
do wydania telefonicznego
polecenia, by redakcyjny Lincoln
opuścił natychmiast garaż i
zajechał przed bramę - owym
magnesem, ciągnącym mnie
nieodparcie do domu?...

Później zrozumiałem, że...
przeznaczenie.

Bo gdybym był opuścił gmach
"MORning News" pięć sekund
wcześniej, czy pięć sekund
później, gdybym był wybrał jakąś
inną drogę, lub sam auta nie
prowadził, gdybym był jechał o
kilka metrów na godzinę wolniej
albo szybciej... nie byłoby
doszło do wypadku, który
ponownie otwarł zwrotnicę
bocznego toru i zepchnął pociąg
mojego życia z dawnego szlaku...
Tego mogło dokazać tylko
przeznaczenie...

Z wolna zbliżałem się do
kamienicy, oznaczonej numerem
336. Ach, jakże dobrze
pamiętałem ten dom, niczym się
zewnątrznie nie różniący od
sąsiednich gmachów - z jakim
wzruszeniem przekraczałem
niegdyś próg jego bramy! Z jaką
rozpaczą w sercu krążyłem po
przeciwległym chodniku,
zadzierając głowę ku oknom
mieszkania Haliny! Było to
wieczorem, pamiętnego dnia,
kiedy na łamach "Morning News"
ukazała się moja nieszczęsna
nowela, kiedy Halina zerwała ze
mną wszelkie stosunki, pisząc ów
liścik, pod wrażeniem pierwszego
gniewu, żalu, oburzenia...

- Wyjechała... Wszystko między
nami skończone... Trudno, tak mi
widać było pisane, ale jednego
przeboleć nie mogę... że w jej
przekonaniu jestem winny -
szeptałem w duchu, mijając bramę
domu nr 336...

Nagle!!!

Rozdzierający okrzyk trwogi i
ból przedarł się do mej
świadomości, przerywając za
jednym zamachem tęskną zadumę...

W ułamku sekundy ujrzałem
szczupłą, czarną sylwetkę
ludzką, zapadającą się jakby pod
chłodnicę mojego lincolna, a
równocześnie wykrzywioną z
przestrachu twarz obok mnie
siedzącego szofera, który zerwał

się i wyciągnął dłoń ku rączce hamulca...

- Przejechałem kogoś -
zaświtało mi w głowie...

Błyskawicznym ruchem targnąłem ręcznym i nożnym hamulcem. Osadziłem samochód w miejscu, lecz... za późno...

Potem nastał wściekły chaos wrażeń. Przerażliwie blada twarz przejechanej staruszki, unieruchomiony skutkiem nieszczęśliwego wypadku, szeroko rozkraczony autobus, za nim długi rząd samochodów, oślepiające światło latarni ulicznej, rosnący tłum gapiów, którzy już zdążyli się podzielić na dwa obozy; jeden, zwalający winę na mnie, drugi, na własną nieostrożność mej ofiary, usiłującej podobno przejść z jednego chodnika na drugi w nieprzepisowym miejscu, wyniosła postać policjanta, zapisującego moje nazwisko oraz numer auta, fachowe wywody redakcyjnego szofera, który już teraz świadczył z zapalem, że jechałem z przepisową prędkością, nawoływania szoferów z dalszych wozów, aby usunąć przeszkodę hamującą białe sylwetki sanitariuszy przenoszących nieprzytomną kobietę do równie białej samochodowej karetki szpitalnej, która zjawiała się na miejscu wypadku z podziwu godną szybkością i setki innych chaotycznych spostrzeżeń zlały się w jedno, utworzyły niejako porywający swym realizmem epizod dobrego filmu, w którym przypadła mi rola czarnego charakteru, "jeżdżącego po ludziach", a jednocześnie rola krytycznym wzrokiem patrzącego widza...

- "All right" - warknął policjant, zamykając swój groźny notes...

Mogłem jechać dalej w swą

drogę, lecz potężny magnes,
który mnie przedtem ciągnął z
taką siłą w stronę domu,
przestał działać, po prostu
zniknął bez śladu. Ano odegrałem
swą rolę, narzuconą przez
przeznaczenie i miałem znowu
czasową swobodę. Czy naprawdę ja
miałem? Czy nie było teraz mym
obowiązkiem udać się do szpitala
i zaopiekować się w miarę
możliwości ofiarą wypadku? Nie
wiem jak się to stłao, że wpadła
mi pod koła, ani z czyjej winy,
ale pamiętając o niefortunnym
zagapieniu się na dom, gdzie
dawniej mieszkała Halina, o
zadumie poświęconej wspomnieniom
łączącym mnie z tą kamienicą,
zdawałem sobie sprawę, iż w tym
wypadku moje sumienie
niezupełnie jest czyste i
zrozumiałem, że mam święty
obowiązek starać się jakoś
naprawić krzywdę, mimowolnie
wyrządzoną. Może staruszka
będzie potrzebowała materialnej
pomocy, może trzeba będzie kogoś
z jej rodziny zawiadomić o tym,
co zaszło...

- W każdym razie muszę jechać
zaraz do szpitala - postanowiłem
i zmieniając miejsce z szoferem,
dodałem: - Niech pan prowadzi.
Jestem zanadto zdenerwowany...

- Dokąd pojedziemy, Mr.
Bronson?

- Za karetką.

I pojechałem. Dalszy rozwój
brzemiennych w skutki wypadków
był logicznym następstwem mej
niefortunnej jazdy autem przez
Amsterdam Avenue. Musiałem
pojechać nowym torem, skoro
sile wyższej spodobało się
przestawić odpowiednią
zwrotnicę...

- Czy pan jest krewnym tej
osoby? - zapytano mnie przede
wszystkim w szpitalu.

- Nie. Jestem tylko mimowolnym

sprawcą jej nieszczęścia. Chcę ponieść wszelkie konsekwencje tego wypadku. Czy mogę się dowiedzieć, jakich obrażeń doznała?

- Prawa noga złamana w podudziu, zadrapania naskórka na czole oraz na obu rękach, ogólne potłuczenie, no i oczywiście mały wstrząs, wywołany strachem. Nic groźnego, mogę pana pocieszyć.

- Dzięki Bogu. Kiedy mógłbym się zobaczyć z pacjentką?

- Teraz nie, w każdym razie. Niech się pan zgłosi jutro lub pojutrze pomiędzy drugą a piątą po południu, w tych bowiem godzinach wolno odwiedzać chorych, leżących na salach ogólnych. Pacjenci, umieszczeni w separatkach cieszą się oczywiście większymi przywilejami. Tych można odwiedzać o każdej porze dnia. O ile tylko prymariusz danego oddziału zezwoli.

- Aha, dobrze, że mi pan przypomniał. Czy można by tę staruszkę umieścić w jakiejś separacie? Czy są wolne?

- No, owszem, tylko nie wiadomo, czy ona będzie w stanie ponieść koszty. Separatka, jak się pan...

- Zdaje się, że już mówiłem, iż wszystkie koszty biorę na siebie - wtrąciłem zniecierpliwiony gadulstwem mego rozmówcy - tytułem zadatku składam dwieście dolarów i proszę o pokwitowanie.

Na odchodnym rzuciłem jeszcze jedno pytanie:

- Czy nie mógłby mi pan powiedzieć, jak brzmi nazwisko tej pani?

- To cudzoziemka... Włoszka,

jeśli się nie mylę, a nazywa się... nazywa się, zaraz poszukam... - odparł, pochylając się nad grubą księgą... - aha, jest: Mafalda Martini...

- Dziękuję panu. Jutro zgłoszę się pomiędzy drugą a piątą, jak mi pan radził.

Opuszczałem kancelarię szpitalną z lżejszym sercem, wiedząc, że życiu ofiary mej nieostrożnej jazdy (uwierzyłem już w swoją winę) nic nie zagraża, oraz w przeświadczeniu, iż zrobiłem, co było moim obowiązkiem.

- Do mnie, do domu - odparłem na zapytanie szofera, dokąd ma teraz jechać...

Ale w drodze zabiłem sobie nowego klina do głowy. Martini? Skąd ja znałem to nazwisko? Stanowczo musiałem się z nim kiedyś spotkać i to niezbyt dawno temu... Zaraz, zaraz...

- Mam! - krzyknąłem tak głośno, że szofer będący snadź jeszcze pod wrażeniem dzisiejszego wypadku, zatrzymał auto na miejscu i spytał niespokojnie, co się stało...

- Nic, nic, proszę jechać dalej - rzekłem.

Przypomniałem sobie. Martini nazywał się ów przyjaciel, a zarazem rywal Waltera Ashleya, towarzysz wszystkich większych jego lotów, nie wyłączając ostatniego, zakończonego katastrofą... Tak, Giovanni Martini. Opowiadanie Haliny Horskowej stanęło mi żywo w pamięci...

A ta staruszka nazywa się również Martini. Nie znałem stosunków włoskich na tyle, bym mógł wiedzieć, czy to nazwisko jest rzadkim wśród dzieci słonecznej Italii, czy tak

często spotykanym, jak u nas
Smith albo Brown, czy Hopkins.
Miałem więc równą ilość szans
przypuszczać, że tych dwoje
ludzi nic prócz wspólnego
nazwiska nie łączyło, jak też,
że było przeciwnie... A jeśli to
matka Giovanniego?

- W takim razie - szepnąłem
wstrząśnięty do głębi tym
przypuszczeniem - byłby to
najdziwniejszy zbieg
okoliczności: matka Giovanniego,
przejechana przeze mnie, również
aktorka wielkiego dramatu Haliny
i w dodatku przed bramą domu, w
którym ona niegdyś mieszkała, w
którym rozegrała się pamiętna
scena pomiędzy nią, a tym młodym
szaleńcem.

Po namyśle uznałem to
przypuszczenie za bardzo mało
prawdopodobne. W trakcie jednej
z niezapomnianych pogawędek
wieczornych napomknęła Halina,
że ani Walter Ashley, ani jego
przyjaciel Martini nie posiadali
jeszcze obywatelstwa
amerykańskiego, że mieli dopiero
zamiar osiedlić się tutaj na
stałe, że ich rodziny pozostały
w Europie i ktoś tam z
najbliższych krewnych miał
oczekiwać przybycia Waltera oraz
Giovanniego w Paryżu. Po cóż
więc sędziwa pani Martini
emigrowałaby do Stanów po
śmierci swego syna...

- Zresztą jutro się dowiem -
szepnąłem na zakończenie swych
rozmyślań, bowiem auto skręciło
w tym momencie z alei w otwartą
bramę wjazdową naszego ogrodu,
który Dolly szumnie nazywała
parkiem, a okrążywszy łukiem
duży klomb kwiatów, zajęchało
pod taras willi...

- Ralph przyjechał -
posłyszałem z góry tętniący
radością głosik żony.

Wybiegła mi na spotkanie aż do
hallu. Przywitała mnie z wylewną

serdecznością jak gdyby po
długim niewidzeniu i rzuciła
szeptem:

- Nie masz pojęcia, jak się
ten Bob wyrobił towarzysko.
Prawi komplementy na prawo i
lewo, opowiada pyszne historie,
ploteczki, no po prostu buzia mu
się nie zamyka... Ale zamknij mu
się od razu, skoro ty tylko głos
zabierzesz.

Ambitna Dolly chciała mnie
snadź zdopingować, bym jak
najrychlej zaćmił
nadspodziewanie rozgadane go
Boba, który jak się miałem
niebawem sposobność przekonać,
był duszą dzisiejszego
zebrania...

Lecz zawiodłem sromotnie jej
nadzieje. Oczyma duszy widziałem
wciąż bladą jak opłatek twarz
przejechanej staruszki,
wszystkie myśli biegły
nieustannie ku niedawnemu
wydarzeniu, w którym tak smutną
odegrałem rolę, ku dręczącej
zagadce, czy Mafalda Martini
jest krewną tragicznie zmarłego
lotnika? To odrywało moją uwagę
od banalnej rozmowy naszych
gości. Odpowiadałem krótkim
"tak" albo "nie" na pytania
zwrócone niewątpliwie w moją
stronę, aby zaraz potem
zamilknąć i oddać się swym
rozmyślaniom.

A tymczasem urodziwy Bob
Kennedy, ośmielony do reszty
moją powściągliwością wodził rej
aż miło. Dolly nie przesadziła
bynajmniej, mówiąc, że usta mu
się nie zamykają ani na chwilę.
Unikał oczywiście z chwalebą
przezornością tematów
poważniejszych, ograniczając się
do dziedziny sportu, mody, oraz
najświeższych plotek...
Słyszałem jego głos, silący się
(trzeba przyznać, że z
powodzeniem) na kunsztowne
modulacje, słyszałem salwy
śmiechu dokoła, chwytałem jego

dyskretne, a łakome spojrzenia, ślizgające się po obnażonych ramionach Dolly, niekiedy znów spotykałem pełen wyrzutu wzrok żony, lecz nic mnie to nie obchodziło w tej chwili. Tylko ciałem byłem obecny w salonie naszej willi; duch mój był gdzie indziej.

I kiedy przebrzmiał turkot motorów aut, odwożących gości, kiedy Dolly odeszła do swej sypialni z rozkosznie nadaśaną minką, rzuciwszy mi na pożegnanie: "Nie zapomnę ci tego, Ralph, że musiałam się za ciebie dzisiaj wstydzić" - nie drgnąłem nawet, nie powiedziałem zdawkowego: "Dobranoc, darling", lecz siedziałem nadal pogrążony w swych rozmyślaniach. Jakieś mgliste, niejasne, ale przedziwnie uporczywe przeczucie mówiło mi, że dzisiejszy wypadek przy Amsterdam Avenue zapoczątkował następny akt dramatu, w który wplątały mnie losy już wówczas, kiedy wracając na pokładzie "Majestica" do ojczyzny, pomyślałem pierwszy ze wszystkich ludzi o złożeniu wyrazów współczucia narzeczonej Waltera Ashleya.

II

Dopiero czwartego dnia uzyskałem pozwolenie na wstęp do separatki nr 48 i to po długich targach z kierownikiem oddziału dla chorób nerwowych. Aczkolwiek Mafalda Martini znajdowała się na oddziale chirurgicznym, którego prymariusz nie miał nic przeciwko odwiedzaniu pacjentki, to jednak tamten pedantyczny nudziarz odparł trzykrotnie mój atak, lękając się niepożądanych

wzruszeń dla chorej, zanim wreszcie raczył udzielić swego pozwolenia.

- Najwyżej pół godzinki - rzekł jeszcze.

- Dobrze - odparłem, kierując się ku drzwiom jego gabinetu.

- Ooo, za pozwoleniem! - zawołał, osadzając mnie w miejscu. - Muszę się wpierw porozumieć z pielęgniarką i wydać jej potrzebne instrukcje.

Wezwana telefonicznie pielęgniarka zjawiała się na szczęście niebawem. Wziął ją pod okno, wypytywał o coś, coś mówił po cichu, gestykulując zawzięcie wysuniętym kciukiem swej prawicy, a reasumując przydługie wywody, powiedział głośno:

- W razie gdyby pacjentka zaczęła zdradzać niepokój, zdenerwowanie, czy najlżejsze choćby wzruszenie, proszę natychmiast przerwać rozmowę i pana wyprowadzić. Jutro zda mi pani relację.

Kiedy znaleźliśmy się w korytarzu zapytałem pielęgniarkę, nawiasem mówiąc bardzo sympatyczną, niestara osobę, jak się miewa Mrs. Martini?

- Nieźle - odpowiedziała mi.

- Tylko nieźle?

- Widzi pan, wolałabym, żeby była znacznie młodsza.

- Jak to?

- Złamanie nogi czy ręki to drobiazg w młodszych wiekach, ale w tych latach... mogą przyjść komplikacje.

- Przeraza mnie pani.

- Nie miałam tego zamiaru...

Gdyby pan należał do rodziny tej pani, mówiłabym całkiem inaczej. Krewni nie potrafią nigdy zapanować nad maską twarzy i dlatego z reguły tai się przed nimi prawdę... Ale z obcym mogę chyba być szczerą.

- Oczywiście, oczywiście - potakiwałem bezwiednie.

- Toteż chociaż muszę przyznać, że Mrs. Martini posiada 60 szans na sto, że wyjdzie z tego obronną ręką, to...

- To jednak ma 40 szans przeciwko.

- Właśnie. Pracuję w tym zawodzie od niezbyt dawna, ale miałam już dwa wypadki, że osoby w wieku Mrs. Martini dostały przy przeciągającym się leżeniu w łóżku zapalenia płuc i poszły... Dużą rolę odgrywa też nastrój psychiczny pacjenta. Młody rwie się do życia, a pragnąc żyć, słucha rad lekarzy, odżywia się stosownie i wychodzi. Osoby zaawansowane w latach natomiast, przyjmują takie złamanie nogi czy ręki jako dopust Boży, jako zapowiedź bliskiego końca, popadając w apatię, lekceważą sobie wszelkie uwagi otoczenia, a przy tym zużyty, wyczerpany organizm nie potrafi się zdobyć na dość energiczną reakcję i...

- Przychodzi śmierć.

- W czterdziestu wypadkach na sto... Trzeba więc tak wpływać na pacjenta, aby był dobrej myśli, aby był posłuszny zaleceniom lekarzy i trzeba samemu uwierzyć, że dany pacjent należy do owych sześćdziesięciu, którym dane jest odzyskać zdrowie... Tę wiarę musi pan uzyskać - powiedziała z naciskiem.

- Muszę - powiedziałem jak

automat, ale bez przekonania. Obawa, że biedna Mrs. Martini mogłaby życiem przypłacić ten wypadek zaciążyła mi głazem na sercu, jak jej ewentualna śmierć musiałaby mi zaciążyć na sumieniu... "Przeze mnie" - szeptałem w myśli idąc przez długi, lśniący od czystości, lecz złowrogo milczący korytarz. Cisza, jaka tu wszędzie panowała ze względu na chorych, była dla mnie przygnębiająca, a stukot moich obcasów rozlegał się ponurym echem wśród pustych murów. Całości obrazka dopełnił wózek_nosze na gumach, popychany przez dwóch ludzi w białych, długich chałatach. Szli bezszelestnie dzięki gumowym podeszwom i minęli nas niebawem, ale w pamięci pozostało wrażenie czegoś niesamowicie smutnego.

- Trup? Wiozą go do kostnicy?
- spytałem szeptem, wzdrygnawszy się na widok nieruchomego ciała nakrytego białym prześcieradłem, kiedy wózek przejechał obok nas, pozostawiając za sobą smugę mdło słodkawego zapachu.

Moja towarzyszka uśmiechnęła się wyrozumiale.

- Ale, skądże! Zmarłych przewozi się zawsze nocą.

- Więc?

- To z sali operacyjnej.

- I po operacji taki spokojny?
- dziwiłem się naiwnie.

- Och, proszę pana, po narkozie śpi się niekiedy parę godzin.

Prawdopodobnie mówiła prawdę, a owa woń niemiła, którą wziąłem za trupi odór była po prostu zapachem eteru czy chloroformu, albo innego nasennego środka, lecz wówczas chciało mi się koniecznie wierzyć, że ciało pod białym całunem było martwe i

uczepiła się mej głowy uparta
myśl, iż niezadługo powiozą na
takim wózku, ofiarę mej
nieostrożności, Mafaldę Martini.

Po prawej ręce ciągnął się
rząd dużych okien, wychodzących
na szpitalny dziedziniec, a po
lewej, nieprzerwany szereg
drzwi, górą oszklonych matowymi
szybami i ponumerowanych
czerwonymi cyframi.

- 43, 44, 45 - czytałem w
duchu, czując, że serce mi
zaczyna bić coraz niespokojniej,
w miarę jak zbliżałem się do
celu mej wędrówki, przez ten
smutny azyl nieszczęśliwych.
Ach, zdrowie, zdrowie!

- 46, 47 - liczyłem.

Pielęgniarka przystanęła i
spojrzała mi w oczy prosto,
silnie, że nie użyję określenia:
hipnotyzująco.

- Głowa do góry, drogi panie,
albo będę pana w przyszłości tak
informowała jak krewnych moich
pacjentów. Mrs. Martini będzie
zdrowa. Od dzisiaj za dwa
miesiące opuści szpital... Od
dziś za dwa miesiące, Niech pan
sobie zapamięta tę datę.

Pewność, stanowczość, z jaką
to powiedziała nastroiły mnie na
weselszą nutę. Za dwa miesiące
od dzisiaj, to znaczy 12
stycznia Mrs. Martini stąd
wyjdzie. W owej chwili
wierzyłem, że tak się stanie,
głaz, który przygniótł mi serce
przed dziesięcioma minutami stał
się lekkim kamyczkiem, a zmiana
nastroju musiała się odbić na
mej twarzy, bo pielęgniarka
uśmiechnęła się nagle i rzekła:

- Chwała Bogu, że pan
poweselał... Nie do twarzy panu
z pogrzebową miną - dodała z
odcieniem kokieterii.

Stanęliśmy pod drzwiami

separatki nr 48. Moja
towarzyszka weszła sama, lecz
drzwi pozostawiła uchylone.

- Prowadzę pani gościa, Mrs.
Martini - powiedziała i zaraz
potem usłyszałem przemiły,
melodyjny głos kobiety...

- Gościa? Chyba któryś z panów
doktorów?

- Nie, ktoś z miasta.

- Z miasta? Ależ ja tutaj
nikogo nie znam w Nowym Jorku...
Boże - krzyknęła... - Młoda
kobieta, dziewczyna, tak?

- Nie, Mrs. Martini... Pewien
pan... Niejaki Mr. Bronson,
dziennikarz.

- Bronson, dziennikarz? Nie
znam, naprawdę nie znam. I ten
pan przyszedł mnie odwiedzić?

- Tak. Czeka w korytarzu.

- Ach, proszę go wprowadzić,
proszę. Zaraz, przykryję się
nieco.

Mówiła po angielsku nieźle,
ale z wybitnie cudzoziemskim
akcentem, zmiękczając przy tym
gardłowe spółgłoski.

Wszedłszy do separatki
złożyłem ukłon pełen głębokiego
szacunku i zacząłem bez wstępów.

- Ma pani przed sobą sprawcę
jej nieszczęścia, który
przyszedł prosić o przebaczenie.

Widząc jej zdziwienie,
dodałem:

- Mrs. Martini, ja jestem tym
nieostrożnym automobilistą,
który panią najechał przy
Amsterdam Avenue.

Zaprzeczyła bardzo
energicznie.

- Pan jest bez winy. Padłam ofiarą własnej nieostrożności... Po prostu nie zdołałam się oswoić z waszym olbrzymim ruchem ulicznym. I nic dziwnego, panie Bronson. Całe życie mieszkałam w Wenecji, raz tylko byłam w Paryżu, a ten wypadek spotkał mnie w trzy godziny po przybyciu do Nowego Jorku. A w Wenecji, jak panu wiadomo, nie ma żadnych samochodów, autobusów, tramwajów... Ach, Wenecja to jedyne miasto na świecie. Teraz namnożyło się motorówek, ale za mojej młodości, kiedy tylko czarne gondole sunęły kanałami i nieliczne vaporetta... - urwała nagle, zmieszała się i rzekła: - Ale ja tu baję o mym rodzinnym mieście, a pan pewnie ma straszne przykrości przez moja niezgrabność.

- Zapewniam panią, że nie mam żadnych przykrości i przybyłem tylko dlatego...

- Nie, nie, mnie pan w błąd nie wprowadzi - wtrąciła żywo - pan jest dobrym, zacnym człowiekiem, to panu z oczu patrzy, pan chce winę wziąć na siebie... Ja nie pozwolę!... Proszę tych urzędników z policji do mnie przysłać. Ja zeznam całą prawdę. Pan jechał całkiem prawidłowo i ja, choć jestem nieobeznana z ruchem wielkomiejskim, nie pozwoliłabym się tak łatwo przejechać, gdyby nie to, że byłam pod wrażeniem bolesnego zawodu... Tyle starań, tyle zachodu, oszczędzania, zbierania pieniędzy, starań o wizy, paszport, taka podróż olbrzymia i u celu... zawód! Ach, panie Bronson, ja byłam taka zmartwiona, że musiało mnie spotkać to nieszczęście... Byłabym na pewno wpadła pod jakiś tramwaj czy auto...

Dziwna rzecz. Gadulstwo kobiet irytowało mnie zawsze, a tym razem słuchałem z prawdziwą przyjemnością wywodów gadatliwej

staruszeki i czułem, że moja
sympatia do niej wzrasta z
sekundy na sekundę.

- Czemu pan nie usiądże?
Proszę bardzo.

Spełniłem jej życzenie i
korzystając z krótkiej pauzy,
powiedziałem:

- Pani szlachetność mnie
doprawdy zawstydza, Mrs.
Martini. Być może, że jej
nieoswojenie się z naszym ruchem
ulicznym odegrało pewną rolę w
tym wypadku, niemniej jednak ja
panią najechałem i jest moim
najświętszym obowiązkiem...

- Nie, nie, nie - przeczyła ze
starczym uporem.

- Niechże mi się pani pozwoli
wygadać - rzekłem żartobliwie -
i niechże mi pani nie odmawia
tej łaski, abym mógł dla niej
coś uczynić... Choćby
drobnostkę.

- No, chyba, że drobnostkę.

- Właśnie; może mam kogoś
powiadomić o pani wypadku,
napisać list do kogoś z rodziny,
czy coś podobnego?

- Ja już nie mam nikogo na
świecie - powiedziała tak
smutno, że mi głos uwiązł w
gardle na długą chwilę. Potem
podjąłem wątek mej rozmowy.

- Może pani dostarczyć
książek, czasopism ilustrowanych
lub włoskich dzienników?

- Nie, nie... Po co te
wydatki.

- Ależ mnie to nic nie
kosztuje. Jestem dziennikarzem,
współwłaścicielem dużego pisma.
Mamy wszystkie większe gazety z
całego świata... Zresztą, skoro
pani jest na to tak wrażliwa, to
pożyczę ich pani tylko. Po

przeczytaniu zwróci mi je pani.

- Chyba że tak.

- No, widzi pani - zaśmiałem się, notując sobie w pamięci, by wyszukać i przywieźć nazajutrz, lekturę dla mej "ofiary". - Ale ta drobnostka nie wyczerpuje całości mych obowiązków wobec pani.

- Wyczerpuje, wyczerpuje.

- Niechże mi pani pozwoli odciążyć sumienie. Wspomniała pani coś o bolesnym zawodzie, jaki panią spotkał. Może ja na to mógłbym coś poradzić?

- Pan? Bo ja wiem?... Och, gdyby pan mógł!... Ale to niemożliwe... Widzi pan, ja odbyłam całą tę wielką drogę, tę jedyną w mym życiu dłuższą podróż, po to, by tu kogoś odwiedzić, by spełnić czyjaś ostatnią wolę, a przybywszy na miejsce dowiedziałam się niestety, że ta osoba wyjechała z Nowego Jorku.

Coś mnie tknęło, coś mi serce ścisnęło kleszczami. Opanowałem się jednak i powiedziałem bardzo spokojnie:

- Pani oczywiście nie potrafiłaby odnaleźć tej osoby, ale dla mnie to drobnostka. Udam się na policję lub wezmę księgę adresową i wyszukam... Czy to był mężczyzna, czy kobieta?

- Kobieta. Podobno czarująco piękna.

- Jej nazwisko? - spytałem nie swoim głosem.

- Nazwisko? Zapomniałam. Trudne do spamiętania. Ale mam zanotowane. Niech mi pan poda torebkę.

Zerwałem się ze skwapliwością, która wywołała zdziwienie obu

kobiet. Pielęgniarka spojrzała na zegarek i rzuciła półgłosem:

- Jeszcze dziesięć minut.

Drżącymi rękoma otworzyła staruszka swą zniszczoną torebkę i wyjęła stamtąd nie najczystsza kartkę papieru.

- Proszę, niech pan sam przeczyta. Nazwisko jest podkreślone czerwonym ołówkiem.

Rzuciłem okiem i nie zdołałem powstrzymać okrzyku... Bowiem na owej kartce było wypisane nazwisko oraz imię Haliny Horskiej, a pod spodem jej adres, oczywiście dawny adres w Nowym Jorku.

- Halina Horska - rzekłem głośno - a pani, Mrs. Martini, jest matką sławnego lotnika Giovanniego Martini.

Oniemiała z podziwu.

- Pan znał mego syna? - zakrzyknęła, chwytając mnie za rękę.

- Osobiście, nie miałem szczęścia go znać, lecz z nazwiska i z jego czynów, tak... Jego nazwisko przeszło do historii, jak Nungessera, Ashleya i innych bohaterów.

- Naprawdę? - spytała naiwnie, ale w jej czarnych oczach zabłysły skry dumy macierzyńskiej... Tak, pan nie kłamie. Pańskie oczy patrzą tak uczciwie... Mój biedny, najdroższy Giovannino... Mój syneczek kochany zginął... Jadąc przez to straszne morze patrzyłam godzinami na okrutne fale, które pochłonęły moje dziecko i pytałam je: Czemu wyrzuciłyście mi taką krzywdę? Co wam zawiniłam, albo mój Giovannino? Mój drogi chłopak, Gio_van_ni_no!

Przy ostatnim słowie głos jej się załamał i wybuchnęła rozzierającym płaczem.

Wywołało to skutek najmniej dla mnie pożądany, bo stanowczą interwencję pielęgniarki, która pamiętając o zarządzeniu pedantycznego prymariusza, wyprosiła mnie bez ceremonii z separatki.

Stałem w korytarzu długa chwilę, sądząc, że kiedy tamta się uspokoi, będę mógł powrócić... Niestety... Energiczna opiekunka szpitalna staruszki wyszła do mnie po kwadransie i tylko w tym celu, by mi oświadczyć, że o kontynuowaniu wzruszającej pacjentkę pogawędki nie może być dzisiaj mowy.

- Niech pan tu zajrzy jutro o tym samym czasie. O ile prymariusz pozwoli.

Ach, jeszcze tego uroczystego bałwana trzeba będzie prosić o pozwolenie.

Zamyślony opuściłem szpital i przez roztargnienie poleciłem szoferowi odwieźć się do domu, zamiast z powrotem do redakcji, a kiedy już wkroczyłem do hallu, odechciało mi się wracać do pracy. Czułem potrzebę samotności, pożałowałem atmosfery spokojnej, jakiej nie mogłem znaleźć w redakcji.

- Dobrze się stało, że przyjechałem do domu - zawyrokowałem, rozsiadając się wygodnie w klubowym fotelu mej pracowni. Służącemu zapowiedziałem, że nie życzę sobie, aby mi ktoś przeszkadzał.

- Jeśli by ktoś do mnie dzwonił, powiedziec, że nie ma mnie w domu - dodałem.

Zapaliwszy cygaro, oddałem się niepodzielnie swym rozmyśleniom.

Stanałem na progu zagadki,
nęcającej mnie z wielu względów,
ale przede wszystkim dlatego, że
w grę wchodziła Halina.
Czcigodna staruszka napomknęła
coś w rozmowie, iż przybyła
tutaj, aby wypełnić czyjaś
ostatnią wolę. Czyją? Nietrudno
odgadnąć, że syna. Giovanni
przeczuwał widać niepowodzenie
powrotnego lotu przez Atlantyck,
przeczuwał śmierć i żegnając się
w Paryżu z matką prosił ją, by w
razie katastrofy udała się do
Haliny. W jakim celu? Czy po to,
by ją zapewniła o jego dozgonnej
miłości? Czy celem dania jakichś
wyjaśnień? Czy, aby jej
powiedzieć, że przeniknął jej
podstęp i dotrzymał słowa? Po
jego południowym temperamentem
można było się wszystkiego
spodziewać, ale wydało mi się
wątpliwym, aby zacna Mrs.
Martini dała się użyć do
posłannictwa w tej zemście z za
grobu. Hm, miłość macierzyńska,
chęć pomszczenia ukochanego
dziecka mogłaby przeważać
wszelkie skrupuły.

Rozumując logicznie musiałem
się spotkać z dwoma pytaniami:
po pierwsze, czy mam prawo
wdzierać się w tajemnicę cudzego
serca, serca człowieka
nieżyjącego, po drugie, czy mam
rozpocząć poszukiwania za
Haliną, której Mrs. Martini może
zadać bolesny cios, a w każdym
razie samym swoim widokiem
rozdrapie ranę duszy, zapewne
już z grubsza zabliznioną.

Na pierwsze pytanie znalazłem
odповідź dla siebie wygodną, bo
mającą zaspokoić moją ciekawość.

- Mam prawo - stwierdziłem -
ponieważ idzie tu o Halinę,
którą kochałem.

Czasu przeszłego użyłem z
całym naciskiem, ale bez
zbytniego przekonania.

Z drugim pytaniem uporałem się

również po chwili namysłu.
Postanowiłem po prostu to, czy
rozpocznę poszukiwania czy nie,
uzależnić od treści zamiarów
Mrs. Martini.

- Wpierw się dowiem. Gdybym
wyczuł, że sympatyczna
starowinka chce tamtej biedaczce
wyrzucić najmniejszą przykrość,
ani palcem nie kiwnę. Niech
sobie sama szuka po
wyzdrowieniu. Ale jeśli...

Gwałtowne otworenie drzwi
przerwało tok mych rozmyślań.

Dolly wpadła jak wichur do
gabinetu, rzuciła mi się na
szyję z takim zapalem, że
troskliwie budowana piramida
popiołu na czubku cygara
rozsypała się po moich
spodniach, po czym zaczęła
paplać z bajeczną szybkością,
jak zawsze, kiedy była czymś
podniecona.

- Jak to ładnie z twojej
strony, darling, że chociaż raz
wróciłeś do domu wcześniej. Tak
dawno nie jedliśmy razem obiadu.
Zaraz podadzą, a tymczasem chcę
ci coś powiedzieć, poprosić cię
o coś... tylko, żebyś mnie nie
wyśmiał.

- O tej porze z rakieta? -
zdziwiłem się.

- Właśnie o tenisie chcę z
tobą mówić - wpadła mi w słowo -
wiesz, Ralph, na krytych
kortach, gdzie zawsze grywam,
rozpoczął się dzisiaj turniej
towarzyski... Sami znajomi...
Pokonałam dziś moją partnerkę i
wróżą mi, że dojdę co najmniej
do ćwierćfinału... Cóż, nie
gratulujesz swej żoneczce?

- Podobno to niedobrze z góry
gratulować.

- Masz słuszność, jak zawsze,
darling... Toteż zwymyślałam
tego Boba, kiedy mi zaczął

prorokować, że dojdę aż do finału.

- Bob? Ten dureń już się tam wkręcił?

- Pomyśl tylko!... Ten się wszędzie wkręci. A jak gra! Powiadam ci, wspaniale... Już dwóch partnerów załatwił, nie tracąc ani jednego seta... Chełpił się strasznie, że w takim samym stosunku będzie bił wszystkich... Zarozumialec!... I teraz właśnie chcę wyłuszczyć moją wielką prośbę, jaką mam do mego pana i małżonka.

- No?

- Organizujemy miksta... Jakżeby się turniej obszedł bez tego. I... i... i ja nie mam partnera, to jest właściwie miałabym, ale nie chcę... Bo sam powiedz... ja z Bobem?

- Dlaczego właśnie z nim?

- Bo... bo... tak jakoś wypadło. Każda z pań już wybrała partnera, tylko ja nie. Wszyscy nalegają, żebym z nim grała, że to niby dużo za dawnych czasów grywaliśmy, że jesteśmy zgrani, że na pewno dojdziemy do finału... Ale ja nie chcę... Ja chcę mieć innego partnera.

- Cóż ja ci na to pomogę?

- Ty jeden możesz pomóc, darling.

- Mów jaśniej.

- Dobrze... Ja chcę grać z tobą!

- Ze mną?

- Tak. Tylko z tobą! Grasz oczywiście słabiej od tego nieznośnego Boba, ale jesteśmy zgrani i przy pewnej dozie ambicji zbijemy wszystkie pary na kwaśne jabłko... Darling,

pomyśl, co by to był za triumf... Zamieściłbyś potem w "Morning News": w mikście zwyciężyli pewnie państwo Bronson, bijąc w finale parę... no, nie wiem przecież, kto dojdzie do finału... I czasu ci to dużo nie zabierze. Jutro po południu ze dwie godzinki, pojutrze przed południem także dwie, potem po...

- A dajże mi święty spokój, kobieto!... Ja nie wiem skąd czasu ukraść, tyle mam do roboty, a ona mi zawraca głowę takimi głupstwami... Ani mi się śni!

- Odmawiasz?

- Odmawiam stanowczo.

- Więc z kim ja mam grać, nieszczęśliwa? - spytała głosem naprawdę płaczliwym.

- Graj z kim chcesz.

- Może z Bobem, co?

- Nawet z tuzinem Bobów, tylko zostaw mnie teraz w spokoju... Do licha! Schronił się człowiek do domu, aby trochę odetchnąć po tej orce, a tu ci głowę suszą głupim Bobem.

Zrzędziłem w ten sposób jeszcze przez dłuższą chwilę, wymyślając od ostatnich, Bogu ducha winnemu Bobowi. Dolly otarła chusteczką oczy, westchnęła głęboko i odeszła, rzuciwszy na zakończenie tonem zupełnej rezygnacji:

- Ha, nie mam innego wyjścia...

- Nareszcie! - odetchnąłem z zadowoleniem, kiedy za wychodzącą zamknęły się drzwi. Dobra sobie! Mam odwlekać o kilka dni rozwiązanie tej drażniącej zagadki dlatego tylko, że jej się spodobało grać

ze mną w miksta, że ona by
chciała, bym się zmierzył na
korcie z tym kwadratowym
osłem... Nie, Dolly -
monologowałem w duchu - kiedy ty
będziesz jutro uganiać się za
piłkami, ja przekroczyć próg
tajemnicy Giovanniego Martini, a
to dla mnie więcej warte niż
dziesięć zwycięstw w finale.

III

Obładowany jak wielbłąd
włoskimi czasopismami,
książkami, pakunkami i owocami,
i Bóg wie czym jeszcze,
wkroczyłem do separatki nr 48.
Zaczęło się oczywiście od
certowania i zabawnych
ceregeli.

- Tyle wydatków, tyle
pieniędzy! Ja tego absolutnie
nie mogę przyjąć - zarzekała się
Mrs. Martini, ale oczy jej się
śmiały jak u dziecka na widok
tych wszystkich łakoci, a przede
wszystkim owoców. Skomponowałem
więc na poczekaniu niewinne
kłamstewko, że mam brata, który
jest właścicielem wielkiego
sklepu kolonialnego i że wobec
tego nie zapłaciłem ani centa.

- Chyba, że tak - rzekła po
swojemu.

Usta mnie paliły, by jak
najprędzej skierować rozmowę na
upragniony temat, lecz
przemogłem się zwycięsko,
kalkulując chytrze, że rzucająca
się w oczy ciekawość, mogłaby
uczynić z gadatliwej staruszki
milczącego sfinksa... - "Może
sama zacznie" - pocieszałem się
w duchu i ku mej radości
przewidywania te stały się

faktem niebawem.

- Wie pan co mnie uderzyło wczoraj? - spytała nagle, patrząc mi w oczy badawczo... - Oto zastanowiło mnie to, że jak tylko przeczytał pan nazwisko panny... jakże ona się nazywa, aha, Halina, od razu zakrzyknął pan na głos... "Pani jest matka Giovanniego"... Przecież tego nie mam napisane na czole, prawda?

- Przecież to takie proste - odparłem z obłudą, którą sobie potem wyrzucałem - wiedziałem, że nazywa się pani: Martini, wiedziałem również dobrze, że narzeczona przyjaciela syna pani nazywa się Halina Horska, gdyż w okresie pamiętnych lotów "Victorii" wymieniano w prasie jej nazwisko... Skoro więc pani pokazała mi wczoraj kartkę z adresem panny Haliny, pomyślałem sobie od razu: to matka Giovanniego Martini... I zgadłem, jak pani widzi.

- Zgadł pan - powtórzyła w zamyśleniu.

- Dziennikarze mają specjalny węch - ciągnąłem dalej, przechodząc z kolei w ton żartobliwy; pragnąłem za wszelką cenę rozruszać panią Mafaldę i usposobić ją do zwierzeń, na które czekałem z biciem serca, lecz zacna staruszka, tak rozmowna wczoraj, stała się obecnie bardzo powściągliwa. Z nieoczekiwaną zręcznością wymykała się z sieci podchwytliwych pytań, które rzucałem od czasu do czasu, skierowawszy rozmowę na jej podróż do Stanów, lub krótkim "nie", przecinała misternie skonstruowane zdania. Po kilku niefortunnych próbach zrezygnowałem na dzisiaj z zamiaru delikatnego wybadania intencji Mafaldy Martini, zacząłem mówić o pogodzie, o Włoszech, o Nowym Jorku, słowem

o najobojętniejszych przedmiotach, a odsiedziawszy swoje pół godziny, powstałem z krzesła i spojrzałem wymownie na drzwi. Nie zatrzymywała mnie wprawdzie, ale jeśli to, co malowało się w jej czarnych, wyrazistych oczach nie było rozczarowaniem, przuzykrym zawodem, to ja nie nazywam się Bronson...

Wyszedłem i nie pokazałem się w lecznicy przez całe trzy dni, nie zapominając jednak zatelefonować każdego rana do prymariusza oddziału chirurgicznego z zapytaniem, o stan zdrowia pani Martini i pamiętając o tym, by zawsze miała do czytania najświeższe czasopisma włoskie.

Skutek tego postępowania był nadzwyczajny, bowiem kiedy czwartego dnia przybyłem do lecznicy, sympatyczna pielęgniarka powitała mnie słowami:

- Jak to dobrze, że pan przyszedł! Mrs. Martini dopytuje się ustawicznie o pana.

- Naprawdę? - spytałem, choć byłem przekonany, że tak jest rzeczywiście.

- Ależ tak, Mr. Bronson. Kiedy nadchodzi pora, o której ją pan przedtem odwiedzał, zaczyna się biedaczka niepokoić, spogląda nieustannie na drzwi, a potem traci humor i trzeba ją zmuszać, by coś zjadła na obiad... Zmizerniała przez te trzy dni.

Ogarnęły mnie wyrzuty sumienia: ..."Oto skutki twej metody", syknął Ralph_gentleman... "Nie dość, żeś ją przejechał autem, jeszcze robisz głupie eksperymenty kosztem jej zdrowia. Komentarze chyba zbyteczne".

- Jak się pani miewa? -

powiedziałem, wkraczając do separatki nr 48 z miną uczniaka, który coś przeskrobał i nie wie, jakie go spotka przyjęcie w domu rodzicielskim.

- Och, doskonale, Mr. Bronson... W tej chwili czuję się świetnie - odparła rozpromieniona, ale w jej wzroku wyczytałem zapytanie, którego nie mogłem pojąć. Rzekłem więc:

- Byłem tak zajęty w ciągu ubiegłych trzech dni, że naprawdę... nie znalazłem... wolnej chwili... ażeby...

- Wierzę panu - przerwała moje jąkanie się - zawód dziennikarski jest podobno jednym z najcięższych. Absorbuje masę czasu.

- Tak... właśnie - potakiwałem skwapliwie.

Chciałem jeszcze coś powiedzieć, lecz w tym momencie dojrzałem przypadkowo, że obie kobiety wymieniają między sobą znaczące spojrzenia. Umilkłem więc, zastanawiając się w duchu, jaki jest cel tych bezgłośnych konszachtów za moimi plecami i nie czekałem długo na rozwiązanie zagadki.

- Ooo, to już trzy na szóstą?
- zdziwiła się pielęgniarka. - Wobec tego muszę państwa na pół godzinki pozostawić samych. Mam dzisiaj dyżur w całym korytarzu, gdyż koleżanka wyszła na miasto.

Uśmiechnąłem się nieznacznie. "Powiedz po prostu", pomyślałem pod jej adresem, "że zacna staruszka prosiła cię już przedtem, abyś nam nie przeszkadzała w rozmowie. Owszem, jest mi to nawet bardzo na rękę".

- Proszę tylko unikać wszelkich drażliwych tematów, moi państwo - dodała, grożąc nam

palcem żartobliwie - a gdyby
pani potrzebowała mej obecności,
proszę zadzwonić.

Zostaliśmy sami. Pierwsza
minuta upłynęła pod znakiem
kłopotliwego milczenia,
przerwanego wreszcie przez panią
Mafaldę.

- Czy zna pan już adres Miss
Haliny? - spytała bez wstępów.

Pytanie to zaskoczyło mnie tak
mocno, że dopiero po chwili
zdobyłem się na odpowiedź.

- Nie robiłem jeszcze żadnych
starań w tym kierunku.

- Więc nie szukał jej pan
zupełnie - rzekła nie tając
rozczarowania.

- Nie upoważniła mnie pani do
tego, po pierwsze.

- Tak, to prawda... Nie
powiedziałam wyraźnie, nie
prosiłam pana, ale... ponieważ
mówiło się o tym... myślałam -
urwała nagle zaczęte zdanie i
przeskoczyła do drugiego. -
Powiedział pan dopiero co, "nie
upoważniła mnie pani do tego, po
pierwsze"... Co znaczy to: "po
pierwsze"? Zdaje się, że przez
swoje gadulstwo nie pozwoliłam
panu skończyć myśli... Bardzo
pana przepraszam, Mr. Bronson.

- Nie ma za co doprawdy. Pani
mi bynajmniej nie przerwała
wątku myśli, tylko ja sam
ugryzłem się w język.

- Dlaczego? Dlaczego, drogi
panie? Proszę niczego nie taić.
Dobrzy ludzie powinni mówić tak,
jak myślą.

- Ale nie wszystko, co myślą.

- To znaczy, że nie chce pan
być wobec mnie szczery -
powiedziała ze smutkiem.

- Przeciwnie, Mrs. Martini.
Nie ma bardziej otwartego
człowieka ode mnie, lecz
nauczony doświadczeniem,
posługuję się bezwzględna
szczerością tylko wówczas, kiedy
mogę liczyć na wzajemność.

- Och, jeśli o to chodzi, Mr.
Bronson, jeśli mnie pan ma na
myśli, to proszę liczyć na
wzajemność... Wierzy mi pan?

- Wierzę.

- Więc niech pan wyjawi teraz
ową drugą, a jak się domyślam
główną przyczynę, dla której nie
chciał pan szukać miejsca
zamieszkania Miss Haliny.

- Dobrze - przystałem lojalnie
- ale żeby mnie pani źle nie
zrozumiała, muszę wypowiedzieć
się nieco obszerniej.

- Słucham z ciekawością.

- Miss Horska została
wstrząśnięta do głębi tragiczną
śmiercią swego narzeczonego i to
był jeden z dwóch powodów, że
wyprowadziła się z miasta, gdzie
wszystko przypominało jej
szczęśliwe, a krótkie czasy
narzeczeństwa.

- A drugi powód.

- Drugim powodem było to
niewątpliwie, że nie chciała się
nigdy spotkać z człowiekiem,
który jej mimowolnie wyrządził
wielką krzywdę... Tym
człowiekiem byłem ja, Mrs.
Martini.

- Pan? - krzyknęła... - Pan ja
znał?

- Znałem ją, na swoje
szczęście i nieszczęście. Pani
mogę powiedzieć wszystko...
Kochałem Halinę.

Chwilę trwała cisza, a potem z
ust zdumionej bezgranicznie

staruszki padły słowa, które
powiedziały mi bardzo wiele.

- Więc pan był także rywalem
Waltera Ashleya?

To jedno słówko: "także"
wyjaśniało zagadkę i mówiło
wyraźnie, że Mafalda Martini
znała tajemnicę serca swego
zmarłego syna.

- Nie byłem "także" rywalem
Ashleya - odparłem, kładąc
nacisk na środkowym wyrazie tego
zdania - poznałem Miss Halinę po
śmierci jej narzeczonego, lub
mówiąc ściśle, dzięki temu
tragicznemu wypadkowi. Ale
powracam do przerwanej myśli.
Pamiętając o krzywdzie, jaką
całkiem bezwiednie wyrządziłem
tej dobrej dziewczynie i wiedząc
jak głęboko odczuła ona śmierć
Ashleya, nie chciałbym za żadną
cenę narazić ją na nową
przykrość.

- To znaczy?

- To znaczy, Mrs. Martini, że
jeśli mam się podjąć
odnalezienia Miss Horskiej,
muszę przedtem wiedzieć, w jakim
celu chce się z nią pani
zobaczyć... Bo skoro tematem
waszej rozmowy ma być tylko
tragedia samolotu "Victoria", to
musi pani szukać pośrednictwa
innej osoby, która by Miss
Horską tu sprowadziła... Ja nie
chcę i nie mogę rozdrapywać w
jej sercu rany strasznej,
zabliźnionej zapewne tylko
powierzchni. Niech to zrobi
kto inny, lub raczej niechaj
tego nie robi i niech pani
zaniecha zamiaru zobaczenia się
z nią!...

Słuchała z wielką uwagą,
patrzając mi w oczy głęboko,
przenikliwie, a potem, jak gdyby
nawiązując do moich ostatnich
słów potrząsnęła głową poziomo i
rzekła:

- Nie mogę zaniechać, Mr. Bronson... Po to przyjechałam tutaj i teraz miałabym się cofnąć? Nie!... Ja muszę ją zobaczyć, muszę dotrzymać przysięgi danej...

- Danej? - powtórzyłem, kiedy znów urwała w pół zdania, a widząc, że waha się i milczy, rzuciłem krótko. - Wzajemna szczerłość!

- Danej synowi - powiedziała szybko, zmieszana tym przypomnieniem.

- Dobrze... Z tego punktu widzenia chęć zobaczenia Miss Haliny byłaby zupełnie uzasadniona. Ale trzeba by się zastanowić, czy to posłannictwo z za grobu nie sprawi bólu Miss Horskiej.

- O, przeciwnie! - wybuchnęła z właściwym sobie temperamentem, lecz zreflektowała się momentalnie, posmutniała w oczach i kiwając smętnie głową, rzekła jakby z wyrzutem... - Oboje nie dotrzymujemy słowa... Przymierzyliśmy sobie wzajemną szczerłość.

- Czy może mi pani coś zarzucić pod tym względem?

- Owszem - odparła śmiało - mówi pan szczerze, ale nie wszystko... Zachowujemy się wobec siebie nie jak sprzymierzeńcy, lecz jak dwie, nie powiem wrogie, ale nieufnie usposobione armie. Strzegąc zazdrośnie okopów własnych tajemnic, staramy się zasięgnąć wieści, co słyhać w obozie przeciwnika... Poniechajmy tej taktyki, tej dyplomacji, drogi panie Bronson... Ma pan przed sobą kobietę sędziwą, która mogłaby być pańską matką... Ma pan przed sobą kobietę nieszczęśliwą, której losy nie oszczędziły żadnego cierpienia... Umrę niezadługo.

Nie lękam się śmierci,
przeciwnie wyglądam jej
niecierpliwie, bo będzie to
chwila radosnego spotkania się z
moimi najbliższymi, których mi
tutaj przeżyć kazano,
niestety... Lecz zanim umrę
muszę wypełnić misję, jaką mi
włożono na barki... Więc niechże
pan nie każe się ciągnąć za
język, niech mi pan pomoże
wywiązać się ze swego zadania,
drogi Mr. Bronson... Ja
przeczuwam, że pan wie znacznie
więcej, niż pan dotychczas
powiedział. Jestem tego pewna.

- Wiem wszystko, Mrs. Martini
- rzekłem, wzruszony nie tyle
jej słowami, ile serdecznym
ciepłem jej głosu i błagalną
modlitwą oczu, wpatrzonych w
moje źrenice.

- Wszystko? - spytała z lekkim
niedowierzaniem...

- Myśli pani w tej chwili, że
zaszły pewne wypadki, o których
może wiedzieć tylko Miss Horska
i pośrednio pani, nie licząc
tego, który ją wtajemniczył.

- Giovanniego - wtrąciła dla
ścisłości.

- Tak, jego. A jednak ja także
znam owe wypadki i właśnie
dlatego waham się, czy mam
przyłożyć do tego rękę, aby Miss
Horska przybyła tutaj do pani...
Bo, skoro już gramy w otwarte
karty, przyzna pani sama, że...
po tym co zaszło... nie ma
Halina powodów wspominać syna
pani... mile.

- Niech mnie pan nie
oszczędza... Niech pan powie
całą prawdę... Ona go przeklina,
prawda? - Nie doczekawszy się od
razu mej odpowiedzi, dodała
głośniejszym głosem: - Ona go posądza, że
spowodował katastrofę samolotu.

- Ostatecznie, ma wszelkie
podstawy po temu, biorąc pod

uwagę pogrózki, wyrzeczone przez pana Giovanniego przy pożegnaniu.

- A więc tak - rzekła jakby do siebie i jak gdyby nie słyszała moich ostatnich słów.

- Ale skąd pani wie o tym? - zdziwiłem się dopiero teraz. Bądź co bądź była to zastanawiająca intuicja.

- Od niego. Od mego Giovannino... Ujrzałam go pewnej nocy. Żalił się biedaczek, że ta, którą pokochał tutaj swoją pierwszą miłością, przeklina go i uważa za mordercę Ashleya.

- Proroczy sen - mruknąłem cichuteńko, lecz staruszka miała dobry słuch.

- To nie był sen, Mr. Bronson, Widziałam go, jak pana teraz widzę, rozmawiałam z nim, pieściłam jego najdroższą główkę, gładziłam jego czarne, miękkie włosy... Widziałam go nie jeden raz. Zjawiał się przez kilka nocy z rzędu, powtarzając swą prośbę, a kiedy zdecydowałam się na wyjazd i rozpoczęłam potrzebne po temu starania, przyszedł mi podziękować... Ach, Mr. Bronson, jaki on był piękny, jak nieziemsko piękny tej nocy!... "Zobaczymy się niebawem, mateczko i będziemy znów razem, już na zawsze" - powiedział odchodząc.

Słuchałem i patrzyłem z największym podziwem. Ani cienia afektacji w brzmieniu głosu, ani krzty mistycznego uniesienia w poczciwych oczach nie było, tylko szczerą prawdomówność i niezachwiana wiara, że owe nadprzyrodzone zjawiska miały rzeczywiście miejsce, a nie były wytworem wyobraźni i zmysłów ułuda.

- A więc tak - powtórzyła jak przedtem - Giovannino mówił

prawdę... Ona uważa go za mordercę Ashleya... Ale to krzywda, nieludzka krzywda, dla mojego dziecka! On zbrodniarzem? Nigdy! zakrzyknęła tak głośno, iż mimowolnie spojrziałem w stronę drzwi, lękając się, że lada chwila wkroczy pielęgniarka i znowu przerwie nam pogawędkę... Na szczęście te obawy nie miały się spełnić...

Moje milczenie zaniepokoiło snadź Mafaldę Martini, gdyż pochwyciła mnie za rękę, ścisnęła ją mocno w obu dłoniach, podejrzenie gorących i zaczęła mówić szybko, nerwowo, namiętnie:

- Pan milczy, Mr. Bronson... Sądzi pan, że tylko miłość macierzyńska nakazuje mi bronić honoru dziecka i dlatego przyjmuje pan moje zapewnienia sceptycznie... Niech pan nie przeczy i nie przerywa mi... Tak nie jest, drogi panie... Gdybym miała najlżejsze podejrzenie, cień podejrzenia tylko, że Giovanni popełnił tak ohydny zbrodnię, to pierwsza przeklęłabym jego pamięć, nie ruszyłabym palcem w obronie jego opinii, nie... modliłabym się za niego, choć on był słońcem mego życia, jedyną osłodą mej starości.

Wyczerpana tym wybuchem umilkła na chwilę, a potem ciągnęła dalej głosem już spokojniejszym, bardziej opanowanym.

- Pan mi przyzna słuszność... słowami, ale w sercu pozostanie ziarno nieufności, niedowierzania. Nie zakiełkuje, być może, niemniej przeto pozostanie. A ja muszę je wyrwać stamtąd, wypłenić to niedobre zielsko tak z pańskiego serca, jak z jej serca, Haliny... I dlatego musi pan wysłuchać cierpliwie długiej historii, którą później powtórzę Miss

Halinie... Chce pan? Nie znudzi pana bajanie starej kobiety? A może nie ma pan dzisiaj czasu?

Czyż mam przytaczać słowa, którymi ją zapewniałem, że żadnego jeszcze w życiu opowiadania nie słuchałem z takim napięciem, z jakim będę słuchał historii dotyczącej Haliny i innych bohaterów tego wielkiego dramatu?

Przysunąłem swój fotel do łóżka, poprawiłem poduszki, które zsunęły się nieco skutkiem żywych poruszeń niespokojnej pacjentki, nasunąłem głębiej abażur lampy i usiadłszy wygodnie, czekałem. A Mafalda Martini przymknęła oczy, by nic nie rozpraszało jej skupienia, uporządkowała wspomnienia, po czym zaczęła mówić cicho, lecz wyraźnie:

- Giovanni był dobrym synem. Mimo nawału zajęć, mimo triumfów, które niejednemu by w głowie przewróciły, pamiętał zawsze o swej starej matce i pisywał bardzo często. Nawet w okresie forsownych treningów i ostatnich przygotowań do podwójnego lotu nad Atlantykiem nie było tygodnia, żebym od niego nie otrzymała jakiegoś listu lub chociażby pocztówki z zapytaniem o zdrowie. Toteż nie zdziwi się pan, Mr. Bronson, jeśli mu powiem, że o gorącej, a bezwzajemnej miłości mego syna wiedziałam już na dwa miesiące przed katastrofą "Victorii"... Wiedziałam także, że ma rywala. Nie wiedziałam natomiast, iż tym rywalem jest Walter Ashley i dzięki tej nieświadomości odpisałam mu tak, jak mi podyktowało macierzyńskie zaślepienie: "Nie trać nadziei, drogi Giovannino i walcz śmiało o swoją ukochaną. Jesteś urodziwym mężczyzną, jesteś co ważniejsze dobrym, szlachetnym człowiekiem i synem najlepszym, przeto musisz zwyciężyć rywala".

Tymi mniej więcej słowy
odpisałam mu, Mr. Bronson,
zachęcając go bezwiednie do
rywalizacji z najlepszym
przyjacielem, do odbicia
narzeczonej zacnemu Ashleyowi...
Więc może sobie pan wyobrazić
moje przerażenie, kiedy dwa
tygodnie później otrzymałam
następny list od syna, list,
wyjaśniający istotny stan
rzeczy... "Wahałem się", pisał
mój Giovannino, "Wahałem się
długo, bowiem mój rywal jest
równocześnie moim jedynym
przyjacielem. Były chwile, kiedy
chciałem się cofnąć... Ale twój
liścik, najdroższa mateczko
rozproszył wszelkie wątpliwości.
Masz rację. Każdemu przysługuje
prawo do szczęścia i tylko słabi
liczą się z jakimiś skrupułami.
Będę walczył, będę zdobywał moje
szczęście, choćby za cenę straty
starej przyjaźni i zwycięzę, bo
nie uważam się za gorszego od
Waltera Ashleya pod żadnym
względem. A tobie, dobra
mateczko, dzięki składam za
dobrą radę. Twoje mądre słowa
usunęły mój chorobliwy brak
decyzji, więc skoro zdobędę
Halinę, tobie to przede
wszystkim będę miał do
zawdzięczenia".

W końcowych wierszach listu
prosił, bym mu już nie
odpisywała, gdyż moja odpowiedź
musiałaby czekać na jego powrót
z Europy. "Przyjedź koniecznie
do Paryża. Tam się nagadamy za
wszystkie czasy, mateczko.
Pieniądze na drogę wysyłam ci
równocześnie" - pisał mój
poczciwy Giovannino...

Pojechałam do Paryża, aby się
nacieszyć jego widokiem, lecz to
nie był jedyny cel tej podróży.
Pojechałam do Paryża także
dlatego, by naprawić zło
wyrządzone mimowolnie i
przekonać Giovanniego, że gmach
szczęścia małżeńskiego,
wzniesiony lekkomyślnie na

gruzach gmachu przyjaźni, nie
będzie trwały, gdyż klątwa na
nim zaciąży...

A potem przeżyłam
niezapomniane nigdy chwile lęku
i radości. Z siostrą Ashleya
czekałyśmy razem dwie pełne
godziny w Le Bourget, tam gdzie
rozpoczął swój ostatni lot
nieszczęśliwy Nungesser, gdzie
ładował dzielny Lindbergh. Dwie
godziny, Mr. Bronson to drobiazg
wobec całego życia, ale tamte
dwie godziny równały się
wieczności. "Widziano ich nad
Irlandią", uspokajali mnie
panowie z komitetu. "Lecą,
leca", krzyczały tłumy
kilkakrotnie, lecz były to
fałszywe alarmy. Fachowcy
wyjaśnili natychmiast, że wzięto
za potężną "Victorię" jeden z
małych samolotów francuskich,
których cała flotylla
pożeglowała na zachód, by w
powietrzu powitać zwycięzców
przestworzy. A minuty, kwadransy
mijały. Coraz częściej zerkano
na zegarki, coraz częściej
chwyciłam współczujące
spojrzenie, rzucane ukradkiem w
moją stronę. Wzrok mój padł
mimowolnie na młodziutką Miss
Violettę Ashley. Była trupio
blada, lecz trzymała się
dzielnie. "Nie dam z siebie
widowiska tej gawiedzi", odparła
dumnie, kiedy ją spytałam, czy
się lęka i z prawdziwie
angielską wyniosłością spojrzała
na otaczające nas koło gapiów.
Przykład dzielnej dziewczyny
podziałał na mnie. Zaciśnęłam
zęby aż do bólu, przybrałam na
twarz maskę kamiennej
obojętności i nikt chyba nie
mógł odgadnąć, co się dzieje w
mym sercu, w sercu matki...

Wreszcie na horyzoncie
zamajaczyło kilka czarnych
punkcików równocześnie. "Lecą"!
przebiegło przez tłumy. Lecieli
rzeczywiście i niebawem
trzymałam w objęciach mojego
Giovannino. "Tesoro mio",

powtarzałam w kółko i
rozplakałam się ze szczęścia.
Dałam z siebie widowisko, trudno
zaprzeczyć. Ta mała Violetta
zawstydziła mnie naprawdę,
bowiem rodzeństwo Ashley'ów
powitało się tylko mocnym,
koleżeńskim uściskiem dłoni; tam
nie było żadnych łez,
pocałunków, czułości. Ach, jak
oni potrafią panować nad sobą,
ci Anglicy!

Potem przedstawiono mi
Ashleya. Omal nie krzyknęłam z
ból, kiedy ten niebieskooki
olbrzym uścisnął mi rękę. Objął
Giovanniego w pól i rzekł po
prostu: "Udał się pani syn, Mrs.
Martini. Z nim polecę chętnie
nawet na Księżyc. Niech tylko
ulepszą silniki rakietowe"... To
nie brzmiało jak komplement, Mr.
Bronson. Nie, nie... To mówił
szczerzy przyjaciel. A kiedy tak
chwalił mojego chłopaka,
pieszcząc go ciepłymi
spojrzeniami swych pocziwych
oczu, Giovanni gryzł wargi i
patrzył w ziemię uparcie, aż mi
było wstyd za niego.

Porwali mi go rychło. Ano,
sławni ludzie są własnością
ogółu; nawet matka musi iść na
drugi plan, na to nie ma rady.
Lękając się, że nie będę już
miała sposobności z nim pomówić
w cztery oczy, szepnęłam mu w
aucie: "Wprowadziłeś mnie w
błąd, Giovannino. Czemu nie
napisałeś od razu, że twoim
rywalem jest... on. To zmienia
zupełnie postać rzeczy.
Zdradzając takiego przyjaciela,
ściągnąłbyś na siebie
przekleństwo. Zapomnij o tamtej.
Pocierpisz trochę, a potem
znajdziesz inną. Mało to
pięknych, dobrych dziewcząt na
świecie? Spójrz tylko na jego
siostrzyczkę" - paplałam jednym
tchem i olśniona nagłym
pomysłem, zaczęłam się rozplęwać
w pochwałach nad śliczną Miss
Ashley - "Czy nie jest piękna? A
jaka dzielna! Widziałam ją w

chwili ciężkiej próby i mogę tylko jedno powiedzieć: oto żona dla lotnika"! Umilkłam nagle, gdyż wyraz zdumienia znikł z oczu Giovanniego, natomiast wyczytałam w nich coś, jakby wyrzut bezmierny, zaprawiony cierpką goryczą. Chciał mi coś odrzec, coś powiedzieć, ale w tym momencie pan z komitetu, siedzący na przodzie obok szofera, zwrócił się do nas z jakimś zapytaniem, i okazja do swobodnej rozmowy przepadła.

Spotkaliśmy się na bankiecie. Los zrządził widocznie, że Giovanniego posadzono pomiędzy mną a Miss Violetta Ashley. Chcąc go zmusić do zabawiania uroczej sąsiadki, rozmawiałam niemal wyłącznie z Walterem, który siedział po mej prawej ręce, lub z panami, których miałam "vis ~a vis", choć Bóg mi świadkiem, że wolałabym inaczej. Kiedy skończyły się wreszcie oficjalne przemówienia, toasty, zaczęłam coraz częściej przenosić wzrok w drugą stronę. Czy mam się wypierać, że podsłuchałam trochę? Nie wypieram się tego, drogi Mr. Bronson, jak nie zapomniałam wówczas, że wykraczam przeciwko normom dobrego wychowania... Ale, kiedy się jakaś "ide~e fixe" uczepli starczej głowy, to nie ma na to ratunku. A moja "ide~e fixe" było wtedy nie dopuścić do zerwania pomiędzy Giovannim a Walterem Ashleyem, lecz przeciwnie zacieśnić więzy ich przyjaźni przez zbliżenie mego syna do pięknej Violetty... Tak, tak, stare kobiety lubią pasjami swatać i dlatego niechaj się pan strzeże, drogi Mr. Bronson. Niech mnie pan lepiej unika, bo ani się pan spostrzeże, kiedy go wyswatam z jaką ładną dziewczyną, dodała żartobliwie i zmęczona snadź dłuższym przemówieniem, umilkła na chwilę.

Miałem już na języku
odpowiedź: "Nie ma obawy, proszę
pani, bowiem już jestem żonaty,
od kilku miesięcy", ale nie
powiedziałem tego. Czemu nie
powiedziałem? Sam nie wiem.
Zdaje mi się, że dlatego,
ponieważ lękałem się dygresji,
zbożenia z głównego tematu
rozmowy, obawiałem się, iż lada
chwila nadejdzie pielęgniarka i
przerwiemy nasze sam na sam, a
chciałem koniecznie posłyszeć
jeszcze dzisiaj resztę
opowiadania. Ale być może
również, iż tak chciało
przeznaczenie, bo gdybym był
wówczas powiedział te kilka
słów, gdybym był kiedykolwiek
później wspomniał wobec pani
Martini, że poślubiłem Dolly
Campbell, byłyby się dalsze
wypadki całkiem inaczej
rozwinęły... Dziś, patrząc
retrospektywnie widzę to jasno,
lecz wówczas? Któż by był
wówczas przypuszczał jak
nieobliczalne następstwa wynikną
z przemilczenia faktu mego
małżeństwa?...

Mafalda Martini podziękowała
mi spojrzeniem za cierpliwość i
podjęła wątek przerwane go
opowiadania.

- Podsłuchiwałam więc -
zaczęła - i ledwie pochyliłam
głowę w tamtą stronę, dobiegły
mnie słowa Violetty Ashley:
"Czemu ona z wami nie
przyleciała?" Giovanni drgnął
widocznie, ale i bez tego
byłabym się domyśliła, że
przedmiotem ich rozmowy jest
obecnie Miss Halina Horska...
"Nie wiem" - bąknął mój syn
niewyraźnie, "o tym nie było w
ogóle mowy, zresztą Walter nie
pozwoliłby jej nigdy narażać się
na takie niebezpieczeństwa"...
Miss Ashley zrobiła minkę
bajecznie wzdurliwą. "A ona się
również nie chciała narażać",
rzekła. "Bała się po prostu,
moja przyszła bratowa"... Nie

wiem, co jej Giovanni odpowiedział, bo nachylił się i zniżył głos prawie do szeptu, ale z dalszych słów pięknej Angielki mogłam się bez trudu domyślić, że kruszył kopie w obronie tamtej... "Nic jej nie może usprawiedliwić w moich oczach", powiedziała stanowczo, "właśnie dlatego, że chodziło o lot połączony z wielkimi niebezpieczeństwami, powinna była Walterowi towarzyszyć. Ja nie puściłabym nigdy męża czy narzeczonego samego w taką podróż. Musiałby mnie zabrać, albo rozeszlibyśmy się od razu. Dla mnie dewiza: dzielić dole i niedole z ukochanym człowiekiem, nie jest pustym frazesem... Razem zbierać laury i razem zginać, to moje credo!" Ach, Mr. Bronson, gdyby pan ją mógł widzieć w owej chwili. Znikła bez śladu anglosaska sztywność, szczerzy zapał zaróżowił policzki i z rozchylonymi usteczkami, w których lśniły białe, równe ząbki, z błyszczącymi oczami, z tym złotym lokiem, co nastroszył się zawadiacko nad czołem, była tak piękna, tak urocza, że oczu nie mogłam od niej oderwać. Patrząc na nią, musiałam przyznać, że nie ma żadnej przesady w tych angielskich pocztówkach, na których widzimy idealnie piękne buzie dziewcząt. Trafiają się wszędzie ładne kobiety i przystojni mężczyźni, ale jeśli chodzi o regułę, to nie masz nad Angielki, jak nie masz nad Włochów. Niech pan nie sądzi, że mówię w zaślepieniu... Giovanni.

- Owszem - wtrąciłem z uśmiechem - pana Giovanniego znałem tylko z licznych fotografii co prawda, lecz muszę przyznać, że był wyjątkowo przystojnym mężczyzną.

- A widzi pan, widzi pan? - ucieszyła się szczerze.

- Więc Miss Ashley wyglądała

tak korzystnie? powiedziałem umyślnie, lękając się, że kochana gadulka wygłosi obszerny wykład na temat: jaka rasa czy narodowość wydaje największą ilość urodziwych niewiast, czy zabójczo przystojnych mężczyzn i znowu odbiegniemy od właściwego przedmiotu opowiadania.

- Co tam: korzystnie - obruszyła się - Violetta wyglądała prześlicznie, cudownie! Dość powiedzieć, że wszyscy panowie pożerali ją wzrokiem, a nawet mój Giovanni, który przecież marzył wtedy tylko o tamtej, o Miss Halinie, patrzył na nią z zachwytem i kiedy wypowiedziała swoje czupurne "credo", rzekł bez cienia żartobliwości, jakiej się używa zazwyczaj w odniesieniu do młodych panien: "Pani jest dzielną dziewczyną, Miss Ashley. Szczęśliwy będzie ten, którego pani swym wyborem zaszczydzi"... Serce mi omal nie wyskoczyło z radości, kiedy to posłyszałam, kiedy pochwyciłam spojrzenia, jakie skrzyżowali z sobą... "Zaszczyć mojego chłopaka swym wyborem, ślicznotko", modliłam się do niej oczami, "a ty syneczku nie burz szczęścia innym, ani nie szukaj go daleko, bo dość ci rękę wyciągnąć!" Tak sobie wówczas myślałam, kochany Mr. Bronson i prosiłam Boga gorąco, aby się moje marzenia spełniły... Niestety, stało się inaczej... - westchnęła ciężko i zwiesiła głowę na zapadnięte, chude piersi.

Uszanowałem jej milczenie i nie przerwałem go ani słowem, choć dyskretne spojrzenie na zegarek osadzony na przegubie dłoni przekonało mnie, że wyznaczone przez pielęgniarkę pół godziny dobiega końca, że tym samym każda minuta jest droga.

Na szczęście przerwa nie

trwała zbyt długo. Mafalda
Martini otarła łzy, które jej
nadbiegły do oczu i westchnąwszy
raz jeszcze, zaczęła mówić
dalej:

- Strasznie mi się spać
zachciało przy końcu tego
długiego bankietu. Domyśla się
pan zapewne przyczyny... Tak,
tak, Mr. Bronson, alkohol. W mej
ojczyźnie trudno się nie
przyzwyczać do wina, ale co
innego mała szklaneczka młodego,
stołowego wina, a co innego
takie pijaństwo. To nie dla
takiej starej kobiety, jak ja.
Wymawiałam się jak mogłam, lecz
jakże tu nie wypić toastu na
cześć jedynaka, na pomyślność
ich powrotnej podróży, na
zdrowie zacnego Ashleya i Bóg
wie ile oni jeszcze tych toastów
wymyślili... Szampan poszedł mi
w nogi, zaczęłam ziewać
wewnętrznie, no i niebawem
spałam w swoim łóżku jak nigdy.
Na szczęście niedaleko miałam do
domu, bo bankiet odbywał się w
sali tego samego hotelu, w
którym komitet wszystkich nas
ulołował. "Prześpij się,
mateczko", powiedział Giovanni,
odprowadzając mnie do drzwi.
"Nam się także odpoczynek
należy, ale jutro poproszę cię o
godzinę poważnej rozmowy".

Tak więc do stanowczej rozmowy
doszło dopiero na drugi dzień o
zmroku, bowiem oględziny
"Victorii" w hangarze i obfity
program niezmordowanego komitetu
nie pozwoliły Giovanniemu wyrwać
się wcześniej. Pragnąc sobie to
powetować, zaczął bez żadnych
wstępów. "Abyś mnie mogła dobrze
zrozumieć, mateczko, muszę ci
dzieje mej miłości przedstawić
od samego początku. Poznałem
Halinę dzięki Walterowi".

- Przepraszam panią, że
przerywam - wtrąciłem - ale te
wypadki są mi dobrze znane.
Panią rozmowa widocznie męczy -
o, proszę, takich wypieków nie

mieliśmy przedtem - pogroziłem jej żartobliwie - a doktor polecił mi panią oszczędzać.

Zdaje się, że nie była zadowolona z takiego obrotu rzeczy, może przez wrodzone zamiłowanie do gadulstwa, lub raczej dlatego, że obawiała się, iż moje informacje przedstawiły jej Giovanniego w mniej korzystnym świetle... Toteż milczała dłuższą chwilę jakby zniechęcona, czy zawiedziona, a potem spytała krótko:

- Od którego momentu mam zacząć?

- Jeśli pani to nie zrobi różnicy, proszę mi powtórzyć treść rozmowy pani z synem, pomijając wszystkie wypadki, dotyczące stosunku pana Giovanniego do Miss Haliny. Mam tu na myśli wypadki, jakie się rozegrały przed odlotem "Victorii" z Nowego Jorku. To wszystko znam. Nie wyłączając pogroźek, jakie zakochany młodzieniec rzucił w uniesieniu na odjeźdnym.

- W uniesieniu - powtórzyła z widocznym zadowoleniem w intonacji głosu - to pan dobrze powiedział, Mr. Bronson... Giovanni był tak rozstrojony nerwowo wówczas, że nie wiedział, co mówi, co czyni. Był zdolny do każdego szaleństwa. Sam mi się przyznał.

- Więc on to powiedział? - zdziwiłem się.

- Tak, drogi panie. Ochłonał przez ten czas, miał chyba czas ochłonać; przecież pomiędzy chwilą ich odlotu z lotniska pod Nowym Jorkiem, a rozmową ze mną upłynęło niemal trzy doby. I w czasie tej niebezpiecznej podróży opadły go skrupuły, refleksje, wyrzuty sumienia, jak ja to nazywam... Mówił mi: "Gdyby w grę wchodził tylko sam

Walter, gdybym wiedział, że ona mi sprzyja, nie wahałbym się ani sekundy, podeptałbym więzy przyjaźni, jakie mnie łączą z Ashleyem. Ale ponieważ ją pokochałem, muszę mieć przede wszystkim jej szczęście na względzie. A ona kocha Waltera"... Po chwili dodał ciszej, jakby do siebie: "Powiedziała mi wprawdzie: ja pana jeszcze nie Kocham. Wtedy ja, głupiec, przypadłem jej do nóg, ucałowałem jej ręce w wybuchu szalonej radości sądząc, że tymi słowami daję mi nadzieję na przyszłość... Dziś przeniknąłem ją. Grała ze mną komedię, chcąc ocalić Waltera, swego Waltera. O niego jej chodziło wyłącznie. Złękła się, że doprowadzony do ostateczności wykonam groźbę, jaka mi się z ust wydarła. Ona jego tylko kocha, po co się łudzić... Czyż tedy mam prawo burzyć jej szczęście?" "Nie masz prawa, syneczku!" krzyknęłam i przytuliwszy jego głowę do piersi wyrzuciłam z siebie jednym tchem wszystkie argumenty, przemyślane drobiazgowo, mądre, przekonujące.

Giovanni był zawsze dobrym, posłusznym synem. I tym razem poszedł za moją radą... "Masz słuszną rację, mamo", powiedział głosem bardzo smutnym, ale stanowczym. "Lepiej, żeby ja sam pocierpiał w skrytości, niż gdybym miał złamać życie dwojgu ludziom". "I sam byś nic przez to nie zyskał, prócz niskiego zadowolenia egoisty, który powiada: nie mam ja, nie miej i ty, cierpię ja, cierpi ty także; to tylko, a nic więcej, synku, bo z tego coś mi opowiadał widzę jasno, że Halina znienawidziłaby cię jak najgorszego wroga, gdybyś ją z Walterem w jakikolwiek sposób rozłączył. O tym zaś, by samolot zatopić w czasie podróży nie waz się myśleć! To byłaby zbrodnia,

ohydna zbrodnia! Miałbyś na sumieniu życie Waltera, niewinnego Petita oraz moje, bo ja nie przeżyłabym takiej hańby. Bóg by ci tego nie przebaczył!" Potrząsnął głową energicznie... "O tym nigdy nie myślałem, mamusiu. To się tak tylko powiedziało w uniesieniu".

Tak powiedział mój Giovanni, panie Bronson i niech mnie Bóg skarże, niech mi wstępu do raju wzbroni, jeśli kłamię, jeśli coś przesadzam, aby bronić honoru mego biednego syna - powiedziała tonem uroczystej przysięgi i mimowolnie podniosła w górę dwa palce prawej dłoni.

- Wierzę pani, Mrs. Martini - rzekłem poważnie - jak wierzę również, że te słowa wielką ulgę przyniosą Miss Horskowej w jej bólu i żałobie... Niech pani mówi dalej.

- Niewiele już pozostaje - powiedziała. - Kazałam synowi przysiąc na moje życie, że wytrwa w tym męskim postanowieniu... I przysiągł. Zaprzysiągł uroczyście, klęcząc obok mnie przed świętym obrazkiem, który zawsze noszę z sobą w torebce. I wyrzekł się Haliny na zawsze, a zdobywszy się na to bohaterstwo poweselał nieco, jak gdyby mu wielki ciężar spadł z serca... "Czy wiesz mateczko, czego się jeszcze lękam?" spytał, kiedy usiedliśmy znowu obok siebie. "Lękam się, że gdybyśmy ulegli wypadkowi w powrotnej drodze, to Halina uważałaby mnie za sprawcę katastrofy, za mordercę jej Waltera i przeklinałaby mnie do końca życia. Nie kręć głową, matko... Tak byłoby na pewno... Przecież ona nie wie, że zdobyłem się na taką ofiarę, że przysiągłem na twoje życie nie wchodzić nigdy w drogę Ashleyowi, a przeciwnie pozostała pod wrażeniem moich szalonych pogroźek, które

jeszcze raz na lotnisku
powtórzyłem... Tak, ona
przeklnie mą pamięć!" dodał,
wpadając znowu w rozpaczliwe
przygnębienie. Nagle chwycił
moje obie ręce i przeszywając
mnie jakimś niesamowitym
wzrokiem, rzekł z siłą:
"Przyrzecz mi, mateczko, że
jeśli "Victoria" nie doleci do
Nowego Świata, ty przekonasz
Halinę o mojej niewinności, że
napiszesz do niej".

"Napiszę, z pewnością
napiszę", powtarzałam jak
automat, nie wiedząc, co mówię,
przerażona wyrazem jego
spojrzeń. Pokręcił głową na znak
niezadowolenia... "Nie będzie
czytała twego listu, a choćby
nawet, to nie uwierzy
zapewnieniom. Pismo jest niczym
wobec żywego słowa... Ty musisz
ją widzieć osobiście, musisz ją
słowami przekonać. Kiedy spojrzy
w twoje zacne, uczciwe oczy...
uwierzy... inaczej, nie. Więc
przyrzeknij mi, matko, że
pojedziesz do niej i spełnisz
moją prośbę"... "Pojadę,
spełnię!" wykrztusiłam i
rozplakałam się jak dziecko...
Tobie nie wolno tak mówić, ani
myśleć nawet", wybuchnęłam
nagle. "Musisz wierzyć, że
dolecisz szczęśliwie, musisz
dolecieć! Giovannino!... Chcesz
matkę tu samą pozostawić? Chcesz
mnie opuścić?" Czy ja wiem
zresztą co mówiłam wówczas? A
Giovanni scałował łązy z moich
oczu i powiedział z właściwą
sobie uczciwą prostotą: "Nie
chcę cię opuszczać, mateczko,
pragnę gorąco dokończyć naszego
dzieła, ale... trzeba być
przygotowanym na wszystko... na
najgorsze... Teraz, kiedy mam
twoje słowo, kiedy wiem, że
gdybym zginął, ty staniesz w
obronie mej czci... jestem
zupełnie spokojny, a to zwiększa
szanse pomyślności naszego
lotu... Dzięki tobie, mateczko,
Walter Ashley będzie miał we
mnie bardziej wartościowego

pomocnika w powrotnej drodze,
niż w dotychczasowej, którą
przecież szczęśliwie
przebyliśmy".

Te słowa, Mr. Bronson, zamiast
mnie uspokoić, zbudziły szalone
obawy, które dziś przeczuciami
nazwać mogę. Wtedy po raz
pierwszy zdałam sobie jasno
sprawę z całego ogromu
niebezpieczeństw, czyhających na
tych bohaterskich szaleńców, co
skaczą przez morza, oceany,
niewiele sobie robiąc z tego, że
lada drobnostka może ich stracić
spod obłoków w przeklętą
głębinię... "Słuchaj,
Giovannino", zaczęłam zdławionym
głosem, "czy wasza maszyna jest
dobra?" "Czy dobra? Świetna,
mateczko!" odparł z zapalem i
zaczął się rozwodzić długo,
szeroko nad zaletami ich
samolotu. Wtrącał co chwila
jakieś techniczne terminy,
których nie zrozumiałam, ani nie
spamiętałam, tym bardziej, że
całą moją uwagę skierowałam nie
na słowa, lecz na intonację jego
głosu, na jego zachowanie się i
spojrzenia; chciałam przeniknąć,
wybadać, czy Giovanni nie żywi
jakichś obaw, czy nie tai czegoś
przede mną... Ale nie. Jego głos
brzmiał czysto, nutka lęku nie
zadrgała w nim ani razu. Wierzył
święcie, że samolot, który go
przeniósł raz nad oceanem, nie
zawiedzie w powrotnej drodze.
"Zresztą zobaczysz jutro sama na
lotnisku; jak gładko poderwę
"Victorię" przy starcie. Ashley
ustąpił mi tego zaszczytu".

Parę minut później zaczął się
żegnać. "Muszę teraz wpaść po
Waltera. Przystudiujemy razem
ostatnie biuletyny
meteorologiczne, potem
pojedziemy na lotnisko, a w
końcu"... "W końcu - przerwałam
mu z uśmiechem - czeka was
pewnie pożegnalny obiad. Już tam
komitet niczego nie przepuści.
Tylko nie pijcie, moi drodzy.
Idźcie spać jak najwcześniej,

żeby nabrać sił", upomniałam go i tak jakoś poweseleliśmy oboje, że mój złoty, nieoceniony Giovannino, który niedawno temu myślał tylko o Halinie, powiedział do mnie te słowa: "Jak myślisz, mateczko, czy nie może się zdarzyć, że ja także znajdę piękną i dzielną kobietę, która mnie wzajemnie pokocha?" "Znajdziesz na pewno", zawołałam, ściskając go ze łzami radości, a podniósłszy się na palcach szepnęłam mu w ucho filuternie... "Jak myślisz, Giovannino, czy nie może się zdarzyć, że ta śliczna Violetta znajdzie także urodziwego, dzielnego chłopca, który ją pokocha wzajemnie?" Zarumienił się aż po czoło, ucałował mnie gorąco i wybiegł czym prędzej z pokoju, a ja, Mr. Bronson, ja, poważna matrona, siwa staruszka, zaczęłam tańczyć i nucić pewną starą piosenkę neapolitańską, tak mi było lekko na sercu w owej chwili...

Nadeszła godzina odlotu. Samolot już stał przed hangarem, ustawiony pod wiatr, który dmuchał sobie, ale lekko, nieszkodliwie, jak mnie Ashley zapewnił. Korzystając z tego, że miano filmować lotników na tle "Victorii", obeszłam olbrzymiego ptaka, odsunęłam się od ludzi, by spełnić to, co sobie postanowiłam w nocy... Może to było śmieszne, Mr. Bronson, ale przecież tam chodziło o życie mego dziecka... Przystanęłam tuż obok kadłuba samolotu... Jeśli kto patrzył na mnie w tej chwili, to pomyślał sobie z pewnością, że ja chcę z bliska obejrzeć maszynę... A ja z nią rozmawiałam tymczasem. Powierzyłam jej syna i błagałam ją gorąco, by go zaniósła szczęśliwie i w zdrowiu na drugi brzeg ponurego Atlantyku. "Ty mnie nie zawiedziesz, prawda?" szeptałam, gładząc drżącą ręką jej duraluminiowe blachy. "Ty potężna, mocarna, a posłuszna,

dobra, kochana. Ludzie cię stworzyli, abyś im służyła, więc nie buntuj się przeciwko twemu twórcy i bądź mu wierna... Będziesz? Ja wiem, że będziesz, ty poczciwa olbrzymko. Masz silne motory, masz żeru pod dostatkiem, wypoczęłaś w hangarze, wyczyścili cię, że błyszczysz jak nowiuteńka, masz dzielnych panów i radio, którym możesz przywołać pomoc, gdybyś osłabła w drodze, masz wszystko, dumna maszyno, ale nie pogardź moim skromnym darem... błogosławieństwem matki!" Wyszepawszy te słowa, przeżegnałam ją krzyżem, zawiesiłam na jakimś haczyku medalik, który niegdyś od Ojca Świętego dostałam w czasie Anno Santo, pomodliłam się krótko i nic sobie nie robiąc z gapiów, przylgnęłam gorącymi wargami do boku długiego kadłuba...

W tej chwili podszedł do mnie Walter Ashley. Nie śmiałam mu spojrzeć w oczy, lękając się, że mnie wyśmieje, a może zgani nawet. Lotnicy są tak zabobonni, zaś stare kobiety nie przynoszą podobno szczęścia... Ale ten poczciwiec uścisnął mi tylko rękę i powiedział trochę wzruszonym głosem: "Pani się za nas modliła, Mrs. Martini. Owszem, to się może przydać. Skok przez wielki staw, to nie bagatela"... Wielki staw powiedział! Oni tak potworny ocean nazywają, Mr. Bronson, ci Anglicy... Posunęliśmy się razem w stronę śmigła, które znowu zatrzymano z jakiegoś powodu. Ujrzałam Giovanniego, który rozmawiał z Violetta. Podała mu goździk taki sam, jaki przyszpiliła do kurtki brata... A Giovanni, och, jak mi serce zabiło na ten widok... ucałował kwiatek i przypiął go sobie sam z dumną miną... Nagle drgnęłam z przest్రachu, tak głośno ktoś mi chrząknął nad uchem... Któż by, Mr. Bronson, jak nie ten kochany urwis Ashley. Podszedł do

Giovanniego, poklepał go przyjaźnie po barkach, a jego niebieskie oczy zdawały się mówić: Będzie z was dobrana para, ho! ho!"

Potem zaczął się gorączkowy ruch. Przyniesiono dwa wspaniałe bukiety róż. Większy mieli zawieźć do Nowego Jorku, drugi zaś miał Ashley rzucić na pokład "Majestica", który powinni byli spotkać w połowie drogi. Lotnicy francuscy, reporterzy paryskich i zagranicznych dzienników, panowie z komitetu, fotografowie, operatorzy filmowi kręcili się, krzyczeli, wrzeszczeli, ale wszystkie słowa ginęły, pochłonięte łoskotem potężnego śmigła, czy rykiem motoru. Gdyby nie troska o życie syna, byłabym się szczerze uśmieła na widok tych ust otwierających się szybko i szeroko, a bezgłośnie. Giovanni podszedł do mnie. Wyściskawszy go, zdołałam mu krzyknąć do ucha: "Pamiętaj, synku, przysiągłeś!" Bałam się, czy usłyszy w tym piekle ogłuszającym, lecz usłyszał z pewnością, bo odrzekł od razu: "A ty o swoim przyrzeczeniu nie zapomnij, gdyby"... Zasłoniłam mu dłonią usta, aby nie wywołał nieszczęścia... Wywołał je pomimo to, mój biedaczek, mój synek najdroższy.

Dalsze pieszczotliwe wyrazy przeszły w szloch, w łkanie, które długi czas wstrząsało piersiami Mafaldy Martini.

Pragnąc jej oszczędzić nowych wzruszeń, pozwoliłem jej się wypłakać, a potem rzekłem łagodnie, ale stanowczo:

- Na dzisiaj już będzie dosyć, droga Mrs. Martini... Dalsze wypadki, smutne, bolesne dla każdego, a co dopiero dla niej, są mi dobrze znane, bowiem znajdowałem się właśnie na pokładzie "Majestica", widziałem

naocznie szybująca "Victorię", a nawet dostałem jedną różę z owego bukietu Ashleya... i złożyłem ją w najgodniejsze ręce - w ręce jego narzeczonej, Miss Haliny Horskiej... Niechże więc pani nie krwawi sobie serca odświeżaniem tych strasznych wspomnień... wierzę teraz głęboko, że katastrofy "Victorii" nie spowodował rozpaczliwy czyn pana Giovanniego. Zapewniam panią, że ta wiadomość przyniesie wielką ulgę Miss Horskiej, która rozpaczała i rozpacza dalej jak przypuszczam, sądząc, iż powodem nieszczęścia był czyn rywala Ashleya, więc pośrednio ona sama, dlatego też podejmuję się chętnie wyszukania obecnego miejsca pobytu Miss Horskiej, oraz sprowadzenia jej tutaj, do pani.

- Dziękuję panu, Mr. Bronson - odrzekła, ale sądząc po jej roztargnieniu, miałem poważne wątpliwości, czy słyszała, względnie czy zrozumiała treść całego mojego przemówienia.

Po chwili zaczęła mówić znowu:

- Cieszę się, że pana przekonałam, ale muszę panu jeszcze coś powiedzieć, co mnie przekonało najdobitniej o niewinności syna.

Wiadomość o katastrofie "Victorii" uderzyła we mnie jak grom z jasnego nieba, a dosięgła mnie na jednej z mniejszych stacyjek w powrotnej drodze do Wenecji. Wszyscy kupowali nadzwyczajny dodatek, więc zaintrygowana uczyniłam to samo i padłam bez zmysłów na stopień wagonu. Leżałam w szpitalu blisko dwa miesiące, po czym złamana, obojętna na wszystko powróciłam do domu. Zostałam sama na świecie... Lecz po dwóch tygodniach ustąpiła apatia. Zaczęłam się zastanawiać, co mogło spowodować katastrofę

"Victorii". Przystudiowałam uważnie wszystkie notatki dziennikarskie, odnoszące się do tego faktu. I co pan na to, Mr. Bronson, że olbrzymia większość nie potrafiła wyjaśnić zagadki. Defekt motoru? Nie. Maszyna, która przebyła taką próbę nie mogła zawieść, a gdyby się nawet coś rozluźniło, zatkało, zepsuło, to tacy lotnicy jak Ashley, Petit oraz mój Giovanni nie pozwoliliby się zaskoczyć w ostatnim momencie. Przecież na krótko przed tragicznym wypadkiem telegrafował Giovanni, że wszystko w najlepszym porządku, że silniki pracują znakomicie. Zła pogoda? Pan, który płynął w tę noc przez Atlantyk wie dobrze, że lepszej pogody nie mogli sobie życzyć. Więc co, co, co?

I kiedy tak długie, bezsenne noce myślałam nad przeniknięciem owej zagadki, opadły mnie zmory_podejrzenia. Długi czas nie ośmieliłam się ich głośno wypowiedzieć, choć nikt nie mógł słyszeć mego głosu w pustym mieszkaniu... Wreszcie rzekłam: "On! Giovanni to uczynił!" Ooo, Mr. Bronson, niech pan wierzy, że dużo mnie kosztowało to otwarte nazwanie rzeczy po imieniu. Mój syn mordercą swego przyjaciela, mordercą drugiego człowieka, niewinnego Petita i samobójcą, ohydny egoista, który dla zemsty matkę swoją poświęcił, osierocił!... "Krzywdzisz go, zaprzysiągł przecież", szepnął mi jakiś głos, głos serca, ale rozsądek, doświadczenie życiowe mówiło na przekór, że człowiek, to istota bardzo słaba, bardzo skora do upadku.

Przeżywałam straszne chwile, walczyłam z sobą ciężko i kto wie, czy nie byłabym przeklęła pamięci syna, gdyby nie cud... Pan nie będzie pewno wierzył, Mr. Bronson, bo dzisiejsi ludzie nie uznają innych cudów, jak

cuda techniki; rekordy, lecz ja,
stara kobieta, należę do dawnego
pokolenia... Ja wierzę w
nadprzyrodzone siły, wypadki,
zjawiska i dlatego zjawienia się
ducha Giovanniego nie nazwę
snem, wytworem chorej,
rozgorączkowanej wyobraźni,
jakby to pan nazwał, czy inni
ludzie, ale prawdziwym, wielkim
cudem...

Pewnej nocy ujrzałam
Giovanniego. Był smutny
bezbrzeżnie, a spojrział na mnie
z takim wyrzutem, że
zawstydzona, zmieszana spuściłam
wzrok w dół ku podłodze... "Ty
mogłaś podejrzewać mnie choć
przez chwilę?" spytał... Znał
moje myśli, umiał w nich czytać
jak w księdze. Nieprędko
odważyłam się podnieść oczy, ale
kiedy to uczyniłam, ogarnęło
mnie niezmierne zdumienie...
Przedemną stał Giovanni, tak
uderzająco do tamtego, żywego
podobny, a przecież taki inny,
taki czarująco, nieziemsko
piękny. Stał tak blisko, że
mogłam go niemal dotknąć ręką i
widziałam jego sylwetkę w
lustrze, które znajdowało się
poza nim, a na które padła smuga
światła księżycowego. Giovanni
był więc przezroczysty, jak
tafla szkła, co nie
przeszkadzało widzieć najlżejszy
skurcz, drgnięcie jego twarzy...

Ochłonęłam niebawem. Niech pan
nie myśli, że ochłonęłam z
przestrachu... O, nie! Kto ma
czyste sumienie, nie lęka się
niczego... Przeciwnie cieszyłam
się, że mój biedny syneczek
przyszedł do mnie, że nie
zapomniał swej matki i co
najważniejsze, że nie splamił
się czynem, o który go śmiałam
pomawiać. Bo teraz już wierzyłam
w jego niewinność. On zaś, który
każdą moją myśl zgadywał, rzekł
wtedy: "Czy sądzisz matko, że
duch potępionego tak wygląda? że
może przystąpić do
sprawiedliwego człowieka?"

Drzwi separatki otwarły się szybko, choć bezszelestnie. Przyszła pielęgniarka, a jej nadejście oznaczało koniec naszej pogawędki...

Mrs. Martini nie tuiła swego niezadowolenia, lecz tamta była snadź przyzwyczajona do wszelkich kaprysów swoich pacjentów, bo ujrawszy kwaśną minę staruszki, uśmiechnęła się tylko wyrozumiale.

- Myślę, że nagadali się państwo dostatecznie, prawda? Przyrzekłam wam pół godzinki, tymczasem upłynęło już... zaraz...

- Czy mogłabym panią prosić o szklaneczkę wody? - wtrąciła Mrs. Martini, chcąc się widocznie pozbyć intruza chociażby na kilka minut... A kiedy uśmiechnięta wciąż pielęgniarka podeszła do kranu umieszczonego nad umywalką, dodała czym prędzej: Nie chcę tej... Jest ciepła, wstrętna... Proszę mi dać wody z lodu.

- Dobrze, proszę pani. Zaraz przyniosę.

- I słomkę.

- Słomka też będzie, tylko niech państwo w międzyczasie, skończą już tę rozmowę - powiedziała, domyślając się widać doskonale powodów owych życzeń.

Zaledwie drzwi zamknęła za sobą, Mrs. Martini zaczęła mówić z gorączkowym pośpiechem:

- Giovanni ukazał mi się jeszcze kilka razy, nalegając, bym dotrzymała danego mu ongiś słowa i pojechała do Miss Haliny... "Ty uwierzyłaś, mateczko, lecz ona mnie

przeklina, bo nie zna prawdy",
powiadał, dodając jeszcze, że
jeśli podejmę tę wielką podróż,
to prędzej się z nim spotkam i
połączę na zawsze... Pojechałam
tedy, drogi Mr. Bronson...
Przybyłam do Nowego Jorku,
resztę pahn zna dobrze.

A teraz powracam do słów
przedtem wyrzeczonych. Pan
uwierzył w niewinność
Giovanniego, dając wiarę jego
przysiędze, o której panu
opowiadałam. Ja zaś, chociaż
jego matka, byłam surowszym
sędzią; posądzałam go o
krzywoprzysięstwo, o
najstraszniejszą zbrodnię, o
morderstwo z premedytacją, a
przekonały mnie dopiero jego
pośmiertne odwiedziny...
Giovanni jest bez winy! Ja za to
ręcę!

- Pani się znowu wzrusza
niepotrzebnie, Mrs. Martini.
Oświadczyłem już pani przedtem,
że wierzę głęboko w niewinność
jej syna - rzekłem.

- I będzie pan szukał Haliny?

- Będę... Jeszcze dzisiaj
rozpocznę poszukiwania.

- I przyprowadzi ją do mnie?

- Tak, choć nie w dosłownym
tego słowa znaczeniu. Kiedy
odnajdę miejsce jej pobytu,
obmyślimy razem jakiś sposób,
aby ją tutaj ściągnąć... Bo
gdyby mnie zobaczyła lub
otrzymała ode mnie list, mogłoby
to odnieść skutek wręcz
przeciwny zamiarom.

- Dlaczego, panie Bronson?
Ach, prawda. Wspomniał pan coś o
mimowolnej krzywdzie, jaką jej
pan miał wyrządzić... Cóż to
była za krzywda?

- To już odłożmy lepiej do
jutra, droga Mrs. Martini. Moja
historia jest równie długa,

jeśli nie dłuższa od tej, która mi pani dzisiaj opowiedziała... Szkoda zaczynać, zwłaszcza, że pielęgniarka powróci lada moment i wyprosi mnie stąd grzecznie.

Jakby na potwierdzenie tych słów zjawiała się w tej chwili szpitalna opiekunka Mafaldy Martini ze szklanką wody w dłoni.

- Jest słomka, lód, słowem wszystko, czego sobie pani życzyła... A teraz zmierzmy temperaturę i wyprosimy gościa - zaczęła od progu z swym stereotypowym uśmiechem, który nie schodził z jej twarzy.

IV

Wróciwszy do redakcji zatelefonowałem przede wszystkim do prywatnego biura detektywistycznego "Security" z poleceniem odszukania obecnego adresu Haliny, następnie zaś zabrałem się do przejrzania najświeższej poczty. Zacząłem oczywiście od korespondencji prywatnej, leżącej osobno w kopertach, podczas gdy tamte listy były już "wypatroszone" przez sekretarza redakcyjnego. Wśród przyzwoitej paczki, której sześćdziesiąt procent stanowiły rachunki mej małżonki znalazły się przecież dwa ciekawe kawałki. Jednym było urzędowe wezwanie w sprawie wypadku automobilowego przy Amsterdam Avenue, a drugim telegram od Scotta z Anglii... Niepocieszony Edgar depešował w ten sposób:

"poruszyłem niebo i ziemię

niestety przesyłka zaginęła stop
strata niepowetowana stop
ostatnia nadzieja w panu
reklamować natychmiast na
podstawie recepty nadawczego,
którego nie puszczać z ręki stop
odpisać jaki rezultat"

edgar scott

Ach, jeszcze to pióro -
mruknałem, cofając się
wspomnieniami do czasów
pierwszego etapu mej podróży
poślubnej. To wpaniałe pióro,
nabyte za bezcen od indiańskiego
przewodnika w Yosemite Park, a
przeznaczone przeze mnie dla
Scotta nie doszło z niewiadomych
powodów adresata. Przesyłka
zagięła gdzieś w drodze z San
Francisko do Londynu i
pogodziłem się dawno z tym mało
ważnym faktem, lecz Edgar nie
mógł przeboleć takiej straty. W
dwóch sążnistych listach
nawymyślał mi od lekkomyślnych,
nierozważnych ludzi z tej
przyczyny, że paczkę poleciłem
wysłać jako zwykłą, zamiast
wartościową, a zirytowany moja
lakoniczną odpowiedzią:
"Przesyłka wsiąkła niestety,
lecz na to nic nie poradzę"...
kropnął sobie teraz depeszę!...
O głupie pióro!...

Edgar zaczyna dziwaczeć na
starość - pomyślałem, chowając
jego telegram do jednej z
bocznych szuflad biurka. - Po
tylu tygodniach jeszcze nie
tracić nadziei, że paczka się
znajdzie, "poruszyć niebo i
ziemię" dla jakiegoś tam pióra,
a w końcu depeszować z powodu
takiej drobnostki, na to trzeba
być koniecznie... profesorem!
Ale ja profesorem na szczęście
nie jestem i dlatego nie
zamierzam tracić cennego czasu

na podobne głupstwa...
"Reklamować natychmiast", pisze,
ha, ha, ha... Rzeczywiście, nie
mam nic ważniejszego do roboty.

W ten sposób przeszedłem do
porządku dziennego nad treścią
depeszy Edgara Scotta,
postanawiając odpisać mu przy
sposobności w formie
humorystycznej kondolencji z
powodu "bolesnej straty"...
Można by zacząć od słów: "Keep
smiling, drogi Edgarze i nie roń
łez daremnych", lub coś w tym
rodzaju.

Śpieszyłem się z robotą,
pragnąc się znaleźć jak
najprędzej w moim zacisznym
gabiniecie, gdzie nie terkoczą
dzwonki, nie wpadają koledzy
redakcyjni, gdzie nie słychać
buczenia wind, ani nieustannego
pomruku maszyny rotacyjnej.
Chciałem "przetrawić" spokojnie
w myśli najdrobniejsze szczegóły
opowiadania Mafaldy Martini i
powiązać je z odpowiednimi
momentami historii, zasłyszanej
dawniej od Haliny Horskiej.

Czekała mnie jednak przykra
niespodzianka i zawód. Już na
widok sześciu samochodów,
stojących w alei obok wjazdowej
bramy naszego ogrodu tknęło mnie
przezucie, że w domu będzie
rojno i gwaro. Na wszelki
wypadek nie odesłałem więc
redakcyjnego lincolna, lecz
poleciałem szoferowi poczekać w
pobliżu tamtych aut i pieszo
wkroczyłem do parku. Cała willa
była jasno oświetlona,
"iluminowana", jak to określiłem
z szubienicznym humorem, a przez
otwarte okna dobiegały mnie echa
niezwykłej wrzawy. Posunawszy
się bliżej, zacząłem rozróżniać
poszczególne okrzyki
rozochoczonego towarzystwa.

- Tilden by się nie powstydził
takiego smeczku, wołał piskliwy
tenor, przygłuszając na chwilę
wszystkich, lecz w tym momencie

ryknał jakiś bas potężnie:

- Piejcie hymny pochwalne na
cześć Boba tylko, a zapominacie
o gospodyni!...

- Święta racja. Niech żyje
Dolly Campbell!

- Toś się wyrwał! Campbell,
ha, ha, ha! Niechby to Bronson
posłyszał, ha, ha, ha, ha!

- Dla mnie ona jest zawsze
słodką, kochaną Dolly Campbell -
bronił tenor swego stanowiska z
uporem człowieka niezupełnie
trzeźwego. - Niech żyje
zwycięska para naszego turnieju!

- Dolly i Bob niech żyją!...
Hip, hip, hurra!

- Co ten Dick tam pisze w
kacie?

Gwałtowne szurganie świadczyło
wymownie o nagłej "wędrówce
narodów" z jednego końca salonu
w drugi. Potem zabrzmiały
okrzyki:

- Wiersz pisze, jak Bogu
zdrowia życzę! Panegiryk!

- Słuchajcie, przeczytam wam.

- Nie wolno, nie można -
protestował wierszokleta. -
Dopiero mam początek i nie mogę
znaleźć rymu do: Bob.

- Do Bob? Pomóżmy mu,
przyjaciele! Hop... stop...

- Świetne rymy, jak Bogu
zdr...

- Czytajże już raz ten
początek...

- Uwaga więc: "Our sweet
Dolly, always jolly".

- Tyle tylko? O, Dick!... Tak
szybko ci natchnienie
wyparowało?... Dajcie mu

kieliszek prohibicji...

- Zostawcie go w spokoju, żeby mógł do rana dalsze dwie linijki napisać.

- Ty myślisz tu tkwić do rana? Dolly, słyszałaś?...

- Słyszałam... Doskonale! Świetnie! Będziemy się bawić do białego dnia...

Nie mogę powiedzieć, żeby te słowa wywołały u mnie radosny entuzjazm. Ładna perspektywa. Ta hałaśliwa banda zamierza tu do rana pozostać. Ano, trzeba w takim razie poszukać jakiegoś noclegu - mruczałem wycofując się ostrożnie z dotychczasowego punktu obserwacyjnego, ścigany odgłosami ożywionej dyskusji na temat programu tej nocy.

- Urządzimy turniej w ping_ponga.

- Lepiej zatańczyć.

- Bajeczna myśl, jak Bogu zdrowia życzę!

- Dopuszczcie Boba do głosu.

- Dajcie mu głos!

Zrobiła się jaka taka cisza i po chwili zabrzmiał głos Boba Kennedy'ego.

- Projekt kompromisowy, proszę państwa. Zagramy w ping_ponga; zatańczymy, a przedtem zaś zabawimy się, no, zgadnijcie? W kryjówkę!... Cicho! Nie skończyłem jeszcze... We wszystkich pokojach pogasimy światła, a szukającemu będzie się wolno posługiwać tylko kieszonkową latarką.

- Fenomenalny pomysł, jak Bogu zdr...

Gentleman dbający tak gorliwie o Boskie zdrowie nie dokończył

jednak swego "madrego"
powiedzonka, gdyż w tym momencie
rozpętało się prawdziwe piekło
okrzyków, słabych protestów i
potężnych wiwatów na cześć
genialnego Boba.

Spieszyłem szybko w stronę
bramy wjazdowej.

- Rzeczywiście fenomenalny
pomysł, epokowy, gigantyczny,
godny tego bałwana - warczałem z
pasją przez drogę - owszem
zabawcie się jeszcze w ślepa
babkę, w kotka i myszkę lub w
żabki. W sam raz dobre dla tak
dobranego kółeczka.

Kiedy zatrzasnąwszy z furia
drzwiczki samochodu rzuciłem się
na skórzane poduszki, redakcyjny
szofer spojrział na mnie
pytajaco.

- Do klubu. Tylko szybko, bo
tutaj ogłuchnąć można -
syknałem, niewiele przesadzając,
gdyż echa wrzawy
rozbrzmiewającej w moim
"zacisznym" domu aż tutaj
niekiedy dochodziły.

Spotkaliśmy się z żoną dopiero
nazajutrz wieczorem przy
obiedzie. Dolly unikała jakoś
mego wzroku, była małomówna,
potulna i cicha. Zapewne
oczekiwała wymówek, bowiem
powiedziałem jej prosto z mostu,
że wróciłem wczoraj wcześniej
niż zazwyczaj, ale uciekłem
natychmiast, widząc co się
święci.

- Więc chciałeś mi poświęcić
wczorajszy wieczór? - spytała,
obrzucając mnie wzrokiem pełnym
tkliwości.

- Tttak - odparłem,
zachłysnąwszy się nieco, po czym
dodałem już pewniejszym głosem:
- chciałem, lecz twoi goście
wypłoszyli mnie, zanim zdołałem

przekroczyć próg. Skończyło się
zatem na dobrych chęciach.

Nic nie odrzekła, ale jej
spojrzenia, przepojone
bezgraniczną wdzięcznością były
od wszelkich słów wymowniejsze.
Potem zwiesiła głowę nisko i
przysiągłbym, że na jej rzęsach
zawisły dwie duże łzy.

Dopiero przy deserze podniosła
oczy, w których wyczytałem
błagalną prośbę, modlitwę... ale
o co? Chyba nie o to, o co
chwilę później poprosiła ustami
z lękliwością, jakiej nigdy u
niej dotychczas nie zauważyłem:

- Czy mógłbyś mi poświęcić
dzisiejszy wieczór?

- Hm... Chciałaś gdzieś pójść
ze mną? Teatr? Kabaret? Dancing?
- dopytywałem przezornie, lecz
każdemu pytaniu towarzyszył
przeczący ruch jej głowy, a
potem cicho, nieśmiało spłynęła
z warg odpowiedź:

- Nie, darling. Chciałam cię
prosić gorąco, byśmy ten wieczór
tu, w domu spędzili razem.
Prosiła tak serdecznie, że nie
potrafiłem odmówić. Dlaczegoż
zresztą miałem odmawiać? W
redakcji nie było naprawdę nic
takiego do załatwienia, co by
nie mogło poczekać do jutra....
biura "Security" nie dało znaku
życia, na złożenie wizyty
Mafaldzie Martini było za
późno... pozostał chyba klub...
Więc jechać do klubu? Nie!
Kobiety cenią lekką nonszalancję
w stosunku do siebie, lecz
mszczą się za lekceważenie, a
granica pomiędzy jednym, a
drugim jest elastyczna, ruchoma.
Kobiety przywiązują największą
wagę do najbliższych drobiazgów.
Więc skoro zależy jej tak
niezmiernie, bym z nią dzisiaj
pozostał w domu, należy się
zastosować do tego życzenia i
nie zrażać jej sobie...
Przeprowadziwszy w duchu takie

rozumowanie, dokonałem nagle epokowego odkrycia, że Dolly jest naprawdę prześliczna z tą niewyraźną, niepewną minka dziecka, które coś przeszkrobało i lęka się kary, dalej, że wygląda dziś wyjątkowo ponętnie, że zatem byłoby rekordowym nonsensem zaniedbywać taką żoneczkę i tym samym kłaść pierwsze fundamenty pod okazałe rogi.

- Zostaniesz? - wyszeptała, zaniepokojona moim milczeniem.

- Zostanę, kochanie - odparłem, pożerając ją wzrokiem.

Około północy, opadły mnie niejasne, niewyraźne podejrzenia. Pieszczoty Dolly były tak nieprawdopodobnie żywiołowe w stosunku do czułości dotychczasowego naszego współżycia, że mimo woli nasunęło mi się na myśl ogromnie niemiłe pytanie: "Czy ona nie ma czegoś na sumieniu? Czy ta nadzwyczajną tkliwością nie chce mi wynagrodzić jakiejś krzywdy, o której ja oczywiście nie wiem?"

Tego rodzaju "ekspiacje" są przecież właściwe naturze ludzkiej. Ja sam tej metody używałem zawsze... W dniach, w których myśli moje szybowały ku Halinie, w których wywoływałem w pamięci jej wdzięczny obraz, w dniach tych byłem podwójnie czuły dla żony, nie po to, aby uspić jej ewentualne podejrzenia, to było niepotrzebne, ale dlatego, by jej dać swego rodzaju zadośćuczynienie, odszkodowanie za niewierność, zresztą całkiem "platoniczną"... Czyżby Dolly chciała użyć tego samego systemu?

I nagle, jak grom z jasnego nieba nastąpił wybuch, który nie mógł chyba osłabić mych podejrzeń.

Dolly pochwyciła moją dłoń i mimo oporu z mej strony, zaczęła ją całować namiętnie, powtarzając raz po raz przez łyzy:

- Ciebie tylko kocham, Ralph najdroższy... Tylko ciebie... ja niegodna, niewdzięczna...

Dalsze słowa przeszły w łkanie, w histeryczny płacz.

V

Halina wyjechała podobno do Buffalo... Taką informację, wymagającą oczywiście sprawdzenia, zdobył jeden z agentów "Security" w domu przy Amsterdam Ave, gdzie rozegrały się pamiętne wypadki. Zażądałem więc, by tego człowieka wysłano bezzwłocznie do Buffalo, wiedząc dobrze, o ile szybciej dostanę pożądane wieści w ten sposób, niż w drodze wymiany listów z jakimś tamtejszym biurem wywiadowczym.

Kiedy po południu tegoż dnia złożyłem Mafaldzie Martini wyczerpujące sprawozdanie z postępów (co prawda nikłych) moich poszukiwań, załamała oczywiście ręce.

- Na swój koszt pan go wysłał? A, drogi, niepoprawny Mr. Bronson, po co sobie pan robi takie wydatki - powiedziała, trapiąc się, że nie będzie mogła mi zwrócić tych kosztów.

Potem zaczęliśmy omawiać sprawę sprowadzenia Haliny do Nowego Jorku, do łóża matki Giovanniego.

- Ja do niej napisać nie mogę,
to znaczy mogę napisać, ale
skutek będzie fatalny - rzekłem
- najlepiej byłoby, gdyby pani
sama...

- Nie, nie - przerwała mi
porywczo - moje nazwisko
odstraszy ją z pewnością. Dopóki
nie przekroczy tego progu nie
powinna nic wiedzieć, że ta, do
której łoża ją wzywają, nazywa
się Martini i jest matką
Giovannina.

- Może by w takim razie
poprosić pielęgniarkę?

Mój projekt spotkał się z
pełnym uznaniem staruszki.

- Ma pan słuszność. Tak będzie
najlepiej. To bardzo uczynna
osoba, ta moja tutejsza
opiekunka. Niebo a ziemia w
porównaniu z innymi
pielęgniarkami, które w czasie
nocnych dyżurów zachodzą do
mnie. Zaraz dzisiaj jej powiem,
poproszę - mówiła, a potem jakby
sobie nagle coś przypomniała,
zagadnęła mnie znienacka: -
Czemu to pan nie może napisać w
mym imieniu do Haliny?

- Wspomniałem już pani, o ile
się nie mylę, że swego czasu
wyrzuciłem Miss Horską wielką
krzywdę, lub raczej wyrzucił ją
fatalny zbieg okoliczności, zaś
na mnie spadła za to wina i
odpowiedzialność.

Co tu długo mówić. Zmiękczone
spojrzeniami i prośbami Mafaldy
Martini, musiałem opowiedzieć
dzieje mej znajomości z Haliną
Horską, poczynając od pamiętnej
sceny w redakcji, oraz historię
niefortunnej nowelki, zwłaszcza
kiedy mi przypomniała treść
naszej umowy, w której
przyrzekliśmy sobie wzajemnie
bezwzględna szczerość i nie
ukrywanie żadnego szczegółu,
dotyczącego pięknej Polki.

Słuchała mego długiego opowiadania w nabożnym skupieniu, a kiedy skończyłem wreszcie, zaczęła mówić powoli, jak gdyby z wielką skrupulatnością zdejmowała słowo po słowie z wagi głębokiego namysłu.

- Ja panu wierzę bezwzględnie, mnie wystarczy to opowiadanie, którego prawdziwość stwierdzają pańskie uczuciowe, dobre oczy. Ale wyobraźmy sobie, że sprawa ta stała się przedmiotem procesu. Sędziowie nie patrzą w oczy... Żądają przekonywujących dowodów. Czy tedy, drogi panie Bronson potrafiłby pan dostarczyć owym sędziom dowodów, niezbitych dowodów, że pańska nowelka nie była napisana pod wpływem zwierzeń Haliny, że powstała na kilka dni przed pamiętnym wieczorem, kiedy to skuszony ciekawością zajrzał pan do pamiętnika Miss Horskowej... Czy pan mnie rozumie?

- Doskonale - potaknałem.

- I jakąż mi pan da odpowiedź?
- spytała niecierpliwie.

- Że przekonałbym sędziów.

- Naprawdę? - ucieszyła się szczerze - czy może mi pan wyjawić, w jaki sposób?

- Postaram się - odparłem i w sposób możliwie najprzystępniejszy dla takiego laika, jakim była moja słuchaczka, wyjaśniłem, że samo napisanie noweli wymagało kilku godzin czasu, nie mówiąc już o robocie drukarskiej. A przecież od rozstania się z Haliną w ową noc pamiętną do chwili puszczenia w ruch naszej maszyny rotacyjnej brakowało tylko małego kwadransika, czyli mniej czasu, niż trzeba by zużyć na drogę do gmachu "Morning News"...

- Jednym słowem pańska nowelka nie mogła być napisana pod wpływem opowiadania Miss Horskiej - rzekł Mrs. Martini, wysłuchawszy z uwagą mych wyjaśnień.

- Ale posiadam jeszcze lepszy dowód, mianowicie ten, że skrypt noweli znajdował się w drukarni już w piątek rano, czyli na dwanaście godzin przed momentem, w którym miał miejsce epizod z pamiętnikiem Miss Horskiej, a Campbell posiadał go w rękach coś dwie doby wcześniej.

- Dwie doby - powtarzała, jakby wbijając sobie w pamięć owe szczegóły.

- Może się zresztą pomyliłem na swoją niekorzyść. Dziś już nie pamiętam tak dokładnie, ale mam wszystko wynotowane, mam nawet kartkę z własnoręcznym zapiskiem kierownika naszej drukarni, o której godzinie skrypt otrzymał. Bo trzeba pani wiedzieć, że kiedy nastąpiło zerwanie z Haliną na skutek ukazania się mej nowelki na łamach "Morning News" zbierałem gorączkowo materiał dowodowy, sądząc, że uda mi się przekonać rozżaloną dziewczynę o swej zupełnej niewinności... Niestety, nie przyjęła mnie, odłożyła słuchawkę, kiedy próbowałem się z nią rozmówić telefonicznie, a nawet wyjechała czym prędzej do Kalifornii, byle tylko uniknąć spotkania ze znienawidzonym przez się człowiekiem. Tak więc list, jaki do niej wówczas napisałem, oraz zebrane dowody powędrowały do jakiejś zapomnianej szuflady... Powinienem był je właściwie spalić.

- Całe szczęście, że pan tego nie uczynił - wtrąciła z wielkim ożywieniem.

- Szczęście? Nie, droga Mrs.

Martini... Pogodziłem się już z losem i jeśli co mnie niekiedy dręczy nieznośnie, to przeświadczenie, że ona mnie uważa za winnego, że nienawidzi mnie, że nic nigdy jej nie przekona, iż skrzywdziło ją przeklęte fatum, co w ciągu dwóch lat zabrało jej rodziców i narzeczonego, a nie ja, który ją przecież tak kochałem... Nigdy, Mrs. Martini... To straszne słowo...

Ciężki gład smutku przywalił mi serce nieznośnym ciężarem, umilkłem, ukryłem twarz w dłoniach i sporo minut naniział zegar na niekończący się różaniec czasu, zanim zacna staruszka odważyła się przerwać milczenie:

- Boże mój, jak on cierpi, jak on ją kocha! - westchnęła cicho wprawdzie, ale nie dość cicho, bym nie mógł usłyszeć.

Spojrzałem ostentacyjnie na zegarek. Są chwile, kiedy człowiek łaknie współczucia, pożąda go za wszelką cenę; zdarza się to zazwyczaj wówczas, gdy ogłuszony nagłym ciosem, odrętwiałały pod wpływem świeżego nieszczęścia, jest jak dziecko bezradne... Ale są również chwile, zwłaszcza w okresie zablizniania się ran w sercu, że wszelkie objawy serdecznej litości, współczucia ze strony bliźnich... drażnią, denerwują, obrażają nieledwie. W takim nastroju byłem właśnie. Rewanżując się Mafaldzie Martini za wtajemniczenie w historię nieszczęsnego afektu jej syna, opowiedziałem jej z równą szczerością dzieje swojej miłości oraz zerwania z Haliną, lecz wszelakie okrzyki, westchnienia, objawy litowania się nade mną były mi przykre, były nieomal profanacją najintymniejszych, najbardziej osobistych moich uczuć.

3 3 64 0 2 108 1 ff 1 74 1

- Już pan odchodzi? - rzekła, choć oczy jej pytały wyraźnie: "Gniewasz się? Obraziłam cię może?"

- Muszę wracać do redakcji, Mrs. Martini.

- Aha, trudno... Nie mogę pana zatrzymywać, choć rada bym bardzo, Bóg mi świadkiem... Tak się przywiązałam do pana, jakby do własnego dziecka... Pan naprawdę taki dobry dla mnie - przymilała się biedaczka, lecz ja zaciałem się już w głupim uporze.

- Rzeczywiście nie mogę dziś dłużej tu zostać. Mam pilną konferencję, nawał pracy - łągałem, gadając co ślina na język przyniosła.

- Ale jutro odwiedzi mnie pan chyba, prawda?

- Postaram się... Tak, jutro będę mógł dłużej zabawić - odparłem, zaglądając z wstrętną obłudą do notesu.

- A niech pan nie zapomni przynieść z sobą owego listu, pisanego wówczas do Miss Horskowej, oraz wszystkich tych dowodów.

- Nie zapomnę, proszę pani - odrzekłem z chłodnym ukłonem, uważając to za nową zniewagę... "Nie dowierza mi jednak. Chce się przekonać, czy nie skłamałem" - rozmyślałem w czasie drogi przez długi korytarz lecznicy, nie przeczuwając jak szalachtetne są intencje czcigodnej Mafaldy Martini... Ano, zawsze człowiek sądzi bliźnich według siebie i krzywdzi ich bardzo często dzięki temu...

Nazajutrz przyniosłem jej żądane "dokumenty", a przede wszystkim adres Haliny Horskowej,

podany mi przed godziną
telefonicznie z biura
"Security".

- Jakże mam panu dziękować -
wybuchnęła, ściskając mi dłonie.

Pielęgniarka wezwana do
współpracy zdziwiła się trochę,
dlaczego listu po Miss Horska
nie chcą pisać ani
zainteresowana osoba, to jest
Mrs. Martini, ani ja wreszcie,
lecz zadowolili się
oświadczeniem, że chodzi w tym
wypadku o zrobienie
niespodzianki.

- Tak, tak, to ma być
niespodzianka - powtarzała
Mafalda słowo w słowo za mną,
czerwieniąc się przy tym
kompromitująco... "No, ta już
kłamać naprawdę nie potrafi"...
pomyślałem sobie wtedy.

Tego dnia list odszedł do
Buffalo. Pod moim dyktandem
pisała w nim Ruth Bixby (tak
brzmiało nazwisko pielęgniarki),
że pewna staruszka, która uległa
ciężkiemu wypadkowi
samochodowemu znajduje się w
lecznicy i prosi gorąco Miss
Horską o możliwie natychmiastowe
przybycie do swego łóża, że ona
(Ruth Bixby) uważa ze swej
strony za wskazane poprzeć
powyższą prośbę, ponieważ
pacjentka przywiązuje niezmierną
wagę do zobaczenia Miss Horskiej
i że to może wpłynąć najbardziej
dodatnio na stan jej zdrowia.
List kończył się prośbą, by Miss
Horska o dniu oraz godzinie swej
wizyty zawiadomiła uprzednio
podpisaną, która jest
pielęgniarką właściwej
pacjentki.

Dwa dni przeszły na
oczekiwaniu, które mnie
denerwowało, nie wiedzieć
dlaczego, a biedną panią Mafaldę
wyczerpywało wprost i wytracało
z równowagi ducha.

- Nie przyjedzie... Domyśliła się, przeczuła - narzekała z początku, a potem ogarnęła ją nowa "idee fixe": - Oni pana oszukali, ci detektywi... Podali pierwszy lepszy zmyślony adres, byle tylko wyciągnąć pieniądze... Kto wie, czy ona w ogóle w Buffalo mieszka.

Wreszcie dwudziestego trzeciego listopada pod wieczór, kiedy miałem właśnie opuścić niepokieszoną Mrs. Martini i powrócić do redakcji, weszła do separatu z wawym krokiem Ruth Bixby... Już po jej uśmiechu poznałem, że przynosi dobrą wiadomość.

- Oto depeza, jaką otrzymałam przed chwilą - rzekła, podając nam rozpostarty blankiet telegramu, który trzymała za plecami, jakby się z nami chciała droczyć. - Przepraszam bardzo, że go otworzyłam i przeczytałam, ale telegram wywiera zawsze takie wrażenie, iż człowiek na chwilę o wszystkim zapomina.. Dopiero kiedy zobaczyłam podpis, zorientowałam się, że to odpowiedź na list, jaki wysłałam w pani imieniu.

Słuchałem jej tłumaczenia się piąte przez dziesiąte, czekając niecierpliwie aż Mafalda Martini ukończy czytanie. Ukończyła je szybko na moje szczęście i rozpromieniona, roześmiana podała mi blankiet. Rzuciłem nań okiem.

- Więc jutro - rzekłem jakimś nieswoim głosem, objawszy w jednym spojrzeniu niedługą treść depezy.

- Jutro - cieszyła się staruszka... jutro, Mr. Bronson, ujrzę ją i mój Giovannino będzie zrehabilitowany w jej oczach.

Nie chciałem biedaczki martwić uwaga, że może Halina nie

pozwoili się przekonać tak łatwo.

- A zatem - powiedziałem po chwili, zabierając się do odejścia - zatem nie zobaczymy się jutro, Mrs. Martini.

- Dlaczego, drogi panie?

Wzruszyłem lekko ramionami zniecierpliwiony trochę jej naiwnością, czy brakiem pamięci.

- Byłoby grubą niedelikatnością z mej strony - zacząłem - narzucać się pannie Horskowej, lub co gorsza zmuszać ją, by mi podała rękę przez wzgląd na panią... Wolę jej oszczędzić tej przykrości.

- Więc nie odwiedzi mnie pan w czasie jej pobytu w Nowym Jorku?

- Rad bym, ale to naprawdę niemożliwe... Kiedy Halina odjedzie na powrót do Buffalo, Miss Bixby - tu zwróciłem się do pielęgniarki, która miała minę jak na tureckim kazaniu - Miss Bixby zatelefonuje do mnie, do redakcji na znak, że już mogę przyjść tutaj.

Mafalda Martini uśmiechnęła się tajemniczo.

- Niech i tak będzie - przystała, potakując pionowym ruchem głowy. - Miss Bixby zatelefonuje, kiedy pan będzie mógł przyjść tutaj.

W drodze do redakcji obmyśliłem sobie plan działania na jutrzejszy dzień. Byłem zdecydowany unikać wszelkiego zetknięcia się, spotkania, czy rozmowy z Haliną, ale wyrzec się jedynej, może ostatniej już sposobności by zobaczyć ją choćby z daleka, to było ponad moje siły. Więc cały mój wysiłek myślowy szedł w kierunku, aby znaleźć sposób, który pozwoliłby mi ujrzeć tę, co tak zaważyła w mym życiu, nie tylko ujrzeć,

lecz patrzeć długą chwilę i
nasyścić stęsknione oczy, a
jednocześnie nie być przez nią
widzianym... Ucharakteryzować
się i iść za nią krok w krok?
Ten pomysł wydał mi się nazbyt
kinowy. Raczej podjechać pod
bramę lecznicy w limuzynie,
zapaść firanki, przylepić
twarz do szyby i czekać, aż...
policjant nie poleci usunąć auta
sprzed podjazdu szpitala -
parsknął Ralph_dziennikarz, zaś
jego brat bliźniak
Ralph_gentleman zachichotał mu
do wtóru subtelnie sarkastycznym
śmiechem.

W moim gabinecie redakcyjnym
zostałem Dicka. Gospodarował w
najlepsze w stertach
nagromadzonych na biurku
papierów, otaczając się
prawdziwymi chmurami dymu
tytoniowego. Spotkawszy mój
wzrok, w którym zdziwienie
zaprawione było lekką domieszką
ironii, odpowiedział domyślnie
na niewyrzeczone ustami pytanie.

- Sprawdzam, czy masz
rzeczywiście tak wiele roboty i
stwierdzam niniejszym, że mój
pan zięć trochę bujał z owym
rzekomym nadmiarem pracy. Nie
jest wcale źle, Ralphku.

- Nie rozumiem cię. Od kogo ta
wiadomość?

- Od kogóżby, jak nie od mej
córy. Naopowiadałaś swej żonie
niestworzonych historii, że cię
zamęczam robotą, że całą moją
pracę zważyłem na twoje barki,
że skutkiem tego musisz w
redakcji nocami przesiadywać
itd., a łatwowierna Dolly
napadła mnie dzisiaj i zmyła mi
głowę, między nami mówiąc,
zupełnie niezasłużenie.

- Jestem naprawdę rozczulony
troskliwością Dolly o moje
zdrowie, ale nie przypominam
sobie, abym ją prosił o
interwencję. Gdybym uważał, że

jestem przeciążony pracą...

- No, dajmy już temu spokój -
wtrącił pojednawczo - nie ma o
czym mówić i proszę cię bardzo,
nie poruszaj już tego tematu
przy Dolly. Chciała jak
najlepiej i robiąc jej jakieś
wymówki wyrzuciłbyś jej wielką
przykrość... no i mnie byś
naraził na piekło w domu. Sam
wiesz, że matka z nią zawsze
trzyma, a wszystko się na mnie
później skrupia, he, he, he, he!

Była to wesołość wymuszona,
gdyż Dick siedział dość głęboko
pod pantoflem a nie mniejszy
respekt miał przed kapryśną i
apodyktyczną jedynaczką. Toteż
widok jego niepewnej miny, jego
widocznego przestachu,
rozśmieszył mnie szczerze.

- Trzymam cię, bratku w ręce -
powiedziałem, klepiąc go po
ramieniu. - Zadrzyj tylko ze
mną, a będziesz miał na drugi
dzień ładną scenkę w domu.

Mrugnął chytrze i chwycił mnie
palcami za ucho.

- Trzymamy się nawzajem, drogi
zięciu, bo niech no ja pisnę,
jaka jest właściwa przyczyna
tego, że musisz wieczorami w
redakcji wysiadywać, he, he, he!

- Nie rozumiem, co masz na
myśli...

- Rozumiesz doskonale, bo już
ci mina zrzędła, he, he, he. A
dokąd to robimy eskapady
kilkugodzinne każdego
popołudnia, he? - spytał,
podnosząc się na palcach
komicznie i spojrzał na mnie
triumfująco.

- Hm - chrząknąłem, nie mając
ochoty wtajemniczać go w
historię Mrs. Martini.

- Hm! - powtórzył i nagłym
ruchem wyciągnął dłoń do

kordialnego uścisku... -
Proponuję pakt wzajemnej
nieagresji.

- Przyjmuję - odparłem z
humorem i chwilę później
siedzieliśmy razem przy biurku w
najlepszej zgodzie, omawiając
wspólnie projekt utworzenia
filii "MORning News" w Chicago.

- Trzeba by zbadać warunki na
miejscu - rzekł Dick w pewnym
momencie... - byłoby wskazane,
abyśmy się razem tam kopnęli na
jakie dwa, trzy dni... Jak
myślisz?

- Owszem - przytaknąłem -
możemy pojechać.

Szybkim, właściwym sobie
ruchem wyjął lub raczej wyrwał
Campbell notes z kieszeni
marynarki, zagłębił się w
czytaniu treści kilku stron i
nagle klapnął mnie w kolano tak
przyjaźnie, że mimowolnie
syknąłem.

- Zrobione - zawyrokował
krótko... - jedziemy dziś w
nocy!

- Oooo? Niemożliwe! -
krzyknąłem, bowiem niby
chłaśnięcie bicza trzasnęła mnie
myśl: "nie ujrzysz Haliny"!

- Dlaczego, niemożliwe? -
dziwił się, zerkając na mnie
spod oka. - Kto nie chce, aby go
konkurencja ubiegła, kto lubi
zrobić dobry biznes, musi swe
zamiary natychmiast w czyn
wprowadzić. Inaczej na nic.

- No, owszem, zgoda na to, ale
dzień, czy dwa zwłoki, hm, hm...
cóż ci tak zależy na tym, żeby
już dzisiaj jechać?

- A tobie dlaczego zależy na
tym, aby dziś nie jechać, tylko
później? - odwrócił moje
pytanie.

- Widzisz, nie lubię głupich niespodzianek... Ani się człowiek uczciwie nie spakuje, ani nie wyśpi, bo przecież w ostatniej chwili nie dostaniemy "slipa", ani...

- Kto? Ja nie dostanę? - huknął, chwytając słuchawkę z impetem - zaraz się przekonasz!

No i w pięć minut później znowu triumfował, wysyłając boya redakcyjnego po bilet zarezerwowanego telefonicznie przedziału w jednym z wagonów sypialnych nocnego ekspresu do Chicago.

- Źle byłoby na świecie - perorował gestykulując z właściwym sobie temperamentem - gdyby Dick Campbell musiał naprzód zamawiać głupi sleeping. Jadę zawsze wtedy, kiedy mi przyjdzie ochota i wygodne łóżko dla mnie musi się znaleźć, choćby im przyszło specjalny wagon doczepiać.

- Za co byś specjalnie dopłacił.

- I to się opłaci, mój drogi. Więc żebyś był na jedenasta gotowy... Zabawimy dwa dni przypuszczalnie, a wrócimy samolotem - dodał, podnosząc się z fotela.

Zirytowany trochę jego narwanym pośpiechem, zatrzymałem znikającego za drzwiami chłopca i poleciłem mu poczekać chwilę w przedpokoju.

- Na co? - spytał Dick, podnosząc brwi wysoko.

- Na to, że nie wiem jeszcze, czy z tobą pojedę. Muszę się najpierw porozumieć z żoną.

- Pozwól, że cię w tym wyęcę - rzekł, wyciągając znów dłoń po słuchawkę i już krzyczał w telefon numer telefonu naszej

willi.

To mnie naprawdę rozgniewało.

- Daruj, że ci się nie pozwolę tym razem wyręczyć - wycedziłem zjadliwie, a słowa te poparłem takim spojrzeniem, że oddał mi słuchawkę bez protestu.

Ale kiedy posłyszałem głos Dolly w mikrofonie, nie wiedziałem faktycznie, od czego zacząć.

- Słuchaj, darling... dokąd to mieliśmy się wybrać dziś wieczór? - łąkałem, jakając się fatalnie... - Nie pamiętasz? Przecież wspomniałaś wczoraj, czy przedwczoraj - wmawiałem w nią z rozpaczliwą nadzieją w sercu, że mnie jakoś wybawi od niespodziewanego wyjazdu z Nowego Jorku. Ale Dolly była przeraźliwie niedomyślna i powtarzała do znudzenia swoje. - Na pewno nie, my honey... coś ci się chyba pomyliło, nie mieliśmy żadnych planów na dzisiejszy wieczór.

Do pasji mnie przy tym doprowadzał widok Dicka. Udawał, iż słucha z nabożeństwem, ale dusił się wewnątrz od śmiechu.

- Ha - zasyczałem wreszcie z wściekłością - skoro twierdzisz, że nie mieliśmy żadnych planów na dzisiaj, to bądź łaskawa polecieć, aby Mike spakował natychmiast moją walizę... Tak walizę. Wyjeżdżamy z Dickiem do Chicago na kilka dni. Do Chicago, mówię wyraźnie! Na drogę wezmę sportowe ubranie, smoking i popielaty garnitur do walizy, wraz z odpowiednią ilością bielizny... A na drugi raz, moja Dolly, jeśli mnie będziesz prosiła, bym ci poświęcił wieczór, zapisz to sobie, skoro masz tak słabą pamięć - dodałem na zakończenie i odłożyłem słuchawkę.

- Więc ostatecznie... jedziesz ze mną.

- Tak, Dick... Jadę z tobą do Chicago, do diabła, w ogóle, gdzie zechcesz... Tylko w przyszłości bądź łaskaw nie ubierać mnie w jakąś tam podróż, nie powiadamiając mnie o tym przynajmniej na dwa dni przedtem.

Już o wpół do dwunastej zasnął Dick snem sprawiedliwego. Mógł spać szczęśliwiec, mógł się przez sen uśmiechać rozkosznie, jak dziecko do czekoladki. Ale mnie nie było do snu. Wiedziałem, że do świtu oka nawet nie zmruję. I nie zasnąłem, choć powieki mi się kleiły ze zmęczenia, choć monotony stukot kół wagonu był zawsze moją najulubieńszą kołysanką... Oto oddlałem się z każdą sekundą od miejsc, po których jutro, ach, za kilka godzin zaledwie będzie stapać ona... Halina! Jedzie do znieawidzonego przez się miasta tylko dlatego, że wezwano ją do łoża chorej staruszki. Gdyby nie to, nie przyjechałaby na pewno. Nazbyt wiele smutnych wspomnień łączy ją z Nowym Jorkiem: tu straciła rodziców, tu przeżywała chwile bezmiernej trwogi o życie ukochanego człowieka, drżąc, by zakochany szaleniec nie wykonał swej groźby, tu żegnała swego Waltera, kiedy startował do ostatniego lutu, tu wreszcie spotkała ją mimowolna, lecz ciężka krzywda z mej strony. Więc nienawidzi tego miasta, ucieknie stąd czym prędzej; wszakże wyprowadziła się do Buffalo tylko dlatego, aby być z dala od tych miejsc, tak bogatych w przesmutne, bolesne dla niej wspomnienia. I kiedy ona przyjeżdża tu na dzień, może na dni kilka nawet... ja stąd odchodzę, zaprzepaszczając

jedyną sposobność ujrzenia jej,
spojrzenia choć przelotnie w jej
cudne, niezapomniane oczy...

Czyż mogłem tedy zasnąć i spać
spokojnie jak Dick, skoro takie
myśli opadły mnie niby rój
pszczół rozsierzdzonych?

Aż nagle przemknęło mi przez
mózg przypuszczenie, godne
fatalisty, jakim byłem w tym
okresie życia: "Widać
przeznaczenie tak chciało. Widać
tak było lepiej i dla ciebie i
dla niej przede wszystkim. Bo
sam się zastanów, jakie
następstwa mogłyby stąd wynikać
dla was obojga... Na pozór
żadne, bowiem każde z was poszło
już własnym torem, z którego
zbończyć za późno... a jednak
wielkie, gdyż u niej
odświeżyłoby się wspomnienie
doznanej krzywdy, u ciebie zaś
bezowocna tęsknota. Po co
jątrzyć rany, które czas z
grubsza zabił. Lepiej dla
niej, dla ciebie i dla Dolly, że
nie spotkacie się już z sobą, że
los rozdziela was znowu murem
potężnej przestrzeni, którą
każdy obrót kół pociągu jeszcze
powiększa".

Zrezygnowanym ruchem opuściłem
głowę na piersi... - "Może i
lepiej, że nie ujrzę nigdy
Haliny", wyszeptalem ze
smutkiem, lecz bez przekonania.
I kiedy minutę później
przeraźliwie posępny świst
targnął powietrzem, wydało mi
się, że to odgłos buntu,
wrzącego w mej duszy, że to
groźna zapowiedź nadciągającej
burzy, a nie zwykły sygnał
parowozu...

Sprawa założenia "Chicago Morning News" załatwiona definitywnie. Dopóki pismo nie stanie mocno na nogach, będziemy tu musieli przyjeżdżać co jakiś czas, raz Dick, raz ja, na przemian. Naczelnym redaktorem zostanie prawdopodobnie Taylor, "póki się jakaś cięższa głowa nie znajdzie", jak powiada mój teść, który sobie złote góry po nowym dzienniku obiecuje. Znajac jego talent organizatorski oraz szczęśliwą rękę w doborze ludzi, jestem skłonny uwierzyć, że biznes będzie dobry.

Dick zabawił w Chicago tylko dwa dni, ale mnie, nieboraka obarczył tyloma zajęciami, że powróciłem do Nowego Jorku dopiero trzydziestego listopada. Kiedy z dworca zadzwoniłem do niego i zacząłem rozmowę od stereotypowego "co słyhać", odpalił w swój rubaszny sposób:

- A cóż by? Roboty huk, będziesz teraz musiał naprawdę kilka wieczorów posiedzieć przy biurku... no a poza tym jakaś lecznica rozbija się za tobą. Dwa razy dziennie telefon. Miss Pixby, czy Kixby.

- Może Bixby?

- Coś takiego, w każdym razie. Otóż ta Miss Bixby nie daje mi żyć... Wciąż dopytuje się, kiedy przyjedziesz... Musiałeś jej dobrze wleźć za skórę, stary bałamucie... poczekaj, powiem Dolly.

- Zdaje mi się, że ktoś prosił o zawarcie paktu nieagresji - odparłem, nie przejmując się zbytnio tą wiadomością. Skoro pielęgniarka Mrs. Martini telefonowała do mnie, to nieomylny znak, że Halina odjechała. Zaczna staruszka zatęskniła widać za mną... Odwiedzę ją oczywiście jeszcze

dzisiaj, ale nie pojedę przecież do niej prosto z dworca.

- Ja tylko żartowałem, he, he, hze, he! - chrząścił w mikrofonie śmiech Dicka...
Lincoln czeka na ciebie przed dworcem... Czy pojedziesz zaraz do domu, czy zajrzysz przedtem do redakcji?

- Ty wolałbyś to drugie, co?

- Pewnie, he, he, he.

- No więc zrobię ci tę przyjemność... Zatem, do miłego zobaczenia się... "Good bye".

Lincoln czekał naprawdę, dziwnie wilgotny, że nie powiem: zabłocony. Bo rzadki gość zjechał przed kilkoma dniami w te strony, nieczęsty w ogólności, zaś niezmiernie rzadki o tej porze...
mianowicie: śnieg. Toteż poleciłem umieścić walizę na tylnym siedzeniu, i aby mi było cieplej, zająłem miejsce koło szofera, który nie taił radości z powodu mego powrotu i zabawiał mnie rozmową w najlepsze.

- Jak się panu podoba nasza miejscina na biało? Ładna, prawda?

Nie wiem, co tam ględził dalej, nie pomnę, czy i co odpowiedziałem, bowiem cała moja uwaga ześrodkowała się w jednej myśli: tutaj była Halina, była, lecz odjechała już i prawdopodobnie na zawsze. Więc smutnymi spojrzeniami wodziłem po mijanych w drodze drapaczach, wystawach, drzewach, latarniach, zazdroszcząc im, że były szczęśliwsze ode mnie, że widziały ją, że może nawet jej wzrok na nich spoczywał przez chwilę, chociażby przez ułamek sekundy... A poczciwy John zmarkował od razu, iż nie jestem usposobiony do pogawędki, nie spytał o nic więcej i dopiero

kiedy zajechaliśmy przed gmach
"N. Y. Morning News", trącił
mnie delikacie w łokieć.

- Co? Co? - rzekłem, patrząc
nań dość nieprzytomnie.

- Jesteśmy na miejscu, proszę
pana - odparł z wyrozumiałym
uśmiechem, który zdawał się
mówić: "Aleś spał zdrowo.
Musiała cię podróż dobrze
zmęczyć".

Nie potrzebuję chyba dodawać,
iż nie spałem zupełnie, choć
moja głęboka zaduma miała wiele
wspólnych cech z smutnym,
wyczerpującym snem.
Oprzytomniawszy wreszcie,
poleciałem szoferowi wprowadzić
wóz do garażu redakcyjnego.

- Za jakąś godzinę odwieziecie
mnie do domu - dodałem
otwierając drzwiczki...

- Ach, Mr. Bronson! -
zabrział tuż za mną przemiły
głos kobiety. "Znajomy głos"
przemknęło mi przez myśl
błyskawicznie...

Zrobiłem energiczny zwrot na
pięcie i zatoczyłem się w tył
tak gwałtownie, że plecy moje
zatrzasnęły uchylone drzwiczki
samochodu, a ja sam omal nie
usiadłem na błotniku.

Przede mną stała Halina Horska
albo jej duch, albo sobowtór!

- Poznał mnie pan, jak widzę -
przemówiła z swym niezrównanie
ujmującym, słodkim, lecz zarazem
melancholijnym uśmiechem i
wysunęła dłoń na powitanie.

Jeszcze nie wierzyłem oczom.
Obejrzałem się na Johna, który
obserwował moje zachowanie się
nie bez zdziwienia,
prześlizgnąłem się przelotnym
spojrzeniem po sylwetkach
przechodniów, po chodniku, po
olbrzymich szybach wystawowych

"Morning News", aby się
upewnić, że nie ulegam
złudzeniu, że to nie sen, ale
rzeczywistość radosna, potem
przeniosłem zdumiony wzrok na
twarzyczkę Haliny. Ująłem
nieśmiało, jakby z lękiem jej
dłoń i... podniosłem ją niemal
na wysokość oczu.

- Ależ to ja, ja z pewnością -
rzekła, ściskając moje palce po
swojemu, mocno, serdecznie, jak
kolega koledze.

- Pa_ni - wykrztusiłem z
biedą, gdyż wzruszenie zdusiło
mi krtań, zamykając w ciąsnym
więzieniu płuc słowa, które się
rwały na wolność, które chciały
wystrzelić pod niebo w
dziękczynnym hymnie i radosnym
okrzyku.

- Ponieważ na wszystkie
telefoniczne zapytania
odpowiadano nam stereotypowo, że
pan wyjechał z Nowego Jorku -
zaczęła, pragnąc snadź wyjaśnić
powody, dla których mnie
zaczepiła na ulicy - przyszliśmy
do przekonania, że zapewne nie
chce pan przybyć do lecznicy,
lub mówiąc ściśle, chce pan
uniknąć spotkania ze mną i
dlatego polecił pan odpowiadać,
że go nie ma w mieście, Wobec
tego wybrałam się do redakcji,
aby pana "doprowadzić"
osobiście.

- Więc pani szła po mnie?

- Tak i los sprawił, że
spotkałam pana przed budynkiem
redakcji. Nie może się pan już
ukryć i kazać powiedzieć, że go
nie ma.

- Ależ ja bynajmniej, to
jest... owszem... nie było mnie
kilka dni... o widzi pani?
Waliza jeszcze leży na
siedzeniu. Prosto z dworca
wracam... John może poświadczyć
- jąkałem się beznadziejnie mnąc
kapelusz w dłoniach.

- Zatem jedźmy do szpitala,
nie tracąc cennego czasu. A może
jest pan teraz bardzo zajęty.

- Nie, nie - zaprzeczyłem
skwapliwie, ślubując sobie w
duchu, że choćby się gmach
redakcji walił w gruzy, choćby
Dick Campbell w moich oczach pod
auto wleciał, nie odstąpię ani
na krok Haliny, dopóki mi sama
nie każe pójść precz.

Drżącą ręką nacisnąłem klamkę
tylnych drzwiczek lincolna.
Odemknałem je, wykonałem
zapraszający ruch ręką i
powiedziałem głosem już znacznie
pewniejszym, śmielszym, że użyję
tego określenia:

- Jestem wraz z autem do
dyspozycji pani, miss Halina.

- Czy mi się zdaje, że tym
wozem już raz jechałam? -
spytała, wskakując zręcznie do
samochodu, przy czym mignęła mi
przed oczami jej smukła, cudnie
utoczona lędzka, obciśnięta w
jedwab pończoszki.

- Nie myli się pani.
Jechaliśmy nim razem - odrzekłem
głęboko wzruszony. Wspomniałem
sobie naszą wspólną wycieczkę za
miasto tym samym lincolnem i
oczyrna duszy ujrzałem malowniczą
drogę nadbrzeżną, u stóp której
konały z cichym jękiem zmęczone
fale oceanu.

Auto ruszyło spod gmachu
"Morning News", łącząc się z
potężną rzeką pojazdów,
zdażających w stronę Fifth Ave.

I znowu ogarnęły mnie
wątpliwości, czy to sen czy
jawa. Niewątpliwie sen. Zmęczony
podróżą zasnąłem w samochodzie i
przyśniło mi się spotkanie z
Haliną. Bo czyż to możliwe, aby
po tym wszystkim co zaszło, ona
przyszła do mnie, by ścisłała
moją dłoń serdecznie i życzliwie

mi w oczy patrzyła?
Nieprawdopodobne. Więcej nawet,
bo niemożliwe! Więc lepiej nie
odmykać oczu, nie przerywać
sennego marzenia tak niebiańsko
pięknego, lepiej nie odwracać
głowy w tamtą stronę i łudzić
się dalej, że miejsce obok mnie
nie jest puste, że ona tu
siedzi... ona!

Piekielny łoskot
przelatujących nad głowami
wagoników "elevated" rozwarł
przemocą moje zaciśnięte
kurczowo powieki. Obudziłem się.
"Cudny sen przysł jak bańka
mydlana", przemknęło mi przez
myśl, lecz kiedy spojrzałem w
bok z lękiem, doznałem wstrząsu.
Ona siedziała przy mnie,
siedziała tak blisko, że ramiona
nasze dotykały się mimo woli.
Wówczas nerwy odmówiły mi
posłuszeństwa. Nagłym ruchem
pochwyciłem jej dłoń w swoje
obie ręce i rwącym się głosem
zacząłem mówić szybko, krzyczęc
nieledwie:

- Niech pani odezwie się choć
słówkiem! Niech pani mnie
przekona, że to nie sen, lecz
rzeczywistość najszczęśliwsza,
że pani jest tutaj naprawdę!

Spojrzała na mnie i
uśmiechnęła się przyjaźnie:

- Jestem, Mr. Bronson -
odparła cicho, łagodnie.

- I po tym co zaszło, pani...

- Mafalda Martini wyjaśniła mi
wszystko - wtrąciła z
niezrównaną prostotą.

Więc ona. Zaczna, anielsko
dobra staruszka ten cud
sprawiła. Jej zawdzięczam to
bezmierne szczęście... A ja
dotychczas nawet nie spytałem o
jej zdrowie... Lecz kiedy
uczyniłem to teraz czym prędzej,
piękna twarzyczka Haliny
posmutniała, spochmurniała,

jakby na nią padł cień czarnego
obłoku, co burzy początek
zwiastuje.

- Czyżby się pogorszyło? -
spytałem zaniepokojony. - Nie,
to niemożliwe... Kiedy
wyjeżdżałem, miała się bardzo
dobrze. Miss Bixby ręczyła mi,
że przed Bożym Narodzeniem
będzie mogła lecznicę opuścić.

- Niestety - westchnęła. -
Wiele się zmieniło w czasie
pańskiej nieobecności. Mam
wrażenie, że biedna Mrs. Martini
zbliżyła się szybko do kresu swej
doczesnej wędrówki.

- Jak to się stało, na Boga!
Niechże mi pani powie.

- Jak to się właściwie stało,
tego sama nie wiem. Odwiedzałam
ją codziennie, przesiadując przy
jej łożu po kilka godzin. I
kiedy przedwczoraj wieczorem
wychodziłam z separatki nr 48
nic nie zapowiadało tak wielkiej
zmiany na gorsze. Wprost
przeciwnie, pani Mafalda czuła
się znakomicie, żartowała sobie,
że będzie na moim weselu - tu
śliczny rumieniec zaróżowił
policzki Haliny. Umilkła na
chwilę, potem zaś, aby pokryć
zmieszanie zaczęła mówić
szybciej, unikając przy tym
uporczywie mego wzroku - słowem,
wszystko wskazywało na to, że
stan zdrowia chorej polepszy się
w szybkim tempie... Toteż może
pan sobie wyobrazić moje
przerażenie, kiedy nazajutrz, to
znaczy wczoraj, nie wpuszczono
mnie do separatki i kiedy panna
Bixby oświadczyła mi z
zatroskaną miną, że staruszka
zaziębiła się poważnie.

- Zaziębiła się? W jaki
sposób? Czy okno pozostawiono na
noc otwarte? Byłoby to
karygodnym niedbalstwem!

- Właśnie z tym oknem, to cała
zagadka. Pielęgniarka zapewniła

mnie, że wywietrzywszy pokój z wieczora, własnoręcznie okno zamknęła. Nie mam powodów jej nie wierzyć. Oziębilo się przecież kiedy śniegi spadły do tego stopnia, że przy tak niskiej temperaturze nawet ja nie sypiam z otwartymi oknami, choć jestem nie najgorzej zahartowana. Jakże więc w szpitalu, gdzie nie mają nic innego do roboty, jak chuchać na pacjentów, mogli popełnić podobną lekkomyślność.

- Jednakże zdarza się często, że właśnie w szpitalach, gdzie opieka winna być najtroskliwsza...

- Nie, nie - zaprzeczyła z żywością. - Na pewno nie, Mr. Bronson... Miss Bixby dała mi słowo i wierzę jej świącie. Poza tym dyżurna pielęgniarka zachodziła w nocy dwukrotnie do separatki Mrs. Martini. Ona także twierdzi stanowczo, że okno było zamknięte.

- A kiedy rano przyszła, otworzyło się jakimś cudem - prawda? - powątpiewałem.

- Rano zastali je otwarte na oścież, a biedną panią Mafaldę zemdloną na ziemi w połowie drogi pomiędzy łóżkiem a oknem.

I bardzo szczegółowo powtórzyła mi Halina relację pielęgniarki Ruth Bixby, która pierwsza spostrzegła co zaszło i przywoławszy kogoś do pomocy przeniosła czym prędzej nieprzytomną, zziębniętą staruszkę do łóżka.

- Więc ona sama je odemknęła? - rzekłem.

- Innego rozwiązania zagadki nie widzę, ale w jaki sposób zdołała się ta biedaczka zwlec z łóżka bez niczyjej pomocy, dojść do okna, otworzyć je i tak dalej, tego nie rozumiem. Była

przecież tak osłabiona.

- I ze złamaną nogą.

- Lecz po co to zrobiła? W jakim celu? Separatka była przewietrzona jak zawsze przed nocą i jak się pan sam niebawem przekona, duszno tam nie jest... Raczej za chłodno.

- Może ona chciała się zaziębić? - przypuszczałem.

- Jak to pan rozumie?

- Po prostu chciała sobie skrócić życie.

- Wykluczone, Mr. Bronson! Osoba tak wierząca, tak pobożna jak ona, miałyby...

- Byłoby podłością z mej strony - przerwałem jej - rzucać na nią jakiegokolwiek podejrzenie, lecz z drugiej strony ta okoliczność, że Mafalda Martini jest nieledwie dewotką przemawia za słusnością mego przypuszczenia.

- Mianowicie?

- Mianowicie ta kategoria osób nie targnie się nigdy na swoje życie przez zastosowanie jakiegoś radykalnego sposobu, jak kula, nóż, sztylet, trucizna, czy coś w tym rodzaju, lecz uprzykrzywszy sobie smutną vegetację "na tym łez padole" posłuży się chętnie łagodną metodą samobójstwa, metodą, która pozostawia dość czasu na przebłaganie Boga i uporządkowanie ziemskich interesów. Kto wie tedy, czy czcigodna Mrs. Martini, uważając, że spełniła swe posłannictwo przez rehabilitowanie opinii zmarłego syna w oczach pani, uważając, że nie ma już po co ani dla kogo żyć dłużej, nie zapragnęła nabawić się zapalenia płuc, które w jej wieku równa się

katastrofie...

- Nie, nie, stanowczo -
upierała się Halina - Mafalda
chciała żyć, chciała
wyzdrowieć... Gdyby pan znał jej
plany na przyszłość, jej
marzenia, nadzieje, nie wątpiłby
pan o tym ani przez chwilę.

Dlaczego ona się znowu
zaczerwieniła aż po oczy? Czy
owe plany na przyszłość zacnej
staruszki dotyczyły nas dwojga
może?

- Więc - rzekłem, kiedy
kłopotliwe milczenie zaciążyło
nam obojgu - więc od
przedwczoraj nie widziała jej
pani?

- Owszem, byłem u niej
dzisiaj. Właśnie odzyskała
przytomność i pierwsze jej
pytanie było, czy Mr. Bronson
już powrócił. Kiedy
odpowiedziałam przecząco,
posmutniała ogromnie i zaklęła
mnie na wszystkie świętości,
abym po pana zatelegrafowała i
sprowadziła go do jej łóżka czym
prędzej. W tym celu właśnie
udałam się do "Morning News",
podejrzewając zresztą, że pan
wcale z Nowego Jorku nie
wyjechał.

- A co mówią lekarze,
pielęgniarka? Czy stan jej budzi
naprawdę obawy?

- Ach, lekarze! Lekarze to
dziwni ludzie. Rozmawiałam
dzisiaj z dyżurnym lekarzem, bo
prymariusz był zajęty. Najpierw
przeszył mnie wzrokiem i spytał,
czy jestem krewną Mrs. Martini.
Kiedy zaprzeczyłam, wzniósł
oczy ku sufitowi, jakby tam
szukał natchnienia, po czym
obwieścił mi uroczystym głosem
genialny wyrok: - Dobrze nie
jest, ale miejmy nadzieję.

- Tyle tylko powiedział?

- Tyle, lecz namyślał się
dobre dwie minuty nim
wypowiedział te ważne słowa.
Może pan z nich więcej
wydobędzie.

- Spróbuję - odparłem i
dodałem z uśmiechem - ale pani
niezbyt kocha lekarzy, jak z
tego widzę.

- Niech się pan nie dziwi memu
uprzedzeniu. Niezbyt świeżo mam w
pamięci śmierć swoich rodziców,
abym się mogła znowu do nich
przekonać. Gdyby chociaż
uratowali matkę - westchnęła i
umilkła.

Uszanowałem jej smutną zadumę,
nie rzekłem już ani słowa i tak
zajechaliśmy przed gmach
lecznicy.

Ruth Bixby ucieszyła się na
mój widok.

- Jak to dobrze, że pan dał
się nakłonić i przyszedł.

- Ach, więc pani także
sądziła, że mój wyjazd do
Chicago był tylko wymówką; ładne
macie o mnie wyobrażenie... A
jakże się tu miewa Mrs. Martini?

Spojrzała na Halinę, jak gdyby
ją zapytywała wzrokiem, czy już
wiem o wszystkim. Kiedy zaś ta
skinęła głową leciuteńko,
odparła, zwracając się do mnie:

- O tym pomówimy później, Mr.
Bronson. Na razie musi pan
skorzystać ze sposobności, bo...
obawiam się, że potem będzie
biedaczka coraz częściej traciła
przytomność.

Weszliśmy więc razem do
separatki nr 48. Przy chorej
czuwała druga pielęgniarka,
którą Miss Bixby obecnie
zluzowała. Mafalda Martini
leżała na wznak, z oczami na
wzrost przymkniętymi. Poznała mnie
od razu i chciała się unieść z

właściwą sobie żywością, ale nie dopuściliśmy do tego. Potem usiedliśmy w fotelach, po obu bokach wysuniętego łóżka, ja z prawej strony, Halina z lewej, pielęgniarka stanęła w nogach, a zrozumiawszy widać treść spojrzeń pacjentki skinęła głową potakująco i ruszyła w stronę drzwi.

- Nie chcę państwu przeszkadzać, rzekła - ale z góry zaznaczam, że na dłuższą rozmowę nie będę mogła pozwolić. Zaczekam na korytarzu i za jakie dziesięć minut wejdę tu z powrotem - powiedziała i uśmiechnęła się porozumiewawczo, widząc, że spoglądam na zegarek.
- Pan wie najlepiej, że potrafię być stanowcza, prawda Mr. Bronson?

Dałem oczywiście potwierdzającą odpowiedź, pamiętając dobrze, ile już razy mnie wyprowadziła za drzwi, chociaż miałem niekłamana ochotę dłużej tutaj pozostać. Było to zwłaszcza w okresie moich pierwszych wizyt w szpitalu, kiedy pragnąłem poznać jak najprędzej tajemnicę Giovanniego Martini.

Po wyjściu pielęgniarki chora zwróciła się do mnie:

- Brzydal z pana - wyszeptała - Anglosasem jest, a zacięty jak Włoch, jak Hiszpan. Żeby się tyle dni nie pokazać.

Chciałem odpowiedzieć, lecz wyręczyła mnie Halina:

- Mr. Bronson był rzeczywiście nieobecny. Przyjechał tu niemal prosto z dworca. Jego waliza jest jeszcze w aucie - rzekła.

Podziękowałem jej wzrokiem, po czym takim samym tonem łagodnej wymówki, jakim Mafalda przemawiała do mnie, odparłem:

- Ale pani, droga Mrs. Martini, zrobiła wielką krzywdę nam i przede wszystkim sobie... Któż to widział być do tego stopnia lekkomyślnym i okno otwierać na noc przy takim zimnisku.

- Musiałam, on mnie wzywał.

- On? - spytałem, choć domyśliłem się od razu, że mówi o synu.

- Tak, Giovannino... Przyszedł... podziękował mi serdecznie, że spełniłam jego prośbę, pomógł mi się zwlec z łóżka, podprowadził mnie do okna, odemknął je, kazał iść za sobą i znikł mi nagle.

Halina wzdrygnęła się nagle, a mnie również ogarnął nastrój niesamowity, taka prawdomówność biła ze spojrzeń i słów staruszki, która odpocząwszy trochę, ciągnęła dalej głosem coraz cichszym, coraz słabszym:

- Wówczas stanęłam bezradnie, patrząc w ciemną otchań nocy, czającej się za otwartym oknem. Uczułam chłód przejmujący, zimne dreszczyki jęły mi przebiegać po krzyżu, od pięt, aż do głowy. Zawróciłam na powrót w stronę ciepłego łóżka, lecz gdzież takiej kalece iść samej. Pozbawiona silnego ramienia Giovanniego, straciłam wnet równowagę i runęłam na posadzkę. Widocznie zemdlałam skutkiem upadku, bo kiedy się zbudziłam, leżałam już w łóżku, a Miss Bixby stała przy mnie.

- Więc tak się rzecz miała - wtrąciłem z najpoważniejszą miną, udając, że daję wiarę jej opowiadaniu. Nie chciałem drażnić biedaczki i nie chciałem pozwolić, aby się męczyła mówieniem, przekonywaniem nas, zresztą daremnym. - Ale teraz będzie już wszystko dobrze. Pani najlepsi przyjaciele są przy

niej i będą czuwać, będą ją codziennie odwiedzać, póki pani nie opuści lecznicy.

- Opuzczę ją niebawem.
Giovanni mi to przyrzekł -
odrzekła z nieziemskim
uśmiechem, tak mogę powiedzieć
bez żadnej przesady, bowiem jak
myśli jej i spojrzenia bładziły
gdzieś z dala od naszej małej
planety, tak i jej anielski
uśmiech był już "nie z tego
świata".

Milczeliśmy oboje, milczała
dłuższą chwilę Mafalda Martini,
Aż posłyszawszy czyjeś kroki w
korytarzu drgnęła, ocknęła się z
swego zamyślenia, czy raczej
wizji.

- Trzeba się spieszyć -
wyrzuciła jednym tchem - może
jutro już będzie za późno... Czy
on wie? - spytała, zwracając
głowę z wyraźnym wysiłkiem w
lewo, gdzie siedziała Miss
Horska. A kiedy ta potwierdziła
skinieniem głowy, mówiła dalej z
nerwowym pośpiechem. - Zatem
nieporozumienie między wami
wyjaśnione... Cieszę się z tego
i jestem dumna, że mogłam się
choć w małej części przyczynić
do waszego pojednania, do
waszego szczęścia.

Halona spuściła oczy nisko, a
mnie serce waliło tak głośno, że
nie rozumiem jak one obie mogły
tego nie słyszeć.

- On bardzo cierpiał, droga
córeczko. Wszak nie pogniewasz
się na starą za tę poufałość.
Ani ty, Ralph, prawda? Twoją
matką mogłabym być równie. On
cię kocha, Halino i ty jego
nawzajem. Może nie zdajesz sobie
jeszcze sprawy z tego, ale tak
jest naprawdę. Gdyby ci był
obojętny zupełnie, nie wzięłabyś
sobie tak głęboko do serca
krzywdy, jaką ci wbrew woli
wyrządził. "Czuję doń tylko
sympatię", mówią twoje oczy,

lecz tam, w twoim dobrym
serduszkku kielkuje głębsze
uczucie. Tak, dziecino droga.
Pozbądź się fałszywej dumy i
wybacz, że wtrącam się w twoje
najbardziej osobiste sprawy. Ale
muszę, muszę was połączyć, zanim
odejdę na zawsze. Podaj mi dłoń,
córeczko... i ty, Ralph, podaj
mi swoją...

Nie wiem, która ręka drżała
bardziej w tym momencie, jej,
czy moja, ale posłuszne wezwaniu
tej, której dni mogły być
rzeczywiście policzone, wysunęły
się i spoczęły w gorących
palcach chorej.

Gdzieś w oddali zawarczał
silnik jakiegoś samochodu,
szpitalnego zapewne; karetka
pogotowia przywiozła snadź
jeszcze jednego nieszczęśnika,
który stracił największy
skarb... zdrowie. Więc
dochodziło, aż do tej cichej,
smutnej separatki echo odległego
trajkotania motoru, idącego na
zredukowanym gazie. A mnie się
wydało nagle, że ktoś
niewidzialny drwi sobie ze mnie,
i przypominając mi
rzeczywistość, skanduje wciąż w
kółko jedno słowo: Dolly, Dolly,
Dolly, Dolly.

- Ralph - zabrzmiał drżący
głosik Mrs. Martini - czy chcesz
poślubić Halinę?

Wydało mi się, że śnię. Wydało
mi się nagle, że stoję nad
głęboką przepaścią na skalnym
cyplu, który tylko wąska,
kołysząca się niepewnie kładka
łączy z bezpieczną wyżyną, gdzie
czeka z otwartymi ramionami,
ona, Halina! Chcę biec ku niej,
nie bacząc na straszne
niebezpieczeństwo, lecz jakies
kleszcze trzymają mnie w
miejscu. Nie kleszcze, ale
łańcuchy żelazne. Na próżno
usiłuję je przerwać. Za mną
śmieje się ktoś szyderczo.
Odwracam głowę i widzę tuż przed

sobą towarzysza potwora_maszynę,
maszynę rotacyjną z drukarni
"Morning News". Ach, znam ją
zbyt dobrze, bym się mógł
pomylić. Na jej szczycie siedzi
dobre małżeństwo i rzy ze
śmiechu. On, to Dick Campbel.
Jego szeroko otwarte usta
wyglądają jak paszcza
hipopotama, jego złote zęby
lśnią w słońcu złowrogo. Obok
niego Mrs. Campbell,
wybrylantynowana jak zwykle,
lecz bynajmniej nie sztywna.
Dusi się wprost ze śmiechu,
którego każdy dźwięk do mózgu mi
się wżera... Jeszcze ostatni
rozpaczliwy wysiłek... Stalowe
okowy pękają jak szkło i z
metalicznym łoskotem spadają po
stromej ścianie urwiska w
przepaść. Wzgardliwy śmiech
Dicka milknie natychmiast.
Jestem wolny, choć właściwie
jeszcze jakieś więzy łączą mnie
z zniechęconym, szarym cyplem.
Jest to cienki, złoty łańcuszek,
opasujący mnie w pół na
wysokości serca. Ten się nie
przerwał, ale też nie wstrzymuje
w pochodzie, wlokąc się za mną
wstęgą długą, błyszczącą w
słońcu; jego drugi koniec musi
być chyba gdzieś daleko poza
potworną maszyną. Mniejsza o
niego, skoro mi nie przeszkadza
w drodze ku szczęściu. Nucąc
pieśń triumfu i radości wpadam
na chwiejną kładkę. Idę pewnie
naprzód. Wiem, że nie stracę
równowagi, skoro tam czeka...
ona. Już połowę strasznej drogi
przebyłem. Pozostało ledwie parę
kroków, cztery, trzy, dwa... I
nagle staję jak wryty. Tuż
przede mną wyrosło jakieś
widmo... Walter Ashley!... On!
On na pewno. Znam tę twarz
doskonale. Tyle razy się w nią
wpatrywałem, zwłaszcza w okresie
rozłąki z Haliną... Więc to on.
Zagradza mi drogę i w milczeniu
wskazuje palcem coś, co
pozostało na tamtym, przeklętym
brzegu. Zahipnotyzowany jego
władczym ruchem, odwracam głowę
powtórnie... Tam stoi Dolly!...

Moja żona! Płacze cicho,
boleśnie. W opuszczonej wzdłuż
bioder dłoni zamigotało coś jak
złoto... Rozumiem... Ogniuwa
łańcuszka, jedyne, jaki się
jeszcze nie przerwał... A duch
Ashleya zbliża się i wypiera
mnie krok za krokiem z kładki...
Potem znika, znika również
potwór, maszyna i Dick, i jego
niesympatyczna małżonka,
pozostają tylko dwie rywalki,
Dolly oraz Halina i ja
niezdecydowany, niepewny dokąd
pójść... zawieszony nad czarną
otchłanią przepaści...

Całe to widzenie, cała ta
walka z sobą, z łańcuchami
wiążącymi mnie z dotychczasowym
życiem trwała zda się wieki,
lecz w rzeczywistości była
ułamkiem sekundy. Małym ułamkiem
zaledwie.

Ocknąłem się. Coś ktoś do mnie
mówił, pytał o coś... Ach, wiem
już, Mafalda Martini zapytała,
czy chcę poślubić Halinę.
Powiedzieć: nie, nie chcę, lub
raczej: nie mogę? Burzyć gmach
nadziei ciężko chorej staruszki,
ostatni zapewne w jej życiu?
Nie! Lepiej naśladować lekarzy,
którzy łudzą pacjenta i polecają
go nie drażnić, spełniać
przynajmniej pozornie każde jego
życzenie. Tak będzie najlepiej.
Później wyjaśnię Halinie
wszystko.

I kiedy przebrzmiało ostatnie
słowo pytania Mrs. Martini,
odparłem bez whania, bez chwili
namysłu głosem pewnym,
spokojnym, jak na mężczyznę
przystało:

- Chcę!

- A ty, córeczko - zwróciła
się do bladej jak opłatek
dziewczyny - chcesz jego za
męża?

- Tak - wypełził z ledwie
rozchylonych warg szept cichszy

niż szmer skrzydeł spływającego
na kwiat motylka.

Wówczas szczupła, zwiędła
twarz Mafaldy Martini
wypogodziła się jak włoskie
niebo w ciepły, bezwietrzny
dzień wiosenny i łzy szczęścia
zamigotały blaskiem
najczystszych brylantów w
kącikach jej zapadniętych oczu.

- Dziękuję wam, najdrożsi
moi... spełniliście życzenie
umierającej... Bóg wam tego nie
zapomini, a ja będę...

Zachłysnęła się i zakaszlała.
Zerwałem się, by pobiec po Miss
Bixby, lecz pielęgniarka miała
widać słuch doskonały. Wkroczyła
do pokoju, zanim zrobiłem dwa
kroki w stronę drzwi. Podała
chorej na łyżeczce jakieś
krople, liczyła puls, pogroziła
mi palcem, co miało oznaczać "na
drugi raz nie pozostawię was
samych", po czym jak zwykle
wyprosiła mnie grzecznie z
separatki.

- A ja mogę pozostać? -
spytała Halina.

Ruth Bixby poruszyła głową
poziomo.

- Niech pani lepiej odpocznie.
Także nie najlepiej dziś
wyglądamy - dodała, obrzucając
"fachowym" spojrzeniem
bledziutką twarzyczkę
dziewczyny.

- Ale gdyby chora mnie wzywała
lub gdyby...

- Tak, tak - przerwała jej
szybko, bojąc się, aby nie
powiedziała zbyt wiele.
Separatka małą nie była i
rozmawialiśmy szeptem, ale
chorzy mają podobno słuch bardzo
czuły.

- Zadzwoń pani do mnie, Miss
Bixby? Oczywiście. Numery

telefonów: pani w hotelu i Mr. Bronsona w "Morning News" mam zanotowane. Zatem, do widzenia państwu.

Szliśmy obok siebie w milczeniu, choć Ralph_gentleman zżymał się i dowodził, że należy bezzwłocznie wyprowadzić Halinę z błędu i powiedzieć jej, iż jedynie przez wzgląd na Mafaldę Martini winniśmy grać dalej komedię. Ralph_dziennikarz nie przejmował się znów zbytnio: "Nie rób z tego zaraz tragedii, poeto. Doskonale wiem, jaki sobie w swej przeczulonej imaginacji dorobiłeś ciąg dalszy całej historii. On popełnia zbrodnię bigamii niczym jakiś Mormon, na rozprawie sądowej dostaje 10 lat, Halina ze złamanym sercem wstępuje do klasztoru, zaś Dolly rzuca się ze szczytu Woolworth Building. Nie, bratku. Co najwyżej to pierwsze mogłoby się spełnić, poza tym nic. Dolly pocieszyłaby się z panem Kennedym, a Halina także znalazłaby jakiegoś Boba". Ralph - ten trzeci udawał, że przyznaje rację gentlemanowi. "Byłoby zbrodnią utrzymywać tę biedną dziewczynę w błędzie i narażać ją na nowy straszny zawód, byłoby zbrodnią, powiadam" - wołał z emfazą - "ale nie widzę powodów, dla których należałoby się aż tak spieszyć... Przeciwnie, trzeba przed nią taić prawdę, jak długo tamta żyje. Bo Halina nie potrafi kłamać, grać komedii wobec nikogo, a co dopiero wobec umierającej staruszki, która nawiasem mówiąc stała się bardzo przenikliwa. "O co ci chodzi właściwie, człowieku!?" warknął już poirytowany, kiedy Ralph_gentleman wystąpił ponownie z swoim "caeterum censeo". "O te kilka dni? Tetryczejesz na starość, przyjacielu".

Postanowiłem więc nie poruszać tego tematu na razie, ślubując

sobie w duchu uroczyście, że skoro tylko nadarzy się odpowiednia sposobność, wyjaśnię Halinie wszystko.

Kiedy auto stanęło przed hotelem, spotkała mnie niespodzianka przemiła, lecz zarazem straszna. Oto kiedy odprowadziwszy mnie towarzyszkę do hallu zacząłem się żegnać, uścisnęła mi dłoń niemal z czułością, spojrzała na mnie jak nigdy dotychczas i rzekła głosem ciepłym, niezapomnianym, najśłodszym.

- Do widzenia, Ralph.

Wybiegłem na ulicę jak szalony. W głowie huczały mi dzwony. Wyły syreny fabryczne, dudniły oszalałe "elevated", a wśród tego łoskotu i chaosu godnego piekła pełzł bezszelestnie przez labirynty zwojów mózgowych wąz_mysł przeraźliwa: "Za późno na wyjaśnienia. Ona się uważa za moją narzeczoną. Nie wie nic o Dolly, nie domyśla się, nie przeczuwa i zasypiając dzisiaj, jutro, pojutrze, co dzień, będzie wymawiać moje imię, będzie śnić o mnie, marzyć o przyszłym szczęściu... póki nie uderzy w nią nowy grom". I w tym samym momencie przypomniałem sobie zakończenie jej pamiętnego listu, który był dla mnie wówczas straszliwym wyrokiem, dożywotnią banicją z jej serca i pamięci. Przekreśliła ostatnie dwa słowa, lecz pomimo to pojąłem od razu, jaki miał być ich sens: "Nowego zawodu nie przeżyłabym". To chciała napisać, lecz duma kazała jej wykreślić słowa, będące niemal wyznaniem.

- Dlaczego stoimy w miejscu? - ryknąłem na szofera.

John spojrzał na mnie wyrozumiale, że nie użyję określenia: współczująco.

- Ponieważ nie powiedział pan,
Mr. Bronson, dokąd mam jechać.
Pytałem dwukrotnie. Więc do
redakcji?

- Nie!

Musiałem krzyknąć bardzo
głośno, skoro tylu przechodniów
spojrzało na mnie ze
zdziwieniem.

- Jedź za miasto... hen w
pola, pełnym gazem, John.
Rozumiesz?

- Tu, w mieście? - spytał,
patrząc na mnie coraz
podejrzliwiej, a nie otrzymawszy
żadnej odpowiedzi, ruszył z
miejsca w przepisowym tempie,
mrużąc coś zawzięcie pod nosem.

3 3 64 0 2 108 1 ff 1 74 0

`ty

VII

Nie powiedziałem Halinie nic
ani nazajutrz, ani w ciągu dwóch
dni następnych i brnąłem dalej w
kłamstwie.

Tymczasem lampka życia Mafaldy
Martini wypalała się szybko do
dna, gasła w oczach, zaś miny
lekarzy stały się tak grobowo
tajemnicze, że epilog choroby
nie mógł już być dla nikogo
tajemnicą.

Moje wizyty w szpitalu
kończyły się najczęściej rozmową
w korytarzu z Miss Bixby w
bezwocnym oczekiwaniu, kiedy
chora odzyska przytomność.

Halina mająca dużo wolnego
czasu, wysiadywała całymi dniami
w separacie, a wieczorem w
hotelu zdawała mi relację z
najważniejszych wypadków dnia.

- Bredzi biedaczka w gorączce
- mawiała najczęściej - ach,
żebyś wiedział jakim głosem dziś
krzyknęła "Giovannino!...
Zaczekaj na matkę... Idę już...
idę z tobą, syneczku"...
Przerażona wybiegłam na korytarz
i teraz, przyznam ci się,
niechętnie sama przy niej
pozostaję.

Takie i podobne nowiny
przynosiła mi z lecznicy, ja zaś
słuchałem, nie rozumiejąc często
słów, a słysząc tylko jej cudny,

melodyjny głos i pojąc się nim.
Mówiliśmy sobie nawzajem ty,
przywykliśmy do tego bardzo
szybko. Niekiedy wydawało mi się
nieprawdopodobnym, że kilka dni
temu zaledwie, byliśmy z sobą na
pan i pani, że przed tygodniem
nie marzyliśmy o ponownym
zbiegnięciu się ścieżek jego i
jej życia.

Wyrzuty sumienia opadały mnie
coraz rzadziej i nic dziwnego;
nic się tak prędko nie stępi jak
wrażliwość na ataki tak zwanych
wyrzutów sumienia. Wiedziałem
doskonale, że robię źle, że
każda godzina zwłoki pogarsza
sytuację, ale odpędzałem te
myśli z pośpiechem, z jakim się
odpędza brzęczącego nad uchem
szerszenia i odkładałem
przecięcie węzła gordyjskiego do
jutra i znowu do jutra.

W wigilię śmierci Mafaldy
Martini zaszedł wypadek, który
wstrząsnął mną do głębi.

Przybyłem do szpitala około
godziny szóstej i zapukałem
delikatnie do drzwi separatki nr
48 sądząc, że jak zwykle zastanę
staruszkę nieprzytomną i Halinę
czytającą książkę przy jej
łóżku. Tymczasem wyszła do mnie
Ruth Bixby, kiedy zaś odmykała
drzwi i wzrok mój wdarł się
mimowolnie do wnętrza pokoju,
ujrzałem, że pacjentka pozostała
sama.

- Miss Horska wyszła przed
kwadransem po jakieś sprawunki -
odparła pielęgniarka w
odpowiedzi na moje pytanie - ma
pecha biedaczka. Cztery godziny
dzisiaj czekała daremnie, a
zaledwie wyszła na miasto, Mrs.
Martini odzyskała przytomność.

- Tak? Więc mogę ją zobaczyć.

- Oczywiście. Pan trafił
doskonale - dodała otwierając
drzwi separatki. - Niechętnie
was samych zostawiam, ale muszę

doskoczyć jeszcze do jednego pacjenta w czterdziestce.

Już przy powitaniu zauważyłem, że Mafalda Martini nie jest taka dla mnie, jak zawsze bywała. Jakaś dziwna surowość malowała się w jej oczach, patrzących na mnie zazwyczaj z macierzyńską niemal miłością, a dobrotliwy, anielski uśmiech, który gościł stale na tej zwiędłej, starczej twarzy, ustąpił teraz miejsca głębokiemu smutkowi.

- Czemu to zataiłeś przede mną? - spytała bez żadnych wstępów.

Zadrżałem i spuściłem oczy, nie mogąc znieść jej wzroku, pełnego wyrzutu, żalu do mnie, nieledwie urazy. Choć powiedziała ogólnikowo "czemu to zataiłeś", wiedziałem doskonale co miała na myśli i umysł mój starał się znaleźć odpowiedź na pytanie, od kogo dowiedziała się Mafalda Martini, że jestem żonaty i kto zburzył bezlitośnie gmach nadziei umierającej staruszki, zatruwając jej ostatnie godziny.

- Giovanni - padło z ust chorej.

Oniemiały ze zdziwienia, które z niesamowitym lękiem graniczyło, cofnąłem się wstecz o krok. "Ona w myślach czyta" - powtarzałem sobie w duchu i jakby na potwierdzenie tak nieprawdopodobnego przypuszczenia posłyszałem w tej chwili:

- Giovanni powiedział mi całą prawdę, któraś ty przemilczał, niedobry. Ja zbłądziłam przez moją nieświadomość, przez gorące pragnienia uszczęśliwienia was obojga, ja więc muszę ten błąd naprawić, nim oczy zamknę, inaczej klątwa zaciąży na tobie, na Halinie i na mnie. Tak powiedział dziś Giovannino.

Ogarnął mnie paniczny strach;
nie z powodu Giovanniego jednak,
gdyż przywykłem już do
proroczych, jasnowidzących snów
staruszki, które za
rzeczywistość uważała, ale
przeraziła mnie myśl o ponownym
zerwaniu z Haliną. Ona nie
powinna się już teraz dowiedzieć
prawdy, zwłaszcza z ust osoby
trzeciej. Ja sam jej wszystko
wyjaśnię, kiedy nadejdzie
stosowny moment, kiedy plan,
jaki kiełkował od kilku dni w
mym sercu, będzie w stadium
realizacji i tym samym będzie
świadczył o całkowitej
lojalności oraz uczciwości moich
zamiarów wobec niej. Tylko nie
dziś, na Boga!

- Gdzie Halina? Przyrowadź ją
do mnie - wyszeptała chora i po
raz pierwszy od czasu naszej
znajomości spojrzałem na nią
nieprzyjaźnie z nieukrywaną
niechęcią, po czym zerwałem się
sprężyć się z fotela.

- Idę spełnić pani życzenie,
Mrs. Martini; niemniej pozwalam
sobie mocno wątpić, czy
wykonanie zamiaru, jaki obecnie
pani powzięła, wywoła pożądane
następstwa - rzuciłem nieco
podniesionym głosem i złożywszy
chłodny ukłon wybiegłem z
separatki, pozostawiając chorą w
zupełnym osłupieniu.

W korytarzu spotkałem
pielęgniarkę...

- Już pan odchodzi? - zdziwiła
się i zauważywszy snadź moje
podniecenie, spojrzała mi w oczy
badawczo. Wyjaśniwszy jej, że
idę odszukać Miss Horską,
odszedłem co prędzej, pragnąc
uniknąć dalszej indagacji;
bowiem wszelka domyślność czy
przenikliwość zaczynała mi już
na dobre działać na nerwy.
Ochłonałem dopiero na ulicy.
Przyrzekając Mafaldzie, że
przyrowadzę Halinę do jej łóża

natychmiast, kłamałem z całą
świadomością, gdyż
przyśpieszanie fatalnego momentu
nie leżało bynajmniej w mej
intencji, a poza tym odszukać
kogoś naprędce w
siedmiomilionowym mieście było
niemożliwością. Powiedziałem
więc tak, tylko w tym celu, by
znaleźć przyzwoity pretekst do
przerwania denerwującej mnie
rozmowy, by opuścić szpital,
zanim Halina powróci i nie być
świadkiem jej bolesnego
rozczarowania, jakie słowa
staruszki niewątpliwie wywołają.
A teraz duch się we mnie
zbuntował. Sprzykrzyło mi się
być bezwolnym pionkiem, którego
raz na jasne, raz na ciemne pola
szachownicy życia przesuwają.
Zaprzagnąłem i to był mój zamiar
niezłomny, pokierować osobiście
dalszym rozwojem wypadków,
dotyczących Haliny, mnie i
naszego wzajemnego stosunku, a
powziąwszy takie postanowienie,
obmyśliłem szybko cały plan
działania i kiedy Halina
zajechała taksówką przed
szpital, zacząłem go wprowadzać
w czyn konsekwentnie, z zimną,
nieubłaganą zawziętością, która
ze względu na osobę Mafaldy
Martini była wręcz
okrucieństwem.

- Nie masz po co iść do niej -
zacząłem - właśnie stamtąd
wracam; odzyskała na chwilę
przytomność, bredziła coś nie
bardzo do rzeczy i znowu leży
jak bez duszy. Miss Bixby
twierdzi stanowczo, że dzisiaj
już nie będzie przytomna!

- Ach, to pech - martwiła się
Halina - że też mnie skusiło
właśnie teraz wybiec za
sprawunkami. Nie mogę sobie
darować.

- Skrupuły twoje są naprawdę
przesadne. Trudno wymagać, abyś
całą dobę czuwała przy jej łożu.
Już i tak zmizerniałaś w
ostatnich dniach do tego

stopnia, że Miss Bixby zwróciła na to uwagę; poleciła mi cię nakłonić, żebyś sobie gruntownie odpoczęła przynajmniej do jutra wieczór. Ona zatelefonuje w razie czego.

- Hm, hm. Ale muszę teraz do niej na chwilę.

- Po co? - przestraszyłem się.

- Zmieniałam jej książkę w wypożyczalni. Ona ma dzisiaj nocny dyżur - odparła wstępując na pierwszy stopień kamiennych schodów, i zrobiła minę zdziwioną, kiedy jej energicznie zagroziłem drogę.

- Teraz nie można. Prymariusz robi inspekcję - zmyślałem bez zająknięcia się. - Książkę zostaw w portierni.

W końcu udało mi się zawrócić Halinę i przekonać ją, że powinna się stanowczo trochę rozerwać, a potem wypocząć. Przystała, zaznaczając tylko, że przez wzgląd na stan zdrowia Mafaldy rozrywka musi być "godziwa i skromna", na przykład teatr lub kino.

- Ja osobiście wolę kino - rzekłem - ale zastosuję się chętnie do ciebie.

- Doskonale, niech będzie kino. Za moich czasów najlepsze filmy szły w "Capitolu", najlepsza orkiestra była w "Rialto".

- A w "Roxy" już byłaś?

- Wiesz przecież, że byłam dwa lata w żałobie i przez ten czas nie chodziłam nigdzie, chyba że na jakiś poważny koncert.

- Więc do "Roxy", John - rzuciłem szybko widząc, że smutne wspomnienia zachmurzyły słodką twarzyczkę dziewczyny - Seventh Avenue na wysokości

pięćdziesiątej ulicy.

- Wiem, Mr. Bronson - odparł szofer nie odwracając głowy i "nie widząc", że pojedę do kina w towarzystwie pięknej kobiety.

Wybrałem "Roxy" nie tylko dlatego, żeby pokazać Halinie nasze najpiękniejsze obecnie i najwspanialsze kino, którego jeszcze nie знаła, ale również z tej przyczyny, że programy w "Roxy", włącznie z częścią koncertową oraz produkcjami baletowymi, są najdłuższe. Po przedstawieniu zaprosiłem ją do "Delmonico". Nie zgodziła się jednak, właściwie zrobiła zastrzeżenie, na które ja przystać nie mogłem.

- Musiałabym wrócić do hotelu przebrać się, a jestem naprawdę głodna jak wilk. Chyba, że chcesz koniecznie.

Oczywiście zrezygnowałem. Wszakże dążyłem do tego, by możliwie jak najpóźniej powróciła do "Pensylwanii", dokąd Miss Bixby z pewnością telefonowała, jeśli Mafalda Martini była nadal przytomna. Zaszliśmy więc do jakiejś francuskiej restauracji przy Broodwayu, w pobliżu kina "Paramount". Grając umiejętnie na zwłokę, zabawiałem Halinę rozmową tak skutecznie, że straciła całkiem rachubę czasu i nie odczuwała potrzeby spojrzenia na zegarek. Było po pierwszej, kiedy ją wysadziłem przed "Pensylwanią"; przy pożegnaniu wymogłem na niej przyrzeczenie, że nazajutrz będzie spała przynajmniej do dziesiątej i że nie pójdzie do szpitala sama.

- Koło dwunastej wstąpię po ciebie. Zjemy razem lunch, potem odwiedzimy Mafaldę - dodałem.

- Oby tylko odzyskała przytomność choć na kwadrans -

westchnęła, ściskając mi dłoń serdecznie.

- Miejmy nadzieję -
pocieszyłem ją z wstrętną obłudą, bowiem moje życzenia były biegunowo przeciwne i los sprawił, że właśnie one miały się spełnić.

Kiedy na drugi dzień przybyłem do redakcji o trzy na dziewiątą, dowiedziałem się zaraz na wstępie, że niejaka Miss Bixby dzwoniła już do mnie dwukrotnie. Połączyłem się natychmiast z lecznicą, prosząc o przywołanie do telefonu pielęgniarki Bixby. Kazała mi na siebie czekać dość długo, a ton jej głosu zdradził od razu, że zaszło coś poważnego.

- Dzwoniłam do pana dwukrotnie - zaczęła.

- Wiem, mówiono mi właśnie.

- Chciałam przede wszystkim panu oznajmić smutną wiadomość.

- Umarła?

- Tak. O czwartej nad ranem odeszła stąd, uśmiechając się anielsko.

- Czy odzyskała przytomność?
Czy mówiła coś do pani, czy mnie wzywała? - dopytywałem z nerwowym pośpiechem.

- Nie, Mr. Bronson. Wczoraj, kiedy pan wyszedł, zaczęła popłakiwać, powtarzając w kółko: "Bóg mi świadkiem, że chciałam jak najlepiej", ale więcej nic nie mówiła, nikogo nie wzywała. Potem już przytomności nie odzyskała. Bredziła trochę.

- Co pani mówi! -
zaniepokoiłem się znowu. Cóż takiego mówiła w malignie?

- No, mój Boże, jak w malignie. Zwidywały jej się

jakieś upiory.

- Upiory?

- Tak, słyszałam wyraźnie. "Strzeżcie się białych upiorów", bełkotała wymachując rękami, jakby się przed czymś zasłaniała. Nic nadzwyczajnego, Mr. Bronson. Żadne pióro nie opisze, żaden pędzel nie odda ani w przybliżeniu tego, co potrafi stworzyć wyobraźnia chorego człowieka.

- Hm... Czy zawiadomiła pani Miss Horską?

- Nie. Ona się bardzo przywiązała do pani Martini. Trzeba ją ostrożnie przygotować na smutną nowinę. Najlepiej zrobić to osobiście, nie przez telefon. Dlatego wolałam zepchnąć na pana tę przykra misję.

- Bardzo rozsądnie pani postąpiła. Ja również uważam, że trzeba Miss Halinę oszczędzać. Właśnie dlatego pozwoliłem sobie wczoraj na małe kłamstewko. Mianowicie widząc jej fatalny wygląd, powiedziałem, że wieczorem będzie u was jakaś inspekcja i że jej i tak nie wpuszczicie do chorej. Zabrałem ją do kina, a potem zapędziłem do łóżka.

- Teraz ja muszę pana pochwalić. Również przezornie pan uczynił, mówiąc mi o tym, inaczej byłabym pana wsypała. O tej porze nikt inspekcji nie robi. Zresztą przypuszczam, że pod wpływem wiadomości o zgonie Mrs. Martini będzie Miss Horska nazbyt przygnębiona, aby mi zadawać pytania w tym stylu. No, ale muszę już kończyć naszą rozmowę. Byłoby wskazane, żeby pan tutaj przybył jak najszybciej i wydał dyspozycje co do pogrzebu.

Odłożywszy słuchawkę

odetchnałem z głęboką ulgą.
Niebezpieczeństwo minęło. Ta,
która chciała mnie zdemaskować
wobec Haliny zamilkła na zawsze
i w mym położeniu nie mogłem nie
być z tego zadowolony. Mniejsza
o to, że Mafalda Martini miała
najszlachetniejsze intencje, że
jej właśnie zawdzięczałem
pojednanie się z ukochaną
dziewczyną. Natura ludzka ma to
do siebie, że niezmiernie szybko
zapominamy doznane
dobrodziejstwa, a drobne urazy
pamięta się latami... Tak mniej
więcej oświadczył
sentencjonalnie usposobiony
Ralph_dziennikarz, kiedy
Ralph_gentleman rozdzierał szaty
w świętym oburzeniu i lżył
tego_trzeciego od kanalii.

Niezapomniane wrażenia
pozostawił mi wieczór spędzony z
Haliną w jej pokoju hotelowym po
powrocie z pogrzebu Mafaldy
Martini.

Może z godzinę
przesiedzieliśmy w milczeniu
trzymając się za ręce i
rozpamiętując w myśli ostatnie
dni zmarłej. Majaczyła mi
nieustannie jej dobra,
szlachetna twarz, tak jak ją
zostałem w szpitalnej kostnicy,
jak ją widziałem przed
zaśrubowaniem wieka trumny,
twarz niby nieruchoma, zastygła
w masce śmierci, a przecież tak
wiele mówiąca i przebacząca
wszystko. Niekiedy doznawałem
złudzenia, że te zapadnięte oczy
odemkną się lada chwila i
spojrzą na nas z macierzyńską
czułością, że z tych ust spłynie
szept pokorny, słowa
usprawiedliwienia się przede
mną: "Ja chciałam jak najlepiej,
synu. Widząc twą niechęć,
odeszłam, zamilkłam. Ona się
niczego już nie dowie ode mnie".

Tak. Od niej się już Halina
nie dowie, ale liczyć na to, że
się w ogóle nie dowie, byłoby
szczytem naiwności.

Ralph_gentleman zapłakany jakby po stracie rodzonej matki nie omieszkał przypomnieć, że przyrzekłem uroczyście wyjaśnić wszystko, skoro tylko Mafalda oczy zamknie.

- Jutro wyjeżdżam do Buffalo - rzekła Halina kładąc kres milczeniu, poświęconemu wspomnieniom zmarłej.

- Wyjeżdżasz? Ale przeprowadzisz się na powrót do Nowego Jorku.

- Chyba nieprędko. Kiedy zdam egzamin, co powinno...

- Jak to? - przerwałem jej zdumiony bezgranicznie - więc ty naprawdę zamierzasz się poświęcić tak karkołomnemu zawodowi?

- Karkołomny? Nie powiedziałabym.

- Ach, droga Halino, kto jak kto, ale ty nie powinnaś wygłaszać brawurowych peanów na cześć lotnictwa.

Spuściła oczy i zamilkła na chwilę, a w tym momencie Ashley, Petit oraz Martini przesunęli się z pewnością przez nasz pokój, jeśli duchy posiadają rzeczywiście swobodę ruchów.

- Wybacz, dziecino, że niebacznie potrąciłem bolesną strunę - wyszeptalem, podnosząc jej bezwładną dłoń ku ustom.

- Wiem, że nie chciałeś - odparła z westchnieniem. - Ale z drugiej strony sam powiedz, dlaczego miałabym przerywać naukę, w której poczyniłam tak wybitne postępy.

- Ponieważ, chwała Bogu, nie potrzebujesz szukać chleba, a narażać życie tylko dla dogodzenia sportowym ambicjom jest zbrodnią, niczym się nie

różniącą od zwykłego samobójstwa
- rzekłem głównie w tym celu,
aby ją wciągnąć w dyskusję na
ten temat i zapalić ją do
jakiegoś mniej niebezpiecznego
sportu. Tymczasem Halina ominęła
pułapkę.

- Dlaczego nie mam się
narażać? Cóż mi po życiu? -
odrzekła z prostotą, w której
nie było cienia chęci
sprowokowania mnie do gorących
protestów.

- Więc już niczego od życia
nie oczekujesz?

- Lękam się nowych zawodów,
lękam się przede wszystkim, bym
znowu komuś nieszczęścia nie
przyniosła.

- Tak myśleć ci nie wolno.
Przeciwnie, musisz zyskać wiarę,
którą ja posiadam, że idziemy
razem ku szczęściu -
zapewniałem ją, ale zapał z
jakim to mówiłem słabł z każdym
słowem, gdyż Ralph_gentleman,
naśladując tykanie zegara
szeptał mi w ucho
niezmordowanie: - Dolly, Dolly!

- Och, gdyby to było możliwe!
- westchnęła.

- To jest pewne! - rzekłem
głośno, by zagłuszyć denerwujący
refren oklepanej piosenki
gentlemana - ale musisz na
ołtarzu naszego szczęścia spalić
swoje awiatorskie ambicje.

- Masz słuszość, masz
słuszość. Gdybym tak, nie daj
Boże, zginęła w katastrofie, ty
byś...

- Zamilcz! - krzyknąłem
przerażony, bowiem wionął mi w
twarz lodowaty podmuch
zabobonnej trwogi.

- Jak ty się jednak o mnie
lękasz - rzekła z radosnym
podziwem i w nagłym porywie

wdzięczności przytuliła
twarzyczkę do mego policzka.
Usta jej znalazły się tak blisko
moich, że nie mogłem się oprzeć
najsłodszej pokusie. I nie
cofnęły się, kiedy je nakryłem
drżącymi wargami, przeciwnie
wpiły się mocniej, oddając mi
pocałunek czysty, niewinny, lecz
zarazem tak gorący, jakiego
nigdy jeszcze w życiu nie
zaznałem... Potem zaś, gdy jej
tchu zaczęło brakować, cofnęła
głowę ruchem niezrównanie
miękkim, złożyła ją na oparciu
kanapy i pozostała na długo w
tej pozycji z rozchylonymi
usteczkami, z piersią falująca
od oddechu, z oczyma
zasłoniętymi wstydliwie firanką
rzęs bajecznie długich,
zarumieniona, zażenowana, tym
pierwszym pocałunkiem, a
jednocześnie nowych pieszczot
łaknąca, słaba, bezbronna,
oddająca się niemal, lecz przy
tym niedosiężna dzięki
puklerzowi nieziemskiej urody,
która mnie onieśmielała i
przetapiając w okamgnieniu nagle
zrodzone pożądanie w spiżowy
stop najczystszej uwielbienia,
najidealniejszej adoracji,
czyniła ze mnie tylko pokornego
pazia, niewolnika, dla którego
jedno łaskawe spojrzenie jest
już szczytem szczęścia.

- Uwielbiam cię, Halino -
wykrztusiłem, osuwając się na
kolana przed nią. - Kocham cię
stokroć więcej niż matkę swą
kochałem, niż...

- Żonę - podpowiedział
melancholijnie Ralph_gentleman.

- Tak jest! - wrzasnąłem z
pasją, zapominając, że rozmowa z
sumieniem jest bezgłówna.

Halina podniosła powieki i
spojrzała na mnie pytająco.

- Czemuś tak krzyknął?

- Czemu? - powtórzyłem

zmieszany. - Nie wiem, darling.
Nie wiem, co mi się stało i w
ogóle nie chcę o niczym więcej
wiedzieć, jak tylko o twej
miłości, o naszym szczęściu.
Reszta mnie nic nie obchodzi od
dzisiaj: całą moją przeszłość
likwiduję bez żalu na rzecz
naszej wspólnej przyszłości.

Słowa te odnosiły się
rzeczywiście do
Ralph_gentlemana, którego też
moja stanowczość najwidoczniej
skonsternowała, bo ucichł na
dobrą godzinę. Natomiast Halina
zrobiła taką minkę, jakby nie
rozumiała o co mi chodzi. Ze
zrozumiałych przyczyn zawróciłem
na miejscu do pierwotnego tematu
naszej dzisiejszej rozmowy.

- Zatem rezygnujesz z
lotniczych aspiracji, prawda?

Uśmiechnęła się leciuteńko.

- Zostaw mi czas do namysłu.
Odpowiem ci listownie z Buffalo.

- Gdzie cię Knock, as asów na
poczekaniu przerobi - odparłem
niechętnie. - Już on się nie
wyrzeknie takiej uczennicy.

- Nic nie wskura, jeśli ja
sama nie zechcę. Ty wiesz
dobrze, jaka jestem stanowcza,
nieugięta, kiedy się zatnę,
uwezmę na coś.

- O, wiem, wiem - potaknałem
szczerze i zacząłem się żegnać,
gdyż pora była już dość
spóźniona, a Halinie należał się
dłuższy wypoczynek przed
jutrzejszą podróżą.

W powrotnej drodze do domu
przyszła kolej na refleksje.
Zagaił "konferencję"
Ralph_dziennikarz jako
najbardziej obiektywny w tym
wypadku i rozpoczął od studium
porównawczego. "Obie są
skończonymi pięknosciami, ale
każda w swoim rodzaju",

powiedział między innymi,
"Halina ze swą twarzą Madonny
jest więcej rasowa, klasyczna;
lecz Dolly, która z przedziwną
harmonią jednoczy w sobie typ
ponętnej, zmysłowej kochanki z
typem współczesnej sport_girl o
smukłej, wygimnastykowanej
sylwetce helleńskiego efeba,
jest bardziej na czasie. Artysta
wybierze pierwszą, ale poślij
obie na dzisiejszy konkurs
piękności, to Dolly otrzyma bez
wątpienia palmę
pierwszeństwa"... "Halina jest
inteligentniejsza, bardziej
wykształcona, subtelna, a poza
tym pewniejsza, że nie użyję
określenia: solidniejsza",
wyrecytował ten_trzeci,
wywołując kategoriyczne sprzeczności
ze strony Gentlemana: "Cóż masz
do zarzucenia żonie? Inna na jej
miejscu nie pozwoliłaby się
bezkarnie tak lekceważyć,
zaniedbywać w kilka miesięcy po
ślubie. A ona? Ona cierpi i
milczy"... Z kolei praktyczny
Ralph_dziennikarz poruszył
kwestię materialnych stosunków
obu rywalek, a poruszył ją w
sposób chytry, biorąc pod uwagę
przesadność tego_trzeciego: "Nie
jestem zabobonny", powiedział,
mrużąc porozumiewawczo na
gentlemana, "ale ja bym nie
ryzykował, na piątego, na piątą
ofiara, żeby mówić jaśniej.
Jakieś przekleństwo ciąży nad tą
biedną dziewczyną i nad
wszystkimi, którzy się do niej
zbliżają. Zginął Walter Ashley,
Giovanni Martini, pociągając za
sobą trzecią ofiarę, Bogu ducha
winnego Petita. Teraz znów
Mafalda Martini zwiększyła
listę, którą ty chcesz jako
piątą zaakraglić. A weźmy Dolly.
Jej fatum nie przyniosło nikomu
zguby, natomiast obdarzyła
wybrańca rozkosznym ogniskiem
rodzinnym w własnej willi, dalej
25 procentowym udziałem "Morning
News", oraz "last not Ńleast"
pozycją zięcia Dicka Campbella,
a to diablo dużo znaczy tam,
gdzie "Stuars and Stripes"

powiewają. Radziłbym tę drobnostkę wziąć również pod rozwagę".

Dyskusja na ten temat zaczęła się przeciągać w nieskończoność. Ralph ten trzeci widząc, że tamci dwaj zawarli ścisły sojusz pod hasłem obrony interesów Dolly, zrobił zamach stanu i oświadczył z dyktatorską apodyktycznością: "Gwiżdżę na wszystkie wasze argumenty. Kocham Halinę i poślubię ją, a z Dolly rozwiodę się, gdy tylko znajdę jakiś pretekst".

W bardzo wojowniczym nastroju przyjechałem do domu. Już z góry przewidywałem, jakimi słowami żona może mnie powitać i miałem gotowe odpowiedzi zarówno na wymówki, wyrzuty, narzekania, jak i na czułości, a każda z tych odpowiedzi była zaprawiona trucizną ironii. Jak przedtem nie cierpiałem wszelkich scen domowych, tak obecnie łaknąłem ich gorąco, wierząc, że będą stopniami, ułatwiającymi mi osiągnięcie zamierzonego celu. Postanowiłem sobie prowokować Dolly na każdym kroku, wyśmiewać jej naiwne częstokroć odezwania się, chwalić to, co ona zgani, wyszydzać to, co pochwali i zmrozić bezlitośnie jej każdy serdeczny odruch. Byłem więc przygotowany należycie do kampanii wojennej i to dawało mi wielką przewagę nad przyszłym przeciwnikiem, nie znającym moich intencji i nie spodziewającym się ataku. Na próbę stoczymy jeszcze dziś małą potyczkę - zdecydowałem wkraczając do hallu willi, ale spotkał mnie zawód.

- Pani spać już - oświadczył mi Mike, mój czarny lokaj i powołał się na pokojówkę, która ukazała się na szczycie schodów, a którą Dolly zanudzała zwykle jak mogła najdłużej.

- Tak, Mr. Bronson -

powiedziała Fanny, obdarzona
snadź dobrym słuchem - pani
powiedziała mi jeszcze przed
godziną, że niepotrzebna będę
jej już dzisiaj.

- Ha, to nieomylny znak, że
poszła spać - mruknąłem pod
nosem i ruchem ręki odprawiłem i
Fanny, i Negra.

Ano, przepadło na dzisiaj.
Przepadła znakomita sposobność
do wyładowania złego humoru i
wypróbowania sił w przedwstępnej
potyczce, Dolly poszła spać,
jakby wiedziona przeczuciem.
Rozjątrzony tym zawodem krążyłem
po głównym salonie jak tygrys
przeniesiony do nowej klatki,
rzucając raz po raz nieprzyjazne
spojrzenia na przymknięte drzwi
obok stylowego kominka. Tam
znajdował się błękitny salonik,
za nim buduar i sypialnia mej
żony, oddzielona od mojej
wspólną łazienką.

- Może nie zasnęła jeszcze? -
przyszło mi na myśl w pewnym
momencie i już wkraczałem do
sąsiedniego pokoju, który z
powodu obicia mebli oraz
odpowiednio dobranych tapet,
nazywaliśmy błękitnym
salonikiem.

Stanałem jak wryty. Drzwi
buduaru były szeroko otwarte,
dzięki czemu ujrzałem Dolly już
z daleka. Siedziała tyłem do
mnie, przy biurczku, zgarbiona,
pochylona nad czymś bardzo nisko
tak, że plecy zasłaniały
całkowicie jej głowę. Prawa ręka
leżała aż po przegub na płycie
biurka, wyciągnięta, nieruchoma,
bezwładna, w zwisającej dłoni
trzymała jakiś przedmiot, w
którym, bliżej podszedłszy,
rozpoznałem jej ulubione wieczne
pióro (pamiatkę z San
Francisko).

- Więc pisze. Może list
miłosny? - zrodziło się
podejrzenie śmieszne, niczym

nieuzasadnione, lecz będące
konsekwentnym objawem nastroju,
w jakim się wówczas znajdowałem.

Dywan smyrneński błękitnego
salonu nie sięgał ani do połowy
drogi dzielącej mnie od drzwi
buduaru, toteż chcąc Dolly
zaskoczyć musiałem iść
ostrożnie, cicho, na palcach. I
poszedłem, skradając się jak
złodziej w myśl zasady: "cel
uświęca środki", a zasmakowawszy
w tak haniebnej metodzie nie
zawahałem się spojrzeć przez
ramię skulonej, nie
przeczuwającej mej obecności
żony na list, jaki pisać
zaczęła... by go przeczytać od
nagłówka do końca stronicy. W
prostych, niewyszukanych słowach
opowiadała Dolly o swym pożyciu
małżeńskim, wychwalała mnie pod
niebiosy i martwiła się tylko,
że nie jest godna takiego
człowieka, jakim jest jej
"genialny" Ralph. Wryło mi się w
pamięć specjalnie jedno zdanie:

"Pamiętasz, Mabel, jak się
zarzekałam zawsze, że nie będę
miała dzieci; ten lęk przed
macierzyństwem nie osłabł,
przeciwnie wzrósł jeszcze
obecnie, lecz mimo to pragnę
dziś gorąco tego, wiedząc, że
taka maleńka słodka dziecina
przywiąże Ralpa do mnie
najmocniej i pozwoli mu
zapomnieć o olbrzymiej różnicy
naszych intelektów... I Mabel.
Najsłodsza, obym była dobrym
prorokiem. Tylko nie gratuluj mi
przedwcześnie; jeszcze nic
pewnego; po wizycie u
specjalisty Ci napiszę"...

Tak wyglądał "list miłosny"
mej żony, która z główką opartą
na lewej ręce, zgiętej w łokciu
i leżącej na biurczku spała
spokojnie snem człowieka
naprawdę sprawiedliwego... A ja

stałem za nią zawstydzony,
skruszony do głębi, pobity na
głowę bez walki w tej pierwszej
potyczce, po której sobie tyle
obiecowałem.

Nagle Dolly westchnęła przez
sen i odwróciła głowę w ten
sposób, że ujrzałem jej lewy
policzek. Był przecięty od oka
aż do brody krętą smugą
nieokreślonej barwy; zrazu
ciemną, potem różową, wreszcie
kremowo_białą. Zrozumiałem. Ona
płakała i płakała zapewne
dłuższą chwilę, skoro łyzy
zdołały dokonać takiego
spustoszenia, mieszając róż z
pudrem i zlepiając rzęsy,
starannie zawsze uczernioną
szczoteczką rozczesane.

Ale pod brodą śpiącej
zajaśniało coś, budząc na nowo
mą ciekawość. Pochyliłem się
niżej. Był to róg sztywnego
kartonu, fotografii, mej
fotografii, jak poznałem po
jakimś nieomylnym szczególe.
Więc pisała list, który już sam
wystarczał, aby mi wytrącić
przygotowaną broń z ręki, potem
płakała nad moją fotografią i z
ustami przyciśniętymi do niej,
zasnęła. A ja myślałem, ja
chciałem, nie!

Kierując się pierwszym
odruchem musnąłem jej złote
włosy, lecz odskoczyłem jak
piłka po smeczku. Stała mi w
pamięci popielata główka tamtej,
przypomniałem sobie posmak
dzisiejszych pocałunków,
pierwszych, jakie z Haliną
wymieniliśmy, przypomniałem
sobie przebieg walki wewnętrznej
stoczonej w powrotnej drodze do
domu i jej rezultat.

- Co począć, co począć, co
począć - jęczałem w głębi duszy,
udręczony jedną z najgorszych
mąk, męką wahania się na
rozdrożach.

Gdybym miał do wyboru pomiędzy

obowiązkiem a uczuciem, nie
namyślałbym się długo, ale na
swoje nieszczęście ja Dolly
również kochałem, choć inaczej
niż tamtą. Cóż tedy dziwnego, że
w mym sercu rozbrzmiewał
nieustannie rozpaczliwy okrzyk:
- Co począć?

Dolly podniosła powieki.
Mrugnęła kilkakrotnie, odwróciła
głowę, dostrzegła, że ktoś stoi
nad nią i z okrzykiem
przestrachu skoczyła na równe
nogi.

- To ja - przemówiłem głosem,
w którym braterska tkliwość
górowała nad zawstyżeniem.

- Ralph najdroższy! -
wybuchnęła, rzucając mi się na
szyję.

Nie wiem doprawdy, co mnie
bardziej ujęło za serce, czy ten
okrzyk, prosty w treści, lecz w
brzmieniu promieniujący
bezgraniczną miłością hojniej,
niż słońce ciepłem promieniuje,
czy też bezmiar psiego
przywiązania, tryskającego z jej
dziecinnych oczu. Bo
charakterystycznym szczegółem
urody mej żony był właśnie ten
bajeczny kontrast pomiędzy
oczyma niewinnego dziecka, a
zmysłowymi ustami wyrafinowanej
kochanki.

- Honey - ciągnęła dalej
wzruszona. - Przyszedłeś do
mnie, ty moje szczęście
bezmierne. A ja, niegodziwa
myślałam, żeś już o mnie
zapomniał.

Pochwyciła moje dłonie w
gorący uścisk swych palców i
rwącym się głosem dokończyła:

- Czy przebaczysz mi tę
niegodziwość, to brzydkie
posadzenie? To bluźnierstwo
przeciwko twemu złotemu sercu?

VIII

Siedem tygodni upłynęło od śmierci Mafaldy Martini, a sprawa nie ruszyła ani na cal z martwego punktu. Ani na cal! Nie zdobyłem się na odwagę, żeby Halinie powiedzieć prawdę, jak z drugiej strony nie znalazłem dość siły, by żonie oświadczyć: - rozwodzę się z tobą, gdyż kocham inną.

Wszystko szło starym trybem, lub raczej ulepszonym trybem dzięki zmienionym warunkom. W każdą sobotę po południu startowałem z lotniska pod Mineola, albo z Rooseveltfield w Westbury samolotem redakcyjnym do Buffalo, gdzie spędzałem wieczór oraz całą niedzielę w towarzystwie Haliny, po czym odlatywałem do Chicago, skąd we wtorek po południu następował powrót do Nowego Jorku, "na łono rodziny"... I tak było co tydzień z wyjątkiem niedzieli najbliższej Nowego Roku, kiedy pojechaliśmy "na inspekcję" naszych "Chicago Morning News" wspólnie z Dickiem, oczywiście w kabinie zwykłego samolotu pasażerskiego, jako że Campbell nie znosił podróży w otwartym aeroplanie. Ten jeden raz musiałem ze zrozumiałych względów zrezygnować z odskoku do Buffalo, przeklinając w duchu teścia za narzucenie mi swego towarzystwa.

Tak więc istniał nadal "status quo ante", najwygodniej na razie, lecz napawający mnie coraz częściej trwogą: co będzie, jeżeli bomba raz pęknie, jeśli rywalki dowiedzą się wzajemnie o sobie.

Jeśli chodzi o stosunek ściśle uczuciowy wobec jednej i drugiej kobiety, to muszę stwierdzić, że wprawdzie wskazówka barometru Dolly cokolwiek opadła, ale było to odchylenie minimalne, natomiast afekt mój do Haliny pozostał niezmienny, tracąc może trochę z wulkanicznego napięcia, a zyskując w zamian na jednostajnej sile; używając przenośni z dziedziny techniki, określiłbym tę zmianę słowami: mniej volt, więcej amperów.

Stary przyjaciel Campbellów ginekolog Lawrence Fish, były naczelny lekarz "N. Y. Infirmary for Women and Children", rozwiął błogie nadzieje Dolly na dziecko. "Nie widzę powodów, żeby pani w ogóle nie mogła zostać matką, ale chwilowo nie zanosz się jeszcze" - powiedział jej dosłownie i zawód ten, nie przesadzający bynajmniej przyszłości odczuła bardzo głęboko; posmutniała, zmizerniała w oczach, nie wychodziła z domu przez tydzień, potem zaś przerzuciła się błyskawicznie w biegunowo przeciwną krańcowość, w wir zabaw, przyjęć, dancinów. Było mi to bardzo na rękę, gdyż odwracało uwagę Dolly od moich periodycznych wyjazdów z Nowego Jorku. Bo jak z jednej strony nader pomyślny rozwój naszej chicagowskiej filii nie wymagał już tak częstych wizyt, tak z drugiej strony Doobs, pilot redakcyjny roztrąbił wśród personelu "MORning News", że nie lecimy nigdy bezpośrednio do Chicago, a wiadomość ta musiała dotrzeć do uszu Dicka, stamtąd zaś via Mrs. Campbell do mej małżonki. Doprowadziło to nawet do maleńkiej scysji pomiędzy mną a teściem.

- Zdaje się, że zasmakowałeś w tych wycieczkach - zaczął mnie pewnej soboty, kiedy umawiałem się telefonicznie z Doobsem co do godziny startu - jednak moim

zdaniem twoje wyjazdy są obecnie zbyteczne, jeśli wręcz nie szkodliwe dla naszych interesów.

- Szkodliwe? Co ty mówisz - odparłem z przekąsem. - O ile mnie pamięć nie zawodzi oświadczyłeś niedawno temu, że powodzenie filii należy w pierwszym rzędzie przypisać memu dogładowi.

- Owszem, ale obecnie maszyna wzięła już rozpęd. Tymczasem przez ustawiczne kilkudniowe wyjazdy zaniedbujesz nasz główny warsztat pracy. To właśnie miałem na myśli, mówiąc o szkodliwości. Przecież wszelkie instrukcje możesz wydać telefonicznie. Będzie to znacznie ekonomicz...

- Daruj, ale jestem innego zdania - przerwałem mu gwałtownie i umilkłem jak niepyszny, nie znajdując pod ręką żadnego argumentu, który by przemawiał za słusnością mojego poglądu. W rzeczy samej można było wszystko załatwić telefonicznie, ale w takim razie należałoby się wyrzec spotkań z Haliną.

Dick puścił bajeczny kłęb dymu, błysnął złotem swych zębów i mrużąc oczy z wyrazem jadowitej ironii, rzekł cicho, z westchnieniem obłudnej zgodliwości:

- Chyba, że twoje prywatne interesy wymagają tego. Ha, w takim razie...

- Co przez to rozumiesz? - spytałem odważnie, chcąc wybadać jak daleko sięgają jego informacje.

Uniknął wyraźnej odpowiedzi, a podszedłszy bliżej objął mnie ramieniem i powiedział z ojcowską serdecznością, która zabawnie wypadła przy jego rubasznym sposobie mówienia.

- Widzisz, Ralph. Ja nie wiem po co jeździsz ustawicznie do tej dziury Buffalo i nie wchodzę w to, choć martwi mnie brak zaufania z twojej strony, ale jako stary, doświadczony businessman dam ci dobrą radę: lepiej pilnować jednej kury, co znosi jajka, do czarta! złote jajka, niż trzymać kilka srok za ogon.

Nie pomnę, co dalej mówił. Nie obchodziło mnie to zresztą. Główna rzecz, że chybił. Nie domyślał się niczego, podejrzewał tylko, że robię na własną rękę jakiś biznes w Buffalo, a w takim razie Dolly również nic nie wiedziała. Bo Dolly patrzyła zawsze przez okulary swej matki, zaś Mrs. Campbell była wiernym "rozgłośnikiem" swego małżonka.

- Idę na kompromis - zakończył swoje wywody, klepiąc mnie po swoim barkach, co świadczyło o radykalnej poprawie humoru - jedź sobie do Buffalo, skoro masz tam swoje interesy, ale do Chicago już nie zaglądaj. Chcę cię mieć tutaj w poniedziałek koło południa. Well?

- All right - odparłem ucieszony, że burza tak szybko minęła.

- Ale swoją drogą zlikwiduj tamten biznes jak najprędzej i poświęć całą swą energię naszym "Morning News". Wierz mi, że znacznie lepiej na tym wyjdiesz. Więc co, zlikwidujesz? Pamiętaj, co powiedziałem: dwóch srok trzymać za ogon nie warto. Z jednej trzeba zrezygnować.

- Masz słuszność - mruknąłem zadumany, myśląc o Dolly i Halinie. - Z jednej trzeba zrezygnować i to jak najprędzej!

- To mi się podoba - huknął. -

Jak najprędzej! Yes. Time is money.

Przy lunchu spytała mnie Dolly czy znowu wyjeżdżam.

- Oczywiście - odparłem wzruszając ramionami. - Jak zawsze.

- Tak - westchnęła - jak zawsze i jak zawsze będę musiała iść sama do Adelaide O'connor. Jak gdybym nie miała męża.

- Więc nie idź do niej.

- Dziękuję ci za życzliwą radę. Nie idź, siedź w domu i czytaj Biblię. Niezły weekend, zwłaszcza w karnawale.

- Przecież nie każę ci pędzić życia pustelnicy. Owszem, baw się, bywaj, przyjmuj, tańcz, szalej, nie mam nic przeciwko temu. A że ja nie mogę ci dotrzymywać stale towarzystwa, o to nie powinnaś mieć pretensji.

- Stale - ironizowała - myślałby kto, że...

- Że co? - przerwałem zniecierpliwiony - czyż nie poświęciłem ci wczorajszego wieczoru?

Jej zagniewane, rozżalone oczka straciły natychmiast swój dotychczasowy wyraz, złagodniały, zasnuły się mgłą rozmarzenia, wywołanego świeżym wspomnieniem.

- Tak - potwierdziła cicho i ponętne usteczka złożyły się jak do pocałunku - wczoraj było pięknie, cudownie, jakby w noc poślubną. Niestety coraz rzadziej przeżywam takie chwile.

Kiedy już ubierałem się do podróży w swej sypialni, stanęła na progu jakby onieśmielona, rzuciła na mnie kilka razy pytające spojrzenie, wreszcie

zdecydowanym ruchem zamknęła drzwi i przekręciła klucz w zamku.

- Nie pocałujesz mnie jeszcze na dowidzenia? - spytała namiętnym szeptem i ruchem rozpieszczonej kotki otarła główkę o mój policzek. Miałem ją odepchnąć? Czy nie należało jej się trochę pieszczot tytułem ekspiacji za to, że uciekałem znów od niej do Haliny?...

Dopiero kiedy 225_konny silnik Wrighta poderwał nasz samolot, kiedy ostry prąd powietrza ochłodził moje policzki, rozpalone od szalonych pocałunków Dolly, zacząłem żałować, że jej uległem. Trzeba było ją oblać szyderstwem, zmrozić obojętnością... "I w ten sposób pchnąć ją w ramiona pierwszego lepszego", rzucił nieśmiało Ralph_gentleman, bardzo potulny wobec dyktatury tego_trzeciego. "Właśnie dlatego" - huknął dyktator, który nabierał tupetu w miarę jak wzrastała odległość dzieląca samolot od domu, od żony. "Właśnie dlatego: niczego więcej nie pragnę i raz jeszcze zaznaczam, że najwyższy czas z tym skończyć".

A jednak, wspomnienia żywiołowych pieszczot nie chciały się dać odpędzić niezwykle długo... Dlaczego? Dziś wiem dlaczego, lecz czyż wówczas mogłem przeczuwać, że były to ostatnie w życiu pocałunki, ostatnie czułości małżeńskie? Czy mogłem przewidzieć, że ta sobota, różniąca się od swoich siedmiu poprzedniczek tylko małą utarczką z teściem oraz erotycznym epizodzikiem z Dolly, zgotuje mi dwie olbrzymie niespodzianki, tak brzemiennie w następstwa?

Gwałtowny skok samolotu wytrącił mnie z zadumy.

Trafiliśmy w głęboką próżnię, a
zapadliśmy w nią tak
niespodziewanie, że zawsze
zaspanemu Doobsowi spadły stopy
z orczyka, samolot stanął dęba,
przewrócił się przez prawe
skrzydło do góry kołami i wpadł
w korkociąg. Straciłem zupełnie
orientację na kilka
niezapomnianych sekund. Najpierw
miałem niebo pod nogami, potem
ziemię, zbliżającą się z szaloną
szybkością w zwariowanych
płasach. Czułem, że ogon nam
zarzuca, słyszałem świst pędu,
później groźny gwizd linek i
wzrastający ryk gazowanego
silnika. I kiedy nareszcie
zdołałem sobie uprzytomnić, iż
za moment będę tylko krwawiącą
kupą mięsa, maszyna wyszła z
korkociągu, wyprostowała lot i
zaczęła drzeć w górę
"amerykanem".

Kiedy osiągnęliśmy dawną
wysokość Doobs odwrócił głowę ku
mnie. Jego usta, rozwarte w
szerokim, zwycięskim uśmiechu
poruszały się kilka razy, jakby
mówił: - Ale pana nastraszyłem,
co? No, niech się pan już
uspokoi. To był tylko żart. Ja i
nie wyjść z korkociągu, he, he,
he. - Oczywiście jest to moje
rpzypuszczenie, że tak mówił, bo
słowa zagłuszył donośny duet
śmigła z silnikiem.

- Bodajbyś kark skręcił,
idioto - warknąłem, dodając
jednak skwapliwie - tylko gdy
sam polecisz.

Później, w Buffalo tłumaczył
się, zwał winę na wiatr
czołowy, który go rzekomo
niespodzianie uderzył, na luz
linki sterowej, co go z ciasnego
wirażu w pierwszy rzut
korkociągu wtrąciło, wymieniał
mi jakieś ściągacze oraz inne
terminy techniczne dla mnie
zupełnie niezrozumiałe, lecz im
gorliwiej się usprawiedliwiał,
tym bardziej utrwalało się we
mnie przekonanie, że dzisiejsza

nadprogramową ewolucję jak też
wynikłe z niej chwile
niezapomnianych emocji
zawdzięczałem przede wszystkim
jego nieuwadze. Powiedziałem mu
to prosto w oczy, gdy skończył
swe wywody.

Ale na razie od miejsca, w
którym nastąpił zwiariowany skok
samolotu do Buffalo miałem
jeszcze dobre półtorej godziny
lotu, a świeże wrażenie wypadku,
który jakimś cudem nie skończył
się katastrofą, pchnęło
wszystkie myśli ku Halinie.
Teraz dopiero, kiedy sam
przeżyłem emocjonujący, groźny
moment, pojąłem cały bezmiar
straszliwych niebezpieczeństw,
na które się ta kochana i
szalona dziewczyna niepotrzebnie
narażała. Bo oczywiście
przeklęty Knock postawił na
swoim. Podsycając nieustannie
jej ambicję, chwalać głośno jej
postępy, zimną krew, wytrwałość,
doprowadził do tego, że Halina
ani słyszeć nie chciała o
zaniechaniu "niewinnego" sportu.
Latała najpierw z swym mistrzem
na szkolnym aparacie, potem na
zwykłej maszynie, aż wreszcie
upatrzyła sobie jakieś groźne
pudło "Ryan" i rozmiłowała się w
nim "do nieprzyzwoitości", jak
powiadał Knock, wodzący
rozanielonym wzrokiem za swą
"najzuchwalszą" uczennicą.

Pewnej soboty dolatując do
lotniska pod Buffalo zobaczyłem
w przestworzach samolot, który
wykonywał takie karkołomne
ewolucje, że Doobs buzię
rozdziawił od ucha do ucha i
zagapiwszy się, omal na dachu
jakiegoś hangaru nie wylądował.
Nie przeczuwając niczego
podszedłem do grupki
rozmawiających z ożywieniem
pilotów. Nagle posłyszałem czyjś
głos. - "No, Paddy pogratulować
ci tej Polki. Umyślnie
przybyłem, sądząc, że bujacie".
- Patrik Knock ujrzał mnie i
ruszył naprzeciw. - "A co? Jak

się to panu podoba? Powinien mi pan być wdzięczny, że mu narzeczoną tak wytrenowałem" - zaryczał, bowiem przyzwyczajony do huku silników nie potrafił inaczej mówić, tylko wrzeszcząc, jakby na głuchego... Oniemiałem. Nie pamiętam, czy mu rękę wówczas podałem, czy nie. Więc tym szalonym akrobatą była Halina? Z głową zadartą ku niebiosom, z ściśniętym sercem stałem jak wryty w ziemię, a dokoła mnie brzęczały niby rój natrętnych owadów: glisady, trawersy, loopingi, wiraże, korkociągi płaskie, zwyczajne, beczki, amerykańki, świece i tym podobne nazwy ewolucji lotniczych, na które laik ma tylko jeden ogólny termin: igranie ze śmiercią.

A ukoronowaniem wszystkiego było potem tłumaczenie się Haliny:

- Ty się na tym nie znasz, darling, lecz spytaj Knocka, czy na takiej wysokości może coś grozić pilotowi. Poza tym jednak zaasekurowałam się w inny jeszcze sposób - dodała, mrugając porozumiewawczo w stronę uśmiechniętego "mistrza".
- Wszystkie niebezpieczniejsze ewolucje robię nad jeziorem.

- Dużo by ci to pomogło - mruknął któryś z dalej stojących lotników, nie domyślając się, że ona mówi to jedynie w tym celu, aby mnie uspokoić. Laik wszystkiemu uwierzy. Jezioro. Naturalnie! Chlupnie sobie maszyna z wysokości 9»000 stóp i nic. Pilot się trochę zmoczy, po czym wyciągnie się na skrzydle do słońca, żeby wyschnąć. Oczywiście bez uwagi ciężko myślącego pilota pojąłem szlachetną intencję tego małego kłamstwa.

Następnego dnia namówiła mnie do zrobienia wspólnej wycieczki w stronę Kanady. Poleciałem z

nią i przysięgam że mimo całego
uprzedzenia do kobiecej ręki,
czułem się znacznie pewniej,
niż gdyby drażek sterowy
spoczywał w dłoniach mego
DoobÅsa. Niezapomniana to była
eskapada. Zatoczywszy kila
wielkich kolisk nad lotniskiem,
poszybowaaliśmy wprost w kierunku
jeziora; potem skręciwszy na
północ płynęliśmy ku Niagara
Falls, bliźniaczym miasteczkom,
siedzącym po obu stronach rzeki,
co Erie łączy z Ontario. Przed
wodospadami obniżyła Halina lot
naszego ptaka do jakichś stu
pięćdziesięciu stóp ponad
urywającą się taflą rzeki. W
skupieniu pełnym zachwytu i
zgrozy patrzyłem na piekielny
młyn wodny, z którego pył
zmielonych kropelek wzbijał się
w chmurach niemal do podwozia
opadającego wciąż samolotu i
budował nam łuk triumfalny z
tęczy. Znałem Niagarę dobrze,
widziałem ją po raz trzeci w
życiu, ale po raz pierwszy
pojąłem jej piękno, jej ogrom. I
patrzac z góry na Kozią Wyspę
uczulem nagle paniczną obawę, że
ten skrawek ziemi jest tylko
kruchą tratwą, która musi lada
moment zerwać niewidoczne liny
kotwiczne i runąć w przepaść
zmiażdżona na proch. Bo jakim
prawem, u licha przykucnęła
zuchwale właśnie w tym miejscu,
rozdzielając wspaniałych
kochanków: nasz cudny wodospad
od wygiętej miłośnie
kanadyjskiej "podkowy". Nagle
wydałem okrzyk śmiertelnego
przerażenia. Halina obniżyła lot
tak bardzo, że koła musnęły
chyba powierzchnię wody. Zdawało
mi się, iż nie lecimy już w
powietrzu, ale płyniemy z rwącym
prądem ku nieuchronnej zgubie.
Grzmot spadających mas wodnych
zagłuszył moje wołanie
skuteczniej, niż warkot silnika
startującego samolotu zagłusza
brzęczenie owada, ukrytego w
trawie lotniska. Ale
ptak_maszyzna posłuszny, wierny,
oddany ślepo swej uroczej

władczyni poderwał się w
mgnieniu oka i wyprysnął w górę,
szydząc w żywe oczy z
wściekłości oszukanego żywiołu.

O, tak!... To była prześliczna
wycieczka. Upojony wrażeniami
nie uczyniłem już żadnych
wymówek Halinie za wczorajsze
sztuczki nad lotniskiem i nie
protestowałem, kiedy mnie po raz
nie wiedzieć który zapewniała,
że jest absolutnie pewna swego
ptaka, że jej żadne
niebezpieczeństwo tu nie grozi.

- Co innego zupełnie lot nad
oceanem - zakończyła i
zwróciwszy cudną twarzyczkę w
stronę wschodu, popadła w smętną
zadumę. Zrozumiałem. Patrzała w
tym kierunku, gdzie hen, daleko,
leżał Atlantyk, złowrogi
olbrzym, ponury grabarz
najdzielniejszych asów lotnictwa
i jej Waltera Ashleya.

Ale wspomnienia z wycieczki
nad Niagarę, wszelkie rozkosze
szybowania, jak ptak w
trójwymiarowej przestrzeni
znikły od razu po dzisiejszym
wypadku. Jeśli przy spokojnym
locie mogło się coś takiego
przytrafić, to co dopiero mówić
o ekwilibrystycznych popisach.
Nie! Myśleć o tym nie mogłem.

- Dzisiaj jej to z głowy
wybiję. Postawię sprawę na
ostrzu miecza, niech wybiera -
odgrażałem się i całe pozostałe
półtorej godziny poświęciłem na
drobiazgowe przygotowanie się do
stanowczej rozmowy z Haliną.
Przeczuwałem, że napotkam silny
opór, lecz to mnie tylko
podniecało.

- Przede wszystkim trzeba ją
usunąć spod zgubnego wpływu
Knocka. Byłoby najlepiej, gdyby
się przeniosła do Nowego Jorku -
rozważałem, pragnąc dwie
pieczenie upiec przy jednym
ogniu. Bo takie rozwiązanie mnie
by dogadzało w pierwszym

rzędzie. Nie potrzebowałbym szukać pretekstów dla sobotnich wycieczek do Buffalo i mógłbym Halinę widywać codziennie. Ewentualnego spotkania się rywalek nie potrzebowałem się obawiać przynajmniej na najbliższą metę, gdyż w połowie lutego miała Dolly wyjechać na jakieś dwa miesiące do Palm Beach.

Z takimi planami i z niepłonną nadzieją, że moje argumenty zwyciężą, przyleciałem do Buffalo około siódmej wieczór, po czym z lotniska pojechałem taksówką wprost do mieszkania Haliny. W bramie jej domu spotkałem starą Annę, która na mój widok wydała okrzyk radości.

- Tak późno dzisiaj? Zwykle przyjeżdżał pan przed szóstą. Niech pan idzie zaraz na górę - trajkotała. - Panienska czegoś strasznie zesmutniała od dwóch dni. I płakała. I nic nie je. I nie wychodzi na krok z domu. I teraz siedzi przy czarnym pudle i gra i popłakuje.

Pocziwa Murzynka wyładowując zapas nowin przewracała oczyma tak pociesznie, że cały efekt wyrzeczonych słów diabli wzięli. Halina płakała? Była smutna? Ach, napady melancholii były u niej zbyt częste i nazbyt usprawiedliwione, aby mnie to mogło zdziwić. Lecz uderzyła mnie wiadomość, że dwa dni wytrwała w chwalebnej abstynencji od uprawiania "niewinnego" sportu. To już dawało dużo do myślenia. A może jej się znudziły nareszcie szalone harce w przestworzach? - Dałby Bóg, żeby tak było! - westchnąłem.

- Niech ją pan idzie pocieszyć - rzekła znów Anna z poufałością starej sługi. - Niech pan wejdzie po cichutku i zrobi paniencie niespodziankę. Oto klucz od drzwi przedpokoju. Ja

muszę jeszcze coś kupić, bo to jutro niedziela. No, niechże pan idzie.

Poszedłem. Poszedłem "zrobić niespodziankę" według recepty Murzynki. W przedpokoju przystanąłem na chwilę, czekając na najbliższe "forte", aby wejść do salonu niespostrzeżenie. Melodię poznałem od razu. Grała "Poem" Zdenka Fibicha... Nareszcie. Nacisnąłem klamkę ostrożnie, wszedłem, posunąłem się na palcach w stronę kanapy, usiadłem. Halina była do mnie zwrócona tyłem. Choć nie zapaliła światła, w pokoju było jasno dzięki łukowej lampie ulicznej, zawieszanej na wysokości niezasłoniętych okien. Fioletowe blaski rozgościły się w saloniku, czyniąc zeń komnatę z bajki. I w tej komnacie, pełnej mrocznych kątów, fantastycznych cieni, gdzie tyle niezapomnianych chwil spędziłem z moją cudną dziewczyną, snuły się teraz dźwięki jedwabistej melodii... "Poem" Fibicha jest śliczną perełką, ale ani perłą, ani brylantem, godnym osadzenia w diademie, który wieńczy skronie muzyki, Lecz w interpretacji Haliny stał się owego wieczora arcydziełem, czarną perłą bezdenne smutku, najczystszej wody brylantem, jaki tylko wśród łez tęsknoty za czymś, co odeszło na zawsze, znaleźć można. Było to rozpaczliwe łkanie umęczonej duszy człowieczej i pasaż jęków rozdartego serca i cichy, rozdzierający płacz dziewczęcy i pieśń żałobna wieczystej rozłąki i słowiańska rezygnacja, melancholia dziecka narodu, który półtora wieku jęczał w niewoli i ból serdeczny i... ach, było jeszcze coś, co grało pierwsze skrzypce w tej wielkiej symfonii smutku. Ale co? Nie mogłem znaleźć określenia urzeczony jej graniem, przytłoczony atmosferą tego pokoju, przygnębiony, niezdolny

do skupienia myśli... A przecież musiałem się zdobyć na wysiłek. Ten zasadniczy motyw powtarzający się ustawicznie w najrozmaitszych wariantach nie dawał mi spokoju. Nie dawał mi spokoju dlatego, że przeczuwałem ścisły związek przyczynowy pomiędzy nim, a moją osobą... Aż nagle jeden potężny akord, któremu zawtórował głośny wybuch płaczu Haliny powiedział mi wszystko. I wraz z żywiołowym atakiem złych przeczuć, co błyskawicznie oplotły me serce niby macki strasznej ośmiornicy, przyszedł na mnie moment objawienia. Zrozumiałem. Znalazłem nazwę głównego motywu pieśni...

- Zawód! - myślałem głośno, och, bardzo głośno.

Melodia skończyła w pół taktu, płacz zamarł. Halina odwróciła głowę szybkim ruchem, a ujrzawszy mnie, powstała. Było coś takiego w jej zapłakanych oczach, w jej postawie, że biegnąc ku niej stanąłem nagle, ręka do powitalnego uścisku wyciągnięta opadła bezwładnie i nogi pode mną zadrżały.

Ona wiedziała wszystko! Byłem tego pewny, choć jeszcze słowa nie rzekła, ani najlżejszym gestem nie okazała mi chłodu. Przeciwnie, postąpiła krok naprzeciw i podała mi rękę, której jednak ucałować nie śmiałem.

A potem przyszła kolej na stanowczą rozmowę, jakże inną od tej, do której się w samolocie tak starannie sposobiełem...

Najpierw mówiłem ja. Przedstawiłem dzieje ciężkiej walki jaką stoczyłem w sercu, kiedy umierająca staruszka zwróciła się do mnie z sakramentalnie uroczystym pytaniem: "Ralph, czy chcesz poślubić Halinę"? Zakląłem się

na cienie rodziców, że miałem szczerzy zamiar wyjaśnić fatalne nieporozumienie i czekałem z tym na śmierć Mafaldy Martini, nie chcąc jej zatruwać ostatnich godzin, wyjaśniłem powody zwlekania i w końcu poniechania tego zamiaru, opowiedziałem o strasznych chwilach rozterek duchowych, o męczących, wyczerpujących zmaganiach się z samym sobą. Mówiłem szczerą prawdę, nie dodałem nic, niczego nie wyolbrzymiałem, jak nie zaparłem się również swych błędów, z których największym był brak szybkiej decyzji. Natomiast nie mogę zaprzeczyć, że pewne szczegóły pomiąłem milczeniem; przemilczałem przede wszystkim to, że chora dzięki swej cudownej iście intuicji odgadła istotny stan rzeczy i chciała naprawić zło, wyrządzone tak mimowolnie, w czym jej przeszkodziłem, nie dopuszczając Haliny do jej łóża przed samym końcem. Nie wspomniałem również o momentach mych słabości, wahaniasię w tak krótkich, ale częstych okresach, kiedy byłem pod urokiem mej żony... A wyspowiadawszy się tak przed Haliną, wyjawilem jej wreszcie zamiar, który zrodził się we mnie już dawno, którego jednak dotychczas nie zdażyłem wprowadzić w czyn, niestety.

- I skoro uzyskam formalny rozwód z Dolly, poproszę cię o wyznaczenie daty naszego ślubu. Nie mówiłem o tym nigdy dotychczas, co mogło ci się wydać dziwnym, ale nie mówiłem dlatego właśnie, że chciałem mieć wpięrowolne ręce. Niech i to także świadczy o mej lojalności wobec ciebie, Halino. Dorzuć również i ten szczegół na szalę wagi, zanim wydasz wyrok, na który czekam teraz z niepokojem, ale z czystym sumieniem i z głębokim przeświadczeniem, że wszelkie błędy popełnione są niczym wobec ogromnej mej miłości ku tobie.

Tymi słowy, w których
mimowolny patos nie mógł zabić
szczerości intencji, zakończyłem
moje przemówienie.

Z kolei zabrała głos Halina.
Zastrzegła się na wstępie, abym
jej nie przerywał, póki nie
skończy i bym słuchał
cierpliwie, cokolwiek bądź
usłyszę, tak jak ona to
uczyniła. Z właściwą moją
spowiedzią załatwiła się krótko.

- Postąpiłeś źle, bo chęć
oszczędzania Mafaldy Martini nie
powinna ci była przeszkodzić w
odkryciu prawdy przede mną.
Twarda szkoła życia, jaką
przeszłam, o czym dobrze
wiedziałeś, mogła być chyba
dostateczną rękojmnią dla ciebie,
że nie dam po sobie nic poznać.
Przyszło by mi to wówczas tym
łatwiej, że wtedy nie kochałam
cię jeszcze tak jak...

Urwała, umilkła na chwilę,
poprawiła abażur na lampie i
ciągnęła dalej:

- Mniejsza z tym, nie mówmy
już o tym, co się stało. Słowa
tego nie naprawią dzisiaj...
Przechodzę do omówienia twojej
propozycji. Otóż ja na rozwód
nie zgadzam się... Przyrzekłeś
mi nie przerywać, póki nie
skończę - przypomniała mi,
widząc, że usta otwieram. - Nie
próbuj mnie przekonywać! twoje
wysiłki będą daremne... Ja nie
chcę zakładać swego ogniska na
gruzach zburzonego gmachu
szczęścia innej osoby. Podobne
słowa wypowiedziała w formie
przestrogi Mafalda Martini w
rozmowie z synem tam, w Paryżu.
Proszę cię, pozwól mi
skończyć... Gdybym wiedziała, że
twoja żona cię nie kocha, że
rozstanie się z tobą, czy dalsze
pożycie jest jej zupełnie
obojętne, tak, może wtedy
pozwoliłabym ci rozpocząć kroki
rozdowowe, za jej zgodą

oczywiście. Ostatecznie każdy ma prawo do szczęścia.

- O tak, Halino! - zawołałem, łamiąc nakaz milczenia i nie przerywania jej. - Każdy ma prawo do szczęścia, więc...

- Byle nie kosztem krzywdy bliźniego - przerwała ona k kolei. - Ponieważ zaś wiem dobrze, jak bardzo cię twoja małżonka kocha, jak bardzo na twą wzajemną miłość i szczęście rodzinne zasługuje, więc ja muszę ustąpić.

- Ciekawym niezmiernie, kto ci dostarczył tych informacji - wtrąciłem ponownie i dodałem z wzrastającym wzburzeniem - przepraszam cię za dygresję, lecz ja muszę wiedzieć, kto jest owym niepowołanym opiekunem mego ogniska rodzinnego... Tak, Halino... Jeżeli mnie choć trochę kochasz, jeśli zdajesz sobie sprawę z tego, czym jest dla mężczyzny honor, powiesz mi teraz, w jaki sposób dowiedziałaś się o moim małżeństwie, kto był twym informatorem, kto dostarczył ci tych wiadomości, tak intymnych, tak ściśle osobistych i nikogo obcego nie obchodzących.

- Chcesz wiedzieć koniecznie?

- Chcę.

- Więc dowiedz się: prosty przypadek. Potrzebna mi była pewna notatka z okresu katastrofy "Victorii". Poszłam do jednego z tutejszych dzienników i poprosiłam o rocznik "Morning News". Nie czytałam tego pisma nigdy od czasu pamiętnej nowelki, która doprowadziła do fatalnego nieporozumienia między nami.

- Rozumiem... Przerzucając numery z tego okresu natrafiłaś na sławetny artykuł mego teścia o "najważniejszym wypadku

kroniki towarzyskiej Nowego Jorku". Więc ten idiotyczny elaborat tak mi się przysłużył... Hm, hm. No dobrze, ale chyba nie z fotografii Dolly poznałaś, że ona mnie kocha i jest godna, czego to? Aha, szczęścia rodzinnego - ironizowałem.

Halina skarciła mnie łagodnie jednym spojrzeniem.

- Dowiedziawszy się, że wzięłaś ślub z Miss Campbell, pamiętając równocześnie dobrze twoje częste oświadczenia, że jestem twym szczęściem, że mnie jedną kochasz na świecie, doszłam do przekonania, iż nie jesteś szczęśliwy w pożyciu małżeńskim.

- I nie jestem nim rzeczywiście! - wybuchnąłem - choć pozory przemawiają przeciwko temu tak silnie, że niekiedy ja sam ulegałem złudzeniu.

- Wtedy dopiero zasięgnęłam informacji. U kogo, tego ci nie powiem nigdy. Gdyby ten człowiek sam przyszedł do mnie z podobnymi wiadomościami, nie oszczędzałamabym go; niechby poniósł następstwa swego zamięłowania do plotek, ale ja się do niego zwróciłam, nie mogę go dziś narażać na jakieś przykrości z tego powodu - mówiła, nie dając się zbić z tropu moim wykrzyknikiem...

- I ten człowiek dostarczył ci owych informacji.

- Tak Ralph.

- A ty wszystkiemu uwierzyłaś.

- Nie miałam powodu mu nie wierzyć. Ten człowiek zasługuje na pełne zaufanie. Zresztą, Ralph, jesteś gentlemanem, jesteś uczciwym człowiekiem, czy możesz zaprzeczyć, że twoja żona

cię kocha?

- Dla mnie najważniejszym jest to, że ja jej nie Kocham.

- Tak jak mnie - dokończyła - niemniej Kochasz ją i stąd właśnie wynika twoje długie wahanie, namyślanie się, które błogosławię.

Nie chcę tu powtarzać treści całej, przeszło godzinę trwającej rozmowy, do której ja nie byłem zupełnie przygotowany w przeciwieństwie do Haliny. Wszystkie moje argumenty naprędce obmyślane odpryskiwały od granitowej ściany jej niezłomnego postanowienia. Nie! Ona nie wierzy w trwałość szczęścia wzniesionego kosztem ludzkiej krzywdy! Ona mi nie pozwoli porzucić Dolly, która mnie naprawdę Kocha i która jest najlepszą kobietą pod słońcem! Ona woli sama znów cierpieć, niż innym ból zadawać!

- I nie zostawiasz mi żadnej nadziei? - spytałem, podnosząc się z krzesła.

Ton mego głosu musiał ją przestraszyć, bo zawahała się trochę i odpowiedziała po kilku sekundach namysłu.

- Masz we mnie przyjaciółkę, siostrę, Ralph... Czy ci to nie wystarczy? Inna może by cię widzieć na oczy nie chciała po takim odkryciu, nie przyjąłaby cię w ogóle... Ja ci przebaczam wszystko i raz jeszcze mówię: masz we mnie szczerego przyjaciela.

- Dziękuję ci za twoją dobroć, która naprawdę jest bezgraniczna, niemniej stwierdzam, że na moje pytanie dałaś wymijającą odpowiedź... Spróbuję cię inaczej zapytać. Słuchaj uważnie, Halino. Czy gdyby Dolly przystała dobrowolnie na rozwód, gdyby...

powiedzmy, przestała mnie
kochać, czy wtedy będzie mi
wolno powrócić do ciebie?

- Tak - odrzekła, patrząc mi w
oczy badawczo - ale musisz mi
dać słowo gentlemana, że nie
będziesz wywierał na nią żadnej
presji w tym kierunku. Dobrze,
że to poruszyłeś. Nie wypuszczę
cię stąd, póki mi tego
uroczyście nie przyrzekniesz.

- A jeżeli nie spełnię twego
życzenia?

- To spalisz wszelkie mosty
pomiędzy nami. Wszelkie mosty,
Ralph! - powtórzyła z
naciskiem... Zatem?

- Dobrze... dobrze... masz
moje słowo - wykrztusiłem
nieswoim głosem, rabiąc powoli
sylabę za sylabą. - To była moja
ostatnia nadzieja... Liczyłem,
że uda mi się przekonać Dolly,
że dla mego szczęścia zgodzi się
na rozwód. Powinna się zgodzić,
skoro mnie aż tak kocha, że jest
to publiczną tajemnicą... Lepiej
jeżeli ona sama pocierpi, niż
jeżeli wszyscy troje będziemy się
męczyć, sądziłem, ale... skoro
ty... dla uspokojenia swych
przesadnych skrupułów...
chcesz... to ręcę ci słowem, iż
nawet nie wspomnę wobec żony o
tobie, czy o moich...
pogrzebanych obecnie zamiarach.
Tylko... Halino wiedz, że jeżeli
przypuszczasz, iż w ten sposób
ocaliłaś moje ognisko rodzinne i
zapewniłaś szczęście Dolly...
oraz mnie, to popełniasz wielką
omyłkę... straszną omyłkę... A
teraz żegnam cię, Halino.

Sam nie wiem w jaki sposób
znalazłem się na lotnisku.
Musiałem prawdopodobnie polecieć
się tu przywieźć szoferowi
napotkanej taksówki; nie
pamiętam... Byłem tak apatyczny,
że kiedy w hangarze dowiedziałem
się, iż Doobs wyszedł do miasta,
usiadłme na barierce

ogradzającej z tej strony
lotnisko i przesiedziałem tam w
ciemnościach blisko godzinę, nie
zdając sobie sprawy, dlaczego to
robię, na kogo czekam, co
zamierzam dalej uczynić... Nie
interesowało mnie absolutnie
nic, nic mnie nie dziwiło, ani
nawet ten niesłychany spokój, z
jakim Halina rozmawiała ze mną o
takich sprawach. Nie przyszło mi
wtedy na myśl, że ona miała czas
ochłonać i przygotować się
drobiazgowo do rozprawy ze mną,
skoro dowiedziała się całej
prawdy kilka dni temu.

Kto wie jak długo byłbym
siedział na owej barierce, gdyby
mnie Knock nie był spostrzegł
przypadkowo...

- Hallo, u Boga Ojca! A pan co
tu robi po nocy? - wykrzyknął
zdziwiony.

- Chcę wracać dziś jeszcze do
Nowego Jorku. Czekam na Doobsa.

- Długo pan może czekać w
takim razie. Nie dalej jak pół
godzinki temu widziałem Doobsa
pod rękę z pewną damulką, która
się u nas nie cieszy opinią...
Jakże się te rzymskie zakonnice
nazywały?

- Westalki.

- Otóż właśnie.

- Hm, wobec tego muszę go
odszukać - mruknąłem, złącząc z
bariery. - Gdzie go pan widział,
Mr. Knock?

- A, dajże pan chłopczykowi
spokój, niech się zabawi.
Zresztą wasza maszynka nie
polecie dzisiaj.

- Jest jakiś defekt?

- A, jest defekcik, jest.

Knock kochał się w
zdrobnieniach aż do przesady.

Mawiał zawsze: świeczka,
wirażyk, gazik, skrzydełko;
tylko dla "korkociągu" i
"orczyka" nie mógł znaleźć
pieszczotliwego określenia, co
go serio martwiło.

- Pan chciał koniecznie
dzisiaj odlecieć do Nowego
Jorku, Mr. Bronson? - spytał po
chwili - hm, hm, hm, niech no
pan zaczeka chwileczkę.

Chwila stała się prawie
kwadrans, ale wiadomość była
pomyślna...

- Może się pan zabrać
pocztowym samolocikiem.
Zaprotegowałem pana, ale z góry
mówię, że najwygodniej tam nie
będzie - powiedział, a kiedy mu
serdecznie podziękowałem, dodał:
- Nie ma za co; czego się nie
robi dla najlepszej uczennicy,
albo jej narzeczonego, he, he,
he... Ale, ale Mr. Bronson,
czemu to Miss Horska nie
pokazuje się na lotnisku od
trzech dni prawie?

- Jest trochę niezdrowa -
bąknąłem.

- Zaraz tak pomyślałem -
odparł z poważną miną, lecz jego
małe oczy, uśmiechnięte
domyślnie mówiły wyraźnie:
"Bujaj słońca, nie mnie.
Poprztykaliście się, ot co.
Dlatego ona nie przychodzi
latać, dlatego ty masz taką
strutą minę i dlatego już
wiesz z powrotem do domu".

IX

Odprawiwszy taksówkę wyjąłem
klucz z kieszeni i poszedłem do

furtki, bowiem brama wjazdowa była zamknięta o tej porze.

- Co, nie ten? - zdziwiłem się, nie mogąc klucza przekręcić w zamku. Byłem nieludzko zmęczony, obolały po pięciogodzinnej podróży w niewygodnym pocztowcu, byłem zaspany, gdyż jadąc z lotniska do domu zdrzemnąłem się w aucie, więc wydało mi się nagle, że trzymam niewłaściwy klucz w ręku. Ale obejrzawszy go dokładnie stwierdziłem, że się nie mylę. To był naprawdę klucz od furtki, tylko zamek musiał trochę zardzewieć w tym okresie, kiedy spadły śniegi, obecnie już należące do wspomnień.

Aby mieć punkt oparcia, a tym samym większą siłę, pochwyciłem drugą ręką potężną klamkę i w tym momencie furtka ustąpiła sama. Była więc nie zamknięta na klucz.

- Ładne porządki - rzuciłem przez zęby. - Mike się znowu rozleniwił, ale ja mu jutro powiem coś do słuchu.

Zatrzasnąwszy furtkę ruszyłem ospałym krokiem w stronę domu. Kiedy poza zakrętem drzewa rozstały się, odsłaniając widok na willę, przystanąłem zdziwiony. W głównym salonie świeciło się jeszcze, a smuga światła, zaróżowiona przez batikowy abażur wybiegała przez uchylone drzwi balkonowe aż na wielki klomb, po którego drugiej stronie znajdowałem się właśnie. Ha, gdyby te drzwi były zamknięte i zasłonięte, jak być powinno o tej porze... jakże inaczej rozwinęłyby się wypadki!

- Więc Dolly nie śpi - pomyślałem, niezbyt zadowolony z takiego obrotu rzeczy. Przyszło mi zaraz na myśl, że jeśli posłyszysz moje kroki, wybiegnie mi naprzeciw, objawiając głośno swą radość z powodu

niespodziewanie szybkiego
powrotu, a po tym, co dzisiaj;
lub raczej wczoraj wieczorem
zaszło, nie miałem chyba powodów
kwapić się do spotkania z żoną.
Ach, gdyby nie ona, gdyby nie te
więzy, Halina... Po co to
powtarzać, po co się dręczyć
roztrząsaniem: co by było,
gdybym był wolny, skoro nim nie
jestem, skoro nim już być nie
mogę. Słowo wymuszone dzisiaj
przez Halinę zamknęło mi
przecież ostatnią furtkę.

Nagle nadstawiłem ucha. Wydało
mi się, że posłyszałem głos
męski. Znowu goście? Odrzuciłem
tę myśl szybko, bo gdyby Dolly
przyjmowała liczniejsze
towarzystwo u siebie, cała willa
byłaby jak zwykle rzęsiście
oświetlona, brama zostałaby na
oścież otwarta, przed domem
czekałyby auta itd. Tymczasem
nic z tego. Musiało mi się chyba
przywidzieć, że posłyszałem głos
męś...

Wtem!... Cofnąłem się
instynktownie w cień drzew,
bowiem różowa smuga światła
zmaląła o połowę, potem
rozszerzyła się szybko i w
drzwiach wiodących na balkon
stanęła jakaś czarna sylwetka...
Jakiś mężczyzna! Palił papierosa
zaciągając się silnie, co
poznałem po żarzeniu się
świecącego punkcika. Potem
odwrócił się frontem do drzwi i
rzucił dość głośno:

- Zdawało się nam, Dolly...

Poznałem go po głosie
natychmiast i zacisnąłem pięści.

- Mr. Kennedy, niech pan już
skończy tego papierosa -
zabrzmiał gdzieś w głębi salonu
głosik Dolly.

- Życzenie kobiety jest zawsze
dla mnie rozkazem - odparł
bawidamek, wypalił papierosa nie
śpiesząc się wcela, po czym

wrócił do salonu. Drzwi pozostały do połowy otwarte, co mi od razu nasunęło pewien pomysł do głowy. Z wprowadzeniem go w czyn nie zwlekałem oczywiście. Podbiegłem do miejsca, gdzie frunął niedopałek papierosa, ukryłem go w pudełku od zapalek i posuwając się ostrożnie wzdłuż ściany willi, podażyłem w stronę tylnego wejścia. Kiedy dostałem się przez schody dla służby na piętro, ani kiedy zdjąłem w swym gabinecie futro, kurtkę lotniczą, czapkę i trzewiki... nie pamiętam. Wypadki te musiały następować po sobie z filmową szybkością, gdyż kiedy ochłonałem, znajdowałem się już na balkonie, który biegł wzdłuż pięciu środkowych pokoiów pierwszego piętra.

Skradając się ostrożnie, cichuteńko, dotarłem wnet do półotwartych drzwi, w których widziałem z dołu sylwetkę intruza. A teraz patrzyłem na jego plecy zgarbione lekko, widziałem tył jego głowy pochylonej w stronę Dolly, która siedziała zwrócona twarzą do mnie, na stylowej kanapie pod przeciwległą ścianą.

- Więc nie spełni pani mej prośby? - zabrzmiał jego głos przyciszony, deklamatorski.

Moja żona parsknęła krótkim, nienaturalnym śmiechem.

- Dzieciak z pana, Mr. Kennedy - odparła pieszczotliwie.

- Ach, to: Mr. Kennedy, Mr. Kennedy!... Czy nie można by mówić po prostu: Bob? Tak, jak dawniej bywało? Pomnisz, Dolly? Na ten jeden wieczór tylko.

- To nonsens.

- Niech będzie, byleś się zgodziła.

- Ale tylko na dzisiaj?

- Na dzisiaj... na dzisiaj - cieszył się - więc powiedz choć na próbę: Bob... samo Bob, bez żadnego pan...

- Bob jest nieznośnym, nienasyconym dzieciakiem.

- Nienasyconym! O, tak, tak, Dolly... Powiedziałaś świętą prawdę.

- Bez przerośnięci, proszę - pogroziła mu palcem.

- A teraz, Dolly powracam do mej wielkiej prośby.

- Nie tyle wielkiej, co niedorzecznej.

- Dlaczego, niedorzecznej? Czy dekolt kostiumu kąpielowego jest głębszy niż wycięcie sukni wieczorowej, tej chociażby? Czy sprawiłaś sobie ten kostium po to, aby leżał w szafie?

- No, pewnie, że nie, ale...

- Czekaj, zaraz cię przekonam... Za dwa tygodnie wyjedziesz na Florydę, pokażesz się na plaży i całe Palm Beach będzie cię posiadać...

- Co takiego? Bob, czy mam ci drzwi pokazać, czy zadzwonić, aby ci szklankę wody z lodem ktoś przyniósł?... Mnie posiadać... Nie!... Bezcelność, czy...

- Jednak nie cofnę ani słowa. Każdy mężczyzna kiedy patrzy na ponętą kobietę, rozbiera ją w myśli i...

- Ależ to wstrętne!

Jej oburzenie było tak wybitnie nieszczerze, że musiało tylko ośmielić tego durnia.

- Wstrętne? Nie. Cudowne,

boskie i sprawiedliwe, a
kobieta, która pragnie tego
uniknąć, ma tylko dwie drogi:
zbrzydnąć, albo zamknąć się w
klasztorze z najsurowszą
regułą...

- Och, w takim razie...

- W takim razie wolisz wydać
swe piękne ciało na łup
bezwstydnym spojrzeń i myśli
mężczyzn... O, jakże cię
uwielbiam za tę prawdomówność,
Dolly!

- Hm, szczerze powiedziawszy i
uwzględniając nieszkodliwość
waszych grzesznych myśli -
zachichotała swawolnie, nie
kończąc już zdania.

Bob Kennedy napełnił
kieliszki, zmusił ją do
wychylenia duszkiem, Bóg wie
której kolejki i powrócił
uparcie do swej "wielkiej
prośby":

- A zatem tysiące obcych
mężczyzn będzie podziwiał tve
kostiumy, płaszcze plażowe,
kapielowe, będzie się poić
widokiem boskich kształtów twego
ciała, a ja, który cię
kocham!... nie przerywaj mi,
Dolly, ja, który cię kocham, ja
twój paż, twój giermek, nie
dostąpię tego szczęścia.

- Jak to? - zdziwiła się. -
Nie przyjedziesz do Palm Beach?
A mówiłeś, że...

- Że przyjadę, tylko nie
wiedziałem kiedy. Dziś wiem
już... Dopiero w kwietniu będę
mógł stąd wyjechać, Dolly.

- Ooo, to szkoda - zmartwiła
się szczerze.

- Tak - rzekł
melancholijnie... - I dlatego,
Dolly, jeśli nie spełnisz mej
prośby, nazwę cię złą, okrutną,
bez serca!

- Czego ty właściwie chcesz;
żeby ci pokazała mój kostium
syreny? Owszem, mogę ci go
przynieść tutaj.

- Przynieść? To do niczego.
Muszę go na tobie zobaczyć,
Dolly. Dlaczego mam być gorszym
od owych tysięcy, o których
mów...

- Bo tu nie jest plaża -
przecięła krótko.

- I to byłoby rzeczą wysoce
nieprzyzwoitą, prawda? Susan
Clinton nie namyślała się ani
chwili, kiedy ją poprosiliśmy.

- I widziałeś jej kostiumy?

- Wszyscyśmy widzieli. Sue nie
jest taką purytanką, jak ty.
Czekaliśmy w salonie, ona zaś
wychodziła do buduaru i
powracała raz po raz w nowym
arcydziele. Strasznie miła i
naturalna dziewczyna.

Po tych słowach zapanowało
dłuższe milczenie, które
przerwała w końcu Dolly.

- No, a... ten kostium foki...
ładny naprawdę?

- Śliczny, cudowny,
niezrównany - stopniował z
zapalem, czując, że rybka
chwyciła haczyk w przynęcie.

- O, zaraz: niezrównany! -
oburzyła się - nie widziałeś
jeszcze mojego, więc nie możesz
mówić.

- Skoro go nie chcesz pokazać.

- Pokazać, owszem, ale...

- Nie powtarzajmy się, Dolly -
zawołał i przypuścił szturm
generalny. Głos jego stał się
czarujący, uwodzicielski,
spojrzenia błagały, modliły się
o łaskę, a potok słów był tak

wartki, że sam zacząłem gubić wątek treści, zwłaszcza, że umiejętne modulowanie obniżyło głos do skali szeptu, którego już nie mogłem dosłyszeć. I Dolly powstała wreszcie, wyraziła swą zgodę, przekonana zapewne nie tyle jego prośbami, ile zręcznie rzuconą uwagą, że kostium Susan Clinton jest "niezrównany".

- Dobrze - rzekła, ale pod jednym warunkiem.

- Przyjmuję z góry każdy - zapewniał.

- Nie zgrzeszyłam jeszcze nigdy niegościnnością, lecz w tych okolicznościach... muszę cię.. wyprosić.

- Ale wprzód pokażesz mi się...

- Tak - przerwała niecierpliwie - przebiorę się, przyjdę tutaj, zobaczysz, a potem zaraz wyjdiesz. Przyrzekasz?

- Zaraz? Powiedzmy za chwilkę. Chcę się napatrzeć, Dolly. Zrozum, że nie będę cię widział całe dwa miesiące... długie dziewięć tygodni. Nie marszcz czoła. Wyjdę... skoro każesz, wyjdę natychmiast.

- Słowo?

- Słowo - palnął się w piersi.

- Bo powinienes sam zrozumieć całą niestosowność takiego sam na sam o tej porze... będzie już chyba koło trzeciej. Ach, Bob, to było szaleństwem z mej strony, że ci się pozwoliłam odprowadzić aż tutaj, na górę. Gdyby tak ktoś ze służby spostrzegł?

- Dolly, najdroższa moja, po co te słowa? Pośpiesz się, a za dziesięć minut mnie już tutaj

nie będzie! Dałem słowo -
przypomniał.

- Tak, dałeś - rzekła
półgłosem i jakby do siebie;
snadź miała jeszcze pewne
skrupuły do tej chwili, lecz
uroczyste zapewnienie Boba
rozproszyło je doszczętnie. -
Więc odchodzę - dodała po
krótkim namyśle - proszę tu
ładnie zaczekać; ja się
przebiorę tymczasem.

Odprowadził ją rozkochanymi
spojrzeniami aż do drzwi, ale
kiedy jej kroki przebrzmiały w
dalszych pokojach, ruszył na
palcach w tamtą stronę...

Wślizgnąłem się do salonu, nie
wiedząc jeszcze, co zamierzam
uczynić, jak postąpić.

- Najwyższy czas przerwać tę
sielankę, a Boba zrzucić po
schodach na zbitą twarz -
odgrażałem się w myśli... - Po
co on tam polazł, ten dureń
bezczelny?... Podglądać przez
dziurkę od klucza, jak się
będzie przebierała, czy może...

Na tę myśl doznałem skurczu
serca. Samcza zazdrość buchnęła
niebotycznym płomieniem i czułem
mściwą radość, uświadamiając
sobie, jak będę tłukł tego
pajaca za chwilę, jak mu
zmasakruję pięściami to
lalkowate oblicze, jak go
ośmieszę wobec Dolly, przedmiotu
jego donżuańskich umizgów...
"Słusznie, połam mu gnaty",
potakiwał Ralph_dziennikarz na
przekór gentlemanowi, który
bardziej eleganckie
zlikwidowanie tej afery zalecał.
I nagle posłyszałem w duszy głos
trzeci: "Nie przeszkadzaj im.
Pozwól wypadkom biec ich własnym
korytem. To przecież woda na
twój młyn, chłopcze. Halina
zakazała ci wywierać presję na
żonę, ale gdy się dowie, że
Dolly cię zdradziła, że rozwód
nastąpi wyłącznie z jej winy...

to"... Nie potrzebował kończyć.
Nie przebrzmiały jeszcze słowa
tej rady, gdy w sercu zrodziło
się nowe, niezwykle bądź co bądź
pragnienie: "Oby mnie
zdradziła!... Oby!... Ale muszę
zdobyć dowody... Och, żebym je
tylko mógł zdobyć"!...

Ruszyłem z miejsca, w którym
tkwiłem nieruchomo od... bo ja
wiem? Zapewne od kilkunastu
sekund, długich jak godziny, jak
noce całe. Ruszyłem przez salon
na ukos, zmierzając w stronę
otwartych drzwi błękitnego
saloniku; tam, za nim znajdował
się buduar mej żony oraz jej
sypialnia. Szedłem cicho dzięki
temu, że trzewiki pozostawiłem w
swym gabinecie, szedłem powoli,
gdyż intrygowała mnie cisza,
świadcząca o zupełnej bierności
Dolly. Hm, wyglądała na
podnieconą, kiedy stąd
wychodziła, miała trochę w
głowie, co poznałem po jej
głosie i po chodzie jakby
ociężałym, nie tak elastycznym,
jak zawsze, ale jeśli wyglądała
na dojrzałą do upadku, to ja się
na tym nie znam. Tymczasem Bob
poszedł za nią, musiał już być
dawno w sypialni i nic; żadnego
protestu. A może on naprawdę
tylko podglądać poszedł?

Nagle stanąłem jak wryty...

W sąsiednim pokoju zabrzmiał
tętent szybkich kroków męskich.
Bob wracał. Dlaczego? Nie pora
była na rozwiązywanie zagadek.
Należało się zastanowić w ułamku
sekundy, co zrobić... Stać w
miejscu i dopuścić do spotkania?
To znaczy zepsuć wszystko i
ośmieszyć się w dodatku, że jak
przysłowiowy rogacz szedłem krok
w krok za przyjacielem domu w
skarpetkach!... Och, te
skarpetki!... Jakiż złośliwy
chochlik kazał mi zdjąć
trzewiki... Więc co? Cofnąć się
z powrotem na dawny "punkt
obserwacyjny"? Absurd... Nie
dobiegłbym na czas do drzwi

balkonowych. Zatem?...

Wzrok mój prześlizgnął się błyskawicznie po ścianie i zatrzymał się na grubej portierze, zwisającej niemal aż do ziemi. Tam była jedyna kryjówka, jeśli pomiędzy wewnętrznymi szybami okna, a fałdami portiery jest dosyć miejsca... - "Spróbuję" - pomyślałem i sekundę później płaszczyłem się już w stojącej pozycji za nieprzeźroczystą zasłoną, uspakajając ruchami dłoni jej falowanie. To jedno mogło mnie zdradzić, choć zdążyłem się na czas ukryć i choć wyśmiewany w duchu przed chwilą pomysł zdjęcia trzewików przysłużył mi się teraz znakomicie... Na upartego jeszcze inna okoliczność mogła spowodować "wsypę". Oto każde z dwóch skrzydeł portiery było za wąskie, aby mnie całkowicie zasłonić, a calowa szpara pomiędzy nimi przypadła w sam raz na moje lewe oko... Trudno, nie miałem innego wyboru... "Będzie, co ma być" - pomyślałem, zamierając w bezruchu, gdyż w tym momencie z błękitnego saloniku wyszedł, lub raczej wypadł, Bob Kennedy...

X

Sprzeczne uczucia mną miotały; samiec był zadowolony z odwrotu niedoszłego uwodziciela żony, Ralph ten trzeci, nie widzący świata poza Haliną, doznał przykrego zawodu i zląkł się, że kiepski schowek za portierą zostanie od razu wykryty. Pomylili się jednak obaj...

Bob Kennedy ani spojrział w ma

stronę. Pobiegl w przeciwny róg salonu z uderzającym pośpiechem. Zaintrygowany dźwiękiem szkła, przyciągnąłem delikatnie prawe skrzydło portiery do siebie i zerknąłem w kierunku źródła głosu. Bob trzymał w rękach maleńką probówkę, odkorkował ją, wysypał na dłoń jakieś pastylki, i jedną, lub może więcej wrzucił do kieliszka, potrząsnął nim parę razy, wreszcie odstawił go na dawne miejsce, zatarł dłonie z zadowoleniem i podszedł do olbrzymiego lustra, aby się nacieszyć odbiciem swej kobiecej urody...

- Co to miało znaczyć?...
"Łotr chce ją otruć" - przeraził się Ralph_gentleman. Dziennikarz nie brał rzeczy tak tragicznie: "Nonsens, po prostu dosypał jej jakiegoś środka nasennego, lub odurzającego, żeby sobie ułatwić zwycięstwo". Ralph_ten trzeci uchwycił się tej myśli kurczowo... "Oby tak było! Oby się nie spostrzegła"; wzdychał ku zgorszeniu tamtych dwóch...

Bob przeglądał się długo, poprawiał czarny motylek, potem zdecydowanym krokiem ruszył w stronę drzwi balkonowych i zamknął je oraz spuścił story.

Złożyłem sobie w duchu gratulacje. Pomysł ukrycia się za portieraą wydał mi się teraz jedynym, genialnym, bo pozostawszy na balkonie, nie widziałbym obecnie nic i nic bym nie słyszał. A zanosilo się tutaj na ciekawą scenę.

Upłynęło jeszcze z pięć minut, zanim w błękitnym saloniku zastukały wysokie korki damskich pantofelków. Bob rzucił się w fotel czym prędzej, przybrał pozę poetycznej zadumy, którą ma przerwać dopiero zjawienie się ukochanej kobiety.

Na progu stanęła Dolly.

Miała na sobie wspaniała
"cape", obszytą lekkim
futerkiem, udrapowaną w liczne
pionowe fałdy i spiętą na
piersiach agrafą w kształcie
fantazyjnej rozgwiazdy, a na
głowie kask z srebrnych łusek, z
dwoma maleńkimi skrzydełkami po
bokach.

- Przegląd modeli - przemówiła
żartobliwie - numer pierwszy...

Bob drgnął, odwrócił głowę i
zerwał się z fotela sprężystości.
Miękkim, doskonale obmyślonym
ruchem przesunął obie dłonie
wzdłuż dolnej linii czoła,
cofnął się jakby niesłychanie
zdumiony i bajecznie drżącym
głosem wykrztusił:

- Sen! To chyba sen!

Odegrał tę komedyjkę bez
zarzutu, co sam przyznać
muszę... Dolly uśmiechnęła się
wdzięcznie; tanecznym krokiem
manekina z pierwszorzędnego
magazynu, wysunęła się na środek
pokoju, tak, że stanęła
dokładnie pod wielkim
żyrandolem.

- Światła... Dużo światła -
rzuciła kapryśnie.

Bob runął jak burza w stronę
drzwi od korytarza, obok których
właśnie znajdował się kontakt.
Przekręcił go trzy razy szybko i
w salonie zrobiło się chyba
jaśniej niż w dzień. Nie było to
dla mnie pożądaną okolicznością,
ale na szczęście oni oboje stali
zbyt daleko i byli zanadto
zajęci sobą, aby patrzeć w
stronę niewinnej portiery na
moim oknie.

- Nie podoba się? - spytała
Dolly, jakby dotknięta jego
milczeniem.

- Cudne... jak z bajki!
Milczałem, bo słowa rozpraszają
uwagę, skupienie... artysty...

Artysta! Ten kabotyn,
półgłówek artystą! Jego
"artystyczne" upodobania wyszły
wnet na jaw.

- A teraz, Dolly... uwaga! Nie
zrzucaj tego płaszcza. Nie, to
byłoby zbyt banalne... Pozwól mu
spłynąć po twym ciele na dywan.

- Kiedy się strasznie wstydzę.

- Jednak na plaży...

- To co innego - przerwała mu
stereotypowo.

- Znów zaczynasz od początku -
stwierdził niezadowolony i
pokazując ruchami dłoni, w jaki
sposób cape ma opaść na ziemię,
przybliżył się kilka kroków.

- Kiedy... bo... naprawdę -
droczyła się umyślnie, potem zaś
nacisnęła rozgwiadę i według
recepty "artysty" Boba, płaszcz
spłynął falisto na szkarłatny
dywan, spowijając stopy Dolly.

- Numer drugi - rzekła,
obracając się powoluteńku w
kółko na miejscu.

- Oszaleję! - wrzasnął Bob,
chwyając się za głowę.

Kostium plażowy mej żony był
zrobiony z małych, metalowych
łusek koloru rtęci, ale w
oślepiającej powodzi światła
miały owe srebrne blaski tyle
seledynowych tonów, że Dolly
wyglądała rzeczywiście jak
mitologiczna syrena, której
cudną szatę stanowiła zarówno
śnieżnosrebrzysta piana, jako
też zielonkawę bryzgi fal
morskich. Dopełniał
malowniczości obrazu płaszcz,
zrzucony na dywan, który
skutkiem obrotowego ruchu
pseudomanekina owinał się dokoła
stóp i utworzył na purpurowym
tle dywanu jasne kolisko, z
środką którego wytrysnęła w górę

smukła sylwetka boginki
szmaragdowych głębin... Raziły
mnie tylko skrzydełka przy
lśniącem hełmie, które były tam
ni przypiał, ni przyłatał.
Prawdopodobnie niezbyt tęgi w
mitologii mistrz igły pomieszał
sobie Merkurego z syreną.
Świadczyły o tym również
błyszczące wstążki pantofelków,
oplatające nogi prawie do kolan
w misternych rombách.

Bob Kennedy pomimo całej
sztuczności ostatniego okrzyku
był naprawdę olśniony i w
salonie zapanowała na długą
chwilę cisza tak wielka, że
słyszałem w mym schowku nie
tylko chrzest bransolet
zakrywających niemal połowę
jednego i drugiego przedramienia
Dolly, ale nawet suchy szelest
srebrzystych łusek.

Bob przypomniał sobie wreszcie
miksturę, jaką przygotował w
czasie, kiedy Dolly przebierała
się w sypialni. Podeszedł do
stolika, napełnił oba kieliszki
i trzymając po jednym w każdej
dłoni, zbliżył się do mej
małżonki, która nie ruszając się
z miejsca patrzyła w dość
odległe lustro ze szczerym
upodobaniem.

- Taki kostium trzeba oblać
koniecznie - oświadczył, a głos
mu ani nie zadrżał. Był to więc
niewątpliwie środek nasenny, jak
słusznie przewidywał
Ralph_dziennikarz.

- Znowu pić? O, nieszczęsna
prohibicjo!

- Koniecznie! - powtórzył.

Umaczała usta grymaśnie i
skrzywiła się lekko.

- Duszkiem, Dolly... Ja
proszę, błagam, zaklinam! -
zachęcał i tym razem wyczułem
nutę niepokoju w jego słowach;
może zresztą brałem

zniecierpliwienie za niepokój.

- Skoro chcesz - przystała
zgodliwie i równocześnie
wychylili swe kieliszki, które
Bob zaraz odniósł na stolik, po
czym powrócił do niej i nagle
rzucił się na kolana.

- Bob, co to znaczy! Proszę
wstać i grzecznie...

- Nie - przerwał, odgrywając z
kolei swą komedię - nie
wzbraniaj mi wyrazić swego hołdu
tak, jak mi serce dyktuje.

Chciała się cofnąć, lecz fałdy
skręconego płaszcza spętały jej
stopy. Zachwiała się, tracąc
równowagę, wówczas objął jej
nogi i zmienionym głosem począł
mówić:

- Tak pięknym być może tylko
bóstwo... Więc skłaniam głowę do
stóp mego bóstwa w zachwycie, bo
oczy me niegodne, aby mu w twarz
spojrzeć... Twoja nieziemska
uroda, Dolly, czyni mnie
pokornym niewolnikiem, który...
- Dalszych słów nie dosłyszałem,
gdyż przeszły w szept, a
równocześnie głowa patetycznego
błazna pochyliła się aż do stóp
Dolly... Ona zaś wyprężyła się,
przebiegła wstecz, jakby miała
upaść na wznak za chwilę i z
przymkniętymi oczyma słuchała
pochwalnego peanu "pokornego"
Boba, który na słowach nie
zamierzał poprzestać i począł w
czynach swój zachwyt objawiać,
muskając ustami jej nagie
nogi... Kiedy zbliżył się do
kolan, zatrzepotała rękami w
powietrzu i otworzyła oczy.

- Bob!... Pogniewam się...
Odejdź!... Przestań!...

Ale donżuan był już pewien
zwycięstwa, którego mu w duszy
życzyłem; powiadam: w duszy, bo
ciałem wstrząsały dreszcze,
jakich nigdy dotychczas nie
zaznałem, mięśnie napinały się,

płonąc żądzą śmiertelnego boju z rywalem, krew kipiała w żyłach i w skroniach pulsy waliły młotami. Wpijałem sobie paznokcie zaciśniętych w kułaki palców głęboko w skórę, boleśnie do krwi, lecz jeszcze trzymałem nerwy na wodzy, pragnąc gorąco, aby ta męcząca scena trwała jak najkrócej... Jeszcze mogłem patrzeć nie zdradzając obecności, jak Bob przywarł wargami do uda Dolly, jak deszczem żarłocznych pocałunków obsypywał jej smukłe nogi.

- Puść... mnie natychmiast! - zawołała zduszonym głosem, targnęła się wstecz, zakolysała, lecz nie odniosło to skutku. Wówczas ręce jej spadły z metalicznym chrzęstem zsuwających się bransolet na czuprynę klęczącego, wpiły się szponami palców w jego czarne włosy i oderwały głowę, przecinając jak nożem litanie wściekłych pocałunków. Ujrzałem doskonale przelotny grymas bólu na tej lalkowatej twarzy, lecz gościł tam nader krótko, ustępując miejsca masce miłosnego uniesienia i zachwytu.

- Dręcz mnie... bij, Dolly... Możesz zabić... z twojej ręki wszystko... nawet śmierć... chętnie... - deklamował.

- Tyś oszalał! - syknęła, odsuwając mu głowę jeszcze bardziej wstecz, skutkiem czego musiała się znowu niżej pochylić.

- Tak, oszalałem... przez ciebie! - warknął groźnie, grając dla odmiany szaleńca... - Dolly, daj mi usta... jeden raz... Pamiętasz? Tak jak wówczas, kiedy święciliśmy nasze zwycięstwo na kortach... Rzuciłem projekt zabawienia się w chowanego... Tu, w tym pokoju ukryliśmy się razem - ciągnął rozmarzonym głosem, chcąc rzucić w grę także i wspomnienia... -

siedzieliśmy w ciemności obok siebie... Hal szukał, pamiętam... wtedy mi dałaś pocałunek, Dolly... a dzisiaj się wzbraniasz?

- To było w szale zabawy, Bob!
- tłumaczyła się naiwnie.

Przypomniałem sobie ten wieczór i nie dziwiłem się już teraz zachowaniu się żony wobec mnie nazajutrz. Więc dlatego była taka czuła, tkliwa, serdeczna... dlatego nastąpił pamiętny wybuch, który mnie zaniepokoił, a którego powodów nie znałem wówczas... Więc dlatego! Jeśli do tego momentu wrzał w sercu bunt przeciwko temu, co się działo na mych oczach, to teraz przyszło odprężenie. Wszelkie protesty zamilkły i byłem od tej chwili tylko obojętnym widzem, obserwatorem... Już nawet spektakl wydał mi się przydługim, nużącym. Wyglądałem niecierpliwie epilogu, obmyślając sobie powoli dalsze kroki, począwszy od oficjalnego zdemaskowania wiarołomstwa, a skończywszy na liście do Haliny z radosną wieścią... - Jestem wolny, najdroższa! - tak go zacznę.

Zamyśliwszy się nad tym, nie miałem możliwości śledzić gry tych dwojga z taką uwagą, jak dotychczas i nie zauważyłem kiedy, kiedy nastąpił moment załamania się u Dolly, która do tej pory trzymała się jako tako. Widziałem tylko, że spadła wargami na usta wymownego Boba, że on zerwał się z kolan, objął ją wpół nie odrywając ust i stwierdziłem "z zegarkiem w ręku" mówiąc przenośnie, dla podkreślenia mej obojętności, że ten pierwszy (pierwszy oczywiście dzisiaj, bo o tamtym nie zapomniałem) pocałunek trwał dobrą minutę.

- A teraz... Idź... dałeś

słowo! - wykrztusiła zdyszana.

- Dałem słowo, ale w tym jednym wypadku wolno je mężczyźnie złamać, moja Dolly - zaśmiał się cynicznie i nowy jej protest stłumił drugą serią pocałunków.

Ach, byłem coraz bardziej spokojny. Obliczałem pocałunki na serie i żałowałem w duszy, że nie można, niestety tej sceny w jakiś sposób sfotografować. Cóżby to był za klasyczny dowód w procesie rozwodowym.

Bob szeptał coś namiętnie z oszalałamiącą szybkością. Nie dosłyszałem ani słowa, ale czy trudno było się domyśleć treści jego przemówienia? Zresztą wszelkie wątpliwości (a tych nie było) musiałyby rozproszyć cichy okrzyk Dolly.

- Nie! Nigdy!... Słuchaj, Bob... Jestem teraz słaba... bez woli... ale jeśli to wykorzystasz... znienawidzę cię... Bob... Ja cię zniena... wi... dzę!

Dużo on sobie z tego robił. Jeśli nawet dotychczas wahał się poniekąd, to ostatnie jej słowa, wziął za wyraźne przyzwolenie. Była bez woli, słaba... nie potrafiła się już bronić nawet krzykiem, była oszołomiona nastrojem, odurzona tajemniczym narkotykiem, jakim sobie pomógł do zwycięstwa... słowem, pod każdym względem dojrzała do upadku... Jęcząc cichuteńko pozwoliła się prowadzić ku drzwiom błękitnego saloniku, skąd tylko buduar dzielił ich od sypialni. W rogu salonu stawiła opór po raz ostatni. Uchwyciła się jedną ręką drzwi, wybełkotała niewyraźnie:

- Znienawidzę cię!... Och, moja głowa... Tak mi dziwnie...

Wyrwała mu się nagle, lecz nie

zrobiła ani pięciu kroków, kiedy nogi się pod nią ugięły; byłaby runęła na wznak, gdyby nie Bob, który ją dopadł w tym momencie i pochwycił słaniającą się w objęcia. Wziął ją na ręce, po czym ruszył na powrót w stronę drzwi błękitnego saloniku, dźwigając z trudem swą zdobycz. Tak, on jej nie niósł, on ją dźwigał, ten cherlak, a twarz mu poczerwieniała od wysiłku. Wymoczek. Przecież Dolly ważyła zaledwie 51 kilo.

Stanęła mi nagle w pamięci scena z okresu mej podróży poślubnej na Hawaje. Było to na wyspie Oahu, mówiąc ściślej na plaży Waikiki. Powracaliśmy we dwoje nad brzegiem zatoki, przy świetle księżycy i ni stąd, ni zowąd strzelił nam do głowy dziecinny pomysł: urządzić wyścigi do willi, w której mieszkaliśmy od kilku dni. W pewnej chwili żona potknęła się i upadła. Porwałem ją wtedy na ręce jak piórko, niosłem dobre ćwierć mili, aż do domu, prawie nie odczuwając jej ciężaru, a potem... co tu dużo mówić... był to nasz miesiąc miodowy przecież.

Więc patrząc na "bohaterskie" wysiłki Boba, który się poważnie zasapał, nim uszedł te sześć, siedem kroków, nie mogłem się powstrzymać od obrzucenia go w duchu wżgardliwymi epitetami i odczułem dziwne zadowolenie na myśl, że wobec mej siły fizycznej, on jest kurczęciem, chuchrem, słabeuszem. Czułem, że gdyby co do czego przyszło, rozciągnąłbym go jednym uderzeniem.

- Tak... mi... się kręci... w głowie - wyszeptała Dolly, kiedy mijali próg salonu. Bob odpowiedział westchnieniem i oboje znikli mi z oczu. Jeszcze przez chwilę słyszałem odgłos jego kroków, cichnących w miarę jak się zbliżał do sypialni,

potem trzasnęły drzwi,
prawdopodobnie nogą popchnięte i
wreszcie zapanowała cisza,
świadcząca wymownie, że "lew",
unoszący swą ofiarę, dotarł do
legowiska...

XI

Z westchnieniem ulgi opuściłem
niewygodną kryjówkę. Plan
działania miałem już z grubsza
ułożony w głowie, toteż nie
tracąc ani sekundy pobiegłem w
kierunku drzwi przeciwległych
tym, poza którymi znikła
śledzona parka. Znalazłem się w
swoim gabinecie. Przez krótki
moment zastanawiałem się, czy
zapalić lampę czy nie. Zapaliłem
jednak, lecz drzwi od salonu
zamknąłem, bo nuż Bob zechciałby
powrócić po wino. Pochwyciłem
słuchawkę, rzuciłem telefonistce
numer mieszkania Campbellów, ale
teraz przyszło mi czekać dobrą
minutę zanim w słuchawce odezwał
się zaspany głos Dicka.

- Tu Ralph.

- Mówisz z Buffalo - zdziwił
się.

- Nie, przyjechałem! Słuchaj i
nie przerywaj mi. Musisz
natychmiast przyjechać do mnie.

- Jak to, teraz? - powiedział
głosem trochę przytomniejszym,
po czym usłyszałem strzępy
ożywionego dialogu zbudzonego ze
snu małżeństwa. Z kolei
zazgrzytał w mikrofonie
antypatyczny głos niewieści, co
dowodziło, iż moja pani teściowa
wyrwała małżonkowi słuchawkę.

- Ralph, to ty? - spytała

niedowierzająco.

- Ja, we własnej osobie. Nie mam czasu na pogawędkę. Dick musi tu natychmiast przyjechać. Niech włoży płaszcz na piżamę, niech pędzi autem jak tylko może.

- Ralph! Ty nie ukrywaj przede mną. Coś się stało, coś się stało, coś niedobrego, prawda?

- Prawda.

- Boże! - krzyknęła, aż zachrobotało w słuchawce.

- Czekam Dicka za kwadrans najdalej i do widzenia.

- Stój, Ralph... Ja muszę wiedzieć... Dolly?

- Tak, Dolly.

- Zasnęła? Zemdlała? Coś kobiecego może?

- Właśnie... Coś całkiem kobiecego! No, good bye!

Cisnąłem słuchawkę na widelki, ale przyszło mi natychmiast do głowy, że Mrs. Campbell, niezaspokojona w niewieściej ciekawości, zacznie mnie bombardować nową serią pytań. Aby się przed tym zabezpieczyć, wyjąłem wtyczkę kontaktu (aparat był przenośny), po czym wypadłem na korytarz i pobiegłem szybko do mej sypialni, przypomniawszy sobie w samą porę, że tam znajduje się drugi aparat. Że też przedtem o tym nie pomyślałem, u licha! Niechby tak Campbellowie zadzwonili pod drugi nasz numer, zepsuliby mi wszystko. Wszakże tylko łazienka oddzielała obie sypialnie i tamci musieliby posłyszeć dzwonek. Wszedłem do mej sypialni ostrożnie, dotarłem po omacku do kontaktu, wyrwałem wtyczkę, odetchnąłem z prawdziwą ulgą na myśl, że teraz wszelka

komunikacja telefoniczna z willa była przerwana i posuwając się wzdłuż ściany doszedłem do drzwi od naszej wspólnej łazienki. Były zamknięte, ale nie na klucz. Obawiając się, że zamek może trzasnąć, nie przekręcałem klucza, natomiast przesunąłem zakrętkę. Tak więc Bob miał z tej strony odwrót odcięty i pozostało mi tylko zabezpieczyć się w podobny sposób z drugiej strony.

Nie zwlekając pospieszyłem do błękitnego saloniku, stamtąd do buduaru, którego drzwi były szeroko otwarte. Teraz wiedziałem już na pewno, że Bob zatrzasnął za sobą drzwi ostatnie. Tych niestety "na mur" zamknąć nie mogłem, ponieważ klucz tkwił od strony sypialni. Wobec tego "zablokowany" teren musiał być zwiększony o jedno pomieszczenie i składał się obecnie z łazienki, sypialni Dolly oraz jej buduaru. W obrębie tych trzech pomieszczeń mogła się parka swobodnie poruszać (o ile by jej przyszła ochota), ale dalej ani kroku. Byli uwięzieni i skazani na oficjalne zdemaskowanie, chyba że Bob zdobyłby się na bohaterski skok z okna pierwszego piętra. O to byłem jednak spokojny. Nie oczekiwałem tak rycerskiego gestu po uwodzicielu mej żony, który dla osiągnięcia zamierzonego celu nie wahał się złamać słowa i odurzyć swą ofiarę jakimś narkotykiem, podstępnie jej podanym. No, a przede wszystkim ani on, ani ona nie przeczuwali, że ja wrócę dwa dni wcześniej z Buffalo, że widziałem i słyszałem wszystko, że są w pułapce, z której nie ma wyjścia. Mogłem więc z całym spokojem powrócić do gabinetu, włożyć trzewiki, kurtkę i wyjść na ulicę, by tam oczekiwać przybycia teściów.

Było dokładnie trzy na

czwartą, kiedy przed wjazdową bramą zatrzymał się samochód, z którego wyskoczył najpierw Dick Campbell, za nim jego małżonka, a w końcu jakiś czerstwy staruszek. Nie poznałem go w pierwszej chwili i zdziwiłem się, że kogoś trzeciego jeszcze z sobą przywieźli, nie wiedzieć po co.

- Przyszła do siebie? -
spyтали wszyscy troje naraz.

- Nie wiem, ale myślę, że teraz przyjdzie do siebie -
odparłem z poważną miną, choć wewnątrz rżałem zjadliwym śmiechem.

Staruszką poznałem już i przywitałem się z nim serdecznie. Był to dr Lawrence Fish, ginekolog, stary przyjaciel domu Campbellów, najzacniejszy człowiek w świecie.

- Zadzwoniliśmy do niego -
wyjaśniała mi teściowa - Kochany Lawrence. Kiedy nasze auto podjechało pod jego dom, już czekał na ulicy. Zebrał się dosłownie w ciągu pięciu minut. Inny lekarz kazałby...

- No, dobrze - przerwałem -
ale ja was wcale nie prosiłem, abyście go przywozili. Jego obecność jest tutaj zupełnie zbyteczna.

- O, przepraszam cię mój drogi -
zaprotestowała - nie wątpię, że wezwałeś natychmiast lekarza, ale skoro ja matka mam największe zaufanie do Lawrence'a, to sam przyznasz...

- Przepraszam - wtrącił z kolei dr Fish, idący z Dickiem w drugą parę za nami - czy nie mógłby mi pan opowiedzieć w krótkich słowach, co zaszło właściwie?

Żał mi się zrobiło starowiny.

Wyciągnięto go z ciepłego łóżka
najniepotrzebniej w świecie.
Dreptał teraz w cienkim płaszczu
z małą walizeczką w dłoni. Ach,
narzędzia, wata, gaza,
bandaże... z pewnością. Ha i to
może się przydać, jeśli Bob
nawinie mi się zbyt blisko pod
rękę. Ale Fish mógłby poczekać w
hallu. Po co robić z niego
wariata. Obrazi się poczciwiec i
całkiem słusznie. Już chciałem
go odciągnąć na bok i oświadczyć
mu, że zaszło nieporozumienie,
jeśli chodzi o jego obecność,
lecz w tym momencie przyszła mi
szczęśliwa myśl do głowy: on
będzie jedynym właściwym
świadkiem, bo my wszyscy
jesteśmy zainteresowani w tej
sprawie, Campbellowie jako
rodzice Dolly będą się mogli
wstrzymać od zeznań i gdyby w
procesie rozwodowym tamci dwoje
zaprzeczyli faktowi
wiarołomstwa, wynik sprawy
będzie zależeć od tego, której
stronie sąd da wiarę. Więc tyle
zachodów, cała ta męczarnia
przeżyta przed pół godziną na
nic?

- O, nie - mruknąłem - skoro
sam los zesłał świadka, nie będę
się go pozbywał.

Dałem lekarzowi jakąś
wymijającą odpowiedź i
przyśpieszyłem kroku, by uniknąć
dalszych pytań. Na szczęście
dotarliśmy niebawem do drzwi
hallu.

- Ralph, ja nic nie rozumiem -
zawołała zniecierpliwiona Mrs.
Campbell.

- Proszę o bezwzględny spokój
i milczenie - syknąłem i
uścisnąłem dłoń mej teściowej
tak "wymownie", że skrzywiła się
z bólu.

- Gdzie ona? - spytał Dick.

- Zaraz wszystko zrozumiecie,
tylko raz jeszcze zaznaczam z

naciskiem, że musimy iść na palcach i trzymać języki głęboko za zębami. Ani pary z ust... Sądzę, że Dolly zasnęła - dodałem, widząc przerażenie malujące się dobitnie w twarzy Mrs. Campbell, a snu nie należy niepotrzebnie przerywać. Prawda, doktorze?

- Tak, tak. Sen wzmacnia organizm - potwierdził i budząc się z roztargnienia, rzucił mi nowe pytanie dotyczące nagłej niedyspozycji żony. Nie odpowiedziałem oczywiście. Położyłem palec pionowo na ustach, zmiażdżyłem bez litości wzrokiem teściową, która właśnie otwierała buzię i skacząc po dwa schody, stanąłem pierwszy na górze.

- Teraz... na palcach! - przypomniałem.

Nie ukrywali zdziwienia, lecz milczeli posłusznie i szli za mną na palcach gęsiego; najpierw Mrs. Campbell, potem Dick, a Lawrence Fish taszcząc swą lekarską walizeczkę, zamykał pochód.

- Tędy - warknąłem, widząc, że teściowa zdradza ochotę wkroczyć do salonu.

Wyprzedziwszy ich o kilka kroków odsunąłem zasuwkę przy drzwiach łazienki tak, że tego nikt nie widział. Raz jeszcze przypomniałem, aby zachowali ciszę, po czym ostrożnie wślizgnąłem się do łazienki. Drugie drzwi były uchylone i z sypialni żony dobiegało nas donośne chrapanie Boba. Podszedłem bliżej, wsunąłem rękę do tamtego pokoju, odszukałem po omacku kontakt, przekręciłem go i wpadłem jak bomba, ciągnąc za rękę teściową zaniepokojoną moim zachowaniem się.

- Boże! - wrzasnęła nieludzko.

Tamci dwoje spali snadź
twardo, bo nie przebudziło ich
ani zapalenie światła, ani
wtargnięcie naszej czwórki.
Dopiero kiedy zabrzmiał okrzyk
Mrs. Campbell, Bob Kennedy
otworzył oczy szeroko, zmrużył
je na mój widok, sądząc zapewne,
że trapi go sen tak przykry i
nagle wyskoczył z łóżka na równe
nogi, odtrącając brutalnie
obejmujące go za szyję ramię
Dolly, która wciąż jeszcze
spała... Nic dziwnego, że miała
sen tak twardy. Od chwili
wypicia tajemniczej mikstury
sporządzonej przez rutynowego
uwodziciela nie minęła nawet
godzina.

Dick Campbell zaklął
ordynarnie. I co mnie uderzyło,
zaklął pod adresem córki.

- Dick, proszę się liczyć ze
słowami! - zmitygowała go żona
nie tyle tym zdaniem, co
wzrokiem.

- Ani mi się śni - odparł
wojowniczo. - Ładnie wychowałam
naszą córkę. Żeby zdradzać męża
w kilka miesięcy po ślubie! I
jakiego męża!

- A, właśnie - syknęła, stając
od razu po stronie jedynaczki. -
Jakiego męża. Słusznieś
powiedział... Gdyby ten mąż był
dla niej...

- I z takim durniem - przerwał
jej, podchodząc do ogłupiałego
Boba, który pwooli rejterował w
stronę parawanu.

- Proszę pana! - oburzył się
nieśmiało.

- Co, proszę pana, smarkaczu
jakiś.

Przytrzymałem rozsierzonego
teścia za ramię, inaczej byłby
sobie może użył na niefortunnym
uwodzicielu córki. Teraz dopiero
spozstrzegłem, że Bob miał na

sobie moją nową piżamę. A, lajdak! Ściągnął ją z łazienki, bo tam zawsze wisiała od ranej do wieczornej kąpieli.

- Hallo, Mr. Kennedy - odezwałem się spokojnie - żonę może pan zabrać z sobą, ale moja piżama tu pozostanie. Zrozumiano?

Moja flegma dodała mu odwagi. Z dumnie zadartą głową wkroczył za parawan, rzuciwszy mi na pożegnanie wyzywające spojrzenie.

Dr Lawrence Fish podszedł do mnie i jak słusznie przewidywałem, zaczął mi robić gorzkie wymówki.

- Przepraszam - przerwałem mu - czy ja pana wzywałem?

- No, nie... Mrs. Campbell.

- Wobec tego niech się pan do niej uda z pretensjami, kochany doktorze - wskazałem na teściową, która od dłuższej chwili siedziała na krawędzi łóżka i starała się przerwać kamienny sen córki. Dopięła tego w końcu. Dolly otworzyła oczy, usiadła na łóżku, spojrzała ze szczerym zdziwieniem na matkę, prześlizgnęła się wzrokiem po sylwetce lekarza, potem Dicka i uśmiechnęła się do mnie. Ale nagle jej wędrujące spojrzenia padły na parawan, spoza którego widać było głowę i nogę Boba, sznurującego sobie trzewik z nerwowym pośpiechem, odbiły się stamtąd jak piłki, powróciły do mnie, do ojca, do doktora i odmalowała się w nich śmiertelna trwoga. Dolly zrozumiała wszystko, przypomniała sobie, co zaszło i z rozdzierającym okrzykiem padła na wznak na poduszki.

- Wody!... Octu!... Wody!... - zgrzytał zardzewiały głos Mrs. Campbell... No, ruszcie się

który... Ona zemdliała!

- Doktorze - zwróciłem się do Fisha. - Pytał pan, w jakim celu pana wezwano... O, proszę - wskazałem na nieruchomą twarz Dolly.

Wyprowadziłem Dicka z sypialni. Kiedy przybyliśmy do salonu, w którym rozegrała się niezapomniana scena pomiędzy Dolly i Bobem, dotychczasowa wojowniczość mego teścia znikła bez śladu. Upadł na fotel, zwiesił głowę ponuro i dłonie zaplótł na kolanach. Jeszcze nigdy nie widziałem go tak załamane go. Byłże to ten sam Dick Campbell, przedsiębiorczy businessman, człowiek niespożytej energii, którego żadne niepowodzenie nie było w stanie zniechęcić, a przeciwnie podniecało go tylko, dopingowało jego ambicję, hartowało wytrwałość, z głuchym uporem graniczącą?

- Co teraz? Co teraz? - zajęczał.

- Najważniejszy wypadek kroniki towarzyskiej Nowego Jorku - zgnałem, przypominając mu w ten sposób szumny artykuł, który puścił na łamach "Morning News" w dniu zaślubin jedynaczki, w dniu mego wesela.

Chwycił się oburącz za głowę i stękał, powtarzając w kółko swoje: - Co teraz będzie? Co ja zrobię? Co będzie?

- Ostatecznie, nic wielkiego - powiedziałem z ironią, bowiem napadło mnie coś, aby wylać żółć na Bogu ducha winnego teścia. Ano brałem odwet za wszystkie liczne docinki, dokuczania, jakich mi nie skąpił dawniej, w początkach naszej współpracy; "Nic wielkiego, Dick. Po prostu zmienisz zięcia".

- Co? - krzyknął, odrywając

ręce od twarzy. Ten półgłówek
moim zięciem?!

- Tak sądzę. Los Dolly nic
mnie wprawdzie od dziś nie
obchodzi, ale przez życzliwość
dla ciebie, powtarzam: to
najlepsze wyjście z sytuacji,
Dick. Inaczej Dolly będzie
skompromitowana.

- Przez takiego durnia,
idiotę, osła - zawodził.

- On się jeszcze wyrobi -
kpiłem - zobaczysz stary. Pół
roku w twojej szkole, a będzie
pisał zdumiewające artykuły, na
przykład z dziedziny ekonomii...
Hm, może polityka go
zainteresuje.

Połapał się wreszcie, że drwię
sobie z niego bez litości.
Machnął ręką, jakby odpędzał
zmoreę; podniósł głowę, spojrział
mi w oczy badawczo i spytał:

- W jaki to sposób wpadłeś na
to. Bo przecież miałeś po
południu wystartować do Buffalo.
Więc był to tylko fikcyjny
wyjazd celem zdemaskowania żony,
tak?

- Nie, stary. Byłem w Buffalo
i nie mając tam już nic do
roboty powróciłem do Nowego
Jorku. Powróciłem pocztowym
samolotem. Doobs musiał zostać z
powodu defektu naszej maszyny.
Kiedy tutaj zajeżdżałem, ani mi
przez myśl nie przeszło, że
złapię czułą parkę in flagranti.
Ani mi przez myśl nie przeszło,
że twoja córka...

- Nie mam już córki! -
wrzasnął, uderzając pięścią w
stolik, aż szkło zadźwięczało.

- Uspokój się, Dick.
Potłuczysz jeszcze kieliszki,
które na pamiątkę chcę sobie
schować. Opanuj nerwy. Bierz
przykład ze mnie.

- Tak - mruknał i obrzucił mnie badawczym wzrokiem. - To rzeczywiście nadzwyczajne, jak ty panujesz nad sobą... Jakby cię to całkiem nie obeszło, jakby ci było obojętne, że cię żona zdradziła - zauważył podejrzliwie, przewiercając mnie nieufnymi spojrzeniami.

- Potrafię zapanować nad nerwami. W tym rzecz cała - odparłem krótko.

Dalszą indagację przerwał mu zbliżający się ku nam odgłos kroków. Na progu stanął Bob. Ujrzawszy nas, stanął jak wryty, zawahał się, zdradzając wielką ochotę do sromotnej rejterady, ale ambicja nie pozwoliła mu na to. Z hardo podniesioną głową przemaszerował przez pół salonu udając, że nas nie widzi, kiedy osadził go w miejscu mój okrzyk:

- Piżama jest na swoim miejscu, Mr. Kenedy?

- Mr. Bronson! Ja sobie wypr... Co to ma znaczyć?!

- To ma znaczyć - odparłem, powstając z fotela i podchodząc ku niemu powoli - że obiecujący młodzieniec, który łamie słowo dane kobiecie, który dosypuje do wina jakichś proszków, który po zdemaskowaniu próbuje się ulotnić po angielsku... nie przerywać, do stu piorunów! taki "gentleman" jest moim zdaniem zdolny również do tego, aby świsnąć piżamę i stąd moje pytanie, na które nie otrzymałem jeszcze odpowiedzi.

Kiedy wspomniałem o proszkach, zbladł jak ściana. Aby zatuszować jakoś swoje zmieszanie, przysunął się do mnie i krzyknął, nadrabiając miną:

- Mr. Bronson!... Ja pana... spoliczkuję!

- Ty szczeniaku, mnie? -
warknąłem.

Zamierzył się naprawdę, lecz
ułamek sekundy wystarczył, abym
stał w obronnej pozycji
bokserskiej. Lewą ręką odbiłem
jego dłoń zanim dosięgła mej
głowy, a równocześnie sierpowym
ciosem prawej dłoni, zaciśniętej
w żelazny kułak palnąłem go w
szczękę, wyładowując w tym
ciosie cały zapas wściekłości,
nagromadzonej w czasie męczącego
sterczenia za portiera. .. Nic
tedy dziwnego, że słaby
fizycznie Bob odleciał na dobre
pięć kroków i runął na posadzkę
jak kłoda, a głowa jego
zadzwoniła złowrogo tuż u stóp
Dicka...

- Lawrence Fish przydał się
naprawdę - rzekłem, oglądając
żałośnie obolałe palce. - Idź po
niego, stary.

- Hm, hm - mruknął Dick
pochylając się nad nie dającym
znaku życia lowelasem. -
Dentysta także tu będzie
potrzebny. Zębki poszły.

- Poturbowałem ci zięcia, Dick
- ironizowałem, obwiązując sobie
dłoń chusteczką. - Przykro mi
bardzo.

Spojrzał na mnie z niemym
wyrzutem, podniósł się i
pospieszył do sypialni, aby
sprowadzić zacnego ginekologa...
Ha, ha, ha! Bob Kennedy
potrzebujący pomocy
ginekologa!... Kapitalne!

XII

Dopiero w dwa tygodnie od tej

nocy pamiętnej otrzymałem
odpowiedź Haliny na mój list,
donoszący o wszczęciu kroków
rozwodowych. Przez ten czas
niewiele się zmieniło, jakby
można było sądzić z pozorów...
Dolly wyjechała z matką do Palm
Beach, dokąd miał przybyć
później, in spe narzeczony mej
małżonki, Mr. Bob Kennedy, który
na razie przeprowadzał u
chirurga_dentysty gruntowny
remont swej jamy ustnej, mocno
podobno uszkodzonej w owym
zderzeniu z moją pięścią.

Pracowałem nadal w "Morning
News", gdyż interesy łączące
mnie z Dickiem były nazbyt
skomplikowane, aby je można było
zlikwidować na poczekaniu.
Posiadałem przecież jedną
czwartą część całego
przedsiębiorstwa, ale dopiero
gruntowna inwentura, operaty
szacunkowe nieruchomości oraz
sumienny bilans, mogły wykazać,
jaką wartość w dolarach moje 25%
przedstawia. Dick zamierzał mnie
spłacić, lecz założenie
chicagowskiej filii, a w
szczególności zakupienie dla
niej wspaniałego gmachu przy
Arondale Avenue, spłukało go tak
doszczętnie, że na razie nie
mogło być o tym mowy. Toteż był
szczerze rozczulony, kiedy mu
oświadczyłem, że rok chętnie
zaczekam... Przez ten czas
miałem pracować na dawnym
stanowisku, co zresztą leżało w
moim własnym interesie, bo nużby
tak sprytnemu Dickowi przyszła
chęć obniżyć wartość mojego
udziału przez sztuczne
zwiększenie kosztów
administracyjnych, czy w jakiś
inny sposób.

Tak więc pozory były ocalone,
jak sobie tego starzy
Campbellowie życzyli. Prócz
nich, prócz naszego "trójkąta"
małżeńskiego i dalej prócz
Lawrence'a Fisha, matki Boba
oraz dwóch zaprzyjaźnionych z
nami od dawna adwokatów, którzy

mieli się zająć jak najszybszym
przeprowadzeniem sprawy
rozwodowej, nie wiedział
dotychczas nikt o całym
zajściu... Ach, prawda. Do
wtajemniczonych należała także
Halina... Zaraz nazajutrz
napisałem do niej długi list,
zaczynający się od triumfalnego
okrzyku... "Jestem wolny,
Halino!" i dzisiaj, po dwóch
niespełna tygodniach otrzymałem
odповідź. Była długa,
wyczerpująca, a zawierała
wiadomość, która mnie z nóg
zbiła zupełnie... Ten tylko
ustęp przytaczam tutaj, bo
całość zbyt wiele zajęłaby
miejsca:

"...i kiedy mnie Mafalda
Martini przekonała o niewinności
swego syna, zrodziło się we mnie
gorące pragnienie: poznać
tajemnicę tragicznej śmierci
Waltera... Walczyłam z tym,
zdając sobie sprawę, że lot nad
oceanem jest jeszcze szaleństwem
w dzisiejszych warunkach, że
ewentualna katastrofa byłaby dla
Ciebie ciężkim ciosem... Dlatego
nie wspomniałam Ci nigdy o swym
najsukrytszym marzeniu, dlatego
starłam się ze wszystkich sił
stłumić je w sobie, zwalczyć
skutecznie...

Domyślasz się chyba, co
zaważyło na szali... Tak, Ralph.
Już nazajutrz po Twym wyjeździe
z Buffalo Knock był u mnie.
Wezwałam go telefonicznie i
wyjawiłam mu swe zamiary. On
poleci ze mną. Obecnie, od
dziesięciu dni siedzi w fabryce,
w której zamówiliśmy "Victorię
2"; takim bowiem mianem
postanowiłam ochrzcić naszą
maszynę, na pamiątkę samolotu
Waltera. Słowem, Ralph, sprawa
zaszła już tak daleko, że sama
ambicja nie pozwoliłaby mi się
teraz cofnąć. Zamiaru tego już
nie poniecham, przeciwnie, stał
się on dzisiaj moją największą

namiętnością, moja właściwa pasja"...

A kilka wierszy poniżej:

"Napiszesz mi zapewne, że wszystko bardzo pięknie, ale obecnie powinnam zrezygnować z "szalonych" planów, ponieważ jesteś wolny i nic nie stoi na przeszkodzie naszemu szczęściu.

Wierzę bowiem Twemu słowu, że było tak, jak mi to przedstawiłeś, i że winę rozbicia Twego małżeństwa ponosi wyłącznie ona; inaczej... ach, nie potrzebuję chyba powtarzać tego, co powiedziałam przy pożegnaniu. Uprzedzam ten zarzut. Nasze plany nie kolidują z sobą wzajemnie. Dokonawszy przelotu nad Atlantykiem, zostanę Twoją żoną i jeśli zechcesz, nie wsiadę więcej w życiu do żadnego samolotu; wszakże będę zobowiązana do ślepego posłuszeństwa wobec mego pana małżonka (na razie jednak nie mam jeszcze tego wędzidła). A jeżeli lot zakończy się katastrofą, jeśli zginę, to będzie to widomym znakiem, że przeznaczenie tak chciało, aby nasz związek nie doszedł do skutku... Widzisz, Ralph, zaraziłeś mnie trochę fatalizmem i zwalczam Cię teraz Twoją własną bronią..."

Czego ona nie nawypisywała w tym sażnistym liście!... Nie dziwota; miała dwa tygodnie czasu. Przewidywała wszelkie możliwe zarzuty z mej strony i rozprawiała się z nimi od razu, uprzedzając ewentualny atak. Dzięki temu list jej stanowił rekord pod względem objętości (szesnaście stronic), a zarazem pod względem chaotyczności...

I co ja miałem począć?
Odwozić ją od szalonego
przedsięwzięcia, perswadować,
zaklinać? Na to nie pozwalała,
pisząc przy końcu listu
wyraźnie:

"Nie próbuj mnie odwozić.
Jest to postanowienie niezłomne,
a moja stanowczość znasz chyba.
Twoje wysiłki nie zdałyby się na
nic, co gorsza, sprawiłyby mi
wielką przykrość i mogłyby
oziębnić nasze wzajemne stosunki.
Więc jeśli mnie kochasz naprawdę
i pragniesz mi oszczędzić
wielkich przykrości, nie
poruszaj tego tematu ani w
listach, ani w rozmowie, kiedy
tu zawitasz. Bo spodziewam się,
że mnie niebawem odwiedzisz etc.
etc."

Jej stanowczość! Jej upór,
chyba. Ale mniejsza o definicje,
dość, że wytrącała mi znowu broń
z ręki.

Nawet jej przekonywać nie
wolno. Może jeszcze ją pochwalić
powinienem. Może powinienem się
zachwycać jej pomysłem i
zapropionować swe towarzystwo w
samobójczym locie.

Strzeliłem palcami. To była
myśl przednia, to był ostatni
argument. - Jeśli on nie
poskutkuje, jeśli jej nie wybije
z głowy niedorzecznej
zachcianki... w takim razie ta
dziewczyna nie ma serca w
piersiach, lecz kłębek nerwów,
który nią rządzi i pcha do
nieobliczalnych czynów -
myślałem z goryczą. Postanowiłem
odpisać z miejsca i zrobiłem to,
a treść mej odpowiedzi można by
ujać w następującym zdaniu: - W
powodzenie lotu nie wierzę, jest
on czystym szaleństwem, wobec
tego albo zrezygnujesz, albo

weźmiesz moją śmierć na swoje sumienie, czyli polecimy razem; odpisz odwrotnie jak wybrałaś...

Adresowałem właśnie kopertę, kiedy z sąsiedniego gabinetu wszedł Dick Campbell. Przez te dwa tygodnie postarzał się trochę, stracił co najmniej 25% dawnego temperamentu, ale tak osowiałego nie widziałem go jeszcze nigdy; nawet w ową pamiętną noc, bo wówczas był raczej wściekły, później zaś jakby ogłuszony. Teraz miał minę wyraźnie zakłopotaną, zmartwioną, podszedł do mnie niepewnym krokiem i, co najdziwniejsze, upadłszy na fotel, nie oparł pięt na płycie mego biurka, ani nie poklepał mnie protekcjonalnie po barkach. Były to wszystko symptomy wielce charakterystyczne.

- Pozwolisz? - podsunął mi etui z cygarami i spojrzał w oczy niemal błagalnie... Pomyślałem sobie od razu: - Pewnie mnie do czegoś potrzebujesz, bratku, skoroś taki grzeczny i obłaskawiony.

Zaciągnął się kilkakrotnie, śledził przez chwilę z wielką uwagą zgrabny płas zwiewnych kóleczek sinoniebieskiego dymu, potem najniespodziewaniej w świecie rzucił pytanie, którego chyba najmniej oczekiwałem:

- Co ty sądzisz o Dolly?

Spojrzałem na niego z szczerym zdumieniem, lecz unikał mego wzroku uporczywie. Jeszcze nie wiedziałem, do czego on zmierza, toteż odparłem bez namysłu:

- Że córka nie wdała się w ciebie.

- Słusznie, święta racja - potakiwał skwapliwie - ha, gdyby była po mnie odziedziczyła inteligencję, nie doszłoby nigdy do tego. Bo żeby zdradzić

takiego męża jak ty i to z kim,
z takim idiotą, durniem,
trutniem, osłem kwadratowym!

- Dajmy temu spokój -
przerwałem, ale on już wpadł w
ferwor i kończył szybko zaczęte
zdania:

- No, daruj... ale trzeba być
głupią gęsią! - Zarumienił się
nagle, widać pożałował szybko
tych słów, gdyż zaczął z innej
zgoła beczki... - A jednak ta
dziewczyna ma złote serce, była
zawsze najlepszą córką, cichą,
posłuszną, nie kaprysiła
nigdy... - Musiał dostrzec
ironiczny uśmiezek, jaki mi się
bezwiednie przewinał przez usta,
bo zreflektował się od razu: -
No, tak... Czasem trochę
kaprysiła, ale to wina matki. A
żebyś wiedział jak się cieszyła
na waszą podróż poślubną, żebyś
wiedział jak ona ciebie
bezgranicznie kochała, to...
to...

- Do czego ty właściwie
zmierzasz? - spytałem prosto z
mostu....

- Do niczego nie zmierzam -
zachnął się. - Skąd takie
przypuszczenie?

- Doskonały sobie jesteś.
Reklamujesz tu swoją córkę, jak
gdybym ja był starającym się o
jej rękę, kiedy ja się z nią
przecież rozwodzę - podkreśliłem
i wsunąłem mu małą szpileczkę -
Dick, tyś się pomylił w
roztargnieniu... Te słowa miałeś
prawdopodobnie wygłosić wobec
Boba, co? Tak ci żona w liście
przykazała.

Zmieszał się niesłychanie.
Niewiele brakowało, a byłby
sobie cygaro rozżarzoną końcówką,
do ust włożył.

- Skąd wiesz, że dostałem list
od żony? - wygadał się.

- Intuicja, mój drogi -
żartowałem - ja zawsze poznam po
tobie, jeśli miałaś jakąś
przeprawę z swoją panią.

Zaklął coś pod nosem, odrzucił
cygaro na popielniczkę, wsunął
dłoń do kieszeni marynarki i
nagłym ruchem położył jakiś list
przede mną.

- Do diabła z dyplomacją... Ja
się nie nadaję do tego. Z toba,
kochany chłopie, mogę chyba być
szczerzy jak... z synem. Masz,
czytaj, co ona pisze.

- Do kogo list był adresowany?
- spytałem, nie patrząc na
pismo.

- No, do mnie... Od mojej
żony. Nie rób ceregieli, stary.
Ja cię upoważniam do
przeczytania tego. Ja cię
proszę, abyś przeczytał.

Zrozpaczony moją obojętnością,
okrzyknął szybko biurko, pochylił
się nade mną, rozłożył papier i
sam zaczął czytać głośno, wodząc
palcem po linijkach kunsztownie
wykaligrafowanego pisma:

"Darling!

Nie masz pojęcia, ile mam
zmartwień z naszą Dolly. Wygląda
coraz gorzej, nie sypia,
popłakuje ustawicznie, a kiedy
ją uspokajam, odgraża się, że
sobie życie odbierze, jeśli jej
nie dam spokoju...

Bob Kennedy przyjechał tu
wczoraj. Niemal siłą musiałam ją
zaciągnąć na werandę, gdzie
czekał. Chciała z nim zostać sam
na sam, więc wyszłam.
Podsłuchiwałam, ale niestety
rozmawiali tak cicho, że..."

W tym miejscu chrząknął Dick

i wtrącił własny komentarz:

- Ona ma ten zwyczaj, że zawsze podsłuchuje. Trudno ją na starość odzwyczaić od tego nawyku. Ale czytamy dalej.

- Po co? - wtrąciłem chłodno - co mnie to może obchodzić?

- Słuchaj tylko dalej - upierał się i nic sobie nie robiąc z mych protestów, czytał:

"...rozmawiali tak cicho, że prawie nic nie słyszałam. Bob wybiegł potem z nosem na kwintę spuszczonego. Musiała mu dobrze zmyć głowę; sądząc z jego zachowania się i z jej wzburzenia. Oświadczyła mi kategorycznie, że rozmawiała z nim ostatni raz w życiu, że go nienawidzi jak śmiertelnego wroga, że nigdy za męża już nie wyjdzie, ponieważ... ach, Dick... ponieważ kochała, kocha i kochać będzie zawsze tylko jednego człowieka, Ralpa!

Myślałam sobie wczoraj; chwilowy rozstrój, jutro będzie rozsądniejsza... Spotkał mnie przykry zawód. Ona słyszeć nie chce o Bobie. Wpada w istny szal, kiedy wymówić jego nazwisko, a jeśli jej wspomnieć Ralpa, wybucha spazmatycznym płaczem i rozpacz jej jest bezgraniczna... wprost zatrwajająca. Czuwam wciąż nad nią, bo lękam się, aby jakiegos gupstwa nie zrobiła...

Dick... pomów Ty z nim. Jest przecież człowiekiem kulturalnym, nie jakimś Azjata. Żyjemy w XX stuleciu. Jedno zapomnienie się kobiety, nie jest..."

- Dużo tego jeszcze? - chlusnąłem Dicka zimną strugą

ironii, widząc, że przewraca nową stronicę listu.

- Już niedużo - zrobił dobrą minę do złej gry.

- Możesz się nie fatygować... Intencje są aż nazbyt przejrzyste... Chodzi o to, bym przebaczył twej córce.

- O tak, Ralph - ścisnął mi rękę i modlił się do mnie równocześnie oczami. - Przebacz jej, przebacz! Może od tego słowa jej życie zawisło, a jeśli... ona umrze... to widzisz ja i moja żona zostaniemy tutaj - chrząknął bardzo energicznie, aby zatrzeć wszelki ślad wzruszenia, które go nagle ogarnęło, a którego się niesłychanie wstydził... Wyprostował się, uderzył dłonią w list żony i siląc się na szorstkość, spytał: - Więc co jej mam na to ostatecznie odpisać?

- Napisz żonie - odparłem, ważąc słowa - że nie czuję żadnego żalu do waszej córki, ponieważ zdaję sobie sprawę, iż to co uczyniła, było tylko wynikiem przejściowego nastroju, nie zaś rezultatem ewolucji jej uczucia względem Boba.

- Za to ci ręczę moim słowem - przerwał z zapalem - ona jego nigdy nie kochała, ciebie zawsze.

- I temu wierzę... co możesz także napisać.

- Jednym słowem - rozłożył ramiona, jakby się gotował do chwycenia mnie w objęcia... - Jednym słowem, ty pocciwy, najlepszy, najzaciejszy, chłopcze... przebaczasz Dolly.

- Hm... Tak... Przebaczam jej.

Ostrożność z jaką wypowiedziałem te słowa,

osadziła go na miejscu. Ramiona,
na kształt drogowskazu rozpięte
opadły ruchem powolnym,
ociężałym, oczy rozjaśnione
krótkotrwałą radością przygasły,
zdawały się mnie pytać;
"reservatio mentalis, symulacja,
zwykle grymasy, czy inne jakie
licho"? Palce zaczęły na płycie
biurka bębnić charlestona w
tempie presto, a z ust
zaciśniętych padło wreszcie
krótkie pytanie, wykrztuszone z
widoczną obawą, lecz zarazem w
tej myśli, że lepiej skończyć z
dręczącą niepewnością.

- Zatem Dolly może do ciebie
wrócić?

Poruszyłem głową poziomym
ruchem dwa razy.

- Nie, Dick... O tym nie może
być mowy; sam to powinienś
zrozumieć.

Opadł ciężko na krzesło,
zapatrzył się w okno i jał z
cicha świstać przez zęby,
akompaniując sobie w dalszym
ciągu bębnieniem po biurku,
które jednak przeszło w poważne
adagio.

- Czemu pozwoliłeś mi się
łudzić choć przez chwilę? -
powiedział z łagodnym wyrzutem,
spoglądając wciąż gdzieś na
szczyty mniejszych drapaczy
chmur.

- Nie moja wina, Dick...
Gdybyś mi był najpierw to
ostatnie pytanie zadał.

- Pytałem cię przecież
wyraźnie, czy...

- Czy mogę jej wybaczyć -
przerwałem z kolei.

- Nie spierajmy się o słowa -
machnął ręką.

- Masz słuszność... Lecz
powiedz mi teraz, ale tak z ręką

na sercu, jakbyś postąpił na
moim miejscu.

- Jaaa?... Oczywiście, że...
tego... tak... hm, bo ja wiem,
zresztą? Nie zastanawiałem się
nigdy. Nie było potrzeby się
zastanawiać. Nie bawmy się w
akademickie dysputy co by było,
gdyby itd., itd. Ale powiedz mi,
co ja im mam teraz odpisać... Co
ja mam odpisać? - potrząsał
zaciśniętymi dłońmi i wzrokiem
błagał o zmiłowanie.

Pragnąłem gorąco zakończyć już
raz tę przykrą rozmowę, lecz z
drugiej strony żal mi się go
zrobiło; musiałem mu służyć
radą.

- Dolly przeżywa obecnie ostry
kryzys - mówiłem między innymi -
dlatego trzeba z nią postępować
jak z człowiekiem ciężko chorym.
Choremu nie mówi się prawdy,
zataja się przed nim
nieszczęścia. Więc musicie ją
zwozić, podsycać jej nadzieję,
że kiedyś... ja zapomnę o
wszystkim... Skoro się otrząśnie
z obecnego przygnębienia,
zrozumie sama, że pomiędzy nami
mosty spalone na zawsze i oswoi
się z tą myślą. Ale dziś trzeba
jeszcze kłamać. Napisz, że jej
przebaczam, że nie czuję do niej
żalu, że nawet wysłucham jej
wyjaśnień... oczywiście
listownych, to wyraźnie
zaznaczam, słyszysz, Dick?

- Słyszę - potaknął
bezdźwięcznie.

- Osobiste zetknięcie się
sprowadziłoby opłakane skutki...
dla niej - ubezpieczałem się
przezornie, a jej trzeba teraz
oszczędzać nowych ciosów.
Słowem, pozwólcie się jej
łudzić... do pewnych granic i
grajcie ustawicznie na zwłokę...
Czas jest najlepszym lekarzem...
Ona potem zapomni...

Campbell zerwał się olśniony

jakaś myślą.

- Toś mądrze powiedział -
pochwalił mnie - tak, tak, czas
jest najlepszym lekarzem;
przyjdzie dzień, że i ty
zapomnisz.

- Nigdy!

- Zobaczysz, zobaczysz... ale
nie chcę podsycać twego uporu.
Wierz sobie na razie, że nigdy
nie zmięknie. A potem
zatęsknisz za żoneczką i sam ją
przyzwiesz do siebie.

Wzruszyłem ramionami.

- Nie pisz jej przynajmniej
tych nonsensów - upomniałem go,
widząc, że zmierza ku drzwiom
swego gabinetu i potrząsa
zwycięsko listem od żony, jakby
na znak, iż już wie, jak należy
odpisać - napisz natomiast...

- Pozostaw to mnie - wtracił
chełpliwie - już ja tam nie
pokpię sprawy! - dodał,
zacierając ręce i z miną
bajecznie chytrą opuścił moją
pracownię.

3 3 64 0 2 108 1 ff 1 74 0
Nazajutrz po południu
przeglądałem pocztę z lekkim
niepokojem. Na upartego
odpowiedź Haliny mogła już
nadejść, o ile ona zaraz
odpisała i o ile wysłała swój
list lotniczą pocztą, jak ja to
zwykle czyniłem. I odetchnąłem z
ulgą nie znalazłszy wśród stosu
korespondencji wielkiej, białej
koperty, zaadresowanej dobrze mi
znanym pismem; z ulgą, powiadam,
bo odpowiedź odwrotna na
ultimatum świadczy najwymowniej,
że przeciwnik ani myśli o
kapitulacji, i przeciwnie,
pragnie podkreślić swą gotowość
do stoczenia kampanii. Toteż
zanim się nie przekonałem, że
listu od Haliny nie ma
rzeczywiście, żałowałem w duchu,
że moje "ultimatum" było

utrzymane w tonie tak ostrym.

W nie mniejszym podnieceniu przeglądałem każdą przesyłkę poczty na drugi dzień i na trzeci, szukając gorączkowo charakterystycznej białej koperty i pragnąc równocześnie, aby jej jeszcze nie było. Znow przeszedł dwa dni. Coraz więcej wierzyłem w swój sukces. - "Nieprzyjaciel" się waha. Rozsądek nakazuje mu kapitulować, ambicja na razie nie pozwala na to. Poczekajmy spokojnie - monologowałem za każdym razem, kiedy skrupulatne przerzucenie stert korespondencji nie dało żadnego wyniku.

Aż nastał dzień szósty.

Leżała na samym wierzchu. Poznałem ją od razu, tę bajecznie podłużną kopertę i to pismo duże, zamaszyste, energiczne. - Kapitulacja - uśmiechnąłem się triumfalnie, ważąc list w dłoni. Był lekki, bardzo lekki w porównaniu z tamtym szestastostronicowym. - "Będą oczywiście wymówki, wyrzuty itd., ale w końcu... odwrót na całej linii" - myślałem, szukając nożyka do przecinania kopert, który jak raz się gdzieś zawieruszył wśród powodzi papierów. UŚmiechnięty zwycięsko, zadowolony z siebie, a przede wszystkim dumny z swego posunięcia, jakim było owo ultimatum, zabrałem się do czytania:

"Drogi Mój!

Nie masz pojęcia jaka jestem szczęśliwa. Marzyłam o tym, ale nigdy by mi to przez usta nie przeszło... Aż Ty sam... ach Ralph... litery mi tańczą z radości. Ty sam, jakby odgadując treść moich najskrytszych marzeń, napisałeś (po sto razy

odczytywałam te słowa)
napisałeś: "polecimy razem"...
O, tak Najdroższy Mój! Razem po
sławę, lub..."

- Co?... - krzyknąłem,
przerywając lekturę... - Czy ona
kpi sobie ze mnie?... Czy
oszalała?

Zacząłem jeszcze raz od
początku, po czym w najwyższym
wzburzeniu czytałem dalsze
wiersze:

"...razem po sławę, lub po
śmierć bohaterską, sławną! Ale
drugiej ewentualności nie biorę
pod uwagę. Jestem nazbyt
zadufana we własne siły, w
geniusz Knocka, w niezawodność
naszej "Victorii 2" (to będzie
cacko techniki, powiadam Ci,
Darling) abym mogła choć na
chwilę jakieś czarne myśli do
siebie przypuścić.

Natychmiast po otrzymaniu
Twego listu telefonowałem do
Detroit. Na szczęście Knock był
właśnie w fabryce. Powiedziałam
mu o Twojej bohaterskiej decyzji.
Zżymał się trochę, bo przy
pierwszych swych obliczeniach
nie brał w rachubę, że prócz nas
polecą jeszcze trzecia osoba.
Ale już wszystko załatwione.
Knock utrzymuje, że nie
powinieneś być tylko balastem i
chce z Ciebie zrobić
radiotelegrafistę. Nie przerażaj
się, Kochanie. To naprawdę nic
trudnego. Pojmiesz to szybko...
Co do tego, oraz w sprawie
próbnych lotów, w których musisz
wziąć udział oczywiście,
porozumiemy się, kiedy tu
przyjedziesz. Czekam Cię w
najbliższą sobotę... Czekam Cię
z utęsknieniem, Ralph Drogi.
Niczym nie mogłeś mi sprawić
takiej radości jak tym męskim,
mocnym postanowieniem: "polecimy

razem, Halino". Teraz wierzę, że nie kochasz mnie tylko dla mej urody (podobno nie jestem najbrzydszą szkaradą), że miłość Twoja jest miłością wielką, czystą, bezinteresowną, zdolną do wszelkich poświęceń, bo mężczyzna, który naraża się dobrowolnie dla..."

- Nie! - jęknąłem, chwytając się za głowę - ja tego czytać nie potrafię... Taki anioł, a jednocześnie taka perfidia kobieca!... Jak to pogodzić? Jak to pogodzić?...

- Nie spodziewałem się tego - zabrzmiał w tej chwili głos Dicka Campbella.

- Czegoś się nie spodziewał? - warknąłem gniewnie, rad, że będę miał na kogo zółć wylać.

- Że taka prowincjonalna szmata może mieć wcześniejsze informacje od naszego pisma.

- Także pretensja. Ślepej kurze również się niekiedy trafi ziarno. Chodzi pewnie o jakąś sensacyjkę z prowincji. Nic dziwnego, że...

- Tu chodzi o sensację, która cały świat elektryzuje! - wołał, potrząsając z dziką pasją olbrzymią płachtą jakiegoś czasopisma. - Tu chodzi o nowy lot transatlantycki!

- Hę? - mruknąłem, tknięty niedobrym przeczuciem.

Dick ochłonał nagle. Skrzyżował ręce na piersiach, tuląc w tych objęciach ów dziennik i spojrzał na mnie z wyrzutem.

- Nie rozumiem cię, Ralph - zaczął kazanie, rozwodzisz się z moją córką, dobrze... mam cię spłacić, dobrze... ale na razie

jeszcze jesteś współwłaścicielem "Morning News" i rozwój tego dziennika leży zarówno w twoim, jak i moim interesie. Tak, czy nie?

- Bezwarunkowo, tak. Nie rozumiem jednak, jaki związek...

- Skoro więc - ciągnął dalej - trafia się taka sensacja, jak nowy lot nad oceanem, skoro załogę samolotu stanowią takie osoby, jak Patrick Knock, a nad asy, dalej - tu Dick podniósł głos - narzeczona Waltera Ashleya, a wreszcie niejaki Ralph Bronson!

- Do stu piorunów! - zakląłem, uderzając pięścią w blat biurka.

- To - kończył Campbell częstując moje biurko takim samym ciosem, tylko z drugiej strony - to, powiadam... przede wszystkim ja i moje pismo powinno wiedzieć. Tego wymaga zwykła lojalność, kupiecka uczciwość, tego wymaga...

- Dawaj to piśmidło - huknąłem - niech zobaczę na własne oczy.

- Tu, czytaj... O, proszę... "Wywiad z Patrickiem Knock".

Wyrwałem mu rozwiniętą płachtę z ręki, rozłożyłem ją przed sobą i czytałem głośno, bo jeszcze nie dowierzałem oczom i chciałem, by słuch kontrolował wzrok.

"Naszemu współpracownikowi T. G. udało się zdobyć sensacyjną informację, że fabryka samolotów H. Ford et Co..."

- To opuść... Od tego miejsca czytaj - przerwał mi.

"Patrick Knock wzbraniał się początkowo udzielić wywiadu, lecz w końcu przyznał, że w kwietniu zamierza podjąć lot Nowy Jork_paryż i z powrotem (o wielką nagrodę H. Forda), wspólnie ze swoją uczennicą Miss Haliną Horską, która była zaręczona z tragicznie zmarłym lotnikiem Walterem Ashleyem. Trzecim pasażerem "Victorii 2" jest Mr. Ralph Bronson, dziennikarz z Nowego Jorku..."

W tej chwili zadzwieczał ostro dzwonek telefonu. Podniosłem słuchawkę, nie odrywając wzroku od gazety.

- Mr. Bronson? - zabrzmiał głos naszej telefonistki - Chicago chce z panem mówić; łączę.

Mrugnąłem na Dicka.

- Oddział dzwoni - rzekłem - pogadaj z nimi. Ja chcę skończyć tę zajmującą lekturę.

Wręczyłem mu słuchawkę i czytałem dalej:

"Pomiędzy Mr. Patrickiem Knock a naszym współpracownikiem wywiązał się potem następujący dialog:

T. G. (nasz współpracownik): - Inicjatywa tego lotu wyszła niewątpliwie od pana, Mr. Knock?

P. Knock: - Nie. Miss Horska pierwsza wystąpiła z tym projektem i zdołała mnie namówić, co prawda bez trudu. Początkowo mieliśmy zamiar lecieć tylko we dwoje. Jednakże Mr. Bronson nalegał, aby..."

Dick wcisnął mi na powrót słuchawkę do ręki.

- Mówi Tailor. Ja niestety nie mogę zaspokoić jego ciekawości - powiedział z ironią, a zarazem z żalem - bo sam wiem tylko tyle, co wyczytałem w tej prowincjonalnej szmacie. Tailor chce puścić w jutrzejszym numerze większy artykuł o waszym locie. Masz mu dostarczyć bliższych informacji, fotografii itd. Gadaj z nim teraz.

Podszedł szybko ku drzwiom swego gabinetu, przystanął w progu, a widząc moje osłupienie, dorzucił zjadliwie:

- A może nie wolno ci nic mówić? Może tamtemu piśmidłu daliście monopol, co? Powiedz śmiało... Niczemu się już nie będę dziwił!

Zaklął soczyście, odwrócił się na pięcie i drzwi za sobą zatrzaskał z taką furją, że szyby zadźwięczały. Jeszcze ani jednego słowa nie przemówił. Tailor denerwował się coraz bardziej, wyładowywał swą złość na telefonistkach, które z kolei na mnie atak przypuściły. Trzy głosy, dwa niewieście i jeden męski trajkotały na wyścigi, chrobotwały rozpaczliwie w mikrofonie: - "Hallo, Mr. Bronson... Ależ połączyłam, Mr. Tailor... Niech pan mówi... Tu Chicago, co jest dzisiaj z tym połączeniem? Mr. Bronson, proszę mówić... Hallo, słuchawka odłożona... Niech pani łączy z gabinetem Cambella... Hallo, Mr. Bronson".

- Czego oni chcą ode mnie? - pytałem sam siebie głośno.

- Mister Bronson, mister Bronson - kołatała nasza telefonistka głosem już niemal płaczliwym. - Jestem przy telefonie - huknąłem gniewnie, a jednocześnie mówiłem w duchu do

Haliny: - Ale mnie ubrałaś,
dziewczyno... aleś mnie ubrała!
Jak ja teraz z tego wybrnę, u
licha.

XIII

Było to dnia 21 kwietnia.
Kiedy powróciwszy z lotniska
Curtisfield do mego obecnego
mieszkania przy E. 125 Street
(bowiem z chwilą rozpoczęcia
sprawy rozwodowej opuściłem
natychmiast willę w Brooklynie
będącą własnością Dolly)
rzuciłem się na otomanę, aby
trochę wypocząć, wkroczył do
pokoju mój czarny Mike, dzierżąc
w każdej ręce po jednej walizce.

- Pan pojutrze na pewno
jechać? - spytał.

- Całkiem na pewno -
ziewnąłem.

- Na długo?

- Na pięć dni, albo na
wieczność.

- To Mike panu wszystkie
ubrania zapakować - wykombinował
po dłuższym namyśle.

Myślałem o czymś innym, lub
raczej starałem się o niczym nie
myśleć, toteż odpowiedź Negra
obiła mi się o uszy, ale nie
przeniknęła do mej świadomości.
Dopiero gdy ujrzałem, że Mike
otwiera szafę i wyjmuje z niej
jedno ubranie po drugim,
skoczyłem na równe nogi.

- Zwariowałeś? Może jeszcze
szafę zechcesz władować do
samolotu, co?

- Pan jechać na wieczność, tak mówić. To być bardzo długo.

- Na wieczność! Krakać mi tu będzie, czarny puszczyk! Wynoś się, pókim dobry... Sam sobie spakuję, co mi będzie potrzebne. Oczyść z kurzu najmniejszą walizeczkę, przynieś ją tutaj i precz mi z oczu... Czekał - dorzuciłem, zatrzymując go już w progu. - Gdyby kto do mnie przyszedł, to mnie nie ma, rozumiesz? Miss Horska i Mr. Knock mają oczywiście wstęp wolny o każdej porze, ale poza nimi... nikt... A teraz, w tył zwrot i marsz.

3 3 64 0 2 108 1 ff 1 74 1
Zrobiłem sobie z poduszek wygodne legowisko na otomanie, przysunąłem do niej stoliczek, zaopatrzyłem się w "paliwo" i ległem na powrót, miotając raczej dla przyjemności, niż z przekonania różne obelgi na kołtuniastą głowę czarnego lokaja. - "Panu pojutrze na pewno jechać?" - przedrzeźniałem jego niewyraźny bełkot. Bowiem Mike żuł stale gumę, ale wymowę miał tego rodzaju, jak gdyby w ustach trzymał dużą pomarańczę.

- Całkiem na pewno pojutrze - mruknałem i przetarłem sobie oczy, gdyż nagle wydało mi się wszystko jakimś niezwykłym snem, który trwa niesamowicie długo, ale musi się przecież raz skończyć... "Tak, skończy się, kiedy spadniemy na łeb do wody. Wtedy ocknę się na krótko, by znowu zapaść w sen, tym razem wieczny" - monologowałem w nastroju bardzo pesymistycznym... Teraz mogłem sobie przynajmniej użyć, bo w obecności Haliny nie wolno mi było krakać; raz to uczyniłem tylko, lecz dostałem taką reprimendę, że później dobrze pilnowałem języka.

Wspomnienie tej rozmowy kazało mi się cofnąć myślą wstecz dwa

miesiące.

Nie odpisałem Halinie na ów list, będący szczytem niewieściej perfidii, ale z jakim za to zapasem argumentów, perswazji, wymówek wybrałem się w najbliższą sobotę do Detroit! Niestety, moja "krucjata" była pod każdym względem kopia, oczywiście miniaturową, napoleońskiej wyprawy na Rosję. W obu wypadkach była bajeczna pewność siebie, niezłomna wiara w zwycięstwo i odwrót na całej linii, z tą jeszcze różnicą, że armia moich argumentów w ogóle do głosu nie przyszła, rozbita w puch pocałunkami Haliny oraz słodką pieśczętą jej słów, pochwał, zachwytów nad moją odwagą i poświęceniem. Zrobiła mnie na poczekaniu bohaterem, a jednocześnie rozbiła "bohatera" tak dokładnie, że Ralph_gentleman do spółki z Ralphem_dziennikarzem wręczyli symboliczny pantofel dyktatorowi, ten zaś nie zareagował na to zupełnie i mruknawszy coś bardzo niepochlebnego o kobiecej przewrotności, poszedł do Knocka, aby się wtajemniczyć w arkana radiotelegrafii.

Krótko mówiąc zostałem pobity na głowę i kiedy w tydzień później, po powrocie do Nowego Jorku, Dick Campbell cały rozgorączkowany "umierający z ciekawości", zagadnął nieśmiało, czy nieporozumienie zostało wyjaśnione, odpowiedziałem swobodnie:

- Naturalnie... Knock wygadał się po pijanemu przed tym reporterzyną. Zmyłem mu głowę porządnie. Już teraz słowa nie piśnie. "Morning News" mają pierwszeństwo. Skoro wylądujemy w Le Bougret, przyślę ci natychmiast kablem sprawozdanie z pierwszej części podróży.

- Ralph!... chłopcze drogi...

wiedziałem, że się na tobie nie
zawiodę... Niech cię przytulę do
serca... synu mój! - bełkotał
rozczulony, szorując mi policzki
twardą szczecina swego zarostu.
Ochłonawszy nieco - zaczął mnie
wypytywać, kiedy zamierzamy
wystartować, skąd, jaki typ
samolotu, ilu konne silniki, ile
galonów benzyny, bez końca...
Ani na połowę z tych pytań nie
potrafiłem mu odpowiedzieć.
Knock był zdania, że będzie
można startować do lotu przez
"wielki staw" z końcem kwietnia,
o ile oczywiście warunki
atmosferyczne na to pozwolą.
Wiedziałem poza tym, że
"Victoria 2" ma posiadać trzy
motory, ale po inne informacje
odesłałem ciekawego Dicka do
diabła, to jest, chciałem
powiedzieć: do Patricka Knocka.
Stanęło więc na tym, że do
Detroit wyjedzie jeden z naszych
reporterów z polecającym listem
ode mnie.

Coś w dziesięć dni potem
otrzymałem list z Anglii od
pocziwego Scotta... - "Zaczynam
się stawać popularną postacią na
obu półkulach" - zrzędziłem z
obłudnym niezadowoleniem,
czytając pierwsze wiersze peanu
pochwalnego na cześć mej odwagi.
Edgar entuzjasmował się lotem
"Victorii 2", twierdząc, że z
pewnością przyczynimy się do
odsłonięcia tajemnicy tylu
tragicznych przelotów
transoceanicznych, jeżeli
postąpimy ściśle według jego
wskazówek. W przeciwnym razie
grozi nam śmierć. To ostatnie
słowo było podkreślone i
zaopatrzone trzema wykrzyknikami
dla spotęgowania efektu.
Wskazówek tych miał nam Edgar
udzielić osobiście, po przybyciu
do Nowego Jorku. Spodziewał się
tu zawitać w pierwszych dniach
kwietnia. Na razie dawał tylko
jedną radę; uzbroić samolot w
karabin maszynowy. (Znowu trzy
wykrzykniki). "Kulomiot należy
tak umocować, aby pole obstrzału

było jak najszersze..." doradzał Edgar Scott, wyjaśniając poniżej, że byłoby najlepiej, gdyby ów miotacz śmiercionośnych pocisków mógł się obracać na wszystkie strony wraz z silnym reflektorem. Potem nastąpiła część właściwa listu, poświęcona przede wszystkim wyprawie do Grenlandii. Przygotowania były na ukończeniu. Statek ekspedycji "The Spectre" rozpoczął już ładowanie niezliczonych instrumentów, jakie Scott oraz jego uczeni koledzy mieli zabrać z sobą. Termin odjazdu był ustalony na dzień 24 marca.

"...a więc do miłego spotkania w Nowym Jorku", kończył kochany profesor swój tasiemcowy list i z profesorską pedantycznością powtórzył raz jeszcze, że zabranie kulomiotu jest głównym warunkiem powodzenia naszego przedsięwzięcia.

"Chciałem Ci to dopiero ustnie powiedzieć, Kochany Przyjacielu, ale przyszło mi na myśl, że wtedy mogłoby być już za późno. Trzeba by na gwałt szukać odpowiedniego miejsca na umieszczenie mitraliezy nie mówiąc już o nowym skompensowaniu busol i kto wie ilu jeszcze trudnościach. Dlatego właśnie piszę o tym w tym liście. Zazdroszczę Ci szczerze, iż spotkasz się prędzej ode mnie z "Upiorami Atlantyku", choć właściwie nie ma czego zazdrościć lotnikom tego spotkania. No tak, ale ty będziesz na nie przygotowany i wyjdiesz z niego zwycięsko, jeśli posłuchasz rad oddanego Ci

Edgara Scotta"

Żywiołowa wesołość zapanowała wśród konstruktorów "Victorii 2", kiedy z najpoważniejszą miną odczytałem kilka ustępów wspomnianego listu. Patrick Knock prychał jak hipopotam przy rannej toalecie.

- Kapitalny pomysł - wołał, trzymając się za brzuch od serdecznego śmiechu. - Kulomiot! A jakże! Może już lepiej baterię haubic zabrać z sobą, co? Albo kilka ton granatów ręcznych... Dawno się tak nie naśmiałem.

Tego zdania była także reszta towarzystwa. Stosunkowo najpoważniej zachowywała się Halina, choć i jej uśmiech figlarny zakwitł na ponętnych usteczkach... Oświadczyła wreszcie, że niewątpliwie zażartowano sobie ze mnie.

- Nie znasz Edgara - upierałem się - to jest człowiek najbardziej serio, jakiego Anglia wydała. Zresztą o "Upiorach" nie pierwszy raz mi napomyka.

- Musi mieć na tym punkcie ide~e fixe. Bo przeczytaj jeszcze raz, jak nazwał statek ekspedycji.

Rołożyłem ponownie ów list, który tyle dobrego humoru słuchaczom przysporzył.

- Rzeczywiście - zauważyłem dopiero teraz, "Spectre".

- A widzisz... "Upiór"... On ma widoczną słabość do tego.

- Hm, hm, więc jakże, nie da się nic zrobić? - pytałem nieśmiało, odprowadzając Halinę na bok, aby się nie narazić na nowe kpiny paczki wesołków.

- Nie, Ralph - odparła - gdyby on przynajmniej wyjaśniał, do czego ma służyć w podróży

kulomiot i gdyby te wywody miały choć jeden procent słuszności... nie protestowałabym... Przeciwnie. Nie wolno nam zaniedbywać żadnego środka...

- A właśnie - wtrąciłem z zapalem.

- No, daruj, kochany, ale kulomiot w samolocie transoceanicznym to coś jakby wysokie buciki z cholewkami przy toalecie balowej. Co ma jedno do drugiego... Najlepiej będzie, jeśli napiszesz zaraz dziś do niego i poprosisz go o wyjaśnienia.

Nie napisałem jednak. Znałem Edgara zbyt dobrze i wiedziałem, że z niego listownie nic nie wyciągnę. Próbowałem już przecież, wówczas, w okresie mej podróży poślubnej, ale nie odniosło to żadnego rezultatu. Edgar pamiętał o maksymie: "scripta manent", a nie mając w ręku pozytywnych dowodów istnienia owych "Upiorów", nie chciał się ośmieszać. Nie wątpiłem natomiast, że skoro tu przyjedzie, to całą prawdę od niego wydobędę z łatwością.

Z końcem marca rozpoczął się okres próbnych lotów. Nie we wszystkich oczywiście brałem udział, to było zbyt cenne. Ale nie minęła mnie ta przyjemność w dniu 9 kwietnia, kiedy wystartowaliśmy spod Detroit i przyleciawszy tutaj, krążyliśmy przeszło dobę ponad Jersey City, Newark, Staten Island, Coney Island, Brooklynem i znowu nad właściwym Nowym Jorkiem. Manhattan wyglądał z tej wysokości jak długi, chropowaty jęzor, a mosty nad East River jak cienkie szwy fastrygi. Wtedy też zadebiutowałem w roli telegrafisty. Kropnąłem dziękczynny telegram do zakładów H. Forda w Detroit i uszczęśliwiłem Dicka Campbelle specjalną depeszą, która

naturalnie porodziła od razu nadzwyczajny dodatek "N. Y. Morning News". Ale po szczęśliwym wylądowaniu pod Mineolą pojechałem prosto do mieszkania, rzuciłem się w ubraniu na otomanę i spałem snem sprawiedliwego "mnóstwo za bardzo", jakby powiedział którykolwiek z egzotycznych bohaterów Londona.

Nazajutrz dostałem smutną wiadomość. Edgar Scott, schodząc z górnego pokładu "The Spectre" poślizgnął się na pierwszym stopniu i upadł z wysokości zaledwie dwumetrowej tak nieszczęśliwie, że doznał wstrząśnienia mózgu. Stan jego budzi wciąż jeszcze obawy, choć tragiczny wypadek miał miejsce jeszcze dnia 31 marca; tak przynajmniej pisała jego gospodyni w odpowiedzi na mój telegram. Bo o odroczeniu terminu odjazdu ekspedycji do dnia 2 kwietnia, wiedziałem. Edgar doniósł mi o tym lakoniczną kartką, dodając, że nawał zajęć nie pozwala mu tym razem na dłuższe rozpisywanie się. Wtedy zadepeszowałem do niego, zapytując, kiedy ostatecznie "The Spectre" zawita do portu w Nowym Jorku i dopiero 11 kwietnia otrzymałem list gospodyni profesora z hiobową wieścią. Dziwiło mnie tylko, że w żadnym dzienniku nie spotkałem się z wzmianką o tym wypadku. Przecież Edgar Scott był światową powagą i o zamierzonej wyprawie do Grenlandii pisało się wszędzie szeroko.. A może i były wzmianki, lecz przeoczyłem je, zajęty całkowicie ostatnimi przygotowaniem do "skoku przez wielki staw"? Chyba, że tak.

Szczególnie gorący był ostatni tydzień. Dick maglował mnie niezmordowanie drobiazgowym omawianiem szczegółów kampanii, jaką miały "Morning News" rozpocząć w chwili startu "Victorii 2". Nadzwyczajne

dodatki z biuletynami z różnych etapów podróży miały się sypać jak z rogu obfitości.

3 3 64 0 2 108 1 ff 1 74 0
- W Le Bourget was oblegna,
wiem o tym - terkotał mi jak utrapiona mucha - ale nic z tego. Wymawiajcie się zmęczeniem. O Miss Horską jestem spokojny; to dzielna dziewczyna. Lecz Knocka pilnuj. Wstrętny gaduła. Kiedy ci potwierdzą depeszą odbiór kablogramu, możesz tam udzielić wywiadu. Tylko nie wcześniej. "Morning News" muszą mieć pierwszeństwo. Leży to także w twoim interesie.

- Wiem, wiem - ziewnąłem znudzony i wymykałem się co prędzej z redakcji, tęskniąc za towarzystwem Haliny. Nie mogłem się sam sobie nadziwić, jak potrafiłem dawniej żyć bez jej widoku tydzień cały, a nawet dwa tygodnie niekiedy, skoro dzisiaj półdniowa rozłąka męką mi była nieznośną. I jakby na złość, moja cudna, najdroższa dziewczyna mogła mi tylko poświęcić maleńkie okruchy minut, pochłonięta doszczętnie wytężającą pracą i przejęta do głębi tym przeklętym lotem. Cały dzień niemal spędzała na lotnisku, zaś wieczorami ślęczała wraz z Knockiem nad biuletynami meteorologicznymi, które pożerały jej uwagę do tego stopnia, że zupełnie zapomniała o mej obecności, nie dostrzegała mnie, chociaż siadałem zawsze po drugiej stronie stołu i rozkochanymi spojrzeniami pieściłem jej drogą główkę, jej popielate loki, spadające niesfornie na wysokie, inteligentne czoło, jej twarzyczkę Madonny o klasycznym owalu i małe usteczka, których pocałunki były tak niewinne i tak oszałamiające zarazem.

Zwykle około jedenastej Knock spozierał na zegarek, z stereotypowym uśmiechem wyrażał

zdziwienie, że już tak późno i zabierał się do odejścia. Wtedy dopiero przypominała sobie moją obecność.

- Ach Ralph. Przepraszam cię bardzo. Musiałeś się nieźle wynudzić, co? Ale teraz jestem do twojej dyspozycji - mówiła.

Lecz antypatyczny nudziarz, mam na myśli Knocka, nie pozwalał na długie pogawędki.

- Pół godzinki możecie sobie państwo gruchać, ani minuty dłużej. Ja zaczekam na dole, w hallu na pana, Mr. Bronson. Wyjdziemy razem. Proszę nie zapominać, że jutro spotykamy się na lotnisku przed ósmą - zrzędził, wynajdując zawsze jakiś próbny lot z pełnym obciążeniem, czy inne lichy, byle mi tylko zepsuć wieczór i zmusić Halinę do pójścia na spoczynek przed północą. - Mocne, wypoczęte nerwy to połowa zwycięstwa - kończył kazanie, wychodził i dokładnie za pół godziny telefonował z hallu, że pora przerwać sielankę. Zżymałem się początkowo na taką kuratelę, lecz Halina brała go w obronę. - On ma słuszność - utrzymywała - kiedy Bóg da, że powrócimy tutaj szczęśliwie, powetujemy sobie dzisiejsze zmartwienia.

I tak dni biegły jeden za drugim, jeden podobny do drugiego, przynajmniej dla mnie, laika w sprawach lotniczych, bo tamci dwoje mieli zawsze jakąś "fachową" niespodziankę i urozmaicenie.

Zamierzaliśmy wystartować 20 kwietnia, lecz prognozy co do pogody w czasie podróży były w przeddzień tak niepomyślne, że nawet Halina, "szalona miss", jak ją nazywano na lotnisku z powodu niesłychanej brawury, nie protestowała, kiedy Knock odsunął termin o trzy dni. Więc odleciemy 23, to jest pojutrze, o

ile wyrok meteorologów znowu nas
nie powstrzyma.

- Pojutrze - powiedziałem
głośno, przesuwając w myśli
różaniec wspomnień z ubiegłych
dwóch miesięcy...

Wydało mi się, że mój czarny
służący wiedzie z kimś ożywiony
rozhovor. - "Pewnie kogoś diabli
przynieśli" - poymślałem, nie
przejmując się tym zbytnio;
wydałem przecież polecenie, że
tylko Halina, oraz Knock mają
wstęp wolny, dla reszty
śmiertelników byłem nieobecny.

Tuż za drzwiami rozległo się
ciężkie człapanie nóg Mike'a.

- Kretyn - syknąłem - idzie mi
zaanonsować czyjaś wizytę. Ze
schodów zrzucę - odgrażałem się.

MIke uchylił drzwi w sam raz
na tyle, aby się jego czarny łeb
zmieścił. Reszta korpusu
pozostała przezornie w
korytarzu.

- Przyjść nasza pani -
oznajmił, unikając mego wzroku.

- Dawaj ją tutaj - krzyknąłem
ucieszony, zrywając się szybko z
otomany. Więc Halina znalazła
wolną chwilkę czasu i przyszła
do mnie, kochane stworzenie! A
ten dureń kazał jej czekać w
przedpokoju, mimo wyraźnych
dyspozycji. - Muszę mu już
wybaczyć, skoro ją tak nazwał:
"Nasza pani" - powtórzyłem,
poprawiłem sobie krawat przy
lustrze, przejechałem grzebykiem
po włosach i ruszyłem szybko
naprzeciw najmilszemu gościowi.

- Ach! - krzyknąłem, cofając
się o dwa kroki wstecz... Na
progu stała... Dolly! Niemal
zderzyłem się z nią w drzwiach.

- Ach, to pani - wycedziłem,
ślubując w duchu, że Mike wyleci
dzisiaj na zbitą twarz. Taki

zawód! - Czym mogę służyć? -
spytałem bardzo chłodno...

- Pani - powtórzyła z goryczą.
- Czy nie możesz pozwolić, abym
cię po dawnemu nazywała Ralphem?

Wzruszyłem ramionami na znak
zniecierpliwienia.

- Chociażby dzisiaj tylko -
prosiła, podchodząc powoli na
środek pokoju.

Zrejterowałem zgrabnie poza
biurko i odparłem:

- Nie ma najmniejszego
sensu... ale jeśli pani chce
koniecznie, to proszę mnie nadal
"tykać". Sądzę, że widzimy się
po raz ostatni.

- To od ciebie zależy, Ralph -
wybuchnęła - nie, źle się
wyraziłam; mógłbyś mnie
fałszywie zrozumieć. To zależy
od tego, czy polecisz z nimi
pojutrze, czy dasz się odwieść
od szaleństwa.

- Ach, to jest cel wizyty -
uśmiechnąłem się ironicznie. - W
takim razie możemy sobie
oszczędzić tej rozmowy. Szkoda
słów naprawdę.

Stojąc za biurkiem, udawałem,
że czytam jakiś list, bębniłem
niecierpliwie palcami, potem
obłudnie dyskretnym ruchem
podniosłem lewą dłoń, na
przegubie której znajdował się
zegarek, wreszcie przeniosłem
wzrok na niepożądanego gościa i
zrobiłem minę niesłychanie
zdziwioną, że go jeszcze tu
widzę. Żadna z tych demonstracji
nie uszła jej uwagi, nie mogła
ujść, do licha; przecież robiłem
to wszystko celowo. Ale nie
odniosło to innego skutku jak
ten tylko, że w oczach Dolly
zakręciły się łzy, a policzki
jej pobladły jeszcze bardziej.

- Słuchaj, Ralph - przemówiła

drżącym głosem po długiej chwili milczenia - czy gdyby jakakolwiek kobieta przyszła do ciebie tu albo do biura, czy pozwolilibyś jej stać tak długo?

Przesadnie uprzejmym gestem wskazałem fotel stojący po drugiej stronie biurka. Usiadła i zdejmując powoli rękawiczki, zaczęła mówić:

- Stałabym choćby godzinę, dopóki byś mnie nie poprosił, bym usiadła, ale jestem ogromnie zmęczona. Przyjechałam tu prosto z dworca. Cel mojej wizyty jest podwójny, Ralph... Odwieść cię od szalonego...

- Ten temat możemy sobie darować - wtrąciłem - proszę mi wierzyć, że naprawdę szkoda czasu.

- A po drugie - ciągnęła niezrażona - aby ci dać z swej strony wyjaśnienia... co do wypadku - spuściła oczy - który spowodował rozbitcie naszego małżeństwa... Wszakże powiedziałaś ojcu, że przyjmiesz moje wyjaśnienia - przypomniała szybko.

- Wyjaśnienia listowne - podkreśliłem z dużym naciskiem.

- Tego nie wiedziałam, że listowne tylko. I lepiej, że nie wiedziałam. Byłbyś list wrzucił do kosza, nie rozpieczętował go nawet... Nie przeczysz? - spytała z bolesnym uśmiechem.

- Jeśli mam być szczerzy... to powiem, że wyrobiłem sobie o tobie zdanie, którego nic zachwiać nie zdoła, ani pisemne, ani ustne wyjaśnienia. Wyrobiłem je sobie jeszcze za czasów narzeczeńskich, a incydent z Mr. Kennedym potwierdził tylko moje dawne obawy.

- Że jestem typem biernym. Pamiętam twe słowa, ale ty,

Ralph, gdybyś mnie był kochał,
byłbyś mi wtedy przybiegł z
pomocą. Jak ty mogłeś na to
patrzeć obojętnie... Jak mogłeś,
oh! - zasłoniła sobie twarz
dłońmi.

- MOgłem, ponieważ chciałem! -
rzuciłem twardo - tak, chciałem
się przekonać naocznie, czy moja
żona jest tylko pustą lalką,
która lubuje się w towarzystwie
bawidamków, w igraniu z
ogniem... to byłoby mniejszym
złem... czy też jest zdolna do
złamania wierności mężowi.

- Dobrze - podjęła z
błyszczącymi oczami, miałeś
prawo mnie wystawić na próbę jak
długo gra była fair ze strony
Boba.

- Jego postępowanie w ogóle
nie było fair, sędzę -
parsknąłem jej w twarz.

- Ale - ciągnęła swą myśl
dalej - było twym obowiązkiem
zerwać z obojętnością
obserwatora i wkroczyć, kiedy
ten zniechęcony łajdak uciekał
się do niecznego podstępu i
dosypywał mi do wina opium.

- To było opium? - wyrwało mi
się zamiast prostszego pytania:
"skąd ty wiesz o tym, że on ci
czegoś dosypał, że ja widziałem
wszystko". A Dolly, jakby
czytała w mych myślach,
wyjaśniła od razu, że dr Fish
pierwszy wpadł na to, że w małej
resztce wina w kieliszku wykrył
duży procent narkotyku, że Bob
przyściśnięty do muru wyśpiewał
całą prawdę nie wyłączając słów,
jakie wypowiedziałem przed
pamiętnym nokautem, że dalej
słowa te słyszał Dick, że dużo
do myślenia dało szybkie
zdemaskowanie faktu wiarołomstwa
oraz okoliczności, wśród których
nastąpiło przywołanie rodziców,
etc... reszty zaś dokazała jej
własna intuicja i umiejętność
odtworzenia sobie całości obrazu

na podstawie oderwanych
szczegółów.

- Szkoda wielka, że ci
intuicja nie dopisała wtedy, gdy
siedziałem za portierą - żgnąłem
ją szyderczo na zakończenie tej
historii.

- Może dlatego mi nie
dopisała, iż byłoby to
kolidowało z twoimi zamiarami -
odparła spokojnie - przecież
chciałeś się mnie pozbyć,
chciałeś mieć ręce wolne, aby
odejść do tamtej. Inaczej nie
można sobie wytłumaczyć twej
rezerwy w podobnym momencie...
twej obojętności, tak sprzecznej
z naturą ludzką.

Znowu spojrzałem ostentacyjnie
na zegarek.

- Czy to już wszystko, co
chciałaś mi powiedzieć? -
spytałem obojętnie.

- Nie, Ralph. Nie wszystko.
Powracam teraz do twego lotu.

- Po raz trzeci zwracam uwagę,
że wszelka dyskusja na ten temat
będzie jedynie stratą cennego
czasu.

- A jednak, musimy o tym
mówić. Ty nie polecisz z nimi!

Uśmiech zastygł mi na ustach,
kiedy spostrzegłem wyraz jej
oczu. Tak stanowczych,
rozpaczliwie stanowczych błysków
nie widziałem w nich nigdy, a
znałem je przecież dobrze i od
jak dawna!

- Ty mi zabronisz? -
zaryzykowałem, chcąc poznać
stopień jej determinacji.

- Ja ci nie pozwolę, dla twego
dobra, Ralph.

- Dziękuję za troskliwość, ale
czy wolno wiedzieć, jakim prawem
chcesz...

- Ja nie mam prawa - wtrąciła
pośpiesznie, nikt nie ma prawa
ci zabronić, a już najmniej
chyba ja, niewierna żona -
powiedziała z goryczą - teraz,
po rozwodzie. Wiem o tym. Lecz
moim świętym obowiązkiem jest
odwieść cię od tego samobójstwa
i dokonam tego! Nie polecisz!

- Pogrożki? - syknąłem,
wytracony z równowagi
apodyktycznym tonem jej głosu.
Powstałem, dając niejako poznać,
że uważam rozmowę za
skończoną... Podniosła się
również i obchodząc biurko małym
łukiem, zablokowała mnie w kącie
pokoju. Stanowcze błyski
przygasły bez śladu; zrozumiała
widać, że tą drogą najmniej ze
mną wskóra i uderzyła w prośby.
Błagała mnie spokorniałym szybko
wzrokiem, wyrazem twarzy,
złożeniem rąk, splecionych
palcami jak do modlitwy i
ustami, z których padały teraz
słowa, zdania, splątane w
bezludnym chaosie, jakby pod
dyktandem przerażonego aż do
oblędu serca.

- Ralph... Pomnisz mój sen?
Opowiadałam ci go tam, we
Frisko... To był najszczęśliwszy
okres mego życia... Nasza podróż
poślubna... Ani mnie, ani tobie
przez myśl przejść nie mogło, że
pół roku później będziesz brał
udział w szalonym locie nad
oceanem... A jednak, ten
proroczy sen powiedział mi
wszystko, powiedział mi rzeczy
wówczas najbardziej
nieprawdopodobne, że ty, mój
mąż, najrozważniejszy człowiek
na świecie, pozwolisz się
wplątać w awanturniczą,
karkołomną historię... że
towarzyszyć ci będzie w
niebezpiecznej podróży ona,
narzeczona Waltera Ashleya...
ona mi ciebie odbierze,
ukradnie!

- Bądź łaskawa liczyć się ze

słowami tam, gdzie chodzi o
Halinę - przerwałem chłodno - i
nie mijaj się z prawdą. Temu, że
odszedłem do niej, ty sama
jesteś winna.

- To nieprawda! - tupnęła noga
- ona mi cię wydarła. Gdybyś jej
nie kochał, nie patrzyłbyś
obojętnie na umizgi Boba.

- Dowiedz się więc - odparłem
z mściwym zadowoleniem, że
właśnie owej soboty zerwała
Halina ze mną, ponieważ
dowiedziała się, że jestem
żonaty i nie chciała burzyć
twego szczęścia. Dlatego
wróciłem o dwa dni wcześniej do
domu. Wracałem do ciebie, Dolly,
moje serce było wtedy jeszcze na
rozdrożach, mogłaś je odzyskać z
łatwością... ale tyś była
przecież zajęta swym
kochankiem... wykorzystywałaś
moją nieobecność...

- Dość! - jęknęła, chwiejac
się na nogach. - Dość!... Nie
znęcaj się nade mną... Podaj mi
rękę.

Musiałem to zrobić, bo
rzeczywiście była bliska
omdlenia. Posadziłem ją na
krzesle, na którym przedtem
siedziałem, przyniosłem jej
szklankę wody i podałem jej do
ust, gdyż nie miała siły oderwać
rąk wczepionych kurczowo w obite
skórą poręcze krzesła.

- Dziękuję ci - uśmiechnęła
się wdzięcznie, lecz był to
uśmiech blady, smutny
beźmiernie. - Dziękuję ci także
- szeptała z częstymi
przystankami, jak gdyby mówienie
sprawiało jej wielką trudność -
żeś mi to powiedział... Nie
wiedziałam... Naprawdę nie
wiedziałam... Więc ona z tobą
zerwała dlatego - cichy płacz
pochłonął dalsze słowa. Łkała
tak boleśnie, tak rozdzierająco,
a cichuteńko zarazem, że
zapaliłem co prędzej papierosa i

zacząłem się szybko przechadzać
po pokoju, aby nie ulec
nieokreślonemu wzruszeniu,
którego niewidzialny, lecz
potężny przypływ poczał zalewać
stopniowo sztucznie wzniesione
rafy, jakimi obwarowałem swe
serce. Od biurka dolatywał mnie
ustawicznie odgłos rzewnego
płaczu, przerywany od czasu do
czasu oderwanymi wyrazami: -
Krzywdziłam posadzeniem... ja...
ciebie... ona... tak
szlachetnie... zacny, Ralph... a
ja... podła, niewdzięczna...
zła... zasłużyłam na karę.

Chrząknęła bardzo energicznie,
otarła sobie ostatnie łzy
chusteczką i przyzwała mnie do
siebie.

3 3 64 0 2 108 1 ff 1 74 1
- Stań tutaj, przede mną -
rzekła - widzimy się po raz
ostatni. Pozwól mi się napatrzeć
i słuchaj... Opowiadałam ci o
śnie, który miałam podczas
naszej podróży poślubnej, kiedy
pociąg stał na stacji w
Sacramento... To był sen
proroczy, a teraz uważaj Ralph.
Ten sen powtórzył się przed
dwoma dniami, tylko przybył
jeden straszny szczegół. Koła
samolotu, który mi ciebie
porwał... były zbryzgane krwią!
Ty się uśmiechasz? Sądziś, że
zmyślam? Ralph, przysięgam ci
na...

- Ależ wierzę, wierzę -
wtrąciłem - krew mogła ci się
przyśnić... i sen mógł się
powtórzyć. Nic dziwnego, skoro
od dwóch tygodni nasz lot jest
największą sensacją, skoro na
szpaltach pism roi się od
wzmianek, a "Morning News",
które z pewnością czytujesz co
dzień...

- Nie, nie, nie - przerwała z
żywością; przedtem przeczyła
poziomym ruchem głowy przez cały
czas jak mówiłem. - Cała
niesamowitość powtórnego snu na

tym właśnie polega, że ja od miesiąca nie miałam żadnego dziennika w ręku i nic w ogóle nie wiedziałam o twoich zamiarach. Matka tała to przede mną. Potrafiła mnie tak skutecznie odgradzić od świata, że do przedwczoraj o niczym nie wiedziałam. A potem ten sen upiorny, straszny! Zbudziłam się punktualnie o północy... wiem, bo spojrzałam na zegarek. Do rana oka nie zmrużyłam. Wybiegłam z domu kiedy jeszcze całe Palm Beach było pogrążone w śnie. Tknięta przeczuciem kazałam sobie podać wszystkie dzienniki w jakiejś kawiarni, do której weszłam sama nie wiem dlaczego. I dowiedziałam się wszystkiego. To był powód mego nagłego wyjazdu z Florydy, a przybywszy do Nowego Jorku, zajechałam tutaj przede wszystkim, aby cię zakląć na pamięć twych rodziców...

- Nie, Dolly - wtraciłem znowu, lecz tym razem bez cienia szorstkości - mówiłem przedtem: szkoda czasu, teraz zaś mówię: szkoda twych nerwów, Dolly...

- Ralph... nie chciej mnie źle zrozumieć. Ja nie zatrzymuję cię dlatego, abyś do mnie wrócił... Wiem, że to... niemożliwe. Nie nasunę ci się nigdy więcej na oczy. Ożeń się z Haliną, ona stokroć bardziej zasługuje na szczęście, niż ja, głupia, lekkomyślna kobieta... rób wszystko co chcesz, mścij się na mnie... tylko nie leć! Błagam cię, poniechaj tego zamiaru, bo po śmierć polecisz... Po śmierć!... Ja wiem, co was spotka!

Wzdrygnąłem się mimowolnie i jednocześnie zaczął we mnie wzbierać gniew... - Chce mnie nastraszyć - myślałem.

- Nie marszcz czoła, Ralph - mówiła dalej, ja cię nie przysłałam straszyć... Broń mnie

Bóg... Pragnę tylko gorąco, aby
moje złe przeczucia przestroga
ci były... by cię odwiodły od
szalonego przedsięwzięcia.

Jakby czytała w myślach..
"Bajeczna intuicja, czy
chorobliwa nadwrażliwość" -
rozmyślałem, przypominając sobie
zarazem, że podobne pytanie
dręczyło mnie już pół roku temu
w Kalifornii, kiedy Halina,
którą Dolly widziała tylko raz w
życiu i to bardzo przelotnie,
przyśniła się jej właśnie w tym
momencie, gdy ja byłem myślami
przy tamtej i stojąc przy oknie
wagonu szukałem jej sylwetki
wśród tłumu zalegającego perony
dworca w Sacramento... Tak, to
było. A potem, w San Francisco
opowiedziała mi Dolly swój sen i
z uczuciem niesamowitego lęku
szukałem odpowiedzi na to samo
pytanie.

- Więc zostaniesz? - spytała
lękliwie, złudzona moim
milczeniem, które wzięła za
wahanie.

- Nie, Dolly... To
niemożliwe... Choćbym nawet
uwierzył twym przeczuciom, nie
cofnę słowa.

Oczy jej rozszerzyły się od
grozy. Zsunęła się z krzesła na
kolana, objęła mnie za nogi i
klęcząc błagała dalej:

- Ralph... nie kuś Boga!
Zostań, zostań! Nie czyn
sierotą... naszego dziecka...

Podnosiłem ją właśnie z
klęczek, kiedy padły te dwa
słowa, Pod ich obuchem cofnąłem
się wstecz zdumiony, zaskoczony
mile i niemile jednocześnie, w
każdym razie niezdolny słowa
wymówić. I nagle Ralph, ten
trzeci, wypróbowany
sprzymierzeniec Haliny
podszeptał mi myśl, którą głośno
powtórzyłem:

- Dziecko Boba Kennedy'ego
chciałaś powiedzieć!

Teraz ona zachwiała się, jakby
w nią najboleśniej cios
ugodził... Upadła na krzesło,
wbiła wzrok w podłogę i ręce
zaplotła na łonie...

- Przekonać cię nie jestem w
stanie, przysiędze wiarołomczyni
też nie musisz wierzyć... ale,
Ralph, jeśli ty nie jesteś ojcem
tego dziecka, to... Niechaj nie
wstanę z tego miejsca... niech
skonam zaraz, niech umrę nie
doczekawszy się tej słodkiej
dzieciny, która miała być
treścią mego życia, jedyną
radością mych oczu... po rozłące
z tobą.

- Skądże ta pewność? -
rzuciłem z pozorną obojętnością,
gdyż pod wpływem jej słów gmach
moich podejrzeń zatańczył jak
dom przy trzęsieniu ziemi.

- Ach, Ralph... ty tego nie
zrozumiesz i ja ci również nie
potrafię wytłumaczyć, a jednak
natura wśród przelicznych cudów
sprawiła i ten jeden jeszcze, że
kobieta mająca nawet dziesięciu
kochanków, potrafi określić z
całą pewnością, kto był ojcem
jej dziecka.

- Hm - chrząknąłem jeszcze
mniej teraz przekonany, ale z
całą lojalnością dodałem w
myśli: - Zapytać Fisha, czy to
prawda.

- Było to coś na tydzień przed
tą nocą przeklętą - ciągnęła
dalej. - Zapytaj moją matkę, jej
się tylko zwierzyłam. Do Fisha
nie kwapiłam się zbyt, chcąc
się jeszcze upewnić. Żenowałam
się trochę, że znów sobie będzie
ze mnie żartował... Pamiętasz
chyba, jaką przykrość wyrzuciła
mi pierwsza omyłka. Więc
czekałam cierpliwie, a każdy
dzień wzmacniał moje
przekonanie, że tym razem nie

myle się już, że będę matka.

- I właśnie wtedy padłaś w objęcia temu... temu - och, brakło mi odpowiedniego epitetu. Ostrze mojego gniewu zwróciło się teraz bardziej w stronę Boba, niż w jej kierunku.

- To było zbrodnią z mej strony - odparła spokojnie - ale odpokutowałam ją srogo. Straciłam cię na zawsze. I wierzaj mi, Ralph, że gdyby nie przeświadczenie, iż będę miała taką maleńką, śliczną dziecinę, której ojcem ty jesteś... nie przeżyłabym rozłąki. Zastrzeliłabym się już dawno, och... dwa miesiące temu co najmniej... Myśl o dziecku wiąże mnie ze światem... tylko ta myśl... Chciałabym, aby to był synek... Miałby twoje mądre oczy, twoje czoło rozumne, na imię miałby oczywiście: Ralph. Byłby twoim żywym portretem, przypominałby mi jedyne jasne chwile mego życia, a zarazem mój jedyny grzech i jego smutne następstwa... Wiem o tym, ale zasłużyłam po stokroć na tę karę losu, żeby moja najśłodsza pociecha rozdrapywała mi swoim widokiem ranę w sercu.

Z kolei zaczęła sobie wyobrazać, że urodzi się dziewczynka. Z macierzyńską tkliwością opisywała jej wygląd, naśladowała cudownie jej niewinny szczebiot, rozmawiała, pieściła się z nią, żegnała ją na dobranoc i rzecz dziwna, ten naiwny monolog nie nudził mnie bynajmniej. Czułem, że mógłbym go słuchać jeszcze kilka godzin, że słuchałbym go z przyjemnością...

- A kiedy mnie spyta - mówiła i przeszła znów w szczebiot dziecinny - "mamusiu, gdzie jest mój tatuś"... wówczas... wówczas jej odpowiem... dziecino najdroższa... - szept stał się tak cichy, że przysunąłem się

bezwiednie, aby dosłyszeć jej
odpowiedź, pochyliłem się i
ujrzałem dwie wielkie łzy w
kącikach oczu; jeszcze
błyszczały jak krople rosy, jak
najczystsze brylanty, a potem
potoczyły się powoli po bladych
policzkach, aż na brodę. Sam nie
wiem jak się to stało, że moja
ręka podniosła się, spoczęła na
złotych lokach Dolly i zaczęła
je delikatnie gładzić... ach,
muskąć tylko... Co spowodowało
ten odruch? Powrotna fala
uczucia? Nie! Od chwili poznania
Haliny nie kochałem Dolly lub
dawałem jej okruchy swej
miłości, maleńkie promyczki
wobec snopa złotych promieni,
jaki padał na tamtą... Więc
litość? To znów za mało.
Litowałem się nad nią,
współczułem jej tym bardziej, że
sam nie byłem bez winy i nie
taiłem tego przed sobą... ale tu
było coś więcej... Co? Zapewne
serdeczna tkliwość dla matki
swego dziecka.

- Jakiś ty dobry... Jakiś ty
bezgranicznie dobry - powtarzała
przez łzy zanim mogłem
przeszkodzić, przyłgnęła
gorącymi wargami do mej dłoni...
nie broń mi, Ralph tego
pocałunku. Ja ci stopy winnam...

Nie pozwoliłem jej skończyć,
wydało mi się nagle, że za tyle
skruchy, żalu, za tyle męki,
tortur psychicznych, należy jej
się coś ode mnie, który byłem
współsprawcą jej upadku.
Kierując się pierwszym porywem
serca, pochyliłem się nad nią i
w dwóch szybkich, lecz gorących
pocałunkach, spiłem z jej oczu
resztki łez. A Dolly oniemiała
ze szczęścia. Przygarnęła się do
mnie, otoczyła mi szyję
ramionami i bardzo nieśmiało
zadarła główkę, szukając ustami
moich ust. - Jeden pocałunek daj
mi na drogę - modliła się
drżącym szeptem. - Jeden, Ralph,
sweetheart, potem chcę umrzeć.

- Drrrrriiii! - zadzwieczył telefon szklanym, szyderczym głosem... Zadzwieczył w chwili, gdy nasze wargi już... już dotykały się prawie. Odskokczyłem przerażony, jak zbrodniarz, którego detektyw pochwylił na gorącym uczynku.

- Nie!... Nie!... Nie podchodź - rzuciła Dolly zduszonym głosem, a w oczach jej ujrzałem obłądny przestach... - To ona!

Ona? Więc Halina. Przesunąłem sobie dłoń po oczach i czole.

- Co jest ze mną? - dziwiłem się w duchu. - Halina telefonuje, a ja, zamiast biec jak szalony... stoję... waham się?

Dolly zabiegła mi drogę, rozkrzyżowała ręce... szeptała coś gorączkowo, lecz co? Nie wiem, nie słyszałem, nie chciałem słyszeć. Odsunąłem ją łagodnie i podniosłem słuchawkę na wysokość ucha... I znów ją intuicja nie zawiodła. Dzwoniła rzeczywiście Halina. Knock miał dzisiaj sam studiować komunikaty meteorologiczne, wobec czego chciała mnie poświęcić wolne godziny. Co prawda, Knock kazał jej się położyć spać, lecz kto by tam słuchał nudziarza... - Ale tyś coś nie w humorze? - spytała wreszcie, zdziwiona snadź moją powściągliwością. - O, przeciwnie - kłamałem... Więc przyjdź zaraz. Czekam w hotelu, w czytelni. Przyjdziesz? - Ach, gdyby nie obecność Dolly! Odpowiedziałbym jej: - Nie przyjdę, lecz przylecę na skrzydłach tęsknoty! Wycaluję twe cudne oczęta, darling... kochanie najdroższe! - Obecność Dolly nie pozwoliła mi na to. Nie miałem serca przemawiać w ten sposób przy niej, do jej zwycięskiej rywalki. Powiedziałem po prostu: - Będę u ciebie za dwadzieścia minut, na pewno... - i zawiesiłem

słuchawkę.

Dolly spojrzała mi w oczy
badawczo, spuściła wzrok ku
ziemi, drżącą ręką pochwyciła
kapelusz, który leżał na biurku
i włożyła go sobie na głowę
trochę krzywo; nawet nie rzuciła
okiem w lustro.

- Przegrałam znowu -
wykrztusiła zmienionym nie do
poznania głosem - odchodzę,
Ralph, ale wiedz jedno: jeśli
polecisz, to po moim trupie.

- A nasze dziecko, Dolly? Czy
zapomniałaś o nim? - spytałem
łagodnie, chcąc ją uspokoić.

- Dziecko zginie razem ze mną.
Skoro chcesz lecieć na oczywistą
zgubę, to po co ja mam tutaj
zostawać? Po co dziecko?
Odejdziemy stąd wszyscy razem,
ja trochę wcześniej. Kiedy
przekroczysz granicę życia...
będę cię tam już czekała,
Ralph... A teraz, żegnaj!

Przytrzymała mi dłoń w uścisku
swych palców, łudząc się
zapewne, że z moich ust padnie
jakieś słowo nadziei... Lecz nie
padło i odeszła z głową nisko
zwieszoną na piersi.

`ty

XIV

Ranek był wcale chłodny, lecz
pogodny. Kiedy pięć minut przed
siódmą Mike otworzył drzwi
wiodące na balkon, wydało mi się
nawet, że jest lekki przymrozek.
Było to jednak tylko złudzenie,
wywołane kontrastem pomiędzy
niską ciepłotą powietrza na
dworze, a temperaturą mego
ciała, rozgrzanego drzemką. Tak,
drzemką, bo w ciągu ostatnich

nocy zdołałem zapomnieć jak
wygląda dobry, spokojny,
odżywczy sen.

- Czwarty raz dzisiaj -
ziewnałem, obliczając bezsenne
noce, których litania zaczęła
się w dniu pamiętnej rozmowy z
Dolly. - Jeżeli tak dalej
pójdzie, to ładnie będę wyglądał
za parę dni - monologowałem
przed lustrem, gdzie Mike
rozkładał właśnie przybory do
golenia.

- Mike wiedzieć czemu pan być
smutny - wyszczerzył swe pyszne
zęby, jeżdżąc mi pędzlem po
fizjonomii z wprawą zawodowego
fryzjera.

Dźwięk dzwonka nie dozwolił mu
skończyć zdania. Spojrzałem na
telefon, lecz nie ruszyłem się z
miejsca. Od czasu jak Dolly
zwabiła mnie podstępnie do
telefonu (było to przedwczoraj,
jeśli się nie mylę) stałem się
ostrożny i nieufny. Popchnąłem
Murzyna w stronę biurka.

- Zobacz, kto to i gadaj tak,
jak ci mówiłem.

- To pani - rzekł po chwili,
zatykając czarną łapą tubkę.

- Pani? - zmarszczyłem się.

- Miss Halina - dodał.

- Tak mi gadaj - zerwałem się
sprzed lustra i podszedłem
szybko do biurka. - Ale na
pewno? - chciałem się upewnić.

Murzyn zrobił minę prawie
obrażoną.

- Mike by nie poznać? -
obruszył się.

Tak, to była naprawdę Halina.
Zapytawszy przede wszystkim czy
tym razem spałem lepiej
(powiedziałem oczywiście, że
tak) obwieściła mi radosną

nowinę, że dzisiaj wystartujemy już na pewno.

- Oby, darling, oby tak było!
- westchnąłem całkiem szczerze, bowiem ta ustawiczna niepewność, to codzienne odkładanie terminu odlotu do następnego dnia i znów do następnego przyczyniały się najwybitniej do zwiększania mego nerwowego rozstroju. Sądziłem więc, że emocjonująca podróż przyniesie pożądane odprężenie.
- Czy Knock był u ciebie dzisiaj? - spytałem jeszcze.

- Nie, ale telefonował. Jest bardzo zadowolony z dzisiejszych biuletynów meteorologicznych. Pogoda się ustala nareszcie.

- To samo mówiono nam już przedwczoraj - wtrąciłem sceptycznie.

- Nie kracz, nie kracz, darling. Odlecimy dzisiaj, to jest murowane.

- O ile w ostatniej chwili z jakiegoś Halifaxu, czy innego St. John nie nadejdzie zła wiadomość.

- Na pewno nie nadejdzie - pocieszyła mnie i spytała jakby nieśmiało - start nastąpi koło wpół do dziesiątej; mamy zatem mnóstwo czasu... Czy nie zechciałbyś, darling, pojechać ze mną na grób Mafaldy Martini? Chciałabym jej zawieźć trochę kwiatków i... i...

- Wiem, wiem, kochanie - przerwałem jej wzruszonym głosem. Przyrzekłem też, że za pół godziny zajadę po nią przed hotel.

- Ale tak się urządź, abys już nie potrzebował wracać do domu. Prosto z cmentarza pojedziemy na lotnisko.

Zawiesiłem słuchawkę, zamyśliłem się na chwilę.

"Prosto z cmentarza pojedziemy na lotnisko", powiedziała Halina. Jak to się dziwnie złożyło. - "Cmentarz i lotnisko, na psa urok!" - mruknąłem, powracając do mojego balwierza, którego spojrzenia bładziły gdzieś po suficie, jak gdyby chciały uparcie uniknąć spotkania z moim wzrokiem.

- Pan dziś lecieć?

- Dzisiaj.

- Kiedy?

- Dziewiąta trzydzieści.

- To być wpół do dziesiątej?

- Uważaj, idioto, zamiast gadać - syknąłem, bowiem zaciął mnie w tym momencie na brodzie. Chciałem mu dołożyć jeszcze parę epitetów, lecz nagle żal mi się go zrobiło. Tak mu ręka drżała i minę miał taką żalną; niewątpliwie był pod wrażeniem dopiero co zasłyszanej wiadomości i lękał się o mnie, poczciwe Murzynisko.

- Chcesz widzieć jak będę odlatywał? - spytałem.

- Och, żeby lepiej wcale nie lecieć! - westchnął.

- Głupiś, Mike. Pytam czy chcesz być przy starcie.

- Chcieć bardzo.

- Pozamykaj więc mieszkanie. Zabieram cię z sobą.

Kiedy pięć minut później wracałem z łazienki, posłyszałem jego głos w mej sypialni.

- Tak, dzisiaj, o wpół do dziesiątej - mówił właśnie.

Pchnąłem drzwi ostro. Na mój widok omal całego aparatu telefonicznego nie ściągnął z

biurka, chowając słuchawkę
odruchowo za siebie.

- A ty komu tam znów udzielasz
wywiadu? - huknąłem.

- Ktoś te... te... telefonować
- wyjąkał przerażony.

- Cóż to za jeden, ten ktoś,
co? NO, gadaj prawdę...

- Mike nie poznać, kto.

- Taaak? Więc nie wiesz z kim
gadasz i obcego człowieka
informujesz? Coraz lepiej, Mike.
Widzę, że się pożegnamy szybko -
perorowałem, siląc się, by
utrzymać nadal srogą minę,
bowiem Mike schwytywany na gorącym
uczynku wyglądał tak pociesznie,
że bliżej mi było do śmiechu,
niż do gniewu. Nagle zbudziło
się we mnie podejrzenie. -
Słuchaj no, drabie - podszedłem
bliżej, przesywając go
przenikliwym wzrokiem. - Ty
wiesz dobrze, kim był ten ktoś i
ja wiem również! To była moja
żona, tak?

- Ttttak - zadzwonił zębami.

- I nie ona telefonowała, lecz
ty do niej dzwoniłeś.

- Ttttak, Mr. Bronson -
przyznał się.

- Ileś miał dostać za tę
przysługę? Tylko nie łąy.

- Ooo, sir. Mike nie dbać o te
pięćdziesiąt dolarów. Ale pani
tak prosić, taka być zapłakana,
że...

- Że się wzruszyłeś,
zwłaszcza, kiedy ci obiecała
pięćdziesiąt dolarów... Kiedyż
to i gdzie spiskowaliście razem,
co?

Wyśpiewał wszystko. Po owej
rozmowie ze mną, wywabiła go
Dolly do klatki schodowej i tam

łobuza przekupiła bez trudu. W pierwszej chwili chciałem go z miejsca wyrzucić, ale ochłonałem szybko. Nie było najmniejszego sensu pozbywać się takiego służącego, prawdziwego ideału (pomimo drobnych wad) wśród naszej rozwydrzonej służby.

Ach, nie ma jak obsługa w starej Europie!

Poza tym mieszkanie pozostałoby na Boskiej opiece w czasie mej nieobecności. Nawymyślałem mu więc tylko od domowych szpiegów, łajdaków itp., po czym kazałem mu zatelefonować natychmiast do Dolly i sprostować pierwszą wiadomość o tyle, że start nastąpi dwie godziny później. Stałem przy nim, podpowiadałem mu każde słowo, darząc go przyjacielskim szturchańcem pod żebro, ilekroć się zaciął lub jąkać zaczynał.

- Mike się pomylić, Mrs. Bronson - rąbał słowo po słowie według mojego dyktatu - pan wylecieć wpół do dwunastej... Tak, na pewno.

- A może później nawet - szepnąłem mu na ucho.

- A może później nawet - powtórzył skwapliwie.

Kiedy odłożył słuchawkę, zatarłem ręce zadowolony.

- Oszczędziłem sobie i Halinie przykrej sceny, pomyślałem, gdy Dolly przybędzie na lotnisko, będziemy już szybować gdzieś nad stanem Connecticut lub nad Rhode Island.

Mike miał minę skruszonego przestępcy, którego z "celi śmierci" prowadzą na elektryczny fotel. Pomimo to nie dowierzałem mu zbyt i na wszelki wypadek trzymałem go stale przy sobie. Musiał ze mną wstąpić do

kwiaciarni, gdzie kupiłem wieniec na grób Mafaldy Martini oraz wiązanek kwiatów dla Haliny, musiał ze mną udać się na górę do pokoju Haliny, a potem musiał nam towarzyszyć aż do grobu matki Giovanniego, w końcu w drodze na lotnisko.

Nasz samolot już stał przed hangarem. Garść reporterów oglądała właśnie żelazny wieniec z napisem:

"Bohaterskim lotnikom: W. Ashleyowi, G. Martiniemu i J. Petitowi... załoga "Victorii 2"".

Wieniec ten mieliśmy nazajutrz wrzucić w morze. O treść napisu toczyły się homeryckie boje, gdyż Patrick Knock głosował stanowczo, aby kazać wyrzucić: "Pomściliśmy Was, Koledzy!" ale odradzono mu to w końcu.

- Po coś im pan to dał do rąk
- skrzywiła się Halina, witając się z swym mistrzem.

- Po co? Ano, żeby się już raz odczepili ode mnie. Zawracają mi tu głowę od pół godziny -
brzmiała odpowiedź - teraz mają jakąś zabawkę przynajmniej.

Potem wywiązała się pomiędzy nimi fachowa rozmowa, w której nie miałem zamiaru wziąć udziału. Przede wszystkim było jeszcze to i owo do załatwienia, a potem chciałem ostatnie minuty sobie wyłącznie poświęcić, chciałem się obserwować i sprawdzić, jak mój autokrytycyzm będzie działał w tak przełomowym momencie.

Z kancelarii portu lotniczego zatelefonowałem do Campbella.

- Wiem, wiem - powiedział,

zanim zdołałem choćby jednym słowem przemówić - dzwoniłem na lotnisko, wiem, że startujecie dzisiaj, przyjeżdżam zaraz.

- Doskonale - odparłem - tykło jeżeli cię żona lub córka o to spyta, to bądź łaskaw powiedzieć, że odlatujemy jedenasta trzydzieści, rozumiesz? Dolly już zapytywała i taką kazałem jej dać odpowiedź. Domyślasz się chyba, dlaczego.

3 3 64 0 2 108 1 ff 0 74 0

- Tak, tak... Bardzo rozsądnie postąpiłeś - pochwalił mnie i zapewnił, że za "minutę" będzie na lotnisku. Było oczywiście fizyczną niemożliwością, aby się tutaj zjawił chociażby za kwadrans, toteż powróciłem do moich towarzyszy podróży. Reporterzy nie zaczepiali mnie nawet, wiedząc dobrze, że im nic nie powiem. Mogłem więc spokojnie krążyć dokoła samolotu i oddać się swoim myślom oraz obserwacji własnego ja.

Stwierdziłem najpierw, że nie tylko nie odczuwam żadnej obawy, ale przeciwnie, jestem z każdą chwilą bardziej spokojny, coraz mniej podniecony... Potem zaczęło mi się wydawać, że mam być tylko świadkiem czyjegoś odlotu i było mi wprost trudno uwierzyć, iż ja sam także wezmę udział w ryzykownym "skoku przez wielki staw"... Mam wrażenie, że gdyby ktoś obcy przystąpił do mnie wówczas i spytał czy nie wiem kiedy start nastąpi, odpowiedziałbym: "Podobno o wpół do dziesiątej" - po czym spojrzałbym na zegarek, by sprawdzić, ile minut jeszcze trzeba będzie czekać na początek widowiska... Tak dalece obcy mi był ten olbrzymi srebrnoszary ptak, który zadzierał ku niebu zaczepne ósemki swoich trzech śmigieł i który miał mnie niebawem porwać z sobą w daleką, karkołomną podróż.

Głośny wybuch śmiechu skłonił mnie do obejścia "Victorii 2" i zobaczenia, co się tam tak komicznego wydarzyło po drugiej stronie. Ujrzałem Halinę otoczoną wieńcem lotników oraz reporterów, którzy ją właśnie fotografowali ze wszystkich boków. Na czubku nosa miała dość sporą plamę, co zdaniem wesołków było ogromnie oryginalne, niezwykle i godne uwiecznienia na płytach fotograficznych. Uwieczniono potem i mnie także i nas oboje na tle kadłuba samolotu; jedynie Patrick Knock nie dał się odciągnąć od swego zajęcia, lecz dłużał coś zawzięcie przy kapocie środkowego motoru, czyniąc nagabującym go nieprzystojne propozycje.

- Idę się umyć - oświadczyła Halina, pokazując mi zatłuszczone olejem dłonie.

- Ale nasek prosimy pozostawić tak, jak jest - żartowali dziennikarze.

Poszedłem z nią, aby się dowiedzieć, kiedy wreszcie wystartujemy.

- Dochodzi dziewiąta - zauważyłem.

- Jestem z ciebie dumna, Ralph... Przedtem nie chciałeś słuchać o naszym locie, a teraz nie możesz się doczekać.

- Ach, chciałbym, żeby się to raz skończyło.

- Lub raczej, żeby się raz zaczęło. Zacznie się, darling, zacznie. Czekamy tylko na wiadomość z St. John.

- A jeśli nie nadejdzie przed jakąś jedenastą?

- To polecimy po jedenastej, po dwunastej, wszystko jedno

kiedy, byle dzisiaj.

- Jednakże - wtrąciłem
nieśmiało - Edgar Scott
utrzymywał zawsze, że im
wcześniej się lot rozpocznie z
tej strony, tym lepiej.

- I radził zabrać z sobą
kulomioty itd. - parsknęła. -
Daj lepiej spokój biednemu
Scottowi.

- No, dobrze, lecz jeżeli z
St. John przyjdzie wiadomość
niepomyślna, jak to miało
miejsce choćby przedwczoraj?

- To polecimy jutro - odparła
z lekkim zniecierpliwieniem -
ale na pewno tak nie będzie.
Zobaczysz. Ja mam intuicję.

- Hallo, Ralph... Aaa, witam
panią - zabrzmiał głos Dicka,
który zasapany jak parowóz
starego systemu, wytoczył się
spoza hangaru.

Kiedy Halina odeszła,
obwieścił mi przede wszystkim,
że puścił dopiero co
nadzwyczajny dodatek o naszym
odlocie.

- Jakżeś zdażył, u licha? -
zdziwiłem się.

- He, he, he, chłopcze. Numer
czekał już od pięciu dni.
Wsadziłem tylko godzinę odlotu i
teraz ciągną tu już rzeki
ciekawych.

- Bodaj cię! Jeszcze Dolly tu
przyjść gotowa.

- Nie ma strachu.
Telefonowałem do żony, aby
przyjechały o kwadrans na
dwunastą przyjrzeć się jak
będziecie startować. Wtedy
będziecie już daleko. Ale spójrz
- wyjął z kieszeni kilka
pomiętych egzemplarzy "N. Y.
Morning News". Całą pierwszą
stronicę wypełniały cztery

fotografii. Na górze, w środku Haliny, po bokach moja i Knocka, zaś dolną połowę zajmowała "Victoria 2" stanowiąc tło dla dzielnego męża, w którym nie bez zdziwienia poznałem Campbella.

- A tyś się skąd tu znalazł? -
zawołałem.

- He, he, he, dałem się zdjąć już dawno.

- No, pięknie, ale co ma wiatrak do...

- Mniejsza z tym, mniejsza z tym, dość że wygląda bardzo interesująco. Teraz muszę ci raz jeszcze wyłożyć, jak się będziemy komunikowali z sobą - zaczął i chwyciwszy mnie pod ramię, ruszył w zwycięskim pochodzie w stronę restauracji, gdzie zazwyczaj jadaliśmy lunch z Haliną i Knockiem, jeśli południowa godzina zaskoczyła nas na lotnisku. Ostatecznie nie miałem nic lepszego do roboty, a wiadomość, że musimy jeszcze czekać na telegram z St. John zdenerwowała mnie znowu i pragnąłem gorąco, abym mógł o niej zapomnieć. Dlatego poszedłem z Dickiem. Inna rzecz, że początkowo co dziesięć minut, później zaś w częstszych odstępach telefonowałem do hangaru z zapytaniem, czy stacja w St. John dała znak życia. Dopiero kwadrans po dziesiątej dostałem pożądaną odpowiedź. Kiedy wyszliśmy z Campbellem z owej restauracji, przyczepiano właśnie duży, ciężarowy samochód do "Victorii".

- Hip, hip, hurra! -
zakrzyknąłem radośnie - wiada ją na start, więc jedziemy.

Dick spojrział na mnie z uznaniem.

- Nic się nie boisz? - spytał.
- Co? tak troszeczkę, odrobinę, he?

- Ani tyle - odmierzyłem mu na małym palcu.

- Podniesiemy to w dzisiejszym sprawozdaniu, oświadczył protekcjonalnie.

Przystanąłem i chwyciłem go za ramię.

- Słuchaj, stary - rzekłem, patrząc mu prosto w oczy...

- No?

- Ty wiesz chyba o tym, że Dolly... spodziewa się...

- Tak, ale skąd ty wiesz o tym?

- Mniejsza - machnąłem ręką - otóż gdybym tak przypadkowo kark skręcił w tej aferze... to... uważasz... idź do Twillera, 270 Convent Avenue. Tam jest mój testament... Ponieważ Dolly zapewniła mnie uroczyście, że ja jestem ojcem jej dziecka... zrobiłem je swoim uniwersalnym spadkobiercą. Będzie pogrobowcem, he, he, he - zaśmiałem się sztucznie, aby pokryć lekkie drżenie głosu - a córkę swą pozdrów serdecznie ode mnie i powiedz... niech kocha nasze dziecko.

Dick mrugał początkowo, jakby się nie mógł połapać, o co chodzi, potem chrząknął, kaszlnął, zaklął siarczyście i ścisnął mi dłoń, aż stawy zatrzeszczały.

- Porządny chłop z ciebie - powiedział krótko.

- A teraz, już ani słowa na ten temat.

Szliśmy w milczeniu, patrząc, jak olbrzymi ptak, wleczony na start przez ciężarowe auto, kołysze się po nierównościach

gruntu z boku na bok, niby
kaczka obżarta do
nieprzyzwoitości, co śpieszy do
kałuży po nową porcję wody.
Halina wyrwała się swemu
orszakowi i skręciła ku nam,
tak, iż pozostała część drogi
odbywaliśmy wspólnie.

- Wszystko w porządku - rzekła
w odpowiedzi na moje zapytanie
odnośnie depeszy z St. John,
tylko temperatura się stale
obniża, co Knocka niepokoi
trochę. Spadła podobno w nocy do
41, teraz, za dnia, podnosi się
znowu, ale bardzo powoli... Ach,
z tym waszym Fahrenheitem. Ileż
to jest właściwie 41) według
Fahrenheita?

- To będzie - obliczałem w
pamięci - to będzie około
sześciu stopni Celsjusza.

- Dokładnie pięć - wtrącił
Dick, sprawdzwszy rachunek
pisemnie w notesie.

- A jaki wiatr?

- Północno_wschodni.

UŚmiechnąłem się widząc, jak
Campbell wszystko sumiennie
notuje.

- Do nowego numeru, co? -
poklepałem go po ramieniu...

Gawędząc dotarliśmy niebawem
do miejsca, gdzie ustawiono
maszynę. Ciężarówka odjechała
czym prędzej; Knock krzyczał,
komenderował, pieniał się lub
spluwał na przemian.

- To mi się nie podoba -
rzekła Halina jak gdyby do
siebie - zawsze jest taki
flegmatyczny, a teraz go wzięło.

- Przepisz to z łaski swojej.

Spojrzałem na kartkę, która mi
Dick wepchnął do ręki. Na
ćwiartce papieru wydartej z

notesu było napisane: "Szanownym Czytelnikom "New York Morning News" śle załoga "Victorii 2" ostatnie pozdrowienie".

- A pod spodem się podpiszcie
- dodał.

- Hm, "ostatnie pozdrowienie",
to brzmi złowroźnie.

- Myślisz? - przestraszył się.
- W takim razie skomponuj jakoś
inaczej.

Nie zmieniłem jednak jego
konceptu, nie zmieniłem go po
prostu dlatego, że i mnie
"wzięło" jak Knocka. Nie miałem
głowy do komponowania pozdrowień
dla szanownych czytelników "N.
Y. M. N.". Wzięło mnie teraz
dopiero, gdy potężne silniki
ryknęły ogłuszająco, a nasze
potworne ptaszysko zaczęło drzeć
jak w febrze, gdy na twarzach
wszystkich obecnych ujrzałem
wyraz uroczystego skupienia, gdy
niby odgłos nadciągającej burzy
dobięły mych uszu okrzyki
olbrzymich tłumów odgradzonych
kordonem policji.

Potem straciłem zupełnie
orientację. Wypadki następowały
po sobie z niesamowitą
szybkością. Najmocniej utknęła
mi w pamięci prosta jak
strzeżona betonowa droga_chodnik,
zbudowana już w r. 1927 dla
maszyny Byrda, obecnie jeszcze
przedłużona. Zdawało mi się, że
to jest gościniec, po którym
pojedziemy prosto do Paryża, nie
wzbijając się zupełnie w
powietrze, nie ryzykując
olbrzymiego lotu nad ponurym
oceanem.

Chwilami chciało mi się śmiać.
Otaczał nas tłum fotografów,
dziennikarzy, lotników, całe
mnóstwo twarzy znajomych i
obcych. Wszyscy niemal bez
wyjątku rozprawiali z
ożywieniem, otwierali usta
bardzo szeroko, lecz łoskot

śmigieł, w zgodnym duecie z hukiem silników nie pozwilił nam dosłyszeć ani słowa. Jakiś zabójczo przystojny gentleman w monoklu krzyczał coś do ucha Halinie, która wciąż potrzasała głową przecząco. Wówczas napisał kilka słów na kartce i wręczył ją ogłuszonej słuchaczce. Machnęła wzgardliwie rączką, po czym dała mnie kartkę do przeczytania. "Kapitan Gripsholmu spotkał tej nocy koło Nowej Funlandii kilka wielkich lodowców". - "Cóż ty na to?" - spytałem ją na migi. Roześmiała się i dopisała poniżej: "Teraz rozumiem, dlaczego temperatura się obniżyła".

Nagle poczułem, że w ścisku ktoś wsuwa mi dłoń do kieszeni. Szybkim ruchem spuściłem rękę i uchwyciłem przegub dłoni rzekomego złodzieja. Ujrzałem grube, czarne paluchy, ściskające jakiś potworny kieł.

- Pan to wziąć - zaryczał mi Mike do ucha.

Zrozumiałem. Wierny sługa chciał mnie obdarzyć "niezawodnym" amuletem. Ten "zabek" krokodyla, czy aligatora stanowił zapewne jego największy skarb, lecz poświęcał go, byle zabezpieczyć moje życie. Nie mogłem mu więc zrobić tej przykrości, by jego darem pogardzić. Wsunąłem kieł do kieszeni i pociągnąłem poczciwego Mike'a lekko za ucho, co mu musiało sprawić niewymowną przyjemność, gdyż nadał się jak paw i spojrzał wyniośle na płaczących się natrętnie reporterów.

Gazowanie silników doszło chyba do zenitu. Wydało mi się, że rozdygotany samolot przeskoczy lada moment ciężkie klocki podstawek podsuniętych pod koła i runie naprzód jak burza. Wściekły prąd powietrza położył za maszyną trawę

lotniska na przestrzeni
kilkudziesięciu metrów,
przydusił ją do ziemi, a z
płaszczy żegnających nas ludzi
uczynił jakoweś flagi
futurystyczne, szamoczące się
rozpaczliwie. Szerokie spodnie
gentlemenów nadymały się
komicznie lub na przemian
falowały nogawkami, co jeszcze
bardziej przedstawiało pocieszny
widok.

Patrick Knock zmniejszył
wydatnie obroty, wygramolił się
z kabiny, spojrzął na zegarek,
potem na komendanta portu i na
startera. Skinął głową
porozumiewawczo, zeskoczył na
ziemię.

Przyszedł moment pożegnania.
Zakotłowało dokoła nas. Jakieś
ręce chwytały moją dłoń i
ściskały ją mocno, serdecznie,
życzliwie. Niby spod ziemi
wyrastały przede mną coraz to
nowe twarze, jedne poważne,
skupione, drugie uśmiechnięte,
trzecie wykrzywione
nienaturalnie, znów uroczyste i
przestraszone na przemian, a
niektóre o wyrazie wręcz
głupkowskim. Knock rozmawiał na
uboczu z komendantem portu
lotniczego w ten sposób, jak
gawędzą sobie dwaj głuchoniemi.
Dick Campbell spadł mi ramionami
na szyję.

- Pamiętaj, stary... Twiller,
270 Convent Ave, wrzasnąłem mu w
ucho. Potakiwał ruchem głowy,
choć jestem pewien, że niewiele
dosłyszał w tym zgiełku. Prosty
kordon policji powyginał się w
linię krzywą, która nie wiedzieć
dlaczego przypomniała mi
czerwoną, powyginaną jak wąż
kreskę, oznaczającą wahania
temperatury umierającej Mafaldy
Martini; karta z tym wykresem
leżała zawsze na stoliku w
separatce chorej. Tłumy parły
niezmordowanie na kordon, chcąc
być jak najbliżej widowiska. W
dwóch miejscach wytworzyły się

pokażne brzuchy; tu policjanci mieli najwięcej do roboty. Za to dalej rzedły szeregi gapiów i hen, przy końcu były nawet luki, przerwy w potężnym łańcuchu ludzkiego mrowia.

Jeszcze ostatnia fotografia pod prostokątnym daszkiem prawego skrzydła, drżącego nad ziemią na wysokości przeszło trzech metrów. W środku Halina, po bokach Knock i ja, a dalej prezesi "Aero Club of America", "Aeronautical Society" itp. klubów, konstruktor "Victorii", dalej napuszony Dick Campbell, lotnicy, urzędnicy portu lotniczego, dziennikarze, ustosunkowane damy, które przygnała tu ciekawość wraz z snobizmem, i Bóg wie kto jeszcze. Twarzyczka mej słodkiej dziewczyny wykwiłała niejako z kwiatów, których całe naręcza obejmowała oburącz i uśmiechała się swobodnie do zdjęcia. Ktoś chciał sobie kropnąć mówkę, której sam nawet nie byłby dosłyszał, lecz Patrick Knock miał dość tych uroczystości. Ostatnie "good bye" posłał zebrany ręką i pewnym krokiem wszedł do wnętrza kabiny. Halina odwróciła się, stojąc już w drzwiach i pożegnalnym spojrzeniem objęła wszystkich i wszystko. Ja wstąpiłem na schodki ostatni. "Jakby na szafot" - mruknąłem z szubienicznym humorem, po czym zatrzaskałem drzwiczki.

Zderzyłem się z Haliną. Nie zajęła jeszcze swego miejsca i czekała na mnie. Było tu nieco ciszej niż tam, na zewnątrz, lecz pomimo to nie dosłyszałem, co do mnie mówiła. Z wyrazu jej oczu domyśliłem się tylko, że chce ze mną wymienić braterski pocałunek, ostatni przed rozpoczęciem szalonej podróży. I nie wiem dlaczego doznałem uczucia, że ten epizod jest dziwnie podobny do sceny pożegnania w celi więziennej.

Może ciasnota przestrzeni przywiodła mi na myśl takie porównanie, może nastrój to sprawił. Nie wiem. Dość, że zrobiło mi się czegoś strasznie smutno na sercu i długo nie chciałem wypuścić z swych palców dłoni mej towarzyszkki. Knock obejrzał się wstecz i pogroził nam pięścią, uśmiechając się przy tym szelmowsko.

Zajęliśmy swoje fotele: Halina drugi, ja ostatni, "Victoria" posiadała dwuster, jak szkolne aparaty, gdzie mistrz i uczeń mogą każdy ze swego miejsca kierować maszyną. Podobnie było i tutaj, z tą różnicą, że zamiast dwóch drążków sterowych były dwa wolanty. Te same zegary, wskaźniki, manometry, kompasy, ciepło_, pochyło_ i, Bóg wie jakie jeszcze mierze, te same rączki, dźwignie, przekładnie jakie miał Knock przed sobą, znajdowały się również przed siedzeniem Haliny. Dzięki temu urządzeniu mogli moi towarzysze podróży dublować rolę pilota, nie zmieniając równocześnie miejsca. Na upartego dałoby się i to zrobić, gdyż w gondoli było waziuteńkie przejście, a krótka chwila, potrzebna na to, by oddający ster wstał i puścił na swoje miejsce odbierającego, pozwala śmiało pozostawić samolot niesterowany, oczywiście na odpowiedniej wysokości i przy spokojnym locie horyzontalnym. Tak więc dwuster był właściwie "luksusem", według określenia Knocka.

Usadowiwszy się na swoim miejscu, ochrzczonego przez nas mianem stacji radiotelegrafu, podawałem Halinie kominiarkę do "flirtu" i sam przywdziewałem drugą. Byliśmy teraz złączeni dwoma wężami, to jest mój rożek akustyczny z jej słuchawką, moja słuchawka z jej rożkiem i mogliśmy swobodnie rozmawiać, lub flirtować, jak chciał Knock,

który w ogóle patrzył zezem na te wszystkie zbytki. Pierwszym z nich był wolant, w miejsce drażka sterowego. O tę drobnostkę stoczył konserwatywnie usposobiony Patrick całą kampanię z konstruktorem samolotu, twierdząc, że płatowiec z wolantem niewiele się różni od auta, on zaś jest pilotem, a nie szoferem...

- Może jeszcze jazz_bandów zabrać - zrzędził, kiedy Halina wprowadzała znów jakieś ulepszenia.

Założywszy sobie kominiarki, postanowiliśmy wypróbować jak funkcjonuje nasz "telefon".

- Hallo, czy stacja radiotelegrafu "Victorii 2"? - posłyszałem wesoły głosik mej najdroższej dziewczyny. Była wzruszona nie mniej ode mnie, lecz żartowała, aby mi dodać odwagi.

- Tak - odparłem, siląc się na podobny ton, a kto tam przy telefonie.

3 3 64 0 2 108 1 ff 0 74 1
- Tu mówi narzeczona Ralpa Bronsona.

- Nad życie cię kocham, darling.

- Nie flirtować, mości Ralph. Podczas jazdy nie wolno flirtować z pilotem.

- Jeszcze na razie stoimy.

- Już jedziemy - odparła.

Jakoż w tym momencie Patrick Knock wystawił rękę przez otwarte okienko, komendant portu machnął chorągiewką, ujrzałem znajomego robotnika z warsztatów jak odskoczył na bok z okrągło wyciętym klockiem podstawki, którą wyrwał spod prawego koła

i... "Victoria 2" ruszyła do startu.

Przysunąłem twarz do szybki. Nie czułem ruchu. Zdawało mi się, że stoimy dalej, tylko tamci gdzieś w tył uciekają. Tamci: Dick, Mike, członkowie aeronautycznych klubów, lotnicy, mechanicy, dziennikarze. Migają mi przed oczyma twarze uśmiechnęte i skupione, trzepoczące się poły płaszczy, nadymane komicznie spodnie, powiewające kapelusze, chusteczki. Mignął mi pies, który wyrwał się komuś i biegł obok, kłapiąc paszczą zajadle. Pewnie oszcze kiwał nas, pewnie te wszystkie usta otwierające się szybko i szeroko, wyrzucały jakieś okrzyki, ale kto je tam słyszał.

Mój fotel odzyskał właściwe położenie, wysoko siedzący Knock zapadł się trochę i Halina zasłoniła mi go teraz. Snadź ogon podniósł się już w górę. Za okienkiem defilowały bardzo powoli odległe gmachy, szybciej hangary, najszybciej falująca rzesza ludzi, z trudem utrzymywana przez pękające miejscami kordony.

- Już! - zabrzmiał w słuchawce głos Haliny.

Pomyliła się jednak. Samolot nie zdołał się jeszcze oderwać od betonowego chodnika. Podskoczył sobie tylko. Ogłuszający turkot silników przeszedł w potworny ryk. Gwizd wiązań, linek, stalowych taśm osiągnął chyba swoje fortissimo i najwyższy, najprzeraźliwszy ton.

Wciąż patrzałem przez szybkę. Oszałamiająca defilada gapiów trwała w dalszym ciągu. Coraz mniejsze były ich zastępy, lecz coraz prędzej uciekały do tyłu wraz z wielkimi połaciami porośniętego trawą lotniska.

Tam, dalej, nie było już policjantów. Widzowie stali w małych skupieniach i zbliżali się ku nam.

Nagle w oddali dojrzałem auto. Mały, sportowy samochód pędził pełnym gazem przez lotnisko, jak gdyby zamierzał nam przeciąć drogę. Przystanął i zarzucił tyłem, widać kierowca przyhamował zbyt ostro. Kobieta? Tak, to była kobieta. Spóźniła się na widowisko i biegła teraz na ukos, aby z bliska zobaczyć start "Victorii".

- Boże!

Okrzyk Haliny odciągnął mnie od szybki. Nie było tam zresztą na co więcej patrzeć. Grupka gapiów wymachiwała rozpaczliwie rękami, dawała jakieś znaki.

- Knock... Skręć pan, na Boga!
- zawołała moja towarzyszka, zapominając, że jej słowa, wyrzucone jednym tchem w tubkę akustyczną ja tylko mogę usłyszeć, lecz nigdy Knock.

Wiedziony złym przeczuciem zerwałem się, stanąłem tuż za plecami Haliny, pochyliłem głowę, a wzrok mój padł na matową szybkę peryskopu. Ujrzałem grupkę maleńkich, choć wielopiętrowych domów maleńkie drzewa, pędzące na nas z oszałamiającą szybkością. Ćwierć sekundy później spostrzegłem to, co wywołało okrzyk Haliny. Szarym, betonowym chodnikiem leciała ku nam kobieta, ta sama, która dopiero co wysiadła z auta. Na pewno ta sama; poznałem to po barwie jej wiosennego płaszcza. Jej maleńka sylwetka rosła na matowej szybcie w oczach, w miarę jak malała odległość, jak kurczyła się przestrzeń pożerana żarłocznie przez gnający pełnym gazem samolot. Zamiast usunąć się z drogi co prędzej, biegła z rozstawionymi szeroko rękami

naprzeciw "Victorii", która
kołami swego podwozia zdawała
się już nie tykać ziemi. Jeszcze
dwie sekundy, jeszcze sekunda!

Zawyły linki steru
wysokościowego. Samolot oderwał
się ciężko od ziemi.
Zdeterminowana samobójczyni
zadarła główkę wysoko, otworzyła
usta, by wydać okrzyk
przedśmiertny. Ręce wyciągnęła
nad głowę.

- Boże zmiłuj się!

- Zginęła!

Nie wiem, które słowo
powiedziała Halina, a które ja.
Nic nie wiem i nie chcę wiedzieć
o niczym.

To była... Dolly!!!

Tak... Ona... Poznałem ją
dopiero w momencie, kiedy
zniknęła z maleńkiego pola
matówki.

Czy zginęła? Nie poczułem
najlżejszego wstrząśnienia, ale
czy taki olbrzym, ważący
przeszło 15»000 funtów i pędzący
z zawrotną szybkością drgnałby
choć na milimetr przy zderzeniu
z kruchą istotą ludzką?

Opadłem ciężko na swój fotel.
"Victoria" kładła się łagodnie w
lewy wiraż. W jednym okienku
widziałem niebo, w drugim kawał
lotniska. Knock poderwał maszynę
w sam czas. Dziesięć sekund
później, a ugrzęźlibyśmy w sieci
telefonicznych drutów lub,
rozerwawszy tę przeszkodę,
wpadlibyśmy w mur najbliższego
budynku. Tępym wzrokiem,
starając się nie myśleć o
niczym, patrzyłem w niebo. Ale
musiałem myśleć. O niej!
Musiałem stwierdzić, czy
zrywający się właśnie płatowiec
przeskoczył ją, czy też... tam,
poza nami pozostała krwawa,
bezkształtna masa, a ja

odleciałem po "jej trupie", jak mi zagroziła odchodząc z mego mieszkania po pamiętnej rozmowie. Przylgnałem do okienka z lewej strony. Samolot szedł wolniej, tracił szybkość, linki grały coraz żałośniej, coraz niższymi tonami. "Victoria" nie wyszła jeszcze z wirażu, dzięki czemu mogłem zobaczyć co się dzieje pod nami. I ujrzałem, na szarym tle chodnika, na samym skraju betonowej drogi, którą przebiegliśmy przed chwilą... ciemną plamę ludzkiej sylwetki. Leżała na wznak z rozkrzyżowanymi rękami, oczyma utkwionymi zapewne w spód naszego ptaka. Czy te oczy odbierały jeszcze jakie wrażenia, czy patrzyły martwym szkliwem ku niebiosom. Raczej to drugie, bo takie zderzenie nie mogło przejść bezkarnie, nie mogło się skończyć kontuzją. Więc Dolly zginęła, a z nią to, co miało być treścią jej życia... nasze dziecko!... Zdrętwiałem, szklanym spojrzeniem żegnałem ją z góry. Ktoś klęczał przy niej, lekarz zapewne. Ludzie maleńcy jak lilipuci Guliwera biegli ku niej ze wszystkich stron... Od strony hangarów pędziła na miejsce wypadku biała automobilowa karetka z czerwonym krzyżem... Dwaj policjanci gnali w tę samą stronę na motocyklach, korzystając z betonowego chodnika.

A potem lotnisko zaczęło mi szybko uciekać z pola widzenia, wyrastały hangary, budynki, gmachy, drapacze. Kiedy Halinie przyszło na myśl, aby uczynić to samo, co ja zrobiłem i kiedy przysunęła twarz do swego okienka, samolot już mknął prosto w stronę Long Island Sound.

- Spóźniłam się - rzuciła w tubkę. - Boże, Boże, jaki straszny wypadek... Nie wiesz... czy... - nie śmiała dokończyć.

Miałem jej powiedzieć prawdę?
Powiedzieć, że tamta zginęła i
że to była moja żona? Zbić ją z
nóg taką wieścią u progu
gigantycznej podróży, o której
powodzeniu decydują przede
wszystkim dobre nerwy?

- Miała szczęście -
wycharczałem, a podpadający ton
mego głosu poszedł na rachunek
naszego "telefonu" - Knock ją
dosłownie przeskoczył. Sekunda
opóźnienia, a...

- Ach, nie mów! Myśleć o tym
nie mogę.

- Nic jej się nie stało -
łgałem, znajdując coraz większą
przyjemność w okłamywaniu
dziewczyny - widziałem, jak się
podniosła.

- Sama? Boże, jaka jestem
szczęśliwa! Czekaj, napiszę to
Knockowi - wsunęła dłoń do
kieszeni kurtki, pochyliła
głowę, pisała coś krótką chwilę,
wręczyła kartkę Patrickowi, po
czym dodała znacznie weselszym
głosem. - Wiesz, kochanie, to
dobry znak dla nas, że ta
obłąkana ocalała. Dobry znak...
Szczęśliwie się nam zaczęło,
prawda?

- Bardzo szczęśliwie -
wykrztusiłem, patrząc bezmyślnie
w okienko, poza którym
defilowały
w dali białe obłoczki, strzępom
waty podobne.

- Tak, to dobry znak -
powtórzyła Halina raz jeszcze,
potem umilkła na długo zajmując
się studiowaniem mapy.

A masy powietrza, rzucane
zaborczą pracą śmigła pod
płaszczyznę naszych skrzydeł,
grały na stalowych strunach taśm
i linek swą przeklętą, szyderczą
melodię w coraz to wyższej
tonacji.

- Westerly.

Głos w słuchawce przerwał moją smutną zadumę w pewnym momencie. Halina wskazała mi lewe okienko. Pod ostrym kątem zbliżał się ku nam z tej strony szmat łądu, pędząc przed sobą w zwycięskim pochodzie nurty zatoki Long Island. Westerly jeszcze nie było widać oczywiście, lecz parę minut później szybowaliśmy nad tą miejsciną, a potem rozpoczęliśmy wyścig z pociągiem.

- To pewnie pośpieszny do Bostonu, co?

- Możliwe - mruknąłem bez zainteresowania.

Pozostawiwszy za sobą stan Connecticut, przecinaliśmy skośnie Rhode Island, dążąc prosto jak strzelił ku Cape Cod Bay, ku oceanowi. Pociąg dał szybko za wygraną. Skręcił łagodnie w lewo i zniknął nam z oczu niebawem. Znów trochę wody pod nami, to Zatoka Bristolska, znów szerszy pas łądu, to południowo-wschodnie kończyny stanu Massachusetts, a potem zatoka Cape Cod, otoczona silnie napiętym bumerangiem półwyspu tej samej nazwy. Provincetown nie było widać. Majaczyły tylko kontury półwyspu, po prawej ręce, przykuwając oko silniej niż jakikolwiek inny punkt z dotychczas przebytej drogi. Dlaczego? Halina to właśnie powiedziała:

- Żegnajcie mi, Stars and

Stripes!... Za pięć dni chcę was znowu powitać.

- Tak, w tym miejscu przebywała "Victoria 2" naturalną granicę mego wspaniałego kraju, granicę przybranej ojczyzny Polki Haliny i Irlandczyka Knocka... Stany Zjednoczone były poza nami, płynęliśmy już ponad ponurym Atlantykiem.

POnury? Halina go tak nazywała zazwyczaj, ale w tej chwili wyglądał pogodnie, niewinnie, malowniczo jak neapolitańska zatoka. Maleńkie fale odrabiały od niechcienia swą nudną pańszczyznę. Toń niemal gładka lśniła w pośrodku złocistą łuską w powodzi słonecznej poświaty, olbrzymia, niepokalanie błękitna kopuła niebios spoczywała pewnie na wybiegającym w górę obwodzie potwornie wielkiej misy wody, która mieniła się wszelkimi odcieniami barwy niebieskiej i zielonej, a poprzez tę mozaikową płaszczynę, urozmaiconą jeszcze gdzieniegdzie małym pióropuszem dymu parowca lub białym trójkącikiem żagla, sunął chyżo ciemny krzyż; to cień naszej "Victorii".

- Darling, która była u ciebie, kiedy startowaliśmy w Curtisfield?

- Zdaje mi się, że po jedenastej - odparłem.

- Ślicznie!... Nawet tego nie wiesz. U mnie było dwanaście po jedenastej. Tak zanotowałam. A ponieważ teraz mamy siedem minut po wpół do drugiej, więc... czekaj, muszę obliczyć dokładnie... więc lecimy na razie z średnią szybkością 142 kilometry na godzinę.

- Mało.

- Pewnie, że mało. Zaraz to napiszę Knockowi.

- Szybkość będzie zapewne
wzrastała w miarę ubywania
zapasu benzyny, co?

Nie odpowiedziała mi, zajęta
"korespondencją" z Patrickiem,
wobec czego mogłem się znowu
pograżyć w błogi stan apatii,
który szumnie zadumą nazwałem.

- Miałeś telegrafować -
przypomniała mi w dobre pół
godziny później.

Słusznie; miałem telegrafować.
Chwilę później zabuczała
przetwornica i iskiernik
zasyczał aż miło, śląc w
przestrzeń słowa mej depeszy:

"Nad zatoką Maine. Victoria
dąży ku brzegom Nowej Szkocji.
Wszystko w porządku. Bronson".

Dłuższy telegram wysłałem do
Dicka Campbella, jak mu to
przrzekłem. - "Ha, może w ogóle
nie będzie go czytał" - myślałem
- "może przeklina nas teraz,
stojąc nad zwłokami córki".

Byłem wdzięczny Halinie, że mi
przypomniała, jaką rolę objąłem
w wyprawie. Miałem zajęcie,
które mnie absorbowало
wystarczająco, przynajmniej na
razie. Depeszowałem, odbierałem
telegramy, przejmowałem takie,
które nie dla nas były
przeznaczone i robiłem to
wszystko ze szczerą gorliwością,
może nawet z przesadnym
zapałem... byle tylko odpędzić
natrętną, uporczywie powracającą
myśl, że tam, pod nami, koła
podwozia są zbryzgane krwią
ludzką, krwią matki mojego
dziecka, że po jej trupie
polecieliśmy z Haliną ku nowemu
życiu. Wszakże zaraz po powrocie
z Paryża miał się odbyć nasz
ślub. Tak się umówiliśmy

onegdaj.

O kwadrans na czwartą otrzymałem wiadomość z Halifaxu, że temperatura spada w dalszym ciągu.

- Głupstwo - odparła Halina, kiedy ją poinformowałem o tym i po minucie dodała - wiesz, darling, co mi przyszło do głowy? Ona musiała się w ostatniej chwili poślizgnąć, upadła i dzięki temu właśnie ocalała. To nawet bardzo możliwe. Biegła przecież nie środkiem, lecz skrajem pasa startowego, zapatrzona w samolot i nie patrząc pod nogi. Wystarczyło postawić stopę o parę cali dalej... Tak, tak. Po prostu ześlizgnęła się jej noga na trawę, dzięki czemu straciła równowagę i runęła jak długa... Bo jakże wytłumaczysz mi inaczej to cudowne wprost ocalenie?

Więc ona również myślała jeszcze wciąż o tym wypadku, a chcąc się upewnić, uspokoić, zaczęła ze mną rozmowę na ten temat, roztrząsając wszelkie możliwości. I dziwna rzecz: w miarę jak brnąłem coraz głębiej w las kłamstw i wymysłów, których jedynym celem była chęć oszczędzenia jej nerwów, sam zaczynałem w nie wierzyć. Raz jeszcze odtworzyłem sobie w myśli przebieg zajścia: Dolly biegła rzeczywiście krawędzią pasa, zatem kadłub śmigła obok niej w odległości sześciu stóp co najmniej, zaś skrzydło przeszło wysoko nad jej głową. Chyba tylko koło, prawe koło mogło ją potrącić... Kiedy na wirażu spojrzałem z góry, leżała na wznak, ale to nie dowodzi bynajmniej, że była ranna lub zabita. Zemdląła po prostu, gdy lodowaty podmuch straszliwej śmierci wionął jej w twarz z tak bliska. Zemdląła dostrzegłszy tuż przed sobą ryczącego potwora i trzy oszalałe śmigła, mielące masy powietrza z piekielnym

wyciem... Musiała zemdleć...
Może się rzuciła pod
nadjeżdżający pociąg, ale jestem
pewien, że najbardziej
zdeterminowany kandydat na
samobójcę nie potrafi biec aż do
końca torem kolejowym naprzeciw
ekspresu, widocznego już z dala;
uskoczy w bok albo straci
przytomność, padnie na szyny i
koła go rozszarpia, lecz do
zderzenia nie dojdzie; tego
żadne nerwy nie wytrzymają...
Tak samo musiało być z Dolly.
Zemdlała lub odskoczyła w
ostatniej chwili, a wściekły wir
powietrza cisnął ją na ziemię.

Przeprowadziwszy w myśli takie
rozumowanie i zanalizowawszy
wszelkie jego "za" i
"przeciw"... odetchnąłem pełną
piersią... Dolly żyje! Wierzyłem
w to już równie mocno jak w to,
że siedzę obecnie w gondoli
"Victorii 2", która zbliżała
się właśnie do widocznych gołym
okiem południowo_zachodnich
brzegów Nowej Szkocji... Dolly
żyje! To był dla mnie niezbity
pewnik w tym momencie i dla
nerwów przyszła chwila
odprężenia.

- Darling - przemówiła
Halina, kiedy przecięliśmy linię
kolejową Middleton_yarmouth -
zdejm na kilka minut kominiarkę.
Muszę się wyklócić z Knockiem o
godziny nocnego dyżuru. On chce
przez całą noc prowadzić
maszynę, wariat! A ja od czego
tu jestem?

Oddałem jej kominiarkę i po
chwili oboje wiedli
"telefoniczny" spór o zaszczyt
kierowania "Victorią".

Ziewnąłem sobie znowu od ucha
do ucha. Chciało mi się spać jak
nigdy. Nie wiem, czy sprawił to
jednostajny huk silników, czy
nerwy wyczerpane nadmiarem
emocjonujących wypadków żądały
od organizmu krótkiego chociażby
wypoczynku, czy nastał moment

reakcji... dość, że ja, który
przez cztery ostatnie noce
niemal oka nie zmrużyłem pomimo
różnych środków nasennych,
zasnąłem teraz aż miło i
zasnąłem tak szybko, że kiedy
Halina po kilkuminutowej
rozmowie z Knockiem odwróciła
się ku mnie, by mi oddać
kominiarkę ze słuchawkami,
spałem już twardo... Tak mi
powiedziała później, po
przebudzeniu.

Że twardo, nie przeczę.
Dowodem tego choćby to, że ryk
maszyny nie zdołał mnie
przebudzić, ale odżywczy ten sen
nie był, o nie! Raczej mnie
zmęczył, niż wzmocnił. Dręczyły
mnie przykre sny, zwidzenia,
ponure koszmary. Przy końcu
przyśniła mi się Mafalda
Martini. Dobrotliwa, pogodna
twarz staruszki miała wyraz
gniewny, że nie powiem: wrogi, a
jej łagodne zazwyczaj oczy
ciskały gromy. - "Budujesz gmach
swego szczęścia na ludzkiej
krzywdzie" - mówiła, mierząc we
mnie wskazującym palcem długim,
przeraźliwie chudym, jak
piszczel szkieletu - "cementem
są ci łyki i krew"! - W tym
miejscu zdarła białe płótno,
okrywające coś, co u jej stóp
leżało i ujrzałem Dolly...

Krzyknąłem przeraźliwie i
rozejrzałem się ze zdumieniem
dookoła. Byłem w jakiejś
ciasnej, bardzo wąskiej,
podłużnej celi, oświetlonej dość
słabo dwoma, lub trzema
żarówkami, których blaski miały
kolor sinoniebieskawy. Gdzieś,
jakby poza okienkiem huczał
potworny młyn. Głowa bolała od
tego łoskotu. Gdzieś gwizdały
rozdzierająco dziesiątki
gnających parowozów. Pochyliłem
głowę. Nie, Dolly tam już nie
ujrzałem i Mafalda Martini
również zniknęła bez śladu...
Więc tamto było snem?

Głowa w kominiarce, ledwie

widoczna poza ścianką oparcia fotela, odwróciła się szybko. Poznałem Halinę. Uśmiechnęła się słodko, cudownie, jak tylko ona jedna potrafiła się uśmiechać i rzuciła mi na kolana moją kominiarkę... Po chwili już rozmawialiśmy z sobą, połączeni dwoma węzami.

- Zdrzemnąłem się trochę - zacząłem z zażenowaniem, bo wstyd mi było, że spałem, kiedy ona czuwała.

Zaperlił się w słuchawce jej srebrzysty śmiech.

- Ładna drzemka, co trwa cztery godziny - parsknęła.

Zerknąłem na zegarek i zdębiałem. Dochodziła ósma.

- W takim razie - zauważyłem, ochłonawszy ze zdumienia - Nowa Szkocja jest już poza nami.

- Ho, ho, odkąd! Lada chwila zobaczymy światełka z wybrzeża Nowej Funlandii.

- Niemożliwe!

- Całkiem możliwe, darling... Knock stwierdził właśnie, że suniemy obecnie z szybkością sto dwadzieścia mil na godzinę.

Później zaczęła coś mówić o kursomierzu, o małym zboczeniu z drogi, w którym Knock rzekomo zawinił, ale które ona już "naprawiła"... Światełek z Port Mulgrave nie było widać, choć powinniśmy byli przelatywać dokładnie ponad tą miejscowością.

- A wszystko przez jego zachłanność - twierdziła - nie chciał się dać wyręczyć. No, lecz teraz ja prowadzę i mam dyżur do północy, potem on do szóstej rano i tak się będziemy zmieniać co sześć godzin, aż do

końca podróży.

- Czy nie jesteś głodna? -
spytałem.

- Och, i jak jeszcze...
Czekałam z utęsknieniem na
przebudzenie się naszego
kuchmistrza.

- No, tego ci nie daruję. Jak
można, Halino... Nie trzeba to
było rzucić mi w głowę
kominiarki?

- Nie zrzędź, staruszk, tylko
dawaj jeść.

Zabrałem się więc do karmienia
moich towarzyszy, którzy mieli
wyśmienite apetyty. Jeden
sandwicz za drugim "jechał" za
pośrednictwem Haliny do
Patricka, lub "skonfiskowany"
przez nią nie dochodził rąk
nienasyconego Irlandczyka.

- Teraz pić - zakomenderowała.

Ze szczerym zachwytem
stwierdziłem, że kawa i herbata
nie ostygły jeszcze. Były więcej
niż ciepłe, dzięki znakomitym
termosom. Posiłek wpłynął
doskonale na humory, czego
dowodem była chociażby kartka od
Patricka, wręczona mi przez
Halinę, która ją z głośnym
śmiechem scenzurowała.
Podochocony "komendant wyprawy"
nagryzmolił tam takie zapytanie:
"Halo, barman! Tu prohibicja nie
obowiązuje. Czy mógłbym zamówić
szklaneczkę brandy?" Odpisałem
mu na odwrocie: "Brandy nie
posiadamy chwilowo na składzie,
ani whisky, ale mogę służyć
łykiem francuskiego koniaku.
Zgoda?" Miałem rzeczywiście
półlitrową butelkę koniaku z
tajnej "biblioteki" Dicka
Campbella, lecz jeśli to, co z
niej ubyło po powrocie z
pierwszego fotela nazywa się
łykiem, to Patrick Knock musiał
mieć nader obszerny przełyk.

- Dziwne, że od czterech godzin nie ma żadnej wiadomości, czy nie uważasz? - spytała Halina w kwadrans później.

Spojrzałem na moją "stcję" i zakląłem soczyście. Kontakt był wyłączony. Musiałem to zrobić podczas snu lub kiedy sięgałem po nasze zapasy.

"Victoria nie odpowiada od czwartej. Widziano ją ostatnio pomiędzy Havre Bouche, a Port Mulgrave..."

Tak brzmiał strzęp pierwszego telegramu, który przejąłem i który sprawił, że zacząłem sobie wymyślać od ostatnich. Oto był najwyższy dowód, iż wyłączyłem kontakt jeszcze przed zaśnięciem.

Połączyłem się co prędzej z St. John, a kiedy zakomunikowałem Halinie dość enigmatyczną dla mnie treść otrzymanej odpowiedzi, odparła lapidarnie: - "Wszystko leci na łeb: temperatura, barometr i śnieg na dodatek. Wszystko spada, ale my nie zlecimy. Daj kominiarkę, Ralph. Muszę się porozumieć z Patrickiem".

Tym razem rozmowa ich zaczęła się niezwykle przeciągać. Korzystając z tego, wysłałem następną depezę do "N. Y. Morning News", potem zaś zabijałem nudę wyłapywaniem wieści krążących na falach eteru, a nie dla nas przeznaczonych bynajmniej.

I jedna z nich wstrząsnęła mną do głębi. Jak się domyśliłem bez trudu, adresatem był w tym wypadku jakiś dziennik kanadyjski, a nadawcą jego nowojorski korespondent. Albowiem treść jej brzmiała:

"Tożsamość osoby stwierdzono. Jest to Mrs. Dorothy Bronson, z domu Campbell, jedyna córka wydawcy popularnego pisma: N. Y. Morning News... Ze względu na to, że Mrs. Bronson prowadziła proces rozwodowy, że mąż jej odleciał na pokładzie Victorii wraz ze swą obecną narzeczoną Miss Horską etc. etc...
sprawa nabiera posmaku sensacji, która jest na ustach całego Nowego Jorku..."

- Bydlęta... Posmak sensacji - warknąłem wyłapując skrzętnie dalsze słowa depeszy sumiennego korespondenta. Ręce mi drżały jak w febrze, w uszach huczały dzwony, lecz nie porzuciłem tego zajęcia. Chciałem wiedzieć wszystko... Chciałem wiedzieć to najważniejsze: czy ona żyje... Czułem, że dalszej niepewności nie zniósłbym ani pięciu minut... I dowiedziałem się wreszcie... z ostatniego zdania telegramu:

"Stan ofiary wypadku jest niemal beznadziejny. Przytomności nie odzyskała. Przy łożu jej czuwa rodzina..."

Gwałtownym ruchem wyłączyłem kontakt, zerwałem łączność ze światem, zerwałem łączność ze światem, lecz potężny łańcuch myśli nie pękł tym samym. O, nie! Musiałem myśleć o tym, że nasz straszliwy wehikuł stratował ciało Dolly, że ona tam teraz umiera, że... rodzina czuwa przy jej łożu... Czuwa! Chyba przeklina sprawców nieszczęścia... nie sprawców, lecz sprawcę! no: mnie... Mnie wyłącznie!...

Nadludzkim wysiłkiem woli
trzymałem wymykające się lejce,
czując, że nerwy moje oszalały,
wzięły na kiel... że lada moment
wybuchnę płaczem lub
histerycznym śmiechem.

Rodzina czuwa! Mrs. Campbell,
zasuszona mumia idzie od łoża
konającej córki ku oknu, patrzy
w mroki nocy i miota drewnianym
głosem klątwy, jakie jej
rozdarte serce matki dyktuje:
"Bodajżeś szczeł! Bodajżeś runął
w fale oceanu razem z tą, która
cię opętała na zgubę mego
dziecka". Czy to jej krzyk
uderzył w okienka kabiny
"Victorii"? Nie! to linki
zagwizdały ponuro i stójki, i
wiązania spojeń, bowiem wiatr
zmienił nagle kierunek, a w
stosunku do niego pęd wzrósł
znacznie i nasza "orkiestra"
grała znów w wyższej tonacji.

Rodzina czuwa! Dick Campbell,
niezrównany businessman bębni
palcami po stole. Może tuż poza
oknem rozbrzmiewają okrzyki
kolporterów, wykrzykujących
głośno nagłówek największej
sensacji Nowego Jorku. "Żona
pasażera Victorii popełniła
samobójstwo"... "Mrs. Bronson
rzuciła się pod samolot"... "Po
trupie żony!"... Taka
pierwszorzędna sensacja, a
"Morning News" milczą... One
jedne milczą, muszą milczeć!
Publiczność żąda dreszczy,
wstrząsów, emocji. Szanowni
czytelnicy pożerali łokciowe
kolumny z opisem katastrofy
"Victorii 1", szanowni
czytelnicy rozkoszowali się
strugami krwi, warstwami mózgu,
którymi ich Dick karmił kosztem
ból rodzin Ashleya, Martiniego,
Petita. Karmił ich obficie, byle
interes szedł, byle "Morning
News" mogły zwiększyć nakład. A
teraz? Teraz szanowni czytelnicy
pochłaniają kolumny druku w
konkurencyjnych pismach, a żerem
jest nieszczęście Dolly i łyzy

jej matki i ból Dicka...
"Przekleństwo"! - ryczy Dick.
"Przeklinam was, ludzkie bydło,
przeklinam siebie i ciebie,
Ralphie Bronson". Czy to jego
bas huczy mi w uszach? Nie! To
środkowy silnik, odpoczywający
niemal od startu, przemówił.
Knock zaprzął go do roboty, i
maszyna, która szła dotychczas
na zredukowanym gazie dwóch
bocznych silników, wali teraz
naprzód ciągnięta przez trzy
śmigła, borykając się zwycięsko
z przeciwnym wiatrem.

Korowód posepnych myśli porwał
mnie z sobą w upiorny tan,
zabrał mnie w niepodzielne
posiadanie. Zapomniałem na
długie minuty gdzie jestem, co
się dzieje wokoło i z właściwą
ludzkiej naturze chęcią
usprawiedliwienia się przed
samym sobą, polemizowałem w
duchu z zarzutami rodziców
Dolly, nie czując, że "Victoria"
kołysze się coraz silniej, że
podmuchy wiatru są coraz
gwałtowniejsze.

Coś mi spadło na kolana i
przerwało moją zadumę.
Kominiarka. Podniosłem oczy.
Halina patrzyła na mnie pytająco
z odcieniem zdziwienia.

- Co tobie, darling? -
zagadnęła przez "telefon". -
Wyglądasz jak z krzyża zdjęty.

Rzuciłem w akustyczny rożek
pierwszą odpowiedź, jaka się
nawinęła na myśl.

- Ogłusza mnie trochę łoskot
motorów. Jeszcze się nie
zdołałem oswoić... Ale nie
przywiązuj do tego żadnej wagi.
To przejdzie mi niebawem.

- Nie, nie - odparła - ciebie
nuda rozstraja i bezczynność. My
z Knockiem mamy coraz więcej do
roboty, lecz ty, biedaku musisz
się okropnie nudzić, prawda?
Wiesz, połącz się z St. John...

Będziesz miał zajęcie na jakiś czas. Lecimy teraz ponad jeziorami Nowej Fundlandii. No, darling... Twoja apatia mnie niepokoi.

Ze zdumieniem stwierdziłem, że kontakt jest znów wyłączony. Ach, prawda! Wyłączyłem go odruchowo, otrzymawszy wiadomość o Dolly. Potem z największą obojętnością zabrałem się do roboty. Stacja z St. John odpowiedziała po dobrej chwili, a treść jej depechy wyrwała mnie od razu ze stanu odrętwienia.

- Halino, złe wieści - powiedziałem, przyciskając do ust różek, aby huk silników nie zagłuszył ani jednej zgłoski.

- Pewnie termometr spadł znowu - bagatelizowała.

- Słuchaj, co telegrafują: "Zawrócić natychmiast! Nad oceanem burza śnieżna! Wiatr N_e..."

- Z St. John? - przerwała mi.

- Tak. Powołują się na telefoniczną wiadomość z Bonavista.

- Niech się dadzą wypchać - wybuchnęła gniewnie.

Rozumiałem doskonale jej nastrój. Mieć czwartą część drogi poza sobą i zawrócić? Każdego lotnika zaboląby taki zawód, a co dopiero moją ambitną dziewczynę. Odczekałem więc dłuższą chwilę, aby mogła ochłonać, po czym spytałem nieśmiało:

- Wobec tego... zawrócimy, co?

- Nigdy! Nigdy się nie cofnęłam w życiu w pół drogi.

- Kochanie, pojmuje twoje rozdrażnienie - perswadowałem łagodnie - ale kiedy stawka jest

życie, to... hm... Może
byś się porozumiała z
Patrickiem... Oddaję ci
kominiarkę.

- Boisz się!? - rzuciła mi w
twarz ostro. Ręce podniesione na
wysokość głowy opadły bezwładnie
na kolana. Takim tonem ona
jeszcze nigdy do mnie nie
mówiła, ani do nikogo. Ironia w
jej ustach była czymś równie
obcym, jak, dajmy na to, poezja
w ustach Campbella. Ach, raz
mnie
tylko uszczypnęła lekko. Było to
mianowicie wtedy, gdy przyłapała
mnie in flagranti na czytaniu
jej pamiętnika. "Przeszkodziłam
panu, Mr. Bronson", powiedziała
wówczas, ale wówczas zasłużyłem
sobie na stokroć ostrzejszą
naganę... Lecz teraz?

Stanęły mi nagle w pamięci
słowa Dolly, gdy tam, w
Kalifornii opowiadała mi swój
sen, proroczy sen. "Zostań,
Ralph. Po śmierć lecisz! Ona ci
zgubę przyniesie, jak przyniosła
Ashleyowi"... wołała moja żona w
owym sennym widzeniu, choć wtedy
nikomu z nas ani się nie śniło,
że ja wezmę udział w locie
transoceanicznym. I teraz
właśnie przypomniały mi się te
słowa, wyrzeczone przed tyloma
miesiącami i zapomniane od
dawna... Właśnie teraz... Zbieg
okoliczności, czy może...

- Ralph - zabrzmiał w
słuchawce głos Haliny już znowu
łagodny, miękki, niezrównanie
melodyjny, powiedz szczerze... -
Jeśli się lękasz o siebie, to...

- O siebie? - przerwałem jej
szybko... Nie sweetheart.
Jeżeli się boję, to tylko o
ciebie... Ja mogę lecieć teraz
nawet w piekło.

- Kocham cię, Ralph... Jesteś
mężny... Gdybyś był powiedział,
że się lękasz, zawróciłabym, ale
miłość moja odeszłaby na

gwiazdy. Ja kocham tylko silnego człowieka... Ty jesteś silny!

A wśród przeraźliwych pogwizdów wichru doleciało mnie skądś tajemnicze ostrzeżenie: "Ona ci zgubę przyniesie! Zawróć, Ralph".

Halina odwróciła głowę. Spojrzenia jej cudnych oczu powiedziały mi znacznie więcej, niż pochlebne słowa, które dopiero co wypowiedziała, a widok jej nieziemsko pięknej twarzyczki uspokoił mnie zupełnie. Ani jednym muskułem nie drgnąłem, kiedy wzmagający się wicher zachichotał szyderczo na piszczałce tachometru: "To demon z twarzą Madonny. Po śmierć lecisz, Ralph... Po śmierć!" Drwiłem sobie z tego. Byłem silny. Tak powiedziała ona.

Stacja z St. John wciąż powtarzała swe wezwanie: "Natychmiast zawróć".

- Trzeba im coś odpowiedzieć - zaproponowałem.

- Słusznie... Niech się dadzą wypchać... tylko wyraż to w formie bardziej parlamentarnej.

- W niektórych parlamentach mówią jeszcze gorzej - wysiliłem się na ton żartobliwy, chcąc podkreślić, że nie ma we mnie ani cienia bojaźni.

- Niech ci będzie: w wersalskiej - odparła.

Zredagowałem na kolanie odpowiedź w stylu "wersalskim" i wysłałem ją w przestrzeń. Potem przylepiłem twarz do okienka, wypatrując światełek.

- Jesteśmy nad zatoką Bonavista - powiedziała Halina w pewnej chwili.

- Tu zginął Pompey Vollar -
mruknałem cichuteńko i
niespokojna, ruchliwa myśl
zaczęła znów wyławiać stare
wspomnienia. Było to w drugim
dniu naszej podróży poślubnej.
Leżąc w wygodnych łózkach
"sleepera", mknącego ku odległej
Kalifornii, czytaliśmy z żoną
dzienniki zakupione w Chicago.
Największą ówczesną sensacją
było tajemnicze zniknięcie
samolotu Vollara. Rybacy
znaleźli tylko część skrzydła,
odkryli na nim rdzawe plamy, jak
gdyby ślady krwi. Wówczas
przerażona Dolly przeniosła się
do mego łóżka i przytuleni do
siebie, zadowoleni, szczęśliwi,
dziwiliśmy się niezmiernie, że
są szaleńcy, którzy porywają się
na takie zuchwalstwa,
przedkładając trudy, olbrzymie
niebezpieczeństwa ponad spokojny
życie przeciętnego
śmiertelnika... A dzisiaj?
Dzisiaj miliony filistrów,
mieszczuchów, czy hreczkosiejów
czyta w ciepłym łóżku dzienniki,
nie mogąc się nadziwić, ki
diabeł
kazał pięknej Miss Horskowej i
bogatemu dziennikarzowi
Bronsonowi szukać karkołomnych
przygód nad oceanem, zamiast iść
sobie do kina, czy kabaretu,
gdzie żadne niebezpieczeństwa
nie grożą... A dzisiaj Dolly...
ach, znowu musiałem o niej
myśleć.

Zabłysło coś w dole raz,
drugi, trzeci i znowu i znowu w
jednakowych odstępach, lecz
coraz słabiej, coraz
niewyraźniej. To latarnia morska
z Bonavista słała nam ostatnie
pożegnanie na strasznej drodze
przez ocean. Ostatni cypel ziemi
należącej do jednego kontynentu
był poza nami. Płynęliśmy ku
drugiemu poprzez burzliwą noc
wiosenną, nie dbając o wichry
czy śniegi, nie dbając o nic.
Szybowaliśmy już nad ponurym
Atlantykiem... Tym razem
naprawdę ponurym...

O jedenastej piętnaście
wysłałem w przestworza
buńczuczną depeszę:

"Victoria walczy zwycięsko z
burzą śnieżną. Wzbijamy się
ponad chmury. Wszystko w
porządku, Bronson."

Cyfry na podziałce altimetru
były bezbronne wobec powolnej,
lecz ciągłej ofensywy strzałki.
Mijała je jedną po drugiej w
zwycięskim pochodzie, podobnie
jak ciężki, opancerzony czołg
przejeżdża gładko rzędy rowów
strzeleckich: 3200, 3400,
3600... potem szło trochę
wolniej. Nie wiedziałem tylko,
czy podziałka opiewa na stopy,
czy na jardy... Ofensywa
załamała się jednak przy cyfrze:
4000. DAlej, ani rusz. Ilekroć
ją przekroczyła o dwa
milimetry, tyle razy maszyna
wpadała w próżnię, huk
oszałałych ze szczęścia śmigieł
rozsadzał czaszki, lecieliśmy w
przepaść, póki nasze rozżarte
śmigła nie natrafiły na nowe
zastępy lotnego nieprzyjaciela,
póki płaszczyzna skrzydeł nie
siadła mu na powolnym cielsku, a
tymczasem strzałka altimetru
wahała się gdzieś pomiędzy 3600
a 3800 i żmudną pracę trzeba
było od nowa zaczynać...
Syzyfowe trudy.

Najgorsze ze wszystkiego było
dla mnie uczucie osamotnienia.
Kominiarkę musiałem odstąpić
Knockowi, który teraz był w
stałym kontakcie z Haliną.
Radiotelegrafista poszedł w
odstawkę. Ostatnie polecenie,
jakie otrzymałem, brzmiało:
przywiąż się ciasno!... Całą
wartość tego rozkazu zdołałem
ocenić dopiero wówczas, gdy
samolot zaczął tańczyć... Ach,
któżby przypuścił, że poważna,

majestatyczna "Victoria 2"
potrafi wieść takie skoczne
tany. Najczęściej leżałem na
prawym boku, z czego nawet taki
laik w sprawach lotniczych jak
ja, mógł wywnioskować, że mamy
wiatr północny. Wiatr? To
pieszczotliwe określenie. Raczej
wicher, huragan wściekły. Szum,
świst, gwizdy, ryk, huk
silników, łoskot śmigieł, wycie
szalejącego żywiołu, wszystko to
utworzyło piekielną kakofonię,
wobec której głos ludzki był
równie słaby jak pisk myszy w
chwili uderzenia pioruna. A
kiedy jeszcze pomyślałem, jaką
drobiną, jakim atomem jest w
porównaniu do bezmiaru wód,
przewalających się gdzieś tam
pod nami, uczułem się
przeraźliwie bezbronny,
bezsilny, niedołączny i powrotna
fala zniechęcenia zalała mi
serce.

Zadzwonilo coś o szyby
samolotu raz, drugi,
dziesiąty, dwudziesty, a potem
rozpoczęła się prawdziwa
kanonada, jak gdyby stu psotnych
chłopaków bombardowało nas
całymi garściami laskowych
orzeczków. Niezliczone chmary
niewidzialnych pocisków
chłostały nas ze wszystkich
stron, dudniąc po daszku kabiny,
po ścianach, grzechocząc po
szybach okienek...

- Grad? - mruknąłem z bardzo
średnim zainteresowaniem i znów
zapatrzyłem się tępo w kulista
żarówkę, której błękitnawe
światło rozwidniało doskonale
wszelkie zakamarki tylnej
części gondoli, lecz nie było w
stanie przebić mroków burzliwej
nocy i rozpływało się w
odległości może trzech metrów od
okien tak, że tylko część
spodniej płaszczyzny skrzydeł
mogłem dostrzec, a końce ginęły
w ciemnościach... Cóż nas może
jeszcze spotkać, u licha -
monologowałem z szubienicznym
humorem - najpierw była pogoda,

a potem kolejno: deszcz, wiatr,
wicher, śnieg, burza, teraz
jeszcze grad na dodatek;
repertuar bardzo urozmaicony.

Istotnie, na brak urozmaicenia
nie mogliśmy się skarżyć. Chmura
gradowa pożegnała nas o trzy na
dwunastą, za to parę minut
później wpadliśmy w sferę
olbrzymich opadów śnieżnych.
Wydało mi się natomiast, że
natężenie huraganowego wichru
zmałało dość znacząco. Linki nie
zmieniały już tak często tonacji
swego śpiewu, gwizdały bardziej
jednostajnie, a samolot
zaniechał wariackiego kankana,
balansując obecnie w tempie
argentyńskiego tanga, które
urozmaicał sobie coraz rzadziej
swawolnym podskokiem.

Rozpiąłem
rzemienie i stanąwszy za
oparciem fotela Haliny,
pochyliłem się naprzód, aby
spojrzeć na altimetr. Po prostu
z ciekawości...

- Cooo? Tysiąc?! - zdziwiłem
się głośno i nagle straciłem
równowagę. Złośliwy wiatr
uderzył w kadłub płatowca z
flanki raptownym podmuchem tak
mocno i tak niespodzianie, że
odleciałem w bok niczym Bob
Kennedy po moim ciosie, i w
zderzeniu ze ścianką kabiny
nabiłem sobie potężnego guza w
okolicy skroni. Z trudem
dowlokłem się do swego fotela,
całkiem machinalnie pozapinałem
pasy, do tego stopnia szumiało
mi
w głowie... A potem, nie wiem,
co się stało: może zemdlałem,
może zasnąłem tylko. Dość, że
kiedy podniosłem ociężałe
powieki, spotkałem wyraźnie
zaniepokojony wzrok Haliny.
Stała na swoim miejscu odwrócona
twarzą ku mnie, była blada i
patrzyła mi prosto w oczy.
Wyciągnęła rękę z kartką, którą
pochwyciłem co prędzej.
Czytałem:

"Niedobrze! Powłoka lodowa
cięży nam coraz bardziej...
Jeśli się to nie zmieni na
lepsze w ciągu kwadransa,
będziemy musieli wezwać pomocy.
Nie śpij teraz... Bądź w
pogotowiu!!!"

Przesunąłem sobie dłoń po
oczach. Sen? Przebiegłem
wzrokiem krótką treść kartki
jeszcze ze trzy razy, zbierając
myśli z wysiłkiem. Znowu
spojrzałem na Halinę. Wskazała
mi dłonią okienko. Wzdłuż ram
było zamarznęte, lecz środek
szyby, nieco spotniały,
zamazany, był przecież na tyle
przeźroczysty, że mogłem dojrzeć
spód skrzydła aż do samego
końca. I zadrzałem. Na
krawędziach zwisały grube sople
lodowe, jakby wyrosłe z
niesymetrycznego wałka lodu,
który biegł równoległe do
wszystkich kątów skrzydła.
Chwilę później zrobiłem jeszcze
dwa spostrzeżenia: wiatr ucichł
i posępne mroki za okienkiem
zniknęły bez śladu. Tam było
teraz jasno, jak w pogodną,
księżycową noc...

- Co, do diabła! Więc ta
szalona burza śnieżna przyśniła
mi się tylko? - rozmawiałem z
sobą, zbierając rozpierzchnięte
wspomnienia. W głowie dudniło mi
nieustannie, prawdopodobnie na
skutek fatalnego karambolu ze
ścianą kabiny. A może ustawiczny
łoskot silników to sprawił?
Spojrzełem na zegarek. - Wpół do
trzeciej? - zdumiałem się znowu.
Zatem ów wściekły szturm
uspokoił
się w ciągu kilku godzin lub
minęliśmy jego strefę. I byleby
ta przeklęta skorupa śnieżna
odtajała, wszystko będzie
dobrze. Z burzy ani śladu. Ani
chmurki.

Przylgnałem twarzą do okienka,
uniosłem się trochę, aby
spojrzeć niżej. Nowe zdziwienie.
Płynęliśmy na wysokości co
najwyżej trzystu stóp nad
powierzchnią oceanu, skapanego w
seledynowym świetle księżyca.
Nie uspokoił się jeszcze gniewny
Atlantyk po piekielnej awanturze
z wiedźmą, burzą śnieżną.
Niezliczone zmarszczki, głębokie
bruzdy księżyca, jego starcze
czoło. Spienione grzywacze
uginają się we wszystkich
kierunkach, zderzały się z sobą,
walczyły znacząc miejsca
potyczek potężnymi wytryskami.

Wzrok mój popędził dalej. Na
widnokręgu majaczyła jakaś
wielka masa. Łąd? Wyspa?
Nonsens! Wybrzeża Irlandii
ujrzemy jutro po południu, ach,
prawda, północ minęła dawno,
więc ujrzemy ład dzisiaj po
południu, a żadna wyspa nie leży
na naszym kursie. Ruchliwa myśl
szperała tak długo w tomach
wspomnień, aż znalazła. Jakiś
gentleman w monoklu powiedział
Halinie na lotnisku tuż przed
startem, że kapitan "Gripsholmu"
spotkał dużo lodowców po drodze.
Więc to również taki lodowiec,
jak pływająca wyspa, oderwana od
niezmierzonych pól lodowych
Grenlandii, którą północne
wichry aż tutaj zagnały. A
bliżej nieco ujrzałem wiele
podobnych plam, lecz daleko
mniejszych rozmiarami i
niższych. To małe kry lodowe,
nieodzowny orszak olbrzymki
posuwającej się majestatycznie.

Wzrok mój podniósł się wyżej.
Srebrnej bani księżyca nie
mogłem dojrzeć. Musiała wisieć
ponad nami, lub zasłoniło mi ją
skrzydło. Niebo było gładkie,
roziskrzzone miliardem gwiazd.
Chmury - na lekarstwo.
Przesadziłem właściwie, ale czy
trzeba było brać w rachubę taki
maleńki obłoczek, nie większy z
tej odległości od strzępu waty,

który zreumatyzowany piecuch
sobie w ucho wciska z obawy
przed przeciągami? Początkowo
sądziłem nawet, że to plamka na
szybie, tak nieznaczna była owa
chmurka, zawieszona mniej więcej
w połowie malejącej odległości
pomiędzy nami a górą lodową.
Czyż mogłem wówczas przeczuć, że
ten maleńki obłoczek
rozstrzygnie o naszym losie?

Halina podała mi kominiarkę.

- Trzymamy się -
"zatelefonowała" do mnie. Byle
do rana dociągnąć. W słońcu
nasza skorupa lodowa stopnieje
od razu.

- Czy opadamy w dalszym ciągu?
- spytałem.

- Nie, chwała Bogu - brzmiała
odpowiedź, lecz za kilkanaście
sekund posłyszałem w słuchawce
westchnienie - ach, znowu!

- Znowu opadamy? -
zaniepokoiłem się.

- Tak... Czekaj... Oddaj
kominiarkę... Knock coś do mnie
mówi na migi, ale nie rozumiem,
co.

Długo więc nie gawędziliśmy z
sobą tym razem... Nie patrząc na
podziałkę altimetru, czułem, że
powoli, metr za metrem, lecz
stale tracimy wysokość. Dzielne
śmigła, które w piekielnych
młyńcach parowały wszelkie
sztychy, zdradliwe ciosy wichru,
były zupełnie bezsilne wobec
nowego wroga. Ten podstępny
nieprzyjaciel omal nie zwalczył
Lindbergha, największego
bohatera podniebnych szlaków.
Ten przeklęty nieprzyjaciel nas
teraz spychał na dół, ku
rozchybotanym nurtom oceanu, ku
śmierci. Nie atakował otwarcie,
nie czepiał się ani śmigła,
które błyskawicznym obrotem
unicestwiała jego zamiary, ani
silników, bo rozgrzana kapota

zamieniała go w wodę, w parę
wodną i odpędzała precz od
siebie. Lecz za to objął zimnymi
mackami bezbronny kadłub
"Victorii 2", za to oblepił jej
skrzydła śliską powłoką,
lodowatą skorupą, której ciężar
przewyższył dawno wagę spalonej
benzyny i gniótł nas nieznośnym
balastem.

Przysunąłem twarz do okienka.
Najwyżej dwieście stóp dzieliło
nas od pomarszczonej falami toni
oceanu. Gdyby nie ryk
pracujących rozpaczliwie
silników, słyszałbym na pewno
plusk każdego grzywacza. Góra
lodowa zbliżyła się przez ten
czas o połowę drogi, najmniejsze
kry tańczyły już pod nami, a
obłok? Obłok był w tej chwili
wielki jak ręcznik i rósł w
oczach z niesamowitą szybkością.

- Halucynacja? - szepnąłem po
chwili, bowiem owa biała chmurka
rozpadła się nagle na
kilkadziesiąt części, idealnie
jednakowych rozmiarów, a każdy z
tych obłoczków posiadał
kształt... kształt... dziwne,
doprawdy... kształt... ptaka...
Mewy? Albatrosy? Ani jedno, ani
drugie. Mewa mogłaby przy nich
wyglądać jak koliber przy
kaczce... Rozmiarami przerastały
albatrosa podobnie, jak łabędź
gołębia. Zbliżywszy się do
samolotu dość znacznie, wygięły
swą linię w kształt sierpu i w
takim ordynku sunęły ku nam, od
lewego boku i jak gdyby od tyłu.
Musiały szybować bardzo szybko,
skoro odległość między nami
topniała w takim tempie.

Przyszło mi nagle na myśl, że
powinienem zwrócić na nie uwagę
moich towarzyszy podróży. Knock
nie posiadał przed sobą szyby,
okna były tylko z boków, a
kierujący maszyną orientował się
według peryskopu. Prawdopodobnie
nie dostrzegł jeszcze olbrzymich
ptaków, tym bardziej, że
zbliżały się ku nam z boku i od

tyłu. I Halina również mogła ich nie zauważyć.

Nie mając kominiarki z "telefonem" musiałem swoje spostrzeżenia zakomunikować tamtym pisemnie, bowiem wydatne zwiększenie obrotów, łoskot silników idących już prawie pełnym gazem, napełniły kabinę takim hukiem, że Halina nie dosłyszała ani słowa, choćbym jej krzyczał w samo ucho.

Lecz za ledwie napisałem pierwsze słowo, zachrobotało coś na daszku gondoli. Był to szelest bardzo głośny, a przy tym nieprzyjemny, podobnie denerwujący jak zgrzyt klucza w zardzewiałym zamku, lub skrobanie nożem po szkłe. - "Próbują wbić się szponami w oślizgłą blachę" - przemknęło mi przez myśl.

W sekundę później samolot zakołysał się gwałtownie i od tej chwili wypadki potoczyły się z szybkością lawiny, spadającej po stromym zboczu górskim.

"Victoria" stanęła dęba, omal nie zwała się na skrzydło. Cudem wróciła do normalnego położenia, ale chybotąła jeszcze i drżała konwulsyjnie. I znowu z przedziwną jasnością zdałem sobie sprawę, co spowodowało ten rozpaczliwy podskok. Któryś z napastników zaatakował ster wysokościowy lub targnął jego linkami.

Przywarłem nosem do szyby. Tuż koło lewego skrzydła leciał ptak potwornych rozmiarów, za nim drugi, nad nim trzeci, obok czwarty, piąty, dziesiąty. Szybkimi ruchami swych olbrzymich, fantastycznie postrzępionych skrzydeł dopędzały tylną krawędź skrzydła, wysuwały podwinięte, obrośnięte pierzem nogi i rzucały się na kant skrzydła, zatapiając w nim zakrzywione

dzioby i szpony. Inne musiały widocznie atakować skrzydła z góry, wywołując to nieregularne kołysanie się maszyny. Nic dziwnego; każdy z tych olbrzymów ważył na pewno ze sto funtów, lub może więcej.

Nagle bluznęło coś w szybę... Krew! Równocześnie śmignął mi przed oczyma zniekształcony, oderwany łeb ptasi, ścigany przez bezgłowy kadłub i przez fontannę skrwawionych piór, pierza, puchu. Samolot zadygotał, wydało mi się, że skręcił nieco... Znowu zrozumiałem, co zaszło: Jeden z napastników wpadł na nasze lewe śmigło, które go rozniosło w strzępy i cisnęło pod skrzydło. Zabity uderzeniem nie zdołał zapewne dosięgnąć powierzchni oceanu, gdyż natychmiast spadła nań chmara innych skrzydlatych potworów i zakryła go przed moim wzrokiem. Niespodziewany kasek odciągnął je od nas.

Kiedy cofnąłem głowę od okna uderzyło mnie od razu, że łoskot maszyny jest jakiś inny, niezwykle. Halina blada jak trup odwróciła się ku mnie, rzuciła mi kominiarkę, a wzrok jej padł równocześnie na aparat radiotelegraficzny.

- Ralph!... Pękło nam lewe śmigło!... Sygnał...

- Wiem - odparłem krótko i zabrałem się do roboty. Teraz zaczynała się moja rola. Miałem wzywać pomocy. Jedno śmigło pękło, rozleciało się w kawałki. Widziałem przecieź sprawcę tego wypadku. Przyplącił śmiercią swe zuchwalstwo. Tak, zginął rozszarpany, zmiażdżony, ale nasza biedna "Victoria", uginająca się pod ciężarem lodowej skorupy miała teraz tylko dwa śmigła. Dlatego prosta linia jej dotychczasowego lotu wygięła się w łagodny łuk, dlatego cała maszyna pochyliła

się w lewo. Największe, środkowe śmigło nie mogło nastarczyć; masy zgęszczonego powietrza, jakie posyłało równomiernie pod oba skrzydła były zbyt małe, aby utrzymać równowagę samolotu przy takim obciążeniu.

- Prędeż! - przynaglała Halina.

- Już.

Jakoż w tej chwili wysłałem w przestrzeń rozpaczliwy krzyk rozbitków:
"Sos"... I znowu: "Sos Victoria"!

- Spróbuj oznaczyć położenie - rzekłem w tubkę - muszę podać.

Dziwna rzecz. Byłem coraz spokojniejszy. Ani cienia lęku. Nerwy miałem jakby znieczulone. Powtarzając swoje wołanie o ratunek, patrzyłem wciąż w lewe okienko, pochylone obecnie o jakieś dziesięć stopni. Patrzyłem obojętnie na rozhuśtaną toń oceanu, który leżał teraz pod nami o sto stóp zaledwie i obmywał spienionymi grzywaczami niemal prostopadłą ścianę góry lodowej, mknącej ku nam coraz szybciej.

Znów zachrobotąło coś na daszku kabiny, znów uderzona w ogon "Victoria" dała szczupaka i zaczęła balansować. Aha, dopędziły nas. Trup zabitego śmigłem towarzysza był tylko małą przekąską dla skrzydlatych olbrzymów i zaostrzył ich aptetyty.

- Nie rozumiem doprawdy - zachrobotał w słuchawce głos Haliny. Mówiła to zapewne do siebie. Nie rozumiała powodów kołysania się maszyny, skoro nie było wiatru, jak nie rozumiała przyczyny pęknięcia wypróbowanego śmigła. Oto najlepszy dowód, że nie widziała jeszcze nowego nieprzyjaciela,

którego istnienie przeczuł tylko jeden Edgar Scott! Wysyłając w przestworza raz po raz wołanie o ratunek, rozpamiętywałem równocześnie z największym spokojem treść wszystkich listów profesora. Ustępy, których przedtem nie rozumiałem, były teraz dla mnie aż nadto jasne. Zagadki przestały istnieć. Poczciwy Scott nie pisał otwarcie, nie chcąc się ośmieszać. Przecież każdy parsknąłby mu w twarz, gdyby zechciał tłumaczyć, co to są Upiory Atlantyku. Każdy! Ja sam wiałbym się ze śmiechu.

Drapanie w ściany gondoli, stukanie (zapewne dziobami), chrobot ześlizgujących się po duraluminiowej blasze szponów, tańczenie maszyny zdawało się dosięgać zenitu.

- Czyżby nam stery zamarzły i linki, i lotki? - monologowała Halina, zapomniawszy, że połączony z nią dwoma węzami naszego "telefonu" słyszę każde jej słowo.

- Nie, darling - powiedziałem flegmatycznie - cały sęk w tym, iż nie posłuchaliśmy rady Edgara. Śmigło nie pękłoby nigdy i stery nie byłyby unieruchomione, gdybyśmy zabrali z sobą kulomiot.

Odróciła głowę szybko i spojrzała na mnie jakoś dziwnie.

- Myślisz, że zwariowałem, co? - czytałem w jej myślach i dodałem z uśmiechem - ty zdaje się nie wiesz jeszcze, że ściga nas całe stado Upiorów Atlantyku... Wyjrzyj przez okno.

- Ralph!... Na Boga!... Co tobie!... O czym ty mówisz?

- Wyjrzyj przez okno... zoba... - urwałem w pół słowa, bowiemk w tym momencie samolot pochylił się jeszcze bardziej na

lewo i za okienkiem, którego
szybę zbryzgała krew zabitego
śmigłem ptaka, pojawił się łeb
innego Upiora. Wzdrygnąłem się
pomimo całego spokoju ducha,
pomimo zupełnego znieczulenia
nerwów, tak ohydny był to widok:
ogromne niskie czoło, potwornie
wielkie oczodoły z dużymi,
idealnie okrągłymi gałkami
ocznymi, zakrzywiony drapieżnie
dziób, pełno zmarszczek, fałdów
skóry, pokrytej białym pierzem,
na której śnieżnym tle
czerniały tu i ówdzie rubinowe
plamy krwi. I dziób również był
w krwi zboczony, snadź ptak ten
brał udział w niedawnej uczcie
lub walcząc o swoją część łupu z
ciała zabitego towarzysza,
pokieroszował nieźle jakiegoś
współzawodnika. Była to jak
gdyby pomarszczona, zła, starcza
twarz średniowiecznej
czarownicy, wstrętna, odrażająca
morda, której nie można
zapomnieć póki życia, był to
pysk prawdziwego upiora.

Patrzac w okno opisywałem
potwora głośno, rzucając szybko
słowa w mój rożek akustyczny.

- Jezus, Maria! Ralph!... Ty
bredzisz w gorączce! - zabrzmiał
w słuchawce głos Haliny.

- Dlaczego nie chcesz spojrzeć
w okno? - zdenerwowałem się
nagle. - Czemu patrzysz na mnie,
jak na wariata?

- Ralph, darling... och,
Boże... czy wysłałeś sygnał?

- Wciąż go powtarzam... ale
nie zagaduj. Spójrz w okno, ja
proszę, ja chcę tego... żądam! -
wrzasnąłem.

Prawie jednocześnie
zwróciliśmy spojrzenia na
obryzganą krwią szybkę choć,
ściśle biorąc, ja to uczyniłem
wcześniej o sekundę od Haliny.
Potworna sowa, bowiem odkryłem w
upiorze największe podobieństwo

do sowy, otóż śnieżna sowa
łyknęła ku mnie złowrogo żółtymi
ślepiami i zniknęła nagle,
odpłynęła zapewne, lub gotowała
się do nowego ataku, gdyż
odciążony samolot zabalansował
znow gwałtownie.

- Tam przecież nic nie ma -
rzekła Halina - potem dodała z
niezmierną słodyczą w głosie -
darling, oddaj kominiarkę.
Opadamy na morze... Muszę być w
kontakcie z Knockiem.

Już chciałem spełnić jej
życzenie, gdy wtem straszne
podejrzenie zaświtało mi w
głowie: "ona mnie bierze za
obłąkanego".

- Nie! - warknąłem, wpadając w
straszny gniew - nie oddam.
Myślisz, że oszalałem, prawda?
Chciałabyś mnie z Knockiem
związać. Nic z tego. To wy
jesteście ślepi i głusi! -
ryczałem w tubkę, szamocząc się
z pasami, których nie wiem
dlaczego, nie mogłem rozpiąć w
żaden sposób.

Coś się zwaliło na dach
maszyny. Czułem, że straciliśmy
od razu z dwadzieścia stóp
wysokości, jakby pchnięci z góry
potworną siłą.

- Jezus! - krzyknęła Halina.

Patrick Knock podniósł rękę i
wykonał nią jakiś gest, którego
znaczenia nie pojąłem w
pierwszej chwili. Halina
spojrzała na mnie raz jeszcze,
potem pochyliła się.
Podejrzliwie śledziłem każdy jej
ruch, odetchnąłem. To nie o
mnie chodziło. Jej ręka dotknęła
dźwigni wyrzutowej. Pozbywaliśmy
się balstu, aby umożliwić
ładowanie. ładowanie? Chyba
wodowanie. Ale skoro Knock
zdecydował się na odrzucenie
głównego zbiornika benzyny, to
widać zrezygnował definitywnie z
wszelkich ambicji.

Zatrząsk szczęknął
metalicznie. Samolot podskoczył
w górę, uszczęśliwiony, że się
pozbył tony balastu. Oczyma
duszy widziałem wodotrysk, który
musiał wystrzelić z nurtów w tym
miejscu, gdzie spadł olbrzymi
zbiornik. Inne zbiorniki,
wypróżnione, miały odegrać rolę
pływaków. Nasz aeroplan zamieni
się za chwilę w hydro.
Zaimprovizowany hydroplan.

Oho, odezwał się ktoś
przecież. Otrzymałem depeszę:

"Gdzie jesteście. Śpieszymy z
pomocą. Oznaczyć położenie!

Hellig Olav

"Hellig Olav" to jeden z
okrętów
skandynawsko_amerykańskiej
linii. Dobra nasza! Nie pożra
nas Upiory Atlantyku.
"Zatelefonowałem" do Haliny czym
prędzej:

- Miałaś oznaczyć położenie.
Jestem w kontakcie z okrętem
"Hellig Olav". Spójrz na szybę.
Znowu przyszedł jeden.

Nawet nie odwróciła głowy. Dwa
silniki "Victorii" (trzeci
milczał od chwili strzaskania
lewego śmigła) zaczęły szybko
zwalniać obroty, wreszcie
ucichły. Tylko rozpędzone śmigła
warczały jeszcze. Samolot drżał
jak chory w febrze. Wstrząsał
się, dygotał napastowany
ustawicznie przez rozzuchwalone
ptaszyska. Traciliśmy szybkość i
wysokość, opadaliśmy ku...

- Cooo? Więc jednak będziemy

ładowali? - zdziwiłem się
zbliżywszy twarz do szyby. Pod
nami leżała olbrzymia wyspa
lodowa, najeżona iglicami,
spiętrzonymi blokami lodu. -
Oszalał ten Patrick? Tutaj chce
ładować? Marmolada z nas będzie
za chwilę ku wielkiej radości
upiorów - monologowałem i nagle
wybuchnąłem śmiechem. Wyrażenie:
marmolada, wydało się
nieskończenie komicznym.

- Klęknij na fotelu. Przywiąż
się jak najmocniej!

- Dobrze, doskonale... zwykła
formalność przy przymusowym
ładowaniu - odparłem z humorem -
ale marmolada i tak z nas
będzie...

Zwały lodu, pagórki, iglice
przerzedzały się szybko. W
odległości jakichś dwustu stóp
zaczynała się płaszczyzna gładka
jak stół, lśniąca w zielonkawo
srebrnym świetle księżyca... no,
słowem idealne lotnisko. Tylko
za krótkie nieco jak dla takiego
olbrzymia. Nasza
"Victoria" potrzebuje dużo
miejsca.

Chrobot, drapanie, stukanie
doszły do maksimum. Po
zamilknięciu silników słychać
już było nawet szelest skrzydeł,
ocierających się piórami o
zewnątrzne ściany gondoli. Ach,
miałem takie wspaniałe pióro
niegdyś. Kupiłem je od starego
Indianina w Yosemite National
Park. Jakże on się nazywał? Aha,
Uwah! A więc mrukliwy, małomówny
Uwah był drugim, który poza
Edgarem Scottem wiedział coś
niecoś o Upiorach Atlantyku...
Zaraz, zaraz, był jeszcze ktoś
trzeci, obdarzony bajeczną
wprost intuicją, który również o
nich napomknął. Prawda! Mafalda
Martini zawołała przed śmiercią:
"Strzeżcie się białych upiorów!"
To był podobno jej ostatni
okrzyk. Tak przynajmniej
twierdziła pielęgniarka, Miss

Bixby. Pamięć miałem tak wyostrzoną w owej pamiętnej chwili, że stawały mi przed oczyma najdrobniejsze szczególiki, zapomniane przed laty... Więc może zginiemy za chwilę? Podobno przed śmiercią widzi człowiek całe swoje minione życie. Zatem śmierć! Owszem, lepiej nawet. Wolę nic nie czuć w chwili, gdy potworne sowy zatopią w moim ciele swe szpony.

Ślizgowym lotem opadaliśmy szybko ku pędzącej w naszą stronę lodowej równinie. Upiory Atlantyku nie atakowały maszyny już tak zawzięcie jak przedtem. Były pewne swego zwycięstwa. Przylepiony do szyby liczyłem je wzrokiem i wydało mi się, że ich wciąż przybywa.

- Baczność! - krzyknęła Halina.

Samolot płynął ponad uciekającą pod nas powierzchnią równiny na wysokości najwyższej piętnastu stóp. Za moment omarzniete koła podwozia dotkną lodu. Pneumatyki pękną oczywiście, byle tylko koła wytrzymały.

Wreszcie!... Pierwszy lekki wstrząs... Koła nie wytrzymały... Mały ułamek sekundy zapadaliśmy się w dalszym ciągu, potem drugi wstrząs silniejszy, tak silny, że kilka szyb pękło z metalicznym dźwiękiem. Ciężka skrzynia kadłuba "Victorii" pozbawiona kół leciała po gładkim lodzie jak łyżwa, która oderwie się od trzewika rozpędzonego łyżwiarza. Wydało mi się nagle, że dach kabiny wyprzedza w tym oszalałym pędzie podłogę, że prostokąty ścian, okien, nawet zatrzaśniętych drzwiczek chyła się powoli i stają się rombami, lecz to przelotne spostrzeżenie zeszło na drugi plan wobec

innego brzemiennego w
następstwa. Oto wyrosła nagle
przed nami potężna bryła lodu...
nie bryła, to za słabe
określenie... ale prawdziwa
skała, blok potężny! Pędził ku
nam z oszalamiającą
szybkością... Wpiłem się palcami
w oparcie fotela, przymknałem
powieki odruchowo...

- Trrrrach!

Wyczułem jeszcze, że tył
kadłuba wzbija się w górę, a z
nim razem mój fotel, ujrzałem
gdzieś nisko głowę Haliny,
jeszcze niżej Knocka, ujrzałem
tuż przed nosem sufit kabiny,
spadający mi na głowę. Jeszcze
jeden wściekły wstrząs, tępy,
krótki ból, a potem przeogromna
cisza spowiła wszystko gęstym,
miękkim jak puch muślinem.

XVI

Kiedy otworzyłem oczy był
biały
dzień. Oślepiająca jaśń wlewała
się złotymi kaskadami poprzez
rozbite, pokrzywione okna mej
celi. Celi? Ta duża, biała
skrzynia nie wyglądała na celę.
Wzrok mój dopomagał gorliwie
rozleniwionym myślom, które
chłószczący bat ciekawości
wyrwał gwałtem z apatycznej
drzemki. Wzrok mój pełzał po
spaczonych, pokrzywionych
ściankach "celi", po wygiętym,
wtłoczonym suficie, odpoczął na
błękitnej żarówce, po czym
wędrował dalej, budząc
niewyraźne wspomnienia;
zatrzymał się dłużej na oparciu
fotela. Tam powinna być czyjaś
głowa. Tak, na pewno.
Przyzwyczailem się już na tyle

do jej widoku, że brak jej uderzył mnie od razu. Zaspane myśli jęły wertować powoli, skrupulatnie grube foliały wspomnień.

- Halina! - przypomniałem sobie wreszcie.

Słaby jęk odpowiedział mojemu okrzykowi. Szarpnąłem się w sobie, chciałem powstać, biec, szukać, śpieszyć z pomocą, lecz jakiś potężny magnes przykuwał mnie do oparcia mojego fotela... Ach, rzemień... Dolny pękł, dzięki czemu w chwili uderzenia samolotu o skałę lodową wyrznąłem głową w sufit, lecz drugi pas przetrzymał katastrofę; obluźnił się co prawda, ale nie puścił. Rozpiąłem go drżącymi rękami i powstałem. Usiadłem jednak natychmiast z powrotem. Skutkiem tylogodzinnego klęczenia na fotelu, nogi ścierpły mi nieludzko, a poza tym w głowie miałem całą kuźnię. Po długiej chwili podniosłem się znowu. Tamten fotel był dużo niżej od mojego, podłoga stała ukośnie. Niemal stoczyłem się po niej, nie mogąc jeszcze utrzymać równowagi. Pozbierałem się jakoś rażniej tym razem, podniosłem głowę ponad wysokie oparcie i wydałem okrzyk radości. Halina leżała zwinięta w kłębek, twarzą miała białą jak płótno, skrzywioną trochę w grymasie cierpienia fizycznego, lecz oczy jej patrzyły całkiem przytomnie i zaszły łzami szczęścia na mój widok.

- Bogu dzięki - wyszeptała. Tak się lękałam o ciebie, Ralph drogi.

Dwie godziny później siedzieliśmy oboje na bryle lodu, robiąc bilans naszej wyprawy. Bilans był smutny, lecz mógł być znacznie smutniejszy i to była nasza jedyna pociecha. Mogliśmy przecież zginać jak

biedny Patrick Knock, który
niefortunne lądowanie przypłacił
śmiercią. Wyglądał strasznie.
Zmiażdżona twarz była jedna,
olbrzymią raną aż po brodę
włącznie; klatkę piersiową miał
zgniecioną, nogi połamane.

- Nie męczył się biedak
przynajmniej - pocieszałem
Halinę, oplakującą rzewnie zgon
swego mistrza i wiernego
towarzysza.

- Ale dlaczego, w jaki sposób
- powtarzała przez łyzy - ty,
poza zewnętrznymi kontuzjami nie
doznałeś żadnego, poważniejszego
obrażenia, ja tylko nogę
zwichnęłam, a on... Patrick - tu
łkanie zagłuszyło dalsze słowa.

- Dlatego po prostu, że
przywiązał się tylko jednym
rzemieniem, który w dodatku
puścił - odparłem.

Z wielkim trudem wywlokłem
zwłoki z kabiny, zataszczyłem je
na drugi koniec gładkiej
płaszczyzny i nakryłem je tam
okazałym kopcem brył lodu.
Powracając do "obozu" natknąłem
się na miejsce, gdzie "Victoria"
dotknęła po raz pierwszy
zmarzniętej równiny w czasie
nieszczęśliwego lądowania.
Wskazała mi je mała wyrwa i
zaczynająca się od niej prosta
jak strzelił droga, której
końcem był wielki blok lodu,
gdzie nasz dumny samolot
ukończył swą podróż. Tysiączne
rysy, jak gdyby ślady masowego
biegu łyżwiarzy znaczyły ostatni
szlak "Victorii 2". Tędy biegła
nabytym jeszcze w powietrzu
rozpędem, ślizgając się jak
łyżwa po gładkim zwierciadle
lodu.

Z boku, w odległości
kilkudziesięciu stóp leżało
oderwane koło z pękniętym
pneumatykiem. Podniosłem je
ostrożnie, nie chcąc dotknąć
palcami czarnych plam krwi. Były

one dla mnie jakby relikwią.
Trzymałem w rękach prawe koło
naszego podwozia, prawe koło,
które uderzyło Dolly. Była to
więc krew mojej żony. Zniosłem
to koło, zatoczyłem je
właściwie, gdyż było za
ciężkie... do grobu Patricka i
tuż obok jego mogiły wznisłem
drugą piramidę z głazów i brył
lodowych.

Kiedy powróciłem do samolotu,
zataczając się na nogach jak
pijany, słońce kładło się na
nocny spoczynek.

- Niepokoiłam się strasznie.
Nie było cię tak długo -
powitała mnie Halina łagodnym
wyrzutem. Zziębłam też trochę -
żałowała się, klaszcząc w dłonie
dla rozgrzewki.

Biedaczka nie mogła ujść kroku
o własnych siłach i upierała się
przedtem, by pogrzeb Knocka
odłożyć do jutra, kiedy będzie
mogła chodzić "jak zawsze". Nie
zgodziłem się oczywiście,
wiedząc dobrze, że nazajutrz nie
tylko nie będzie mogła chodzić
jak zawsze, ale że przeciwnie,
będzie znacznie gorzej, a kto
wie, czy nie przyjdzie jeszcze
gorączka. Jakoż twarzyczka jej
była gorąca, kiedy dotknąłem jej
dłonią, zaś zimno, na które się
skarżyła to były po prostu
dreszcze; miała lekką febrę.

Dobre pół godziny trwało nasze
windowanie się do wnętrza
kabiny, gdzie zamierzaliśmy
spędzić noc. Drzwiczki
znajdowały się obecnie na
wysokości czterech stóp nad
ziemią. Dla Haliny była to
przeszkoda nie do przebycia.
Wychodząc po południu z gondoli
spłynęła po prostu w moje
ramiona, ale teraz poszło
znacznie gorzej. Musiałem z
wybranych odłamów lodu
sfabrykować nader prymitywne
schody i nakryć je futrem
Knocka, gdyż nogi się nam

ślizgały na gładkich stopniach.
Lecz w końcu znaleźliśmy się
wewnątrz gondoli.

Przy wieczornym posiłku
obliczyłem nasze zapasy. Było
ich dość dużo i tak wielkich
stosunkowo zapasów nie miał z
pewnością żaden z
dotychczasowych zwycięzców, ani
żadna z dotychczasowych ofiar
przelotu nad oceanem. Tę
szczęśliwą okoliczność
zawdzięczaliśmy wyłącznie
Knockowi, który lubił jeść dużo
i martwić się naprzód, że
niektórych przysmaków nie
dostanie w Paryżu, zaopatrzył
się od razu i na powrotną
podróż. Na dwie osoby powinno
nam było tego wystarczyć na
osiem do dziewięciu dni, jak
obliczyłem. Gorzej przedstawiała
się sprawa z napojami. Mieliśmy
w termosach jeszcze litr kawy,
tyleż herbaty i napoczętą przez
Patricka butelkę koniaku. Za to
posiadaliśmy nieprzebrane zapasy
słodkiej wody w warstwie śniegu,
zmięcionej wczorajszą wicherą na
wielką zaspę u stóp lodowej
bariery.

- Pięknie. Nie umrzemy z
głodu, ani z pragnienia -
odparła Halina, kiedy jej
złożyłem szczegółowe
sprawozdanie - byle tylko pomoc
przez ten czas nadeszła. - Co z
naszym radiem?

- Zupełna klapa. Aparat
poważnie uszkodzony, a co gorsza
antena poszła. Zapomniałem ją
wciągnąć przed lądowaniem.

- Ale posiadamy rakiety, ognie
bengalskie itd. Musimy się jutro
zabrać energicznie do roboty.

- Tak, Halino, tylko pozwól
sobie powiedzieć, że jeśli jakiś
statek ma spostrzec nasze
sygnały, to musimy się wspiać na
szczyty tych potwornych zwałów
lodowych, które naszą kotlinkę
ze wszystkich stron otaczają. Tu

nas nikt nie zobaczy. Tam trzeba się wywindować.

- Więc wywindujemy się zaraz rano.

Nie chciałem jej martwić, zatem nic na to nie odparłem, ale nie wierzyłem ani trochę, aby ona mogła jutro, czy nawet za kilka dni wziąć udział w karkołomnej wyprawie na oślizgłe lodowe pagórki. To dla mnie była robota niemała, a co dopiero dla niej. Chwilami przychodziło mi na myśl, że kontuzja jej nogi nie jest tylko zwyczajnym zwichnięciem. Kostka opuchła silnie do wieczora tak, że musiałem rozciąć trzewik scyzorykiem, aby go zdjąć bezboleśnie. "Może nadwerżyła ścięgna, może kość pękła", niepokoiłem się w duchu i odpędzałem te myśli czym prędzej, drętwiejąc z przerażenia, bowiem umysł rozgorączkowany, oszołomiony strasznymi przejściami ostatniej doby wyolbrzymiał na poczekaniu konsekwencje tego wypadku: "Bez pomocy lekarskiej nastąpi gangrena. Ona mi umrze tutaj, a ja będę patrzył na jej męki wyjąc w bezsilnej rozpacz. I sam pozostanę". Ta na wskroś egoistyczna pobudka przerażała mnie nie gorzej od innych. Ach, oszalałbym pozostawiony choćby na jeden dzień samotnie w tej martwej głuszy, w tej cmentarnej ciszy, co w uszach dzwoniła i przygnębiała nieludzko po dniu wczorajszym, spędzonym na słuchaniu piekielnego koncertu silników, śmigieł, gwizdów linek, poświstów huraganowego wichru.

Zapadała noc. Umieściłem Halinę na swoim foteliku, otuliłem ją w dwa futra, w jej i moje własne, a sam ubrany w futrzany płaszcz Knocka usiadłem na pochyłej podłodze u jej stóp, oparłszy głowę na kolanie jej zdrowej nogi. Dłonie, którymi

głaskała mnie po twarzy były
bardzo gorące. Nie chciała
wciągnąć rękawiczek, twierdząc,
że jest jej aż za ciepło. Miała
oczywiście gorączkę.
Gawędziliśmy, debatowaliśmy,
układaliśmy plany na jutro i na
dalsze dni na wypadek, gdyby nas
w ciągu jutrzejszego dnia nie
dojrzał jakiś statek. Była
najlepszej myśli, wierzyła w
nasze ocalenie, wprost
przerażała mnie swoim
 optymizmem. Wreszcie westchnęła
melancholijnie.

- I pomyśleć, że teraz
lecielibyśmy już nad Francją,
gdyby nie to przeklęte omarzenie
maszyny...

- Tak, tak - kiwałem głową
zgodliwie, gdy nagle wstrząsnęło
mną jedno wspomnienie. Ach, jak
mogłem w ogóle o tym zapomnieć i
nie poruszyć tego tematu przez
dzień cały. - I ty sądzisz,
kochanie - zacząłem bardzo
łagodnie i ostrożnie, aby jej
zbyt nie przerażać - ty
sądzisz, że jedyną przyczyną
naszej katastrofy była skorupa
lodowa?

Zadrżała. Drgnęły jej kolana,
a dłonie muskające moją twarz
cofnęły się odruchowo. Ująłem je
delikatnie w swoje ręce.

- Więc nie zapomniałaś o
Upiorach Atlantyku - ciągnąłem
dalej - tylko nie chcesz o nich
mówić. Boisz się.

- Darling - wyszeptała -
boję się jedynie o ciebie. Tak
mnie przeraziłeś wczoraj swym
wyglądem... tymi słowami bez...
sensu. Dzisiaj nie wspominałeś o
tym ani razu. Myślałam...

- Pozwól, że dokończę zdania -
wtrąciłem domyślnie - myślałaś,
że wstrząs nerwowy przeminał, że
jestem normalnym człowiekiem, a
teraz, widzisz z przestrawieniem,
że znów gadam od rzeczy. Czy

tak?

Milczeniem dała mi odpowiedź
twierdząca.

- Halino, kochanie moje
najdroższe - mówiłem ze smutkiem
- czy ja wyglądam na szaleńca?
Czy tak się zachowuje człowiek
obłąkany?... A widzisz. Nie
wierzysz w istnienie Upiorów
Atlantyku, ponieważ zajęta wraz
z Knockiem prowadzeniem maszyny
nie dostrzegłaś ich jakoś. I ja
w nie nie wierzyłem aż do
wczorajszej nocy, choć Edgar
Scott pisał tyl...

- Scott?... Ten poważny
profesor uniwersytetu miałby...

- Czy nie pokazywałem ci jego
listu - przerwałem ja z kolei -
doradzał nam wziąć kulomiot, ale
ty i Knock wyśmieliście tę radę.
I nazwa "Upiory Atlantyku" od
niego pochodzi. On takim mianem
ochrzcił te potwornie wielkie
ptaki, co rozmiarami przerastają
strusia.

- Nie, nie - broniła się
rozpaczliwie - przecież gdyby to
była prawda co mówisz, to owe
upiory nie porzuciłyby swego
łupu. Pół dnia spędziliśmy poza
kabiną. Naturalnie - ucieszyła
się znalezieniem nowego
argumentu... - Darling, ty nie
kłamiesz nigdy, prawda?

- Nigdy.

- Więc powiedz, czy chowając
Knocka, lub w czasie drogi
widziałeś chociażby jednego
ptaka... choćby piórko jedno.

- Nie widziałem, ale zaraz ci
wytłumaczę dlaczego. To są ptaki
nocne... Sowy... Edgar wymieniał
w którymś liście ich nazwę.
Jeśli mnie pamięć nie myli
brzmiała: nyctea nyctea, czy coś
w tym rodzaju. W dzień siedzą
ukryte w lodowcach, lecz gdy noc
nastanie...

- Boże - zadygotała... -
Drzwi!... Drzwi się ruszyły!

- To wiatr... Ale dobrze, żeś mi przypomniała. Musimy się zabezpieczyć przed niepożądaną wizytą.

Skutkiem przesunięcia się ścian kabiny, drzwiczki nie domykały się szczelnie i na wszelki wypadek przywiązałem ich klamkę rzemieniem do jakiejś dźwigni. Potem usiadłem znowu u stóp Haliny i powoli, systematycznie opowiedziałem jej wszystko, co mi było wiadomym o Upiorach Atlantyku. Nie pominąłem żadnego szczegółu, ani znalezienia olbrzymiego pióra Uwaha, ani enigmatycznych zdań Edgara Scotta, tam, na pokładzie "Majestica", po powrocie motorówki, która znalazła zakrwawiony ułamek śmigła samolotu Waltera Ashleya, ani jego listów, ani nawet okrzyku Mafaldy Martini. W końcu opisałem jej najdokładniej przebieg wczorajszego spotkania z białymi sowami, kładąc największy nacisk na tę okoliczność, że ani ona, ani Knock, jako zajęci prowadzeniem obciążonego lodem samolotu, nie mieli tyle co ja sposobności wyglądać przez okienka kabiny i widzieć upiorów.

Nie wtrąciła ani jednego słowa w czasie mego opowiadania. Czy uwierzyła wreszcie? Kiedy ja o to zagadnąłem, potaknęła. Może nieszczerze, może nie chciała mnie drażnić i liczyła na to, że dzisiejsza noc przekona mnie najlepiej, iż Upiory Atlantyku to tylko wytwór mej wyobraźni.

A noc zapowiadała się piękna. Zimne światło księżyca sączyło się do wnętrza kabiny przez popękane szyby, przez wybite okienka, nawet przez szparę przywiązanych drzwiczek, zaś podmuchy słabego wiatru były

wręcz ciepłe. - "Jutro lód
zacznie tajać", mruknąłem i
kłopotząc się w duchu, jakie
stąd wynikną następstwa dla nas,
zasnąłem z głową na kolanach
Haliny.

Zbudziło mnie lekkie
szarpnięcie.

- Co? - spytałem, podnosząc
oczy. Halina patrzyła uporczywie
w okienko. Nie odwróciła główki,
tylko ścisnęła mi dłoń bardzo
silnie.

- Słyszysz? - wyszeptała,
gniotąc mi palce rozpalonymi
dłońmi... - O, teraz znowu...
Słyszałeś? Jakby szum skrzydeł!

Potaknąłem ruchem głowy.
Rzeczywiście coś zaszumiało na
zewnątrz kabiny, jakby tuż za
drzwiami. Duży cień śmignął za
oknem i przepadł.

- Widziałeś? - zaszczękała
zębami.

- Tak... Upiory Atlantyku
wróciły. A nie wierzyłaś.

- Wierzę!... Wierzę, Ralph...
i boję się, drzę cała.

Przytuliła się do mnie
kurczowo i złączeni uściskiem
rąk wsłuchiwalismy się z biciem
serc w niesamowite odgłosy,
poszumy, szmery dobiegające nas
ze wszystkich stron. Olbrzymie
sowy dreptały po dachu kabiny,
opukiwały ściany, stukwały nawet
w podłogę, korzystając z
pozycji, w jakiej zastygł
samolot po niedoszłym kapotażu.
Jak odmierzyłem za dnia ogon
"Victorii" był tak wysoko
zadarty w górę, że stery
wznosiły się przeszło dwa metry
ponad poziom równiny. Było więc
pod spodem dość miejsca nawet
dla tak wielkich ptaków. Ale
pukanie w podłogę było niczym w
porównaniu z epizodem, jaki się
wydarzył punktualnie o godzinie

drugiej. Zdawałem sobie tak doskonale sprawę z tego, co zaszło, jak gdybym na to z zewnątrz patrzył własnymi oczami. Jakiś patriarcha z rodu wielkich sów wylądował gdzieś koło sterów, nie przypuszczając, że to "lotnisko" jest tak zdradziecko gładkie. Poślizgnął się też natychmiast i bijąc z przestrachu skrzydłami, zsuwał się po dachu, spychał swoim ciężarem inne siedzące tam ptaki i cała zgraja przesunęła się nad naszymi głowami piszcząc, krzycząc, drapiąc rozpaczliwie pazurami obmarzłą powierzchnię daszku. To przeklęte chrobotanie, drapanie, szuranie po śliskiej blasze rozstroiło nam nerwy do reszty. Halina łkała spazmatycznie, wczepiając we mnie palce jak człowiek tonący. A ja, który wczoraj patrzyłem z zadziwiającym spokojem na uporczywe ataki tych potworów, drżałem teraz, dzwoniłem zębami i tęskniłem za ciszą śmierci, która mi się przedtem tak bardzo dała we znaki. Ooo, wołałem ją obecnie po stokroć, niż te niesamowite przerażające szmery. Wolałbym, żeby upiory rozpoczęły otwartą walkę, żeby się któryś z nich ukazał w całej swej ohydzie.

I wywołałem wilka z lasu!

- Patrick!

Wzdrygnąłem się, takim głosem zawołała to imię.

- Patrick przyszedł... Stoi... tam... spójrz - krzyknęła powtórnie i ukryła twarz na moich piersiach.

- Majaczysz, dziecinko - wyjąkałem, gładząc jej włosy. - Patrick Knock nie żyje, więc nie mógł przyjść tutaj... Podnieś główkę...

- Nie, nie... On tam stoi za szybą.

- Ależ napraw... - głos
uwiązał mi w krtani... Spoza
szyby patrzyły na nas żółte,
drapieżne ślepia. Gruby,
haczykowany dziób wsunął się do
połowy w otwór rozbitej szyby.
Równocześnie z brzękiem
wyleciała szyba drugiego
okienka, a drzwi zafalowały
gwałtownie. Upiory Atlantyku
rozpoczęły decydujący atak.
Halina podniosła głowę.
Rozszerzonymi od śmiertelnej
trwogi oczami patrzyła prosto w
ślepią sowy, którą najpierw
spozstrzegłem. Patrzyła
nieruchomo, jak zahipnotyzowana.
Ramiona jej przestały mnie
obejmować, opadły na kolana,
przywracając mi pewną swobodę
ruchów.

- Przyszły - powtórzyła to
słowo kilka razy coraz
wyraźniej, coraz głośniejsze i
spokojniej - przyszły po swój
łup!

Wydało mi się, że ona chce
powstać i iść naprzeciw
potworom. Może opętała ją myśl,
że dalsze ukrywanie się w głębi
kabiny jest bezcelowe, że
ostatnia godzina wybiła
nieuchronnie. Wówczas dopiero
zbudziła się we mnie rozpaczliwa
chęć obrony, walki z groźnymi
napastnikami. Dla niej, dla
Haliny! O sobie nie pomyślałem
nawet. Za to sama myśl, że
upiorne wampiry będą się pastwić
nad moją najdroższą dziewczyną,
jeśli zaraz, natychmiast nie
przemówią czyny, zamroczyła mi
mózg, ścisnęła żelaznymi
kleszczami serce i zalała je
falą wściekłości na mą
dotychczasową bierność. Szybkim,
błyskawicznym ruchem wsunąłem
prawą dłoń w kieszeń futra,
odsunąłem kciukiem bezpiecznik,
wyrwałem gotową do strzału broń
i targnąłem cynglem.

Huk wystrzału szarpnął naszymi
nerwami, lecz tylko na moment. W

rzeczywistości przyniósł im
błogosławione odprężenie i za
jednym zamachem wyjaśnił
sytuację. Ohydny łeb za oknem
zniknął bez śladu. Jeszcze
posłyszałem szum skrzydeł
spłoszonych detonacją ptaków, a
potem zapanowała upragniona
cisza, której nic nie zamąciło
do świtu. Odwróciłem głowę ku
Halinie. Leżała w fotelu ze
zwieszoną główką, nie dając
żadnej odpowiedzi na moje
pytania. Kiedy dotknąłem jej
ramienia, osunęła się bezwładnie
w moje ramiona... Zemdląła.

Jak słusznie przewidywałem,
nazajutrz było z nią gorzej.
Nawet o opuszczeniu kabiny nie
mogło być mowy. Gorączkowała w
dodatku od rana. Toteż serce mi
się krajało boleśnie, kiedy ją
opuszczałem, wyruszając w drogę
ku morzu. A jednak musiałem
odejść. Nie mogliśmy tu pozostać
ani dnia dłużej ponad
ośmiodniowy okres, na jaki były
obliczone zapasy żywności, zaś
stan zdrowia Haliny nakazywał
skrócić go jeszcze. Odchodząc
wręczyłem jej swój rewolwer,
ucałowałem ją serdecznie,
podparłem drzwi z zewnątrz bryłą
lodu i ruszyłem przed siebie,
niosąc z sobą kilka rakiet oraz
listwę oderwaną od daszku, na
której zamierzałem zatknąć naszą
flagę.

Po blisko dwugodzinnej
wędrowce stanąłem u celu. Głupie
czterysta jardów szedłem dwie
godziny. Żółw zaszedłby prędzej,
oczywiście prostą drogą. Ale ja
na niektóre pagórki darłem się
po dziesięć razy i dziesięć razy
zjeżdżałem w dół na plecach,
częśćniej na brzuchu, czasem
głową naprzód. Toteż drżałem z
wyczerpania i wszystkie kości
mnie bolały, kiedy stanąłem
wreszcie na szczycie lodowej
skały. O sto stóp poniżej pieniał
się ocean. Jeden nieostrożny
krok równał się śmierci, bo
żaden akrobata nie wywindowałby

się z tamtej strony na górę, nie mówiąc już o tym, że nie wygramoliłby się z wody na śliską wyspę. I kiedy o tym pomyślałem, uczułem zimny pot na skroniach. Mniejsza o mnie. Nie męczyłbym się długo w wodzie, obciążony balastem futra i ubrania. Ale co poczęłaby Halina beze mnie?

Z zachowaniem największych ostrożności umocowałem naszą flagę na szczycie. Koniec listwy wetknąłem w jakąś szczelinę, a sam drąg popodpierałem ze wszystkich stron bryłami lodu. Rakiety nie zapaliłem ani jednej. To nie miało najmniejszego sensu. Widnokrag był gładki, och, przekłęcie gładki. Ani śladu dymu. Pozostałem na tym posterunku blisko trzy godziny i nic. Pozostawiłem u stóp flagi dwie race, pozostałe zabrałem z sobą i rozpocząłem odwórt. Tym razem poszło lepiej. Nie dlatego co prawda, że bym nabył wprawy, tylko częściej zjeżdżałem na grzbiecie i nie było już potrzeby pisać się z powrotem. Oszczędziwszy w ten sposób prawie całą godzinę, poszedłem odwiedzić mogiłę Patricka. I doznałem wstrząsu. Bryły lodowe były porozrzucane w małym promieniu, a ciało naszego nieszczęśliwego towarzysza znikło. Znikło bez śladu! Ani strzęp ubrania nie pozostał, ani plamka krwi. Kopiec usypany nad kołem samolotu także nieco ucierpiał, lecz nie w tym stopniu. Podniosłem więc zwalone okruchy, zaciągnąłem największy głaz, jaki byłem w stanie unieść i wywindować go na szczyt kopca, ruszyłem w stronę samolotu. Postanowiłem sobie, że słowem nie pisnę przed Haliną o strasznym odkryciu. Nie, nie. Trzeba ją oszczędzić. Och, że bym jej mógł tę noc również oszczędzić. Upiory Atlantyku powrócą niewątpliwie. Nie wyrzekną się

tak prędko swej zdobyczy. - "Ale mam rewolwer!" - warknąłem zaciskając pięści.

Musiałem nieco nadrobić drogi, gdyż skutkiem całodziennego ciepła środek naszego przymusowego lotniska zmienił się w płyciuteński staw. Głębokość tego jeziora wynosiła miejscami pół stopy, miejscami stopę, a poprzez cienką warstwę wody znaczyły się tu i ówdzie długie rysy; lodowate dno pękało już, zapowiadając szybkie rozpadanie się pływającej wyspy, a groziło nam nowym strasznym niebezpieczeństwem. Bowiem następstwem takiego podziału jest przesunięcie się środka ciężkości każdej nowo powstałej wysepki, skutkiem czego jej zanurzone części mogą się znaleźć na wierzchu i na odwrót.

Stroskany wielce tym odkryciem nie zauważyłem w pierwszej chwili, że "Victoria" zmieniła trochę swą pozycję. Jej ogon, zadarty przedtem wysoko w górę opadł teraz i samolot stał obecnie w położeniu niemal horyzontalnym. Ta zmiana była również wynikiem szybkiego tajania lodów. Wał korbowy środkowego śmigła, który w chwili fatalnego zderzenia wbił się w ścianę lodową, zdołał sobie wyrzeźbić w miękniejącym lodzie bruzdę, ustępując pod naciskiej siły ciężkości zawieszzonego w powietrzu kadłuba, która przy tej dźwigni odegrała rolę ludzkiej ręki. Było to okolicznością dla nas pomyślną, gdyż dotychczasowe poruszanie się, a zwłaszcza spanie przy tak pochyłym położeniu kabiny dało się nam dobrze we znaki.

Halina spała, kiedy wszedłem do gondoli. Odniosłem wrażenie, że gorączka spada. Około godziny dziewiątej posililiśmy się, po czym zabarykadowałem drzwi, aby się zabezpieczyć przed inwazją

krwiożerczych ptaków, nie wąpiąc, że przyjdą znowu. I przyszły, przyszły złowrogie Upiory Atlantyku, ale nauczone snadź wczorajszym doświadczeniem nie zaglądały już do okien. Zadowolili się opukiwaniem ścian kabiny, lądowaniem i promenadą na daszku. Kiedy wypaliłem raz na postrach odleciały i mieliśmy spokój do rana.

Dwie następne doby były bardzo do tamtych dwóch podobne. Niewiele się zmieniło w międzyczasie, tylko obwód jeziorka przysunął się na pięćdziesiąt stóp do samolotu, tylko nasze zapasy skurczyły się zastraszająco, tak, że musiałem raczej zmniejszyć o połowę, tylko woda z topniejących coraz gwałtowniej lodów potworzyła całą sieć strug, maleńkich strumyczków, które uchodziły bądź to do naszego jeziorka, bądź to wprost do morza przez liczne szczeliny w polu lodowym. Zresztą wszystko szło "po staremu". Każdego poranka wyruszałem na brzeg wyspy i cały dzień wypatrywałem tęsknie konturów statku... oczywiście na próżno. Olbrzymie sowy odwiedzały nas dokładnie o tej samej godzinie, lecz po wystrzale uciekały spłoszone, po czym spaliśmy już spokojnie przez resztę nocy. Tak, noclegi się poprawiły, co prawda głównie dzięki temu, że wyrzuciłem z kabiny mój fotel i bezużyteczny obecnie radiotelegraf, a uzyskana w ten sposób przestrzeń na podłodze grała rolę łóżka. O, to łóżko okryte futrem Knocka było szczytem komfortu w porównaniu z niewygodnymi fotelami. Ano, do wszystkiego można się przyzwyczać.

Piątej nocy przyszło mi na myśl, aby przeliczyć ładunki. Z przestrachem stwierdziłem, że posiadam ich zaledwie pięć. Postanowiłem więc zrezygnować ze

strzelania na postrach, ale łatwiej to było postanowić niż wykonać. Przeklęte sowy ośmielone ciszą napastowały ściany kabiny coraz zuchwalej. Halina, której zdrowie polepszyło się znacznie, upierała się początkowo, że tajemnicze odgłosy wywołuje pęknięcie skorupy lodowej na duraluminiowej blasze samolotu, lecz w końcu dała się przekonać. Wówczas zrodziła się we mnie myśl, aby raz wreszcie rozproszyć jej wątpliwości. Cichuteńko podszedłem do rozbitego okienka, upatrzyłem sobie największego ptaka, który stał tuż za drzwiami, wymierzyłem dokładnie w okrągłe oko i szarpnąłem cyngiel. Potworna sowa zwaliła się jak kłoda, inne zerwały się do odlotu. Chciałem wybiec z kabiny, lecz Halina sprzeciwiła się temu stanowczo. Odebrała mi rewolwer, zmusiła abym się natychmiast obok niej położył i niebawem zasnąłem w jej ramionach ukołyszany pieśszczotą gorących pocałunków i słów dobrych, ciepłych, serdecznych.

Rano przypomniałem sobie od razu to zajście i rzuciłem się ku drzwiom, aby pokazać Halinie moje trofea myśliwskie.

- Co się stało? - krzyknęła z kabiny, posłyszawszy moje przekleństwa. Nic dziwnego, że kłamię na czym świat stoi. Sowa zniknęła.

- Inne ptaki ją pożarły - przypuszczałem.

- No, ale pióra chyba zostały?

- Gdzie tam!... Ani śladu...

- Hm, hm, Nawet pióra.

Zabolał mnie ton niedowierzania w jej głosie.

- Nie ma się czemu dziwić -

odparłem - po prostu porwały
zabita towarzyszkę i uniosły w
bezpieczniejsze miejsce, gdzie
dopiero nastąpiła uczta. Ślady
krwi świadczą najlepiej o
celności mego strzału, a kilka
piór także się znajdzie w
najbliższej okolicy. Poszukam...

- Pozostaw to mnie darling.
Dzisiaj spróbuję trochę
rozprostować nogę. Ty masz
ważniejsze zadanie. Nie wypędzam
cię, kochanie, wolałabym po
stokroć, abyś był przy mnie,
ale... to niemożliwe niestety.
Muszę tu pozostać sama w tej
głuszy, a ty musisz iść na swój
posterunek. Od tego zależy nasze
ocalenie.

- Czy swoje pół porcji
zabrałeś? - spytała mnie w
kwadrans później, kiedy żegnała
się ze mną w drzwiach kabiny.

- Tak - skłamałem, po czym
odwróciłem się szybko. Ach, od
trzech dni jadałem tylko raz
dziennie, aby oszczędzić zapasy.
Osłabłem wskutek tego znacznie i
wędrówka ku szczytowi, gdzie
powiewała nasza flaga, trwała
obecnie niespełna trzy godziny.

Później niż zwykle wróciłem i
bardziej zgnębiony niż zwykle.
Całodzienne czatowanie na statek
było znowu daremne. Rozweselił
mnie nieco widok Haliny, która
wyszła mi naprzeciw. Kulała
jeszcze, zmizerniała na
twarzyczce skutkiem tych
wszystkich przejść, lecz oczy
jej śmiały się jak za dawnych,
dobrych czasów.

- Zrobiłam wielkie odkrycie -
powitała mnie - ale nie próbuj
mnie teraz ciągnąć za język.
Później ci sama powiem.

Wobec tego nie nalegałem.
Jakież zresztą ona mogła zrobić
odkrycie w tych warunkach?
Zapewne znalazła jeszcze trochę
zapasów w jakimś zakamarku.

Jedno takie "odkrycie"
zrobiliśmy
już kiedyś. Było to pół
kurczęcia, które Patrick Knock
nie zdążył skosztować.

- Czy wiesz, darling, że
dzisiaj miał się odbyć nasz
ślub? Wczoraj powinniśmy byli
zawitać z powrotem do Nowego
Jorku, a dziś... - zaczęła,
kiedy ułożyliśmy się na futrze
Knocka.

- Po co to mówisz. Po co mi
przypominasz, że dzień
dzisiejszy miał być dniem
radości, wesela, triumfu.

- A czy nim być nie może? Nie
myślę o triumfach. Przelot nam
się nie powiódł, ponieśliśmy
porażkę, ale skoro dzisiaj
miałaś mnie poślubić, nie
powinniśmy tego terminu odkładać
- ciągnęła dalej i wyłuszczyła
mi szczegółowo myśl, jaka się
zrodziła w jej głowie w czasie
długich godzin oczekiwania na
mój powrót - bo czego przede
wszystkim potrzeba do zawarcia
małżeństwa - reasumowała -
zgodnej woli obu stron.
Przeszkód żadnych nie ma, ty
jesteś wolny obecnie, a Bóg,
który jest wszędzie, posłysz
naszą przysięgę złożoną tutaj,
na tej pływającej wyspie
lodowej, tak samo, jak gdybyśmy
ją składali w kościele, czy u
pastora, czy w urzędzie stanu
cywilnego. Czy nie mam racji?

- Więc ty byś chciała
naprawdę? - zawołałem wzruszony.

- Tak, Ralph - odparła bardzo
poważnie - jeśli Bóg pozwoli nam
się ocalić, powtórzmy naszą
przysięgę wobec ludzi, jeśli
nie, zginiemy razem i razem
odejdziemy w wieczność... jako
mąż i żona. Co tu związane,
pozostanie związane i w niebie,
że zmienię trochę słowa
ewangelisty.

I wzięliśmy ślub tego
wieczora. Ołtarzem był nam blok
lodu, sąsiadujący z tym, na
którym rozbiła się "Victoria".
Rękojeścią klucza francuskiego
wryłem na nim znak krzyża.
Klęcząc przed nim na rozesłanym
futrze wymawialiśmy słowa
uświęcone tyłowiekową tradycją,
słowa formułki ślubnej.
Granatowa kopuła niebios
stanowiła sklepienie olbrzymiego
kościółka, gwiazdy grały rolę
świec, a srebrzysta poświata
wiecznej lampy księżycy zalewała
niezmierzoną nawę przybytku
przyrody mlecznoseledynową
jaśnią. Ach, żaden monarcha,
żaden miliarder nie miał tylu
świateł na swoim ślubie, co my,
para biednych rozbitków
zabłąkanych na groźnym oceanie.
Orkiestra zrywającego się wiatru
grała marsz weselny przy
akompaniamencie poważnych
organów morza. Grała go na
postrzępionych szczytach zwałów
lodowych, na strzelistych
iglicach, kryształowych soplach
zwisających ze skrzydeł
rozbitego samolotu... Jednego
tylko brakło: świadków, orszaku,
rzesz gapiów, ciekawskich, bez
których się w innych warunkach
nie obejdzie.

Nastrój był bardzo poważny.
Halina wypowiedziała swoje
ślubowanie głosem drżącym
leciuteńko ze wzruszenia, lecz
uroczystym, głośno, powoli,
dobitnie. Potem przyszła kolej
na mnie. Zacząłem równie powoli,
z jednakowym wzruszeniem, a
jeśli dalsze słowa wyrzekłem z
nerwowym pośpiechem, to tylko
dlatego, że przypomniałem sobie
upiory. Zmartwiałem wprost z
przerażenia na myśl, że lada
chwila może tu stanąć korowód
tych krwiożerczych wampirów, ten
przeklęty orszak skrzydlatych
czarownic o żółtych
fosforyzujących ślepiach...
"Orszak weselny"! Wszakże to
była noc i godzina ich
codziennych odwiedzin zbliżała

się szybko... Brrrr!

- Zimno ci, kochanie? -
spytała
moja małżonka troskliwie,
podnosząc się z klęczek.

- Nie, Halino... Wzdrygnąłem
się tylko, bo... bo... - Nie
miałem serca powiedzieć jej w
takiej chwili, dlaczego się
wzdrygnąłem...

Objąłem ją, zaprowadziłem do
naszego "mieszkania",
przywiązałem klamkę drzwi do
dźwigni jak zazwyczaj, po czym
ułożyliśmy się na twardym łożu
podłogi pokrytej tylko futrem.
To było nasze łożo małżeńskie.

- Ucałuj mnie, mężu. Wszak to
nasza noc poślubna - powiedziała
niby żartobliwie, ale w głosie
jej drgał smutek. Nic dziwnego.
Nic dziwnego także, że oczy jej
były pełne łez, kiedy je
dotknąłem ustami. Inaczej sobie
biedaczka wyobrażała tę noc w
snach dziewczęcych.

- Więc odłóżmy sobie do
lepszyc czasaw tę noc i podróż
poślubną - zmusiłem się do
uśmiechu, chcąc ją rozweselić.

- Nie, nie - oświadczyła
stanowczo - to tylko ze
wzruszenia. Patrz, już nie
płaczę - podniosła się na
łokciu, nadstawiając swą słodką,
cudną twarzyczkę pod zimny tusz
księżycowego światła, którego
biały, trójkątny strumień
wdzierał się do kabiny przez nie
zasłonięte skrzydłem samolotu
okienko. Potem dodała bez cienia
wstydlivosti i z pośpiechem
zastanawiającym u kobiety, tak
niezmysłowej, jak ona. - Ja
pragnę ci się oddać teraz,
teraz, Ralph najdroższy.

Tej nocy Upiory Atlantyku nie
przyszły pod kabinę i w ogóle
nie dały znaku życia.

Zbudziły mnie szalone
pocałunki, które mi oddech wręcz
zapierały.

- Mój pan małżonek jest
brzydkim śpiochem -
zaszczebiotał mi nad uchem
dźwięczny głosik Haliny - pora
się zebrać, mój panie. Dzisiaj
ostatni raz sam jeszcze
wyruszysz. Od jutra będziemy
chodzili razem na brzeg wyspy.

I znów długi pocałunek spłynął
na moje usta, nie dopuszczając
mnie do głosu. Poddałem się
chętnie jej pieszczotom, ale
myśl już pracowała energicznie,
wiązać ogniwa luźnych wspomnień.

- Czy wiesz, darling -
przemówiłem, kiedy zmęczona,
zarumieniona odsunęła się pod
ścianę - czy wiesz, że
dzisiejszej nocy... one nie
przyszły? Nie słyszałem
przynajmniej. Zasnąłem tak
twardo.

Przymrużyła figlarnie śliczne
oczęta.

- Nie przyszły i nie przyjdą
więcej - odparła - a wiesz
dlaczego? Oto dlatego po prostu,
że Upiory Atlantyku urodziły się
i mieszkały tutaj, w tej
kochanej główce - tu
wyciągniętym palcem dotknęła
lekko mego czoła i dodała szybko
- mieszkały, ale już się
wyprowadziły na zawsze. To jest
właśnie owo wielkie odkrycie, o
którym mówiłam wczoraj.

- No, pozwól - zachnąłem się
urażony - innymi słowy chcesz
przez to powiedzieć, że ja mam
małego bzika, że to wszystko...

- Ale bardzo maleńkiego -
przerwała mi, odmierzając na
palcu wielkość mej rzekomej
id~ee fixe. Żartowała jeszcze,
lecz w oczach jej zamigotały
skry wyraźnego niepokoju. - Nie
mówmy już o tym, kochanie. To

cię niepotrzebnie denerwuje.
Widzisz - ciągnęła dalej szybko,
lękając się, że jej nie pozwolę
dokończyć - tej nocy, co to
miałam silną gorączkę, pod
wpływem twego opowiadania
uległam halucynacji i zdawało mi
się także, że widzę łeb dużej
sowy stojącej za oknem.

- A szmery, szum skrzydeł,
chrobotanie, drapanie w ściany
kabiny, to co? - wtraciłem
zirytowany.

- To było po prostu, kochany
Ralph, to było pęknięcie skorupy
lodowej, zaś wycie wiatru
braliśmy za szum skrzydeł i tak
dalej. Dlaczego nie znalazłeś
zastrzelonej sowy? Bo jej po
prostu nigdy tam nie było.
Stworzyła ją twoja wyobraźnia,
twój mózg wstrząśnięty
katastrofą samolotu. Wczoraj
przeszukałam całą okolicę
samolotu. Ani piórka!

- Proszę - ironizowałem -
śladów krwi również pewnie nie
dostrzegłaś, co? Możemy wyjść z
samolotu. Pokażę ci bryłę lodu,
która stanowiła część schodów w
czasie, kiedy kadłub maszyny
stał jeszcze pochyło.

- Widziałam - odparła ciszej -
ale to jest krew biednego
Patricka. Kiedy go wynosiłeś,
rany się otworzyły i... och,
patrzałam przecież - zasłoniła
sobie twarz dłońmi.

- Dobrze, że mi przypomniałaś
Knocka - uciieszyłem się - ja
cię oszczędzałem, ja ci nie
mówiłem o moim odkryciu. Dowiedz
się więc, że ciało naszego
towarzysza zniknęło bez śladu,
choć przywaliłem je najcięższymi
bryłami lodu - tu opowiedziałem
jej szczegółowo tę historię.

I znowu nie uwierzyła, znowu
zaczęła mnie przekonywać z
uporem osoby chorej. Powiedziała
mi wręcz, że musiałem się

omylić, że nie pamiętam, gdzie pochowałem tamtego, że zaszedłem w inne miejsce, o co nietrudno na takiej wyspie lodowej... Tu już się wyczerpała moja cierpliwość:

- Na wszystko znajdziesz odpowiedź - krzyknąłem, zrywając się na równe nogi - ale ja cię przekonam! Słuchaj: obok grobu Patryka jest druga mogiła. Pochowałem w niej prawe koło naszego samolotu. Śmieszne, prawda? Pęknięte koło i mogiła! Ale to koło jest zbryzgane krwią. Zobaczysz, pójdziesz ze mną, zobaczysz na własne oczy. Jest zbroczone krwią Dolly... Dolly! - podniosłem głos - ukrywałem prawdę przed tobą. Ta kobieta, którą zmiążdżyły koła startującej maszyny, to była Dolly.

- Jezus!... - zawołała przejmującym głosem.

- Tak, Halino... Żeby cię uspokoić, powiedziałem wtedy, że owej kobiecie nic się nie stało, że dźwignęła się na nogi o własnej mocy. Kłamstwo! Leżała rozkrzyżowana, ludzie pochylali się nad nią. Widziałem z góry wszystko... Mało tego. Przejąłem depeszę, w której jakiś reporter donosił swemu pismu, że Dorothy Bronson jest umierająca. "Rodzina czuwa przy łożu", tak kończył swój telegram. Widzisz, drobiazgi pamiętam Pamiętam każdy szczegół, jak ten chociażby, że pół roku temu przeszło, Dolly widziała w proroczym śnie naszą obecną katastrofę i ostrzegała mnie przed tobą... "Ona ci śmierć przyniesie" mówiła. Wtedy to mówiła, kiedy mnie się ani nie śniło, że cię spotkam jeszcze w życiu, że dam się namówić na tę wariacką podróż. I dlatego Dolly przyszła do mnie na pięć dni przed odlotem z Curtisfield, błagając, abym pozostał. Zaklinała mnie na wszystko, na

nasze dziecko, które nosiła w łonie i które razem z nią zginęło. I dlatego właśnie rzuciła się pod samolot, sądząc, że mnie wstrzyma w ten sposób... Nie dziw się tedy, że koło, które zbryzgała jej krew, pochowałem w osobnej mogile - dokończyłem spokojniejszym głosem.

Milczała. Słuchała w milczeniu z falującą pierśią, z oczyma rozszerzonymi nieprawdopodobnie szeroko, z rozchylonymi ustami.

Odsapnąłem. Ulżyło mi na sercu. Spojrzałem na zegarek i stwierdziwszy z niezadowoleniem, że zbliża się ósma, że tyle czasu straciłem na rozmowę, zamiast tkwić na swym posterunku, porwałem czapkę, wcisnąłem ją na uszy i zwróciłem się ku wyjściu. Od drzwi spojrzałem na nią raz jeszcze. Chciałem się z nią pożegnać, ale rozżalony jej niedowiarstwem, jej posądeniami, czekałem od niej pierwszego słowa... Czekałem dość długo, lecz nic. Ani wargami nie poruszyła. Patrzała na mnie tylko jakoś dziwnie.

- Żegnaj, Halino. Wrócę zapewne później. Chcę dzisiaj spróbować szczęścia po drugiej stronie wyspy - przemogłem się, by wbrew zadraśniętej ambicji przemówić pierwszy. - Nie oddalaj się zbyt od samolotu i pod wieczór zamknij się w kabinie, bo ja w istnienie upiorów wierzę! - dodałem z naciskiem.

Myślałem, że teraz się przynajmniej odezwie. Znowu nic. Znowu nadaremnie przeczekałem całą minutę. Tylko patrzała na mnie szklanym wzrokiem. Oburzony taką obojętnością trzasnąłem drzwiczkami i ruszyłem w drogę szybko, aby odrobić stracony czas.

Druga część wyspy była "górzystą" (jeśli można użyć tego określenia), w porównaniu z naszą "niziną". Olbrzymie zwały lodu piętrzyły się przede mną i nadeszło południe, kiedy wreszcie stanąłem u kresu wędrówki potłuczony, obolały, niemożliwie posiniaczony. Posuwałem się szczytem wysokiego grzbietu, wysyłając tęskne spojrzenia na skraj widnokręgu, czystego jak zawsze. Ocean pieniał się na jakieś sześćdziesiąt jardów przede mną, obmywając łagodnie z tej strony zbocze lodowca. Korzystając z dość gładkiej drogi szedłem niezmiernie naprzód, wiedząc, że w ten sposób obejdę całą tę część pływającej wyspy i na wieczór stanę w pobliżu naszej równiny, o ile oczywiście nie zagrodzą mi drogi zwały brył lodowych, rozpadliny, iglice czy inne przeszkody w tym stylu.

I około trzeciej godziny wyrosła przede mną nieprzebyta przeszkoda. Początkowo sądziłem, że jest nią tylko ta potężna bariera spiętrzonych gładów lodu, wznosząca się na dobre sto jardów ponad poziom grzbietu, którego szczytem wędrowałem dotychczas. Lecz podszedłszy bliżej przekonałem się, że równoległe do niej biegnie z tej strony głęboki jar. Jego ściany były tak strome, tak obnażone ze śniegu i oślizgłe, że najzręczniejszy góral nie sforsowałby tej podwójnej przeszkody, a co dopiero ja, dziecko dolin, syn wielkiego miasta, w dodatku wygłodzony, osłabiony, ślaniający się na nogach. Już to, że zdołałem się wdrzeć tutaj przy pomocy prymitywnej laski, było prawdziwym cudem. Pozostało mi więc do wyboru: cofnąć się, rozpocząć odwrót lub spróbować obejść niemożliwe do przebycia miejsce. Wybrałem to drugie po krótkim namyśle. Posuwałem się

teraz południowo_zachodnim
brzegiem wąwozu w kierunku
środką wyspy. Od czasu do czasu
kładłem się na krawędzi, aby się
rozejrzeć w położeniu i poszukać
wzrokiem, czy nie ma gdzieś w
pobliżu miejsca, które
umożliwiłoby mi opuszczenie się
na dno jaru. Wreszcie, a było to
o trzy kwadransy na czwartą,
dostrzegłem opodal masę dużych
brył lodu leżących na moim
zboczu i przymarzniętych
zapewne. - "Tamtędy zejść, jedna
przeszkoda będzie pokonana, ale
co z drugą? Czy nie lepiej
zawrócić?" - myślałem,
spoglądając z rozpaczą na
przeciwległą ścianę wąwozu
gładką, niemal prostopadłą, a
tak wysoką, że cień jej padł aż
na tę stronę. - "Skoro tyle
czasu już straciłem, nie będę
się cofał" - zdecydowałem i
ruszyłem śmiało ku owym głazom
na zboczu.

Było to jedno z
niewielu miejsc na naszej
wyspie, gdzie śnieg utrzymał się
do tej pory pomimo kilku
ciepłych dni. Miał to do
zawdzięczenia cieniowi rzuconemu
przez olbrzymią górę lodową,
która go przez większą część
dnia zasłaniała przed
morderczymi promieniami słońca.
Przyzwyczajony do ostrożnego
stąpania po lodzie, obolały
skutkiem częstych upadków,
cieszyłem się już naprzód, że
teraz będę szedł jak po kobiercu
i niewiele trapiłem się myślą,
iż znowu sobie nogi przemoczę.
Lecz zaledwie uszedłem kilka
kroków, zaledwie dotarłem do
najwyżej na zboczu położonego
bloku, stanąłem jak wryty. Na
białym tle widniały dwa odciski
olbrzymich łap ptasich. Ich
palce musiały być złączone
błonami i musiały posiadać
potworne pazury. Z głębokości
śladów mogłem wnioskować o
ciężarze i rozmiarach ptaka,
który w tym miejscu snadź
odpoczywał chwilę przed dalszym

lotem.

- A Halina twierdzi, że Upiory Atlantyku urodziły się w mej wyobraźni - pomyślałem i fala urazy, żalu do mej słodkiej małżonki zalała mi znowu serce goryczą. - Przyprowadzę ją tutaj jutro - obiecywałem sobie.

Ostry, przenikliwy krzyk rozdarł w strzepy grobową ciszę. Odwróciłem głowę szybko i skamieniałem z przerażenia. W połowie wysokości prostopadłej ściany wąwozu poruszyło się coś. Biegła tam (mniej więcej równoległe do dna jaru) galeryjka, a na niej stał szereg dość symetrycznych brył, słupów, powiedziałbym stalagmitów, gdyby nie to, że stalagmity zwężają się w szpic ku górze. Z tej odległości wyglądało to tak, jak gdyby ktoś na kryształowej półce poustawiał cały rząd obdartych z papieru głów cukru. I nagle wszystkie te "głowy cukru" zaczęły się ruszać, nadymać, przysuwać ku sobie i oddalać się znowu. Ten niesamowity kadryl martwych na pozór przedmiotów trwał może pół minuty, potem stojąca na skraju para zepchnięta przez następną, spadła z galeryjki.

- Upiory! - wyszeptałem zbielałymi wargami, widząc, że zlatującym na dno jaru "głowom cukru" wyrosły nagle skrzydła. Dwa olbrzymie ptaki wznosiły się w górę szybkim lotem. Rosły mi w oczach. Z początku miały rozmiary mewy, później bociana, później małego strusia, aż w końcu rozrosły się nieprawdopodobnie i ze złowrogim poszumem postrzępionych skrzydeł szybowały przez rozsłonecznione powietrze, kołując ponad wąwozem.

Przylepiony do wielkiego bloku lodu wsłuchiwałem się w oszalały rytm swego serca i żegnałem się w myśli z Haliną. Nie wątpiłem

ani chwili, że wybiła moja
ostatnia godzina. Jeśli w
pierwszym momencie łudziłem się
jeszcze, że te nocne ptaszyska
oślepi blask słońca i powrócą
czyż prędeż do swej
zaciemnionej kryjówki, to ich
zwinne ewolucje, błyskawiczne
zwroty, zręczne wymijanie iglic
przeciwległej góry lodowej,
pozbawiły mnie rychło tej
szczypty nadziei. One widziały w
dzień równie dobrze jak w nocy,
zatem byłem zgubiony
nieuchronnie. Najbardziej
krótkowzroczny ptak musiałby
dostrzec z góry czarną plamę
mego futra na białym tle śniegu.
O obronie, o walce nie było co
marzyć. Rewolwer pozostawiłem
Halinie i jedyną moją broń
stanowił drażek z przymocowanym
na końcu hakiem, który wbiłem
tam, aby sobie ułatwić wędrówkę
po śliskich szlakach lodowych.

- Teraz - wyszeptalem, kiedy
nade mną zabrzmiał powtórnie ów
przenikliwy krzyk. Lawina śniegu
runęła z wysoko zawieszanej
galeryjki, kiedy całe stado
wzbiło się naraz w powietrze.
Nie kryłem się więcej, nie
rozplaszczalem się na ścianie
mojego bloku. To było obecnie
nonsensem. Przeciwnie, oparłem
się o nią plecami, pochwyciłem
kij w obie ręce i
zdeterminowany, gotów na
wszystko czekałem napadu. Nie
mogłem wprost pojąć, dlaczego te
krwiożercze sowy, które z takim
zuchwalstwem atakowały ryczący
hukiem silników samolot, wahają
się jeszcze. Widać nawykły do
nocnych łowów wyłącznie lub
może...

- Co to? - krzyknąłem głośno.

Cała wyspa drgnęła w posadach.
Czułem, że lód pode mną podnosi
się w górę powoli, lecz stale.
Ogłuszający huk zburzył do
fundamentów gmach długotrwałej
ciszy. Spoza zakrętu wypadły
spienione jęzory wody i gnały

dnem jaru pod górę, pożerając
łapczywie mały potoczek, który
zrodziła odwilż, aby śnieżne i
lodowe roztopy do morza odnosił.
Potem ukazała się ściana wody,
wysoka na dobre pięć jardów.
Rycząc z uciechy, upojona łatwym
zwycięstwem, waliła w
triumfalnym pochodzie ku
środkowi wyspy całą szerokością
wąwozu.

Lecz napadnięta znienacka
wyspa nie poddała się oceanowi.
Ze szczytów przeciwległej ściany
runęły potworne bloki, głazy,
bryły, runęły z góry na zastępy
morza. Zakotłowało się w jarze.
Olbrzymie wodotryski znaczyły
miejsca upadku celnych pocisków.
Wierzchołek góry lodowej,
naprzeciw której stałem
oniemiały ze zgrozy i z podziwu,
złamał się, zjechał
błyskawicznie po niemal pionowym
zboczu, zerwał swym ciężarem
galeryjkę upiorów i razem z nią
spadł do moich stóp tworząc
potężną barierę. Broniąca się
wyspa wznosiła pośpiesznie
barykady. Późno, bo późno, lecz
główne masy wód zostały
powstrzymane w swym pochodzie.
Co najwyżej przednie straże
mogły dotrzeć do serca wyspy, a
szumiąca rzeka poprzegradzana
zwałami lodu utworzyła teraz
szereg podłużnych stawków.

Pięć minut później nastąpiło
zawieszenie broni. Czy na długo?
W każdym razie na najbliższą
noc. Słońce, psotny figlarz i
sprawca tego kataklizmu śmiało
się złotym śmiechem swych
blasków; na dzisiaj dość już
było mu zabawy.

A Upiory Atlantyku krażyły
jeszcze jakiś czas ponad zalanym
wąwozem, wzbijając się coraz
wyżej i wyżej, aż stały się
maleńkim obłoczkiem, białą
chmurką nie większą od strzępu
waty. Potem przystanęły, zawisły
nieruchomo, jak gdyby się
naradzały, co począć dalej.

Wreszcie ruszyły z miejsca,
zaczęły płynąć ku północy.
Podniebnym szlakiem żeglowały ku
swej dalekiej ojczyźnie,
osądziwszy snadź, że pływająca
wyspa spychana wciąż na południe
przestała być bezpiecznym
schroniskiem. A może wypatrzyły
nową zdobycz? MOże dojrzały w
oddali czarny punkcik? Wszak w
tydzień po nas miały wyruszyć
dwa kanadyjskie samoloty w
podróż poprzez tajemniczy
Atlantyk. Lub może dostrzegły
rozbitków?

- Halina! - przemknęło mi
przez myśl.

Zdrętwiałem, opadłem
bezwładnie na śnieg. Widmo
śmiertelnego przestachu osnuło
mi duszę zimnymi mackami. Nasze
"lotnisko" nieszczęsne, nasza
równina poznaczona mozaiką
szczelin, kres, pęknięć była
najniższym punktem wyspy. Jeśli
woda tam dotarła, to samolot...

- Nie! - wrzasnąłem dziko,
odpędzając przeklętą myśl.

Zerwałem się na nogi.
Wyruszyłem w drogę. Pocięta na
małe, lecz głębokie stawki
struga wody oraz nieprzebyte
zwały lodu nie pozwoliły mi iść
na przełaj ku środkowi wyspy.
Musiałem obrać jedyną drogę jaka
pozostała, tę samą, którą tutaj
przyszedłem.

- Osiem godzin marszu -
jęczałem.

Tak, osiem godzin. Powinienem
więc stanąć na miejscu o
północy, jeśli siły dopiszą. A
zapas sił kurczył się
przeraźliwie szybko. Ale
szedłem, wciąż szedłem.
Potykałem się, ślizgałem,
upadałem. Niekiedy zjeżdżałem na
plecach, często myliłem drogę,
zawracałem przeklinając swój
brak pamięci, lecz ciągle
jeszcze szedłem.

O szóstej stanąłem nad
brzegiem morza. Dopiero o
szóstej. Zaszło tu wiele zmian
przez ten czas. Dawne,
wewnętrzne zbocze stało się
obecnie grzbietem nadbrzeżnego
wzniesienia, dawny grzbiet
zniknął pod wodą. Cała wyspa
pochyliła się w południową
stronę pod kątem dobrych
trzydziestu stopni.

- W takim razie - myślałem
głośno - w takim razie nasza
równina podniosła się o kilkaset
stóp w górę.

Odetchnąłem z ulgą i zwolniłem
kroku. Halina była ocalona...
jeśli moje rozumowanie było
słuszne.

- Naturalnie, że słuszne -
dodawałem sobie odwagi - co
więcej: sytuacja "Victorii" jest
wyjaśniona.

Miałem tu na myśli
niebezpieczeństwo zagrażające
nam ze strony jeziora
powstałego z roztopów. Jego wody
zbliżały się powoli, lecz
nieustannie w stronę samolotu,
grożąc w najbliższej przyszłości
zalewem. Teraz, skutkiem
przechylenia się pływającej
wyspy w kierunku południowym,
wody naszego jeziora musiały
odpłynąć. Prawdopodobnie zalały
dawną mogiłę Patricka oraz
kopiec, jaki wzniosłem ponad
prawym kołem samolotu. To było
bardzo możliwe, lecz nasze
"mieszkanie" ocalało. Widmo
powodzi odleciało od biednej
"Victorii 2".

- Oby na zawsze - westchnąłem,
przerywając krótki wypoczynek. I
znów szedłem, szedłem wytrwale,
bohatersko z wzrokiem utkwionym
w zorzę wieczorną, której różowy
wachlarz wystrzelał z morza. Tam
leżał mój kraj, moja ojczyzna.
Słońce nad nią jeszcze świeciło
o tej porze. A tutaj już

zapadała noc. Zwierciadło
słońca, blady, zimny księżyc
wschodził poza moimi plecami,
więc cień mój szedł stale przede
mną.

Około godziny dziewiątej
usiadłem, aby trochę odpocząć. I
oparłszy się plecami o gład lodu
uległem natychmiast potrzebie
snu. Wiedziałem, że zasnę, ale
byłem zupełnie bezbronny wobec
tej konieczności. Na próżno
nacierałem sobie oczy śniegiem,
na próżno prężyłem myśli, aby
zmusić komórki nerwowe do
intensywnej pracy, aby tylko nie
zasnąć. Spróbowałem wstać i to
się również nie powiodło, bowiem
zapas sił wyczerpał się
całkowicie. Skapitulowałem w
końcu. - "Zdrzemnę się najwyżej
pół godzinki, sen mnie pokrzepi,
inaczej nie zaszedłbym do
samolotu" - zdołałem jeszcze
pomyśleć i parę sekund później
spałem już jak zabity.

Sen miałem piękny,
najpiękniejszy w życiu. Obok
wyspy lodowej przepływał wielki
statek. Nie, nie przepływał,
lecz stał zakotwiczony. Mnóstwo
pasażerów czekało przy burtach
na powrót motorowej szalupy,
która pędziła w stronę okrętu
pełnym gazem. Na tylnej
ławeczce, tuż obok sternika
siedzieliśmy oboje, Halina i
ja. Trzymaliśmy się za ręce.
Patrzałem w nią jak w tęczę, a
jej oczy były wzniesione ku
niebu, jej wargi poruszały się
szybko, szepcząc gorące słowa
dziękczynnej modlitwy za cudowne
ocalenie... A potem, przybiliśmy
do statku. Orkiestra zagrała
jakiegoś marsza, z ust
wszystkich pasażerów wyrwał się
zgodny okrzyk radości i wśród
niesłychanej wrzawy
wstępowaliśmy po zwisających
schodkach na pokład. Halina
zachwiała się i nagle z łkaniem
osunęła się w moje ramiona. -
"Jesteśmy ocaleni, darling.
Jesteśmy ocaleni" - powtarzała

przez łyzy. Wówczas napięte
struny moich nerwów pękły.
Wybuchnąłem niemęskim szlochem,
nie wstydząc się, że płaczę w
obecności tylu, tylu świadków. I
nikt się nie śmiał. Wszystkie
twarze były poważne, skupione,
uroczyste. Nasz wygląd, nasze
oczy zapadłe powiedziały im
wszystkim, ileśmy przecierpieli
w czasie kilkudniowego pobytu na
ruchomej wyspie lodowej. A w
kabinie radiotelegrafu
rozbrzmiewał już duet iskiernika
i przetwornicy. Poprzez fale
eteru biegła w świat radosna
nowina o ocaleniu załogi
"Victorii 2".

Zbudziłem się zziębnięty do
kości. Długi czas nie otwierałem
oczu, lękając się, że zamiast
cudnego mirażu ujrzę pusty
bezmiar wód i skały lodowe i
śniegi w zdradzieckich
szczelinach. Dokoła panowała
cisza, ale przecież tamci
wszyscy milczeli, szanując nasze
łyzy i sami wzruszeni
beźmiernie... Więc może przecież
jestem na statku?

Dręcząca niepewność zmusiła
mnie do podniesienia ołowianych
powiek. Przetarłem oczy. Sen,
nie sen? Przed moimi oczami
defilował olbrzymi okręt. Długie
rzędy światełek z okien kabin,
salonów, potwierdzały jego
obecność. Lekki podmuch
południowego wiatru niósł na
swych jedwabistych skrzydłach
echa znanej melodii. Tango. Z
trzech kominów buchały kłęby
dymu, zlewając się w jedną,
długą, bezkresną zda się wstęgę.
Na szczytach masztów płonęły
latarki. Zerwałem się
gwałtownie, straciłem równowagę
i runąłem na twarz,
poślizgnąwszy się na gładkim
lodzie. Ręce mi drżały, że długa
chwile nie mogłem zapalić
rakiety... Wreszcie! Wijąca się
wstęga wystrzeliła ku niebu,
zatoczyła łagodny łuk i pękła z
hukiem; snop iskier trysnął w

górze, każda iskierka rozděła się w kolorowy balonik, który opadał zwiewnie, lekko na morze i gasł zanim dosięgnął zimnej toni.

Nic... Żadnego efektu... Okręt płynął dalej, mijał właśnie wyspę.

Druga raca nie wybuchnęła wcale. Zmokła zapewne lub była diabła warta. Pudełko zapalek wypadło mi z ręki i zjechało po śliskim zboczu w jakiś lej, nie głęboki wprawdzie, ale zasypyany na dnie śniegiem. Zacząłem ryczeć nieludzko. Omal nie wgniotłem przeklętego pudełka w śnieg, zsuwając się po zboczu na łeb na szyję. Nie tracąc czasu na mozolne gramolenie się z dołu, wystzelilem stamtąd dwie następne race. Pozostała mi tylko jeszcze jedna. Reszta była w kabinie "Victorii". Zacząłem się wspinać z powrotem. Zjechałem nazad trzy razy, złamałem sobie paznokieć, nabiłem porządnego guza na czole, lecz darłem się zawzięcie, nieustraszenie. Wreszcie stanąłem tam, gdzie śniłem ów sen cudowny.

- Przekleństwo! - zawyłem, łkając w bezsilnym gniewie.

Statek oddalał się szybko. Miałem przed sobą teraz jego rufę i kawałek lewej burty. Trzy kominy zachodziły już za siebie, zrastały się w jeden.

Trzęsącymi się rękami ująłem ostatnią raketę. Modliłem się żarliwie, żeby nie zawiodła, jak tamta druga.

- Boże, dzięki Ci.

Złota, kochana, śliczna rakietka nie zawiodła. Parsknęła hen, w górze radosnym śmiechem ognia, dmuchnęła w niebo fontanną srebrzystych iskier i huknęła jak bomba. Kiedy echo

rozpłynęło się wśród zdumionych
skał lodu, złożyłem dłonie w
tubę i zacząłem ryczeć, wyć,
wrzeszczeć jak opętaniec.

- Spostrzegli!... Spostrzegli
mnie - szlochałem z radości,
pochłaniając wzrokiem gejzer
ognia, który wytrysnął z rufy
okrętu. Potem druga rakietka i
trzecia. Ach, a ja nie miałem
już żadnej, nie mogłem im
odpowiedzieć. Nic to. Zerwałem
futro, cisnąłem je pod stopy,
zwinąłem w kłębek i podpaliłem.
Więcej z tego było smrodu niż
ognia, ale za to jaki przepyszny
słup dymu wystrzelił ku
gwiazdzystemu niebu.

- Reflektor, klasnąłem w
dłonie, wykonując dzikie pląsy
dokoła mego smrodliwego ogniska.

Biały trójkąt oślepiającego
światła przemknął po spokojnej
toni oceanu, wspiał się zręcznie
na urwiste zbocze wyspy, wdarł
się na szczyt wysokiego brzegu i
mknął po nim, szukając sprawcy
tej iluminacji. Nareszcie!
Znalazł mnie, przystanął, jakby
zdziwiony. Zdarłem z siebie
kurtkę lotniczą, podpaliłem w
okamgnieniu i parząc sobie obie
dłonie dotkliwie, wymachiwałem
tą niezwykłą żagwią nad głową.
Kiedy mi się rękaw marynarki
zajął, cisnąłem szybko płonąca
kurtkę na tamten stos i znów
tańczyłem mój zaimprovizowany
taniec szaleńczej radości, wobec
którego najdziksze pląsy
Murzynów nie były nawet
menuetem.

Ryk syreny rozdarł powietrze.
Ach, żadnego koncertu w życiu
nie słuchałem z taką rozkoszą.
Znakomita orkiestra z
Metropolitan Opera House wydała
mi się teraz bandą kiepskich
grjków. To była muzyka, to była
cudowna symfonia!... ten
zachrypły ryk okrętowej syreny.

Reflektor przygwoździł mnie do

miejsca, w którym stałem.
Niepotrzebnie, nie zamierzałem
bynajmniej uciekać. Piękny,
kochany, najdroższy okręt
zwalniał biegu, stawał. Dla
jednego rozbitka!... Wszak mnie
tylko mogli widzieć z pokładów.
Dla jednego człowieka trzy
tysiące ludzi zatrzymało się na
oceanie w niebezpiecznym
sąsiedztwie olbrzymiego lodowca.
Oto był wspaniały triumf
solidarności ludzkiej. Trzy
tysiące ludzi nie wahało się
przerwać podróży dla jednego
członka olbrzymiej rodziny...
ludzkości.

- Hip! Hip! Hurrraaaaa! -
krzyczałem, bo tam grały już
flety!... Ach, czymże są flety
wobec zardzewiałego zgrzytu
szlup_bloków - na którym
opuszcza się łódź ratunkową.

Potem dźwięki jeszcze
piękniejsze: łoskot spalinowego
motoru.

- Ter, ter, ter, ter... ter,
ter, ter, ter...

- Wciąż ten sam motyw w
przeróżnych wariantach, w
rozmaitym tempie. Najpierw
andante, motorówka jeszcze stoi
przy schodkach, załoga wsiada do
niej pośpiesznie. Potem kilka
pasaży, to kierowca silnik
gazuje, dalej crescendo,
wreszcie ogniste presto i
fortissimo zarazem. Łódź już
mknie pełnym gazem ku mnie, ku
wyspie lodowej.

Upojony rajska melodia
czekałem jeszcze niecierpliwie,
aż się odezwie najcudniejszy
instrument i boskim akordem
zakończy wspaniałą symfonię,
którą w myśli nazwałem:
"Ocalenie rozbitka"... Tak...
chciałem go posłyszeć, upić się
nim do nieprzytomności, chciałem
posłyszeć głos ludzki, głos
dzielnych ludzi, którzy
pośpieszyli na ratunek mnie, a

przede wszystkim Halinie. "Boże,
jak się to kochane biedactwo
ucieszy", szeptałem.

I przyszedł moment ekstazy.
Silnik umilkł, nastąpiła cisza,
nastąpiła uroczysta chwila
solowego występu tego
najpiękniejszego instrumentu i z
sunącej wzdłuż brzegu łodzi
zabrzmiął niski bas męski...

- Hallo! Coś ty za jeden,
diabie przeklęty?

- Nasmrodził, że w nosie kręci
- dodał drugi głos zaraz.

Ojczysta mowa, Boże, Boże!...
Jak cudnie brzmiały te proste,
rubaszne słowa... Złożyłem
dłonie w trąbkę przy ustach.
Wrzasnąłem co tchu w piersi:

- Hej, bracia! Tu Ralph
Bronson z Nowego Jorku...
Samolot nasz spadł na wyspę
lodową. Nazywał się "Victoria
2". Nie słyszeliście o naszym
locie?

Zawrzało w łodzi. Dziwili się,
krzyczeli, pytali, gdzie można
przybić, bo zanurzone bloki lodu
nie pozwalają bliżej podjechać.

Pół godziny szukaliśmy
wspólnie odpowiedniej do
lądowania przystani. Ja z góry,
oni tam z dołu. Nareszcie
trafiła się jakaś maleńka
zatoczka. Jeden z majtków
wyskoczył wspaniałym susem,
poślizgnął się i zjechał do
wody, klnąc bardzo dosadnie.
Drugiemu poszło lepiej. Wsiadło
ich coś sześcioro. Chcieli się
wspiąć pod górę, lecz nogi im
uciekały, przewracali się
komicznie, przeklinali,
pomstowali, wreszcie
zniecierpliwieni kazali mi
złazić na dół. Rozstawili się
złączeni rękami, abym nie
zjechał do morza.

- Nie, nie - protestowałem. -

Nie jestem sam na wyspie.
Musicie iść ze mną do miejsca,
gdzie leży samolot. To
niedaleko stąd. Będzie trzy
godziny najwyżej - zełgałem, aby
ich nie przestraszyć.

- Cooo? Trzy godziny? Ładna
historia!

- Może mniej. Ja szedłem trzy,
ale ja cztery dni mało co
jadłem. Wy, silne chłopy,
pójdziecie znacznie krócej -
zapewniałem ich.

Naradzali się chwilę. Potem
trzech ich zostało na wyspie, a
reszta powróciła na statek
zapytać kapitana, czy okręt
będzie mógł tyle godzin tkwić
nieruchomo. Przez ten czas
miałem wywindować ową trójkę.
Poszło dość łatwo, tylko
ciężarek ołowiany, przywiązany
do końca rzuconej mi linki
trafił mnie boleśnie w podudzie.
Cóż znaczył jednak ten drobiazg
wobec cudownego ocalenia?
Przywiązałem koniec sznura do
potężnej iglicy i zręczne
chłopaki wygramoliły się szybko
na stromy, oślizgły brzeg wyspy.
Ściskali mnie jak brata, a ja
ich wzajemnie. Z rozkoszą
zaciągałem się dymem podłego
tytoniu, którego przedtem nie
zapaliłbym za żadne skarby.

- Ale żeś ty, brachu, nie
zmarzył tutaj - dziwili się, nie
wiedząc, że futro i kurtkę
spaliłem dopiero przed chwilą.

- A dlaczego musieliście
ładować? - zagadnął jeden w toku
ożywionej rozmowy.

- Długa to historia, moi
drodzy... Trochę nam skrzydła
omarzły, lecz główną przyczyną
katastrofy był napad olbrzymich
ptaków - tu w możliwie treściwym
opowiadaniu przedstawiłem im
historię niefortunnego lądowania
i robinsonowskiego życia na krze
lodowej. Zdawało mi się, że

mrugają na siebie
porozumiewawczo i szturchają się
łokciami. Najmłodszy parsknął mi
w twarz w pewnym momencie.

- Białe sowy? He, he, he, he -
coś ty, bracie kręćka dostał,
czy jak? Za głupców nas
bierzesz?

- Daj mu spokój - mruknął
drugi - nie widzisz, że biedak
ma gorączkę? Oczy mu się szklą
jak u kota.

Zamilkli i ja również
straciłem ochotę do pogawędki.
Zrozumiałem, że takich
niedowiarków spotkam więcej. Nic
dziwnego. Ja sam nie uwierzyłbym
w istnienie Upiorów Atlantyku,
gdybym się z nimi nie był
spotkał. Należało być
wyróżniającym dla tych
prostaczków.

Motorowa szalupa powróciła
niebawem. Trzeci oficer statku
oraz sześciu marynarzy miało
wziąć udział w ekspedycji w głąb
wyspy w tej liczbie trójka
niedowiarków. Ci obstąpili
przede wszystkim porucznika i
szeptali mu coś, szeptali bez
końca. Odsunął ich w końcu,
podszedł do mnie, przedstawił
się i podał mi rękę. Zdziwił
mnie jego uścisk. Był mało
serdeczny, to mniejsza, ale
czemu trwał tak długo. Odniosłem
wrażenie, że ten człowiek liczy
tętno mego puls. Co, u diabła?

- Mr. Bronson - przemówił
wreszcie - czy potrafi nas pan
zaprowadzić do miejsca, gdzie
leży samolot? Czy pamięta pan
drogę?

- Naturalnie - odparłem -
przecież szedłem nią dzisiaj
rano. Miss Horska, to jest moja
narzeczona, moja żona chciałem
powiedzieć, pozostała w kabinie
samolotu, ponieważ przy
lądowaniu zwichnęła sobie
nogę... Ale nie traćmy czasu,

poruczniku. Ruszajmy.

- Dobrze, zaraz. Tylko jeśli się nie mylę, był jeszcze trzeci lotnik z wami. Jakże się on nazywał? - patrzył mi prosto w oczy. Brzmiało to tak, jak gdyby mnie egzaminował.

- Patrick Knock. Biedak zginął. Jego pas pękł w chwili zderzenia maszyny z blokiem lodu i Patrick przypłacił to życiem.

- Teraz znów gada do rzeczy - mruknął któryś z majtków dość głośno, abym to mógł usłyszeć.

Uśmiechnąłem się wyrozumiale i wskazałem nań palcem.

- Pańscy chłopcy, poruczniku, osądzili, że mam gorączkę.

- Nawet myszki w głowie - odpowiedział ten smarkacz, lecz oficer zgromił go surowo i kazał milczeć.

- A więc ruszamy w drogę - zakomenderował i ujrawszy, że trzęsę się z zimna, kazał jednemu z tych, co pozostali w łodzi, dać mi swój płaszcz.

Nie czułem teraz zmęczenia. Swą wytrwałością zadziwiłem wszystkich, a zręcznością w marszu po śliskim terenie zaimponowałem nawet niedowiarkom. Oni za to wywracali się, zjeżdżali na grzbiecie, na brzuchu, podbijając nogi jeden drugiemu.

- Wie pan, Mr. Bronson - przemówił w pewnej chwili oficer, obejmując szerokim ruchem ręki postrzępione szczyty pagórków, zwały lodu, fantastyczne stalagmity zmarzniętej wody i całą w ogóle okolicę - wie pan, że trudno mi wprost uwierzyć, że aeroplan mógł tutaj lądować. Może się przesłyszałem - złagodził poprzednie słowa - być może, iż

opadliście na wodę i z pomocą gumowego czółna wylądowaliście na tej wyspie, co?

- Drogi poruczniku - ja na to - co tu dużo mówić. Uprzedzony słowami swoich podwładnych, uważa mnie pan za kłamcę lub za wariata. Nie mówmy więc o tym. Skoro pan ujrzy samolot, to...

- Przepraszam pana, Mr. Bronson - przerwał mi zawstydzony - doprawdy myślałem, hm.... bo sam pan przyzna, że hm - ani rusz nie mógł wybrnąć, aż zakończył w sposób zgoła nieoczekiwany - ale ja tym smarkaczom uszu natrę, kiedy powrócimy na statek.

Nie rozmawialiśmy więcej, aby nie oddychać przez usta przy tak forsownym marszu. Nie zablądziłem ani razu, czego najlepszym sprawdzianem było kilkakrotne spotkanie odcisków moich stóp na śniegu. Jeszcze godzina drogi... jeszcze pół... jeszcze kwadrans, potem małe wzniesienie. Kiedy staniemy na szczycie, nasze "lotnisko" będzie tuż u stóp.

- Stamtąd zobaczy pan samolot - oświadczyłem, przyśpieszając kroku, potem dodałem z odcieniem obawy - tylko z nią będzie trochę kłopotu... Jak panu mówiłem, zwichnęła nogę w czasie katastrofy.

- Poradzimy sobie jakoś. W najgorszym razie wyślę dwóch ludzi po łódź. Stąd znacznie bliżej do morza.

- Bardzo niewiele bliżej, poruczniku. Znam całą wyspę doskonale. Na tamtym brzegu zatknąłem flagę. Trzeba do niej iść przeszło dwie godziny... A teraz, kiedy cała wyspa się przechyliła, to chyba jeszcze dłużej.

- Dwie godziny? - uśmiechnął

się niedowierzająco, czy pan nie słyszy szumu fal. Morze jest stąd o trzysta, co mówię, o dwieście jardów, albo ja nie jestem marynarzem.

- Nie chcę panu ubliżyć - zniecierpliwilem się - ale w takim razie jest pan kiepskim marynarzem. No, niech pan brwi nie marszczy. Za chwilę zobaczymy, kto ma słuszość. Widzi pan tę barierę lodu?

- Pewnie, że widzę - syknął przez zęby.

- Przedtem nie trzeba było do niej iść pod górę. Dzisiaj, około czwartej godziny lodowiec się pochylił skutkiem roztopów. Otóż po tamtej stronie tej barykady zwałów lodowych leży równina gładka, jak stół. Tam właśnie lądowaliśmy, pokażę panu ślady i tam stoi samolot.

- No to zabłądziliśmy mój panie, bo tam jest morze. Nie jestem głuchy, dzięki Bogu i słyszę plusk fal, jak pański głos słyszę.

Idiota! Uparty zarozumialec. Cieszyłem się już na myśl, jak mu mina zrzędzie, gdy staniemy na szczycie wzniesienia. Wyprzedziłem go szybko, bo niezdara zaczął zjeżdżać po gładkim zboczu. Serce mi waliło silnie ze zmęczenia i ze wzruszenia, że za kilka minut ujrzę samolot, że za kwadrans będziemy wracać tą samą drogą, ale już w towarzystwie Haliny.

- Boże! Co to? - zaniepokoiłem się, bowiem dziwny znajomy szum dobiegał teraz moich uszu. Na czworakach darłem się na szczyt wzniesienia, wszczepiając palce w rozmiękłą powierzchnię tającego lodu. Jeszcze dziesięć jardów do szczytu.. jeszcze pięć... dwa jeszcze.

- Aaaach! - wrzasnąłem i

padłem na twarz jak długi.

U moich stóp szumiał złowrogi ocean. Zniknęła równina zalewana rano wodą rosnącego jeziora, zniknęła północna bariera pagórków lodowych, zniknęło wszystko... samolot, mogiła Patricka, nieszczęsne lotnisko, kopiec nad kołem usypany i nasz ołtarz, przed którym ślub braliśmy wczoraj. Pół wyspy przepadło bez śladu, jak nożem odrkajane od reszty lodowca.

- A co, nie mówiłem? -
zabrzmiął głos oficera, potem posypały się uwagi gramolących się na czworakach marynarzy:

- To ci nas nabił w butelkę.

- Cwaniak, ale niech go diabli za moje podarte spodnie.

- Co chcesz, ładny spacer zrobiłeś.

- Tylko po kiego licha? Gdzież jest ta jego żona?

Moja żona! To ostatnie słowo przeniknęło dopiero do mej świadomości, do serca, do najtajniejszych komórek mózgu, wszędzie.

- Halinaaa!... Och... Halinaaa
- wyłem, łamiąc ręce z rozpacz. Zerwałem się, chcąc skoczyć w morze, lecz uprzedzili, przewidzieli mój zamysł. Jeden chwycił mnie wpół, po dwóch za każdą rękę, a porucznik zagroził mi drogę, stając na samym cyplu i zasłaniając mi sobą widok na przeklęty ocean.

- Może ta równina leży w innej stronie? - zapytał współczująco
- prawdopodobnie zablądziliśmy. Nic dziwnego, te głazy są tak podobne, okolica tak monotonna.

- Milcz, człowieku -
wrzasnąłem oburzony - milcz i słuchaj: O czwartej po południu

ta część wyspy pochyliła się.
Nie rozumiałem przyczyny. Teraz
rozumiem. Największy ciężar
spoczywał na obu końcach. Środek
osłabiony tajaniem nie
wytrzymał, wyspa pękła na dwie
części... Ja zostałem na
południowej, a ona... odpłynęła
na drugiej. Oooooch!

- To mi nie wygląda na świeżą
szczelinę - mruknął, pochylając
się nad zboczem, którego stopy
lizowało morze.

- Odpłynęła, tak, tak -
wyjaśniłem sam sobie głośno - i
dlatego Upiory Atlantyku
pożeglowały na północ.
Pamiętały, że tam leży
zestrzelony ptak_maszyna, że w
jego wnętrznościach są ludzie...
my, ja i Halina.

- Słyszysz pan, panie
poruczniku? Znowu o tych
upiorach gędzi.

- Zwariował w tej samotności.

- Nie dziwota.

- Cicho, cicho - mitygował
oficer, po czym zwrócił się do
mnie bardzo grzecznie: - A
teraz, Mr. Bronson, pójdziemy z
powrotem. Na okręcie czeka pana
wygodna kabina, szklaneczka
whisky, ciepłe łóżeczko.

Pociągnęli mnie łagodnie
wstecz, lecz stawiłem energiczny
opór.

- Idźcie, skądżeście przyszli
- charczałem, mocując się z nimi
- ja tutaj pozostanę. Ona
zginęła, ja też chcę zginąć!
Puśćcie mnie, łotry
przeklęte!... Auu, moja ręka.
Precz, psy, draby!

- Dalej, dalej - komenderował
porucznik.

- Precz, mówię... Kto was tu
wołał.

- A któżby, jak nie ty sam? -
odciął jeden z majtków.

- No, wariacie jakiś... Bijesz
nas, cośmy cię ratować
przyszli?... To ci wdzięczność!

- Dalej, chłopcy... Tak, teraz
ostrożnie na dół.

- Ty sam na dół! - ryknąłem
rozwścieczony i wierzgnąłem
noga, chcąc go kopnąć w brzuch.
Odskoczył jednak zręcznie, a mój
but trafił w plecy majtka, który
podnosił straconą z głowy
czapkę. Uderzony tak zniecacka
stracił równowagę, odleciał na
czworakach dwa jardy i zniknął
mi z oczu poza krawędzią
wysokiego brzegu.

- Ratunku! - zabrzmiał jeszcze
jego głos.

- Denis spadł!

- Linkę prędko.

- No, my ci dogrzejemy
wariacie wściekły!

Głośny plusk zagłuszył dalsze
pogróżki.

- Wy trzej trzymać tego
szaleńca. Reszta za mną!

- Płynie, panie poruczniku.

- Help! Help! - rozległ się
głos w otchłani.

- Tędy, chłopcy... Jego mi
pilnujcie i siebie także, żeby
jeszcze któregoś nie zepchnął.

- Ho, ho, niech spróbuje!

- Puśćcie mnie. Czego chcecie,
ludzie? - pytałem spokojnie.

- Hallo, Denis, trzymaj się,
bracie.

- Help!... Help! Wszędzie lód.

- Uwaga! Rzucam linkę.

- Stąd źle, panie poruczniku.
Musimy zejść niżej.

- Więc, jazda!

Oficer i dwóch majtków odeszło. Miałem teraz tylko trzech przeciwników. Trzymali mnie żelaznymi szponami swych żyłastych łap i porozumiewali się wzrokiem. Raz jeszcze spojrzeli w kierunku bloku, poza którym zniknął porucznik. Jeden z nich gwizdnął. Na tę komendę wszyscy trzej zaczęli mnie okładać pięściami, gdzie popadło, głowa nie głowa.

- To za Denisa, ty głupcze!

- Za moje spodnie podarte!

- Za to, żeś z nas wariatów chciał robić, jakżeś sam wariat - syczeli cicho, aby oficer nie posłyszał i bili mnie bez litości. Bronilem się dzielnie, jednego zajechałem w nos tak skutecznie, że krew mi bluznęła na rękę, lecz mój upór rozwścieczył ich tylko.

- Poruczniku... Na pomoc! - jęknąłem, waląc się na kolana.

Bili mnie jeszcze, kiedy leżałem na lodzie niezdolny do dalszej walki. Jak przez mgłę posłyszałem odgłos zbliżających się kroków.

- Co się stało? - krzyknął porucznik.

- Kasać nas chciał ten wariat. Uspokoiliśmy go trochę.

- Ale żyje?

- Naturalnie, panie poruczniku. Może mu to nawet klepki w głowie naprawi, he, he, he!

- Może mu z niej te jakieś tam upiory wyfruną.

- Biedny człowiek - westchnął porucznik i to współczucie wynagrodziło mi z nawiązką krzywdę, jaką mi nieokrzesani marynarze wyrządzili. - Dwóch z was musi iść po łódź. Obejdziecie wyspę dokoła. My tu będziemy czekali.

To były ostatnie słowa, które jeszcze zrozumiałem. Potem ogarnęły mnie mroki straszne, ponure. Wycie wichrów głużyło huk trzech potężnych silników i gwizd linek napiętych i trzaskanie gradu po szybach, po daszku i ścianach kabiny. Potworne łby Upiorów Atlantyku ukazywały się raz po raz za szybami okienek. Ich krzywe dzioby stukały w szkło, ich żółte ślepia patrzyły na mnie nieustannie, ich szpony drapały blachę duraluminiową. Samolot tańczył, zataczał się jak pijany. Spadaliśmy przygnieceni ciężarem kilkudziesięciu olbrzymich ptaków, które obsiadły naszą biedną "Victorię"... Pod nami pieniał się ocean i nagle... wszystko zniknęło. Stałem teraz na środku wielkiej, białej przestrzeni, zapatrzony w gwiaździste niebo. Poprzez drgające powietrze płynęły ku mnie dwie smukłe, zwiewne sylwetki niewieście, trzymając się za ręce jak siostry, jak przyjaciółki najlepsze. Dwie śliczne główki stykały się z sobą policzkami tak, że złote włosy jednej i popielate drugiej tworzyły razem jakby jedną, cudowną aureolę. To Dolly i Halina, ongiś rywalki, dziś miłujące się siostry. Stanęły przede mną, uśmiechnęły się do mnie przyjaźnie i wysunęły dłonie jak na powitanie, jak do uścisku serdecznego.

- Pójdź z nami, darling - powiedziały równocześnie, a głos

ich był śpiewem słowików.

Ujęły mnie pod ramiona, Halina
z lewej, Dolly z prawej strony.
I nagle uczułem, że nie ważę
nic, ani uncji. Płynąłem razem z
nimi podniebnym szlakiem, który
księżyc szczerze wysrebrzył...

Epilog

Opowiadanie o "Upiorach
Atlantyku" słyszałem z ust
samego Ralpha Bronsona,
nieszczęśliwego rozbitka, o
którego cudownym ocaleniu
szeroko niegdyś rozpisywano się
i mówiono.

Zaprzyjaźniliśmy się z
doktorem Trethawayem,
skorzystałem chętnie z jego
zaproszenia, aby zwiedzić
lecznicę w F. na Long Island,
której był współwłaścicielem.
Przemięły gospodarz zaczął od
niezbędnych objaśnień:

- Pan sądzi, że to zakład dla
obłąkanych, co?... Nie... To
pensjonat_sanatorium - mówił
swoim charakterystycznym stylem.
- Przejściowy szok, wyczerpanie
nerwowe, nieszkodliwe manie,
spleen, oto choroby naszych
pacjentów.

- Którzy rekrutują się chyba z
bardzo zamożnych ludzi -
przypuszczałem olśniony nieco
luksusem, bijącym w oczy na
każdym kroku.

Reynold Trethaway uśmiechnął
się kącikami ust.

- No, oczywiście - odparł - a
teraz chodźmy do nich.

Pomimo zapewnień mojego przewodnika nie mogłem się początkowo pozbyć uprzedzenia, że jestem w szpitalu wariatów. Lecz uprzedzenie to znikło szybko, w miarę jak zwiedzaliśmy wspaniałe salony, wspólną czytelnię, jadalnię, salę bilardową, gimnastyczną, krytą pływalnię, wytworne apartamenty pensjonariuszy itd. Zakład nie wyglądał stanowczo na szpital wariatów, ani nawet na prywatną lecznicę. Był to raczej elegancki lokal klubu milionerów. Ani śladu jakichś krat w oknach, muskularnych dozorców, kaftanów bezpieczeństwa, dębowych drzwi zamykanych z zewnątrz, czy tym podobnych dekoracji. Przeciwnie, nie dostrzegłem ani jednego klucza w zamku; pensjonariusze zależnie od upodobania grali w tenisa, w golfa, przechadzali się po olbrzymim parku, siedzieli w czytelni, albo w swoich pracowniach, ciesząc się zupełną swobodą ruchów w obrębie zakładu. Mizantropów było wśród nich niesłychanie mało. Większość witała się przyjaźnie z lekarzem, a nawet ze mną, niektórzy zaś wdawali się w krótką pogawędkę, nie narzucając jednak zbyt długo swego towarzystwa z taktem, właściwym ludziom dobrze wychowanym.

- Czy pan staje na piątce? - zagadnął mnie gentleman grający w bilard - myślę o banku - wyjaśnił, widząc moje zdziwienie.

- To zależy - odparłem ostrożnie.

- Ja zawsze ciągnę drugą kartę. Jak się pan do nas sprowadzi przekonam go o słuszności mego poglądu - rzekł poważnie i rozpoczął serię mistrzowskich karamboli. Jego partner, skazany na chwilową beczynność podszedł do nas z kolei.

- Czytaliście panowie
dzisiejsze dzienniki? Nie? Więc
przeczytajcie uważnie... Europa
się rozbraja na całym froncie...
Nasze wnuki będą musiały zajrzeć
do encyklopedii, aby się
dowiedzieć, co oznacza wyraz:
wojna... Kiedy pan tu zamieszka
- zwrócił się do mnie, dam panu
przeczytać mój projekt
powszechnego rozbrojenia się
państw.

- Kolego, czekam - wezwał go
tamten do bilardu.

Kiedy znaleźliśmy się w
korytarzu, dr Trethaway zaczął
mi objaśniać:

- Pierwszy, to stary szuler.
Ogrywa ich tu wszystkich po
kolei tak, że musieliśmy
ograniczyć stawki do minimum. Z
drugim jest trochę gorzej.
Wierzy, że wojen nigdy już
więcej nie będzie, wierzy w
braterstwo narodów i w podobne
mrzonki. Pisze na ten temat
olbrzymi traktat i spodziewa
się, że otrzyma najbliższą
pokojową nagrodę Nobla.

- Ale oni mnie niemal wszyscy
biorą za przyszłego kolegę,
doktorze - zaśmiałem się.

- Bo olbrzymia większość
zgłosiła się do nas dobrowolnie.
Każdego takiego nowicjusza
oprowadza się po całym lokalu,
aby potem nie grymasił... Tych,
których rodziny tu odstawiły
można by policzyć na palcach.

I znów przewinęła się przed
mymi oczami cała galeria typów,
milionerów_kleptomaniów,
dyplomatów_megalomanów i
rozmaitych innych maniaków. Aż
zatrzymaliśmy się przy końcu
korytarza.

- Tu mam coś, co pana jako
literata specjalnie powinno
zainteresować.

- Cóż to za jeden? -
zaciekałem się od razu.

- Ze słyszenia zna go pan na pewno. Jest to jedna z ofiar ubiegłorocznych przelotów nad Atlantykiem, Mr. Ralph Bronson.

- Bronson?... Ależ tak, pamiętam doskonale. On jeden ocalał z całej załogi samolotu. Znaleziono go, jeśli się nie mylę, na krze lodowej... Tak, tak... Więc i on jest pensjonariuszem tego zakładu?

- Początkowo miałem poważne zastrzeżenia co do przyjęcia go, gdyż wówczas nadawał się raczej do...

- Zakładu dla obłąkanych?...
Biedak.

- Ale obecnie jest zupełnie spokojny. Nie trzeba go tylko drażnić, ale udawać, że się wierzy w te wszystkie historyjki, którymi każdego chętnie częstuje... Niestety, nie wszyscy pensjonariusze potrafili utrzymać język za zębami. Od tego czasu odsunął się od nich i przesiaduje całymi dniami u siebie. Tylko wieczorem wychodzi do parku na spacer... Przedstawię pana oczywiście jako nowicjusza i... ucieknę, gdyż, proszę mi wybaczyć szczerą, mam jeszcze dużo pracy.

W ten sposób poznałem Ralpha Bronsona. Nie był on jednak tak skory do zwierzeń, jak twierdził dr Trethaway. Smutne doświadczenie zrobiło go ostrożnym, nieufnym. Lody pękły dopiero wtedy, gdy się dowiedział, że jestem literatem.

- W takim razie nie należy pan chyba do tego bezmyślnego stada, do tych ludzi - złągodził - którzy wierzą w to tylko, co...

- Widzieli naocznie -

podpowiedziałem.

- Gorzej - machnął ręką - to byłoby do wybaczenia... Ale denerwuje mnie ich niekonsekwencja... Spytam na przykład takiego jegomościa: "wierzy pan, że na biegunach jest lód?", odpowie oczywiście twierdząco: "a wierzy pan, że słońce posiada taką a taką temperaturę, że są we wszechświecie gwiazdy tysiąc razy większe od naszego słońca, że światło z ziemi miałoby biec do nich całe lata, wierzy pan, że światło odbywa drogę 300»0007km w sekundzie itd., itd.?" We wszystko wierzy, choć nie był ani na biegunie, ani na słońcu, a może nawet nosa nie wystawił poza miasto rodzinne. Ale wierzy, bo tak powiedział astronom, podróżnik, geograf, historyk. Tylko mnie uwierzyć nie może, że istnieją potworne sowy "Upiory Atlantyku", jak je nazwał Edgar Scott... Przechodziłem zapalenie mózgu, więc muszę być koniecznie wariatem, prawda? A pan? Czy panu wydaje się możliwe, aby ptaki zmusiły samolot do lądowania?

- Oczywiście - odparłem szczerze - czytałem o podobnym wypadku kilka razy. Raz w Pirenejach orzeł napadł lotnika, drugim razem w Chile gromada, nie pomnę już czy sępów, czy orłów rzuciła się na aeroplan szybujący nad stokami Andów. Jeden ptak wpadł pod śmigło, które go zabiło oczywiście, ale samo pękło i samolot runął w przepaść. Gdyby nie świadkowie, którzy obserwowali całe zajście z ziemi, nikt by się nie domyślił co było przyczyną katastrofy i śmierci dwóch znakomitych lotników. A podobnych wypadków znam więcej...

- Widzi pan, widzi pan - ucieszył się serdecznie - oni

nie chcą wierzyć w istnienia "Upiorów Atlantyku", bo nie widzieli dotychczas ani żywego "Upiora" w klatce zoologicznego ogrodu, ani wypchanego w muzeum, ani narysowanego w podręczniku zoologii... Sądzą, że nasz glob nie posiada już żadnych tajemnic, że wydarli mu wszystkie... Głupcy! Żadnych tajemnic nie posiada już tylko wasza Europa, zaludniona gęsto, przetrząśnięta do ostatniego kąta... Lecz inne kontynenty? Tajgi i pustynie Azji, wnętrza Afryki, dżungle Brazylii, Antarktyda, a choćby Grenlandia? Czy znamy wszystkie okazy flory i fauny tych olbrzymich przestrzeni? Czy znamy faunę głębin morskich?... Jak pan wie zapewne, jestem z zawodu dziennikarzem... Otóż w okresie letniej kanikuły, w okresie największego nieurodzaju na sensację, puszcza się zwykle na szpalty jakiegoś węża morskiego, czy podobnego dziwoląga. Wąż morski wszedł w przysłowie i dziś już tylko śmiech wywołuje, a ja panu ręczę, że dżungle dna morskiego kryją w sobie większe niespodzianki niż węże. Na naszym starym globie, który rzekomo znamy jak własną kieszeń, żyją setki ssaków, ptaków, płazów i ryb, które uczeni potopem zalali, lub odesłali do epoki kamiennej, albo o których nic w ogóle jeszcze nie słyszeli... Ale posłyszają, posłyszają niebawem i zdębieją. Mnie mogli uważać za wariata, lecz profesor Scott to autorytet, to firma światowa... A z Edgarem pojedzie cały orszak współczesnych mędrców - dodał z przekąsem.

- Ma pan na myśli wyprawę profesora Scotta do Grenlandii, prawda? Hm, oby tylko doszła do skutku.

- Pan wątpi?

- Jakiś pech nad nią ciąży.

Dwa razy już nie doszła do skutku.

- Tak, dwa lata temu brakło funduszków, tamtego roku znów nieszczęśliwy wypadek pocziwego Edgara pokrzyżował plany, ale tym razem pojedziemy na pewno.

- Pojedziemy? To znaczy, że pan także ma zamiar wziąć udział w tej ekspedycji?

Ralph Bronson zapłonił się jak dziewczyna i pochylił się ku mnie.

- Tylko o tym sza... - rzekł zniżonym głosem, to już rzecz postanowiona. Za miesiąc okręt Edgara zawita do Nowego Jorku, aby zabrać kilku tutejszych uczonych, no i mnie także. Ale przed doktorem Trethaway ani słowa - niepokoił się biedak.

Podąłem mu rękę, a serdeczny uścisk dłoni jaki wymieniliśmy wtedy świadczył najlepiej o wzajemnej sympatii, która wzrastała z każdą minutą i miała się później zamienić w przyjaźń.

Ralph Bronson nie potrzebował się już teraz lękać jakichś drwin, sceptycznych uwag, niedowierzania z mej strony. Zaczął opowiadać. Słuchałem z uwagą, z szczerym zainteresowaniem, a czas biegł szybko, och, za szybko. Kiedy dr Trethaway wpadł do pokoju jak bomba, Ralph mówił właśnie o swej podróży poślubnej, o cudnej Kalifornii i malowniczych Hawajach.

- A to się dobrali - klasnął w dłonie rozweselony lekarz. Musiałem z nim powrócić do miasta, lecz nazajutrz wyjechałem z Nowego Jorku już o dziesiątej rano. Byłbym to chętnie uczynił o dwie godziny wcześniej, ale nie wypadało jakoś. Tegoż dnia Bronson ukończył swą opowieść.

Czy uwierzyłem we wszystko?
Nie odpowiem na to ani tak, ani nie. Dla skontrolowania czy wszystkie fakty (poza samym lotem oczywiście) miały miejsce, czy pamięć nie zawiodła biednego Ralph, zadałem sobie trud, aby zaczerpnąć potrzebnych informacji z innych źródeł. Zacząłem od redakcji "N. Y. M. N.". Niestety spotkał mnie zawód. Po śmierci córki i męża Mrs. Campbell sprzedała ten dziennik, a sama wyjechała do swej rodziny, mieszkającej gdzieś w stanie Teksas; ze zmianą właścicieli uległ zupełnej zmianie również zespół redakcyjny. Nikt nie mógł mi tam udzielić o Bronsonie żadnej informacji prócz tej, że posiada on nadal 25% "Morning News", że jego majątkiem zarządza kurator i z dochodów opłaca słońa takse lecznicy. Pielęgniarka Miss Bixby wyszła za mąż i wyjechała do Chicago, Bob Kennedy ma jeszcze trzy miesiące do odsiedzenia w więzieniu za wystawienie czeku bez pokrycia, jednym słowem z głównych bohaterów tego dramatu pozostał tylko Ralph, a z epizodycznych profesor Edgar Scott, który niestety mieszka stale w Anglii. Poprzestałem więc na sprawdzeniu dat i terminów i stwierdziłem, że Ralph Bronson ma fenomenalną pamięć. Nie pomylił się ani o jeden dzień, a więc nie kłamał. Inne szczegóły, dotyczące na przykład lotu Waltera Ashleya, potem Pompeya Vollara, wreszcie Knocka, Horskowej i Bronsona, zgadzały się "na włos" z jego opowiadaniem, jak to stwierdziłem w roczniku kilku tygodników poświęconych lotnictwu. A więc Ralph znowu nie skłamał. Skoro zatem szkielet historii, to jest daty i fakty były prawdziwe, dlaczego kwestionować wiarygodność tych scen, których świadkiem żyjącym obecnie był tylko on.

Tak, pozostaje tylko do wyjaśnienia sprawa "Upiorów Atlantyku". Czy istnieją rzeczywiście, czy poczęły się tylko w chorej wyobraźni Bronsona. Tę zagadkę rozwiąże prawdopodobnie prof. Edgar Scott. Póki nie wróci z swej wyprawy, trzeba czekać cierpliwie.

Powieść niniejszą napisałem z upoważnienia Ralpa. Kiedy go zapytałem czy mam pozmienić nazwiska bohaterów, jak się to robi zazwyczaj w podobnych wypadkach, uśmiechnął się smutnie.

- To niepotrzebne, drogi przyjacielu - odparł - mnie to nie zaszkodzi, a tamci przecież... odeszli na zawsze. I nie oszczędzaj mnie, proszę... Nie "wybielaj" mego charakteru, gdyż w takim razie skrzywdziłbyś którąś z nich... Tego bym ci nigdy nie przebaczył.

Przy pożegnaniu odzyskał trochę humoru. Przyrzekł, że gdy powróci szczęśliwie z "krainy wieczystego śniegu" napisze do mnie i dostarczy mi tematu do nowej powieści.

- Tylko z tej pierwszej muszę najpierw otrzymać egzemplarz z dedykacją, pamiętaj... Aha, byłbym zapomniał. Jaki dasz tytuł?

- Jaki? "Upiory Atlantyku"... Czy mógłbym znaleźć lepszy?

Doprawdy nie wiem dlaczego się tak rozczulił, gdy posłyszał moją odpowiedź.

Na odchodnym wręczył mi trzy bukiety cudnych róż z zakładowej cieplarni. Miał oczy spuszczone i był jakby onieśmielony.

- Mam do ciebie jedną, wielką prośbę... Jak wiesz, poza obręb lecznicy jeszcze mnie nie

wypuszczają... Czy mógłbyś te
kwiaty zanieść...

- Wiem - domyśliłem się - ale
trzy bukiety?

- Te białe złożę na grobie
Mafaldy Martini, różowe przy
rodzinnym grobowcu Campbellów...
Dolly spoczywa również na
Greenwood Cemetery, na tym samym
cmentarzu... A te czerwone
róże... rzuć z okrętu w morze,
kiedy będziesz wracał do Europy.
Good bye - dodał sztucznie
szorstkim głosem i odwrócił
się szybko do okna, nie chcąc
być
dostrzeżony, że ma łzy w oczach...
Wyszedłem...

Kiedy okręt mój zostawiwszy za
rufą drapacze Manhattanu zbliżał
się ku małej Bedloe's Island,
która dźwiga Statuę Wolności,
zwróciłem swe spojrzenia na
zielone pagórki cmentarza
Greenwood. Tam stał wspaniały
grobowiec Campbellów, tam
spoczywał snem wiecznym
energiczny Dick i jego uroczą
córkę Dolly, pierwszą żonę
Ralph'a. Przed jej marmurową
tablicą złożyłem dziś rano
bukiet różowych róż, a potem na
skromnej mogile Mafaldy Martini
rozsypałem białe róże. Dwa
polecenia Bronsona już
spełniłem.

W trzecim dniu podróży przez
ocean wykonałem jego trzecie
zlecenie. W międzyczasie róże
już okwitły, przywiewły i wiatr
zrywał ich czerwone płatki,
kiedy szedłem przez pokład. Ten
i ów pasażer spojrzał na mnie ze
zdziwieniem widząc, że stoję z
bukietem przy burcie i mówię coś
szepcąc. Nie dbałem o to.
Modliłem się dalej nad
symboliczną mogiłą mej rodaczki,
Haliny Horskowej, a potem
rzuciłem uszkodzony bukiet na
wodę. I stałem długo przy
burcie, tak długo aż
podskakująca na falach wiązanka

czerwonych kwiatów nie zniknęła
mi z oczu...

O pisarzu,

który nazywał się

Antoni Marczyński

Pisali o nim przed wojną:
"Polski Karol May, z zawodu
prawnik, z zamiłowania
gawędziarz, z przypadku
podróżnik, z przeznaczenia
literat". Po wojnie - nie
licząc krótkiego okresu u
schyłku lat
50 - pisali mniej lub zgoła nic.
Zostało po nim 49 powieści i
legenda tytana pracy. Ktoś
wyliczył, że w ciągu dwu lat
potrafił napisać 16 powieści, a
że każdy tom miał średnio 250
stronic - musiał więc pan
Antoni pisać 6 stron dziennie, 6
stron to 2000 wyrazów. O 1000
więcej niż produkował London!

Porównania z Londonem czy z
naszym rodzimym Kraszewskim są,
jeżeli chodzi o tempo produkcji,
zupełnie na miejscu. Gorzej z
jakością. No, ale Marczyński nie
ukrywał, że nie miała to być
wielka literatura, ale towar
księgarski i prasowy.

I - był to towar bardzo dobry.
Zwłaszcza w ogromnej lawinie
strasznej szmiry.

Trudno dziś z całą pewnością
ustalić, jak to było z początku
kariery pisarskiej Antoniego
Marczyńskiego. Kiedy
konfrontowałem fakty zawarte w
jego wspomnieniach ("Jak
lekkomyślnie wdepnąłem w zawód
pisarza"), z opowieściami

rodziny i przyjaciół, natrafiłem
na zasadnicze rozbieżności. Ach,
ten Antoś - wzdychali jego
bliscy - zawsze miał
niesamowite pomysły...

Ojciec, Roman Marczyński,
przywędrował do Krakowa kędyś z
Poznańskiego i założył nad Wisłą
wytwórnię znakomitych wódek.
Antoni kształcił się w kilku
gimnazjach, by wreszcie uzyskać
maturę w Chyrowie a dyplom
doktora praw - na Uniwersytecie
Jagiellońskim. Pracował w
bankach Poznania, Bydgoszczy i
Krakowa (Państwowy Bank Rolny).
Zdołał uciulać tyle, że
starczyło na pierwszą zamorską
wycieczkę do Afryki i Anglii.
Wrócił - i nudził się na potęgę.
Kiedyś będąc z ojcem na
śniadaniu
w restauracji "Hawełka"
usłyszał, jak ojciec młodego
wówczas poety Brauna chwalił
się, że jego syn sprzedał pismu
"Światowid" za 3 tys. zł
powieść, nad którą pracował 30
dni. - 100 złotych za jeden
dzień - pomyślał przyszły autor
- to wcale nieźle. "I
postanowiłem tak pisać, by
zarobić dziennie sto złotych".
Zaczął od obchodu wszystkich
księgarni i wypożyczalni z
błyskawiczną ankietą: które
książki mają największe
powodzenie? Wskazane pozycje
dokładnie przeczytał. Odkrył, że
czytelnicy gustują zwłaszcza w
tych, które mają w tytule słowo
"tajemnica". I tak zrodziły się
"Tajemnice władców Abisynii".
Dał je do przeczytania -
skłaniając do lektury prośbą i
towarzyskim szantażem -
redaktorowi Ikc
Błażejowskiemu. "Błażejowski dał
mi wiele cennych uwag i błagał,
bym na tym karierę pisarską
zakończył". Ba, ale czekając na
werdykt 5 miesięcy, napisał
Marczyński 2 dalsze powieści.
Dwa następne lata pracy w Banku
Rolnym przyniosły 7 nowych
tomów. Do roku 1927 było ich 10,

w tym jedna wydana drukiem. Ojciec dalej nie wierzył, "że z tego można żyć", a redaktor Stwora - ojciec znakomitego Jacka - nadal powtarzał rodzinie, że "Antek nie ma ani nazwiska, ani pyska na pisarza".

"Wykombinowałem sobie sposób zarabiania piórem odmienny od starych szablonów" - pisze w swych wspomnieniach autor "Zegara śmierci". I rzeczywiście: w myśl zasady pisarz powinien być chytrym kupcem, a nie poczciwym głupcem, wyciągnął Marczyński ze swych absolutnie oryginalnych i nieprzeciętnych umiejętności zupełnie niezły grosz. "Pióro tuczyło mnie hojniej, niż ongi spekulacje akcjami i fabrykacja wódek".

Jak to robił? Ba, to jego tajemnica i talent. Jak to sprzedawał? Proste: każdą powieść drukował najpierw w odcinku w gazecie czy tygodniku. Bywało, że to samo "story" pod zmienionymi, rzecz jasna, tytułami drukował równocześnie w kilkunastu pismach!

Pierwszą swą powieść wydał w formie książkowej dopiero, gdy "poszła" już w odcinku w 12 gazetach. Przyniosła mu w sumie 1650 złotych. Mało!

Ale w miarę zdobywania popularności i nazwiska popyt na jego utwory rósł, mnożyły się zamówienia z Bydgoszczy, Krakowa, Warszawy, Poznania, z pism polonijnych Francji i Ameryki. Nie mógł podołać nie tyle zamówieniom, ile pracy administracyjnej. W 1931 roku zakłada Marczyński własne wydawnictwo, a pierwsza powieść, jaka się w nim ukazała - "Czarci jar" - była absolutnym bestsellerem. Założył biuro, zatrudnił w nim żonę i sekretarki, sam poprzestając na pisaniu coraz większej ilości

utworów i - na handryczeniu się z właścicielami pism i innych wydawnictw.

"Kiedyś byłem świadkiem, jak znacznie starszy i lepszy pisarz dostał za swą książkę 300 złotych, bo nie umiał się targować. Irena Zarzycka wzięła za "Dzikuskę" 150 zł, a wydawca zarobił na niej 70 tysięcy. Żarłoczność rekinów jest zaraźliwa" - pisał o wydawcach, z którymi był w ustawicznej wojnie i których nazwisk używał z zemsty dla swych powieściowych szwarccharakterów. Cóż, dobry wojak Szwejk też nosi nazwisko człowieka, który raz w praskiej knajpie nie zapłacił za postawione panu Haszkowi piwo.

Nawet określenie "tytan pracy" nie oddaje w pełni ogromu codziennych wysiłków Antoniego. Wspominał przyrodni brat pisarza znakomity artysta_malarz Adam Marczyński:

- Pierwsze opowiadania zaczął Antoni kleić już w gimnazjum, potem, gdy pisarstwo stało się dla niego źródłem utrzymania - potrafił narzucić sobie ogromną dyscyplinę i świetną organizację. Pracował głównie nocami, ale pamiętam, że ilekroć do niego niespodziewanie zajrzałem, zawsze siedział przy maszynie i stukał, stukał, stukał - w niesamowitym tempie. Maszynę woził ze sobą wszędzie - w rodzinne odwiedziny, w podróże zagraniczne, na urlopy. Potrafił pisać równocześnie dwie książki.

- Skąd brał pomysły?

- Nie wiem, nigdy się z tego nie zwierzał. Był towarzyski, pełen humoru, ale nigdy nie był gadułą, trudno go było pociągnąć za język "co pan ma teraz na warsztacie". Nie pamiętam, by inspiracją do nowej książki było głośne wydarzenie, proces, afera. Ten człowiek miał

niesamowitą fantazję i
zadziwiającą łatwość
komponowania fabuły...

Bodajże w 1935 roku, na
jubileuszowym zjeździe
absolwentów gimnazjum w
Chyrowie, ksiądz prefekt cofnął
wyciągniętą do byłego wychowanka
rękę: Ty jesteś Marczyński? Ten
Marczyński? O, biada ci
gorszycielu maluczkich!

Dziś niewinne "świętuszenie"
Marczyńskiego wydaje nam się
naiwne, niczym pornografia
dziadków. Pan Antoni był
pisarzem, ale był i kupcem.
Dobrym kupcem. Zdawał sobie
zresztą sprawę z niedostatków
swej twórczości, ale cóż...
"Kiedy już miałem własne
wydawnictwo nastąpiło u mnie
rozdwojenie jaźni: Marczyński -
pisarz chciał pisać wolniej i
lepiej, Marczyński - wydawca
żądał od swego jedyne go autora
sensacji, pikanterii, egzotyki i
erotyki - co najmniej tyle, ile
dają naśladowcy i konkurenci. I
jeszcze jeden istotny fakt:
najsłabiej kasowo poszły te moje
książki, w których pod
płaszczkiem sensacyjnej, jak
zawsze, fabuły przemycałem
pacyfizm, liberalizm,
humanitaryzm i nienawiść do
faszyzmu, przygotowującego wtedy
tragedię Abisynii, Hiszpanii i
Polski"...

I to jest prawda: gdy tylko
powieść Marczyńskiego wydała się
władzom zbyt "liberalna" -
stosowano prosty chwyt: nie
dopuszczano jej do sprzedaży w
księgarniach i kioskach na
dworcach kolejowych, 40%
nakładu szło na przemiał.
"Marczyński_wydawca zrobił
pisarzowi piekielną awanturę:
koniec z aluzjami, drażniącymi
endeków!"

Jeśli nawet pisarz_fabrykant
powieści nie chciał być
oportunistą, to był nim

pisarz_wydawca. Miejmy pretensje do tego drugiego. Ten pierwszy nie zmieścił się w Encyklopedii powszechnej prawdopodobnie dlatego, że kiedyś, na początku kariery, nie usłuchał dobrych rad profesora Aleksandra Birkenmajera; niech pan pisze jedną książkę na 10 miesięcy.

Kiedy mistrz Marczyński pisał swą pierwszą powieść, na tak zwanym rynku księgarskim pełno było powieści typu "Błada hrabina, czyli walka o milion", "Hrabia Bogumił Kamiński, czyli ponury dom w Warszawie", "Jan III Sobieski, czyli ślepa niewolnica z Sziras". Z importu był Sherlock Holmes i Arsen Lupin. Polską literaturę sensacyjną reprezentowali Antoni Ossendowski i Aleksander Błazejowski - obaj - podobnie jak Antoni Marczyński - z tytułami doktorów, co życzliwa im krytyka skwapliwie podkreślała. Pierwszą "seryjną" postać detektywa, polskiego powieściowego detektywa, stworzył właśnie Marczyński. Był nim reporter_obieżyświat, sympatyczny, o dużej dozie autoironii, inteligentny, sprawny fizycznie i kochliwy Rafał Królik. Ba, któż ze starszego pokolenia nie zna jego przygód na francuskich plażach, w hiszpańskich zamkach, w rezydencjach polskich milionerów - nafciarzy...

W Bibliotece Jagiellońskiej zwrócono mi wszystkie zamówienia na książki Marczyńskiego z adnotacją "brak". Próbowałem w antykwariatach i wypożyczalniach prywatnych: wrzuszano ramionami. Wreszcie za kilkusetzłotową kaucją udało mi się wypożyczyć kilka powieści.

Ostatni raz czytałem je dawno, dawno temu na lekcjach matematyki i chemii. Skonfiskowane, krążyły wśród grona pedagogicznego wydzierane

sobie z rąk do rąk. Teraz
przeczytałem je na świeżo.

I co?

Są one znakomitym materiałem
na scenariusz filmowy - zreszta
kilka z nich doczekało się tego
i chyba jeszcze doczeka. Czy
doczekają się wznowień - należy
wątpić. Chociaż... ćwierć wieku
temu, na łamach "Dookoła
świata" Kazimierz Koźniewski
skazał książki Karola Maya na
"dożywotnie wyrzucenie na
śmietnik". No i co?

Marczyński nadal ma
zagorzałych zwolenników i to
wśród ludzi obdarzonych nie
najgorszym smakiem literackim.
Tempo akcji jego powieści
wciąż, każe nie zwracać uwagi
na niedostatki formy.

Tuż przed wojną Antoni
Marczyński wyjechał do Stanów
Zjednoczonych. Różnie się tam
układały jego losy. Trochę pisał
pod własnym nazwiskiem, trochę w
charakterze "murzyna" - autora
scenariuszy, pomysłów do
powieści i sztuk teatralnych i
telewizyjnych. Po latach
opowiadał ówczesnemu redaktorowi
naczelnemu krakowskiego
"Dziennika Polskiego",
Zbigniewowi Turkowi, że ilekroć
zapropozowany przez niego a
reprezentujący sympatyczne cechy
bohater książki czy słuchowiska
był Polakiem - natychmiast
zmieniano go na Niemca, czy
Anglika...

Zmarł w Stanach, 17 listopada
1968 roku.

Leszek Mazan

3 3 64 0 2 108 1 ff 0 74 0